Wszędzie, wszędzie na planecie
Braci moich ryty ślad.

. . . .

Po wszechziemiach, po wszechwodach
Siali przyszłej Polski siew,
Boże ziarna.

Zygmunt Krasiński

Naszym młodym rodakom
na szerokim świecie.

KSIĄŻKA O POLSCE

DLA MŁODZIEŻY POLSKIEJ ZAGRANICĄ

WYDANA NAKŁADEM
FUNDUSZU SZKOLNICTWA POLSKIEGO ZAGRANICĄ
WARSZAWA, MAZOWIECKA 1

1934

KSIĄŻKĘ OPRACOWAŁ
KOMITET REDAKCYJNY W SKŁADZIE:

ZBIGNIEW LEPECKI, PRZEWODNICZĄCY; FELIKS BURDECKI, MIECZYSŁAW GIERGIELEWICZ; HELENA GROTOWSKA; ZOFJA KLINGEROWA; TOMASZ PISKORSKI, CZŁONKOWIE

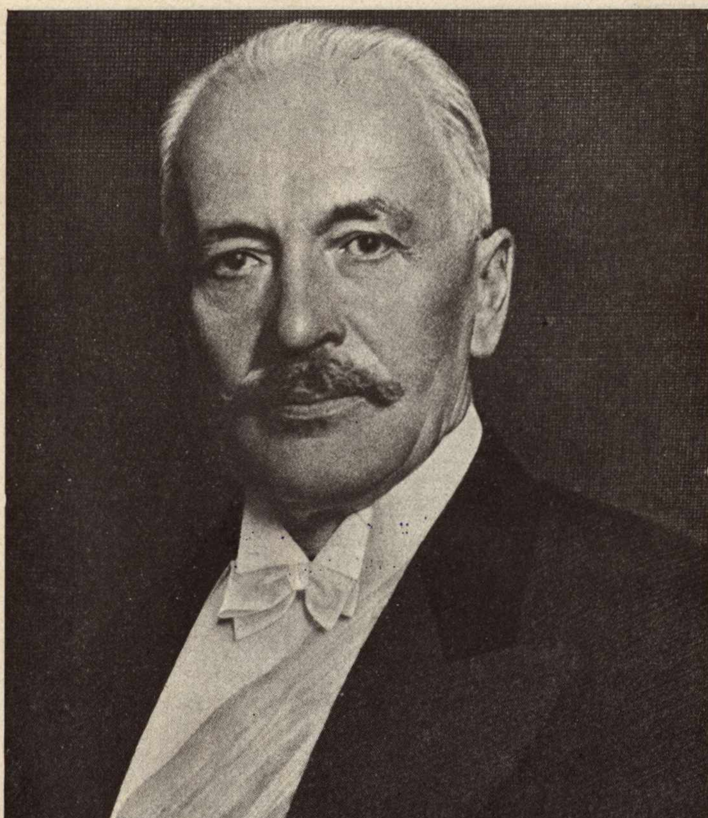
Z RAMIENIA

SEKCJI KSIĄŻKI, KOMITETU WYCHOWANIA NARODOWEGO MŁODZIEŻY POLSKIEJ ZAGRANICĄ, PRZY RADZIE ORGANIZACYJNEJ POLAKÓW Z ZAGRANICY

OGÓLNY NADZÓR TECHNICZNY
JAN WIT BANACHOWICZ

UKŁAD GRAFICZNY, OKŁADKĘ, WINIETY, INICJAŁY I RYSUNKI PROJEKTOWAŁ ART. MALARZ CZESŁAW KACZMARCZYK

ODBITO W ZAKŁADACH GRAFICZNO-INTROLIGATORSKICH J. DZIEWULSKI S. Z O. O.
WARSZAWA, SENATORSKA 10



PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ
PROFESOR IGNACY MOŚCICKI
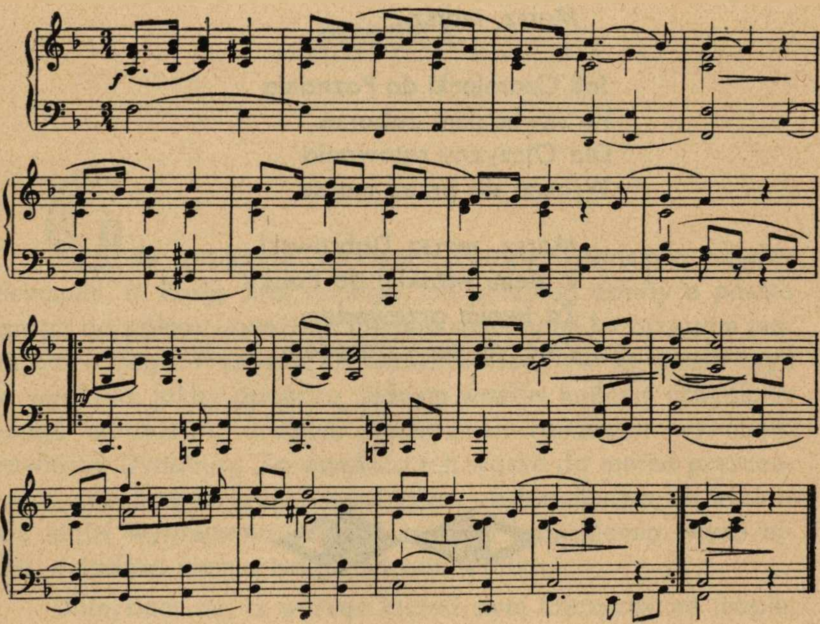


PIERWSZY MARSZAŁEK POLSKI
JÓZEF PIŁSUDSKI

I

Z DAWNYCH CZASÓW

POLSKI HYMN NARODOWY

(MAZUREK DĄBROWSKIEGO)



Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.

Marsz, marsz Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski!
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami.
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz...

Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze
Dla Ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.

Marsz, marsz Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski!
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

POLSKA

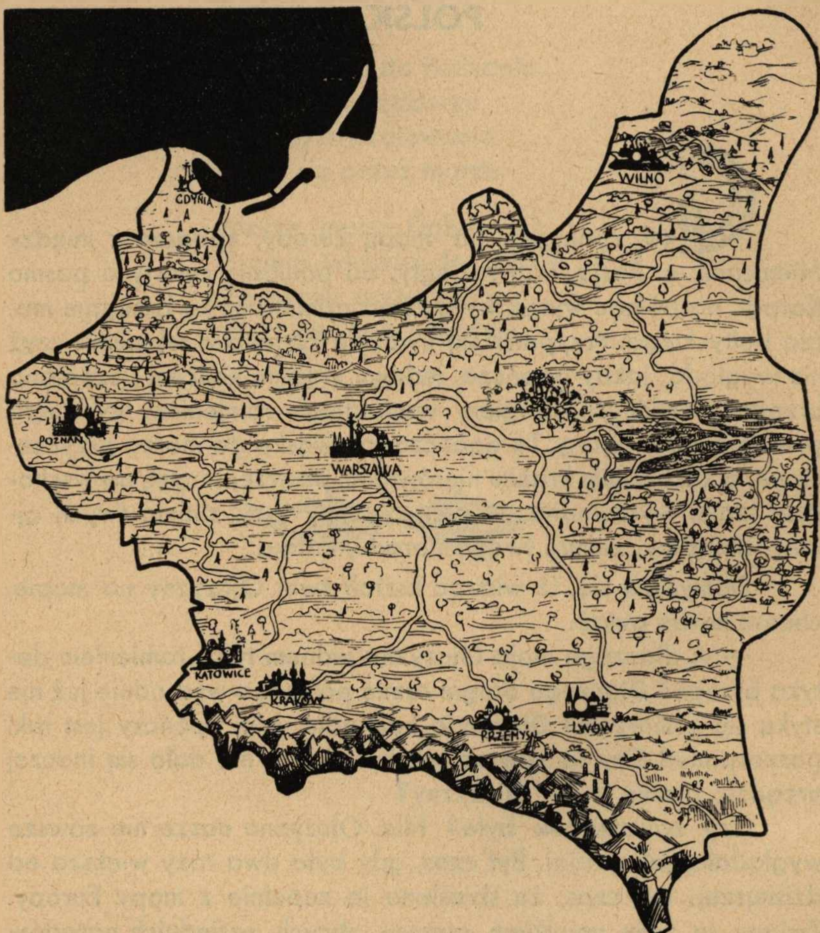
Gdy spojrzysz na mapę Europy, zabaczysz między Niemcami a Rosją kraj rozległy, od południa oparty o pasmo Karpat, na północ wytężony dwoma ramionami ku brzegom morza bałtyckiego. Przypatrz się uważnie kształtowi tej ziemi: czyż nie wygląda, jakby opończa, jednym wąskim końcem uczepiona brzegu morskiego, drugiem wschodniem ramieniem wysunięta prawie po Dynaburg. Ta opończa tak wąsko do morza przyczepiona, o zachodnim krańcu nierównym, postrzępionym, na wschodzie lepiej wyrównana, to twój ojczysty kraj, ziemia twych ojców, dziadów, ziemia twego narodu, Polska.

Domyślam się, iż widząc kształt swej Ojczyzny na mapie, chcesz zaraz pytać:

— A dlaczego moja Ojczyzna jednem tylko ramieniem dotyka brzegu? Dlaczego drugie ramię północno-wschodnie już nie styka się z morzem? Dlaczego zachodni skraj opończy jest taki poszarpany? Czy to zawsze tak było? Czy nie dało się inaczej urządzić granic mojej Ojczyzny?

Czy zawsze tak było? Nie. Ojczyzna nasza nie zawsze wyglądała, jak dzisiaj. Był czas, gdy była dwa razy większa od dzisiejszej; był czas, że skreślono ją zupełnie z mapy Europy. Zmiany te były wynikiem naporu obcych sąsiednich narodów i państw. Były też wynikiem siły, albo słabości, jakie zdołaliśmy tym obcym przeciwstawić.

Cieszysz się zapewne, gdy mówię o naszej sile, smucisz się jednak niewątpliwie, gdy wspominam o naszej słabości. Nie sądź jednak zbyt surowo swych przodków: długie ich pokolenia ofiarne i bohaterskie odrobiły winę słabości i, walcząc z ościennym wrogiem przez prawie 150 lat, powróciły naszej Ojczyźnie jej rozmiar potężny i należną Jej sławę.



Patrz na mapę: niema chyba okolicy granicznej, niema ważniejszego węzła dróg wewnątrz kraju, niema miasta, o któ-

reby dziadowie i ojcowie nasi i my sami ludzie dzisiejsi i dzieci tych ludzi dzisiejszych nie walczyli z bronią w ręku.

Wybierz pierwsze lepsze miasto z mapy Polski. Posłuchaj, jakiem historja jego dźwięczy bohaterstwem, spełnianem w ostatnich choćby latach. Lwów?! Ależ to obrona Lwowa, ależ to dzieci szkolne, biegnące pospołu z żołnierzami naszymi do walki.

Wilno?! Więc młodzież wileńska z narażeniem życia roznosząca amunicję po ulicach miasta oddziałom Marszałka Piłsudskiego. Żywiec, Katowice? To znów młodociani kurjerzy, powstańcy i wojacy, pośpieszający z pomocą naszemu żołnierzowi w walce.

Warszawa?! To spiskowcy, Peowiacy, przygotowujący w roku 1918-tym nowe zastępy młodej armji polskiej. Kraków?! To rozbrojenie Austrjaków w twierdzy krakowskiej przez Legjonistów Piłsudskiego. Przemyśl?! To młode wojsko polskie, szturmujące przez długie mosty na Sanie prosto na ogień karabinów maszynowych. Co miasto, to pamiątka, co miejscowość — to wykwit młodego bohaterstwa.

Wiesz chyba, co znaczy, gdy wszędzie, gdzie wróg zagrozi, spotka się z oporem młodzieży. Znaczy to, że tradycja życia rodzinnego przepojona jest miłością Ojczyzny. Oraz, że rodzice wychowywali swe dzieci dla Ojczyzny i że te dzieci gotowe wszystko dla Niej zawsze poświęcić.

Jakiś mędrek, czy niedowiarek zapyta jednakże: czy warto? Czy warto poświęcać się dla Ojczyzny?

Nie gniewajmy się na mędrka i wytłumaczmy mu tę sprawę cierpliwie. Naród, który się nie poświęca dla Ojczyzny, traci Ją wcześniej, czy później i staje się sługą, niewolnikiem innych narodów.

Stracić Ojczyznę?! Cóż może być okropniejszego! Zastanówże się tylko.

Oto Pomorze, kraina piękna, od piasków helskich idąca szumem coraz bujniejszej zieleni, płynąca coraz bujniejszym kłosem zboża ku łagodnym równinom wielkopolskim i ku Kujawom błękitnym. Dalej zaś na wschód, za Ostrołęką, Łomżą,

położoną w zasobnych ziemiach, masz znowu lasy cudne, puszcze grające życiem rozmaitem, a już dalej od Nowogródka przez Wilno do Turmontu — jedno oczarowanie prześlicznej ziemi Mickiewicza.

A gdy znów pójdziesz wschodnią granicą ku południowi prosto, olśni cię tajemnicze, pełne rozblasku wód Polesie; a zaraz niżej Wołyń rozfalowany, kwiecisty i śpiewny, poczem schodzisz ku południowi na ziemię tarnopolską, pełną przepięknych buków, dębów i złocistego blasku kukurydzy.

Jeżeliś się już do syta wywędrował po równinach, idziesz w góry. Od Kołomyi, Żabiego, potężnem pasmem Karpat maszerujesz aż do gniazda niebotycznych Tatr. Masz tu wszędzie przyrodę strzelistą, sosny, świerki i limby, kryjące pośród cienia swego ogromne bogactwa mineralne.

Od Tatr możesz dla wypoczynku zejść wdół, ku radosnej ziemi krakowskiej. Chodźmy razem w krakowskie, kieleckie, czy tarnowskie. Ujrzysz tu ziemię nasyconą wszędzie pracą przeszłości wielkiej: nad rzekami — zamczyska, a na górach — odwieczne klasztory.

FELIKS BIELSKI

BOLESŁAW CHROBRY

Życia całego pracą wielki dom wystawię,
Żelaznemi słupami twardo go podeprę.
Uderzy kornie czołem mej królewskiej sławie
Nieprzyjaciel zdradliwy nad Łabą i Dnieprem.

Lecz wielka ma dzierżawa nad brzegami Bałty
Wciąż za wąska, za ciasna. I bezsenne noce
Widzę: państwo wzrasta w nieobjęte kształty
I ponad ziemią całą sztandar mój łopoce!

Błyskawicą przekreśli niebo Szczerbca ostrze,
Burzą runie me wojsko na wieczności mury:
Ach! Twardo pięści ścisnąć — ramiona rozpostrzeć, —
W strzępy porwać granice, co dławią, jak sznury!



Fragment katedry w Poznaniu

Bolesław Chrobry i Mieczysław I

JERZY SMOLEŃSKI

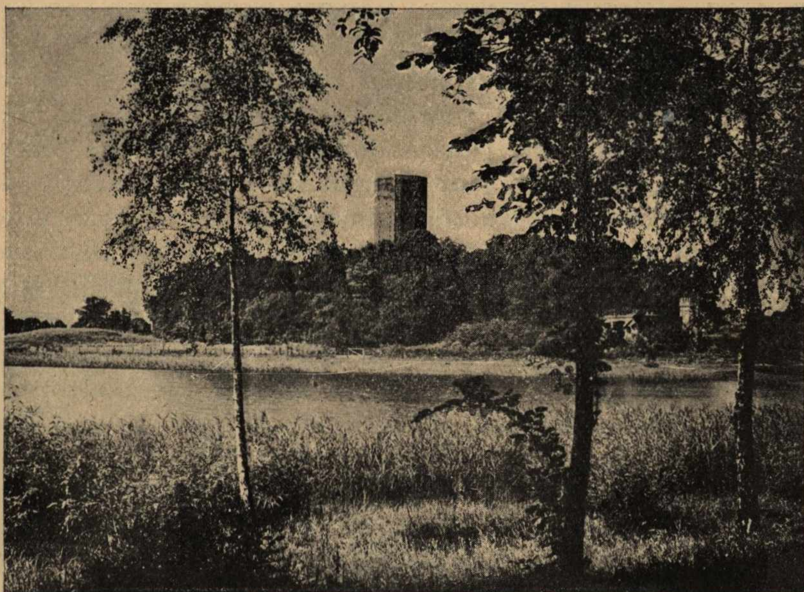
NAD WARTĄ, GOPŁEM i NOTECIĄ

Pośród wszystkich ziem, wchodzących w skład Rzeczypospolitej Polskiej, najstarszą dzielnicą jest kraina dawnej Wielkopolski, której większość obejmuje dzisiejsze województwo poznańskie. Tu na dawnej, gniazdowej ziemi Polan wykwitła z przeddziejowej pomroki średniowieczna monarchja Piastów, tu urodził się twórczy pęd do połączenia w jedną całość krain, przez różne szczepy polskie zamieszkałych i położone zostały przed tysiącem lat podwaliny państwowej potęgi Polski.

Ta „Stara Polska", pierwotna kolebka i centrum państwa, leży dzisiaj na jego obwodzie i stanowi nasze najbardziej ku zachodowi wysunięte kresy Rzeczypospolitej. Środek terytorjum państwowego, — jego polityczny punkt ciężkości, — przesunął się stąd naprzód na południe, a z czasem ku wschodowi, w miarę rozrostu granic w tym kierunku. Jednak Wielkopolska pozostała nadal najrdzenniejszą krainą polską, i mimo, że od wieków narażona była na najsilniejszy napór obcy, nietylko zachowała charakter godny swej historycznej, prastarej tradycji, ale nawet nowych, szacownych nabrała w zespole ziem polskich wartości. Mieszkańcy jej — podobnie jak polska ludność Pomorza — zahartowani w wiekowej, codziennej i ciężkiej walce o utrzymanie narodowości, nabyli w niej szeregu cennych zalet, któremi górują dzisiaj nad resztą Polaków. Pracowitość, wytrwałość, oszczędność, karność, zmysł ładu i porządku — oto cnoty spo-

łeczne, które pozwoliły im w walce tej wytrwać i nietylko utrzymać ojczystą po przodkach odziedziczoną ziemię, ale i do wysokiego stanu doprowadzić własną gospodarkę na niej. To też dzielnica ta odznacza się najwyższą materjalną kulturą w Polsce, stanowiąc pod tym względem wzór dla całej Rzeczypospolitej.

Najdalej ku wschodowi wysunięta część województwa poznańskiego, położona w dorzeczu górnej Noteci, to żyzne Kujawy, łączące nizinę wielkopolską z Mazowszem.



T-wo Krajoznawcze Jezioro Gopło

Najurodzajniejsza tu ziemia w całej zachodniej Polsce i ciesząca się najlepszą uprawą. Jak okiem sięgnąć, ciągną się rozległe pola orne o wysokiej kulturze, nieskończone łany buraków i pszenicy. Wśród nich widnieją zamożne wsie, bogate folwarki — zrzadka przerywa jednostajną linję horyzontu kępa drzew w otoczeniu ziemiańskiego dworu lub wysoki komin cu-

krowni. Tłusta gleba, przypominająca podolski czarnoziem, rozpościera się tu wszędzie. Wytworzona z namułu, osadzonego na dnie dawnych jeziorzysk i moczarów, od niepamiętnych już czasów zdobyta została pod pług i zasiedlona. Stąd brak tu zupełny lasów. Torf zastępuje drzewo opałowe, chaty wznosi się z cegieł, pola grodzi rowami. Monotonję pól uprawnych, zajmujących niepodzielnie tę równą, jednostajną krainę, przerywają rzadkie zwierciadła jezior.

Tu rozlewa się największe w województwie, a drugie z rzędu co do powierzchni w całej Polsce, sławne jezioro Gopło. Brzegi jego są niskie, płaskie i bezleśne, niekiedy moczarowate — pola orne bezpośrednio do nich sięgają. Jednostajny więc, bezbarwny napozór jest krajobraz nadgoplański. Ale nad tą płaską, trzeźwą ziemią, powszednim chlebem pachnącą, robiącą dzisiaj wrażenie jedynie doskonałego warsztatu pracy, postępowego rolnictwa, unosi się wraz z złotym pyłem zbóż i siną mgłą moczarów tęcza odwiecznych legend i dźwięczy echo prastarych dziejów. Tu umieszcza podanie kolebkę polskiego państwa. W Kruszwicy, nad jeziorem Gopłem, panować miał krwawy król Popiel, stara baśń głosi, że na Mysiej Wieży, wznoszącej się wówczas na wyspie, śmierć zasłużoną poniósł; nad Gopłem, według podania, stała chata jego następcy, kołodzieja i rolnika Piasta, przodka pierwszej historycznej polskiej dynastji.

Tu w plenną ziemię kujawską rzucone zostało ręką historji ziarno, które rozwinąć się miało w potężne drzewo tysiącletnich dziejów narodu i państwa.

Linją Gopła szła odwieczna droga handlowa z południa na północ, stary „szlak bursztynowy", skierowany ku wybrzeżom Bałtyku. Znaczenie komunikacyjne było tu przyczyną przedhistorycznego już osadnictwa, o którem świadczą zarówno przywiązane do Gopła i Kruszwicy podania dziejowe, jak i znajdowane w okolicy wykopaliska. Kruszwica leży w pobliżu północnego krańca jeziora, w miejscu, gdzie zbliżające się przeciwległe brzegi ułatwiają przeprawę na drodze od zachodu na wschód ku dolinie Wisły. Dzisiaj jest to małe, ciche miasteczko,

chlubiące się starym, romańskim kościołem i położoną nad jeziorem, owianą legendami, Mysią Wieżą — resztką leżącej w gruzach średniowiecznej warowni. Była to strażnica, strzegąca ważnej drogi, którą stanowi Gopło.

Ze szczytu jej rozległy roztacza się widok na położone u stóp miasteczko, na kapryśnie rozlaną taflę wodną, na brzegi jej niskie i płaskie, wdłuż których widnieją rozsiane chaty wiejskie i grupy zabudowań folwarcznych lub cukrownianych, — a dalej na szeroko rozłożone, w dal ku równej linji widnokręgu biegnące pola orne, łany przerywane gdzie niegdzie kryjącemi się w zieleni wyspami osiedli. Przeglądająca się w jeziorze zczerniała wieżyca to jedyny romantyczny szczegół krajobrazu, nad którym unosi się przecież echo Starej Baśni... Dzisiaj budzi wspomnienia dziejowe.

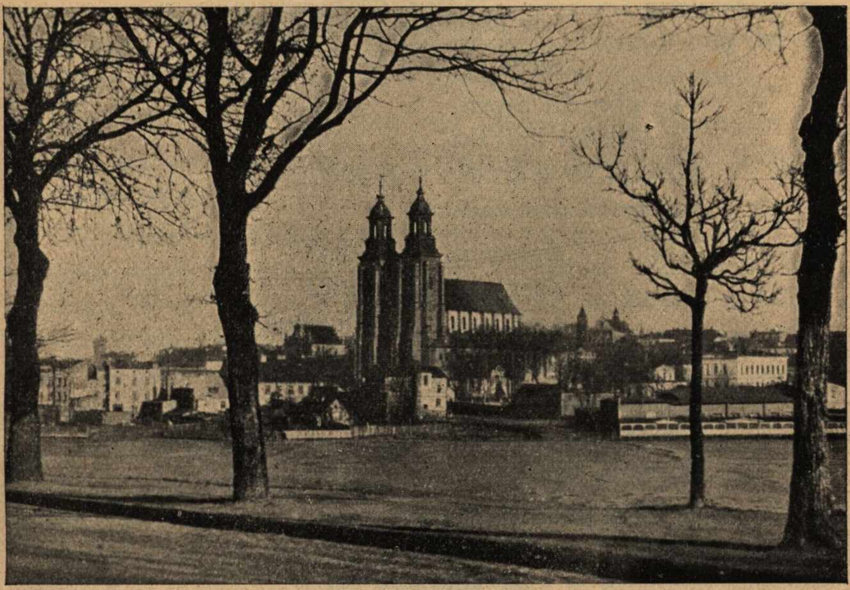


Photo-Plat Gniezno

MARJA KONOPNICKA

KUJAWIAK

Kujawy, Kujawy,
Ty stara ziemico!
Obsiał ciebie sam Pan Jezus
Żytem i pszenicą.

Nie obrodzisz jednem,
To obrodzisz drugiem,
Nie będzie ci ten Kujawiak
Darmo chodził z pługiem!

Nie obrodzi żyto,
To obrodzi proso,
Nie będzie ci ten Kujawiak
Zimą chodził boso.

Nie obrodzi proso,
To obrodzi hreczka,
Nakupi se w kramie wstęgów
Kujawska dzieweczka.

Kujawiak, Kujawiak!
Śliczna Kujawianka!
Będziewa se tańcowali
Do białego ranka.

Stanęło słoneczko,
Z nieba się dziwuje,
Kiedy ci ten Kujawiaczek
Oberka tańcuje.

MARJA KONOPNICKA

BRZEGIEM WISŁY

Na wschód od Gopła, od Warty, tam, gdzie niegdyś czerniały mazowieckie puszcze, pierś ziemi dźwiga się i opada głębokim, mocnym i żywiącym ruchem. Tam bije samo serce Polski. Miasta tu gęste, zasobne, przemyślne, jedne pracą licznych rojowisk ludzkich huczące, pełne fabrycznych dymów i łoskotów; inne pieczęcią dziejów krwawo znaczone i przygięte wiekiem, jeszcze inne, nawpół sielskie prawie, rozciekawiają się po okrajach w dwory i w dworki, w pólka, ogrody i pastwiska.

Tu Zawichost osędziały w wielkiej swej dawności, tu Czersk warowny niegdyś, tu Czerwińsk, pamiętający jeszcze dwunaste stulecie.

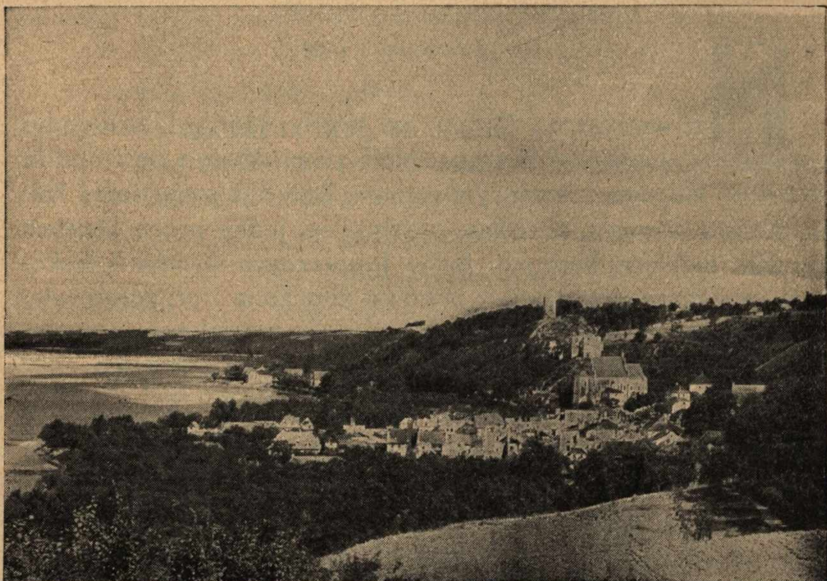
Tu siedzi stare Płocko nad wiślaną tonią; tu Wyszogród na stromem wzgórzu sterczy; tu Raszyn, Grochów, Wawer; tu bohaterska Wola, tu Praga z przebitą piersią, tu Wisła i tu Warszawa. Wisła i Warszawa to prawie że nie miana grodu albo rzeki, ale hasła rodowe, obwoływane z wieku na wiek po strażnicach ducha.

Wsie te rozbudowane mocno, gromadnie, na dobrych glebach, na błoniach żyznych siedzą zasobne, dufne w sobie, rodowe, trzymające się ziemi wszystkiemi korzeniami życia.

A lud to kwieci się, modrzy i czerwieni w swoich krasnych wełnach, to bieleje siwemi lnami płótnianek, to brunatną sukmaną podobnym się czyni świeżo odwalonej a rodzajnej skibie.

Tu czasu żniw słońcem palą się kosy, tu sierpy, jak miesiące nisko przy ziemi chodzą; tu znojne skrzypienie płużyc, soch, lemieszy; tu pot i trud twardego zwarcia się człowieka z ziemią.

Ale po wzgórzach brzozowe gaje, w lekkuchnych szmerach chwieją majową zieleń młodych pędów; nad strugami stają rozpłakane, srebrne od łez wierzby z nie kończącą się nigdy skargą swej żałoby; na miedzach, na rozdrożach, na wygonach,



T-wo Krajozn. Kazimierz nad Wisłą, widok ogólny

rysujących się wielkiemi linjami skróś łęgów i łanów, siedzą graniczne kopce okwitłe tarniną i głogiem, stają prastare krzyże śród osik, jarzębin, topoli; rosochate grusze ścielą koliska szerokiego cienia.

A pola idą w dalekość jakąś siną, w jakieś ogromne przezrocza coraz to bledszych błękitów, w jakąś różaność zórz, niecących się i ugasających nad niemi, w jakąś perłowość tumanów zwiewających się rankiem i wieczorem aż tam, het, precz, gdzie

na ostatnim zrębie widnokręgu czernieją bory szumiące mocną, niewypowiedzianą powieścią dawnych, dawnych czasów. Gdzieś poryk nagły przeniknie powietrze, gdzieś się zaniesie huk młota, łoskot iskry; gdzieś uderza nagła wrzawa zmieszanych, natężonych głosów.

Od łąk, od strug, od progów chaty biją nawoływania rozciągłe, echowe; biją zawodzenia fujarek pastuszych.

A przy chacie sad chróstem grodzony pali się od malw, od jaskrów, od słonecznikowych pozłocistych tarcz; a pod okienkiem pachnie grzęda ruty, szałwji, mięty i bożego drzewka. Za sadem, na bielniku, siwe płótna srebrnieją od słońca, a żóraw studzienny to tu, to tam zaskrzypi zwysoka, a dym jałowcowy miesza się z zapachem świeżo pieczonego na klonowym liściu chleba.

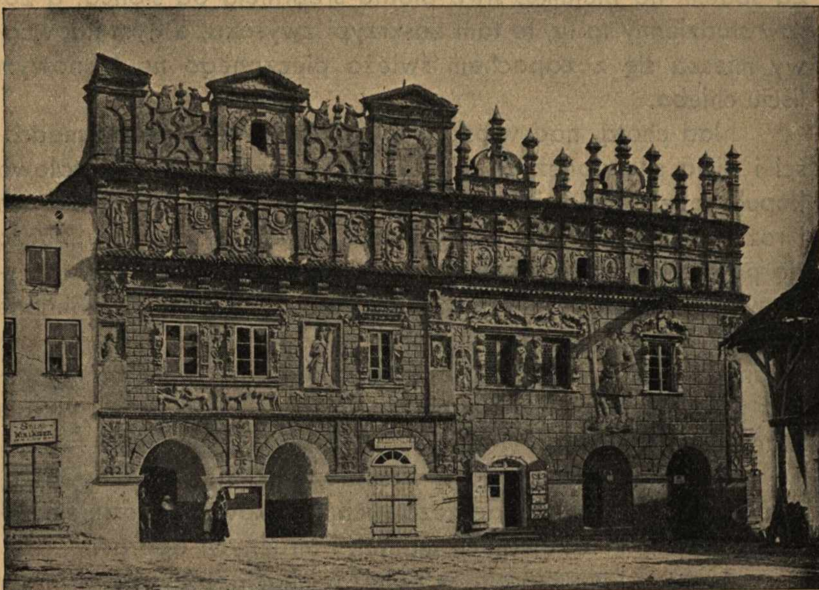
Nad chatą, nad wioską, nad polem, pełne bladej modrości i bicia skowrończych piórek niebo przeczystą kryształową kopułą obejmuje świat, wymyte, zda się, w świeżych rosach i rozkwitłe słońcem, zaś płomienieje od letniego skwaru; toczą się po niem chmury burzliwe, nawalne, przecinane czarną błyskawicą jaskółczych, niespokojnych lotów. Zaczem rozświetlone bladem złotem jesiennego ranka sieje na ziemię niewypowiedzianym urokiem przesłodkiej pogody i ciszy, w której przemijają po śródniebnych drogach długie ciągi lecącego na wyraje ptactwa.

A gdy przeminą, ugasa w sobie, mąci się i blednie, przyodziewa szarą płachtę deszczowych obłoków, aż kostnieje razem z ziemią w lodowatych mgłach i mroźnych oparach.

Rankiem i wieczorem, w polu i w chacie, przy pracy i przy zabawie wybucha wieś pieśnią. Jak wody potoku z głębokiego zdroja, tak bije pieśń samorodna z zatajonych źródeł ludowego ducha. Zrywa się, ulata, płynie z niewysłowioną rzewnością i tęsknotą, kipi życiem, swobodą, weselem, oczynia uroczyste momenty życia prastarą obrzędową nutą, nosi się nad jary, nad łany, nad ugory; usypia dziatwę, ociera oraczowi pot z czoła, dodaje siły i rozmachu kosie, dzwoni z grabliskami po sianożęciach, po łąkach, aż się rozełka, zawodząca za tym wozem za-

przężonym w woły siwe, na którym chwieje się ostatnia domowina kmieca, zbita z desek trumna, i idzie płakać z sierotami pod cmentarne wrota.

A wbok od wrót cmentarnych, przy których rzadkie sosny w szczerym piasku stoją, szemrząc z wiatrem pacierze za pomarłe kmiecie; a pod wiankiem lip, klonów, topoli, pełen trzepotu gołębi i wróblich świergotów trwa z wieku na wiek ubogi kościół wiejski, mający w swej prostocie i powadze coś ze starych gontyn, gdy w nim zapachną woski i święcone zioła.



T-wo Krajozn. Kazimierz nad Wisłą, domy z podcieniami

Miedzami łanów zbożnych, przydróżkami pokrytych pyłem gościńców, ciągnie tu w świąteczne rano lud strojny a rojny, skoro posłyszy dzwon ze starej wieży. A wtedy skróś ptasich przelotów i gwarów, skróś szumu lip i brzęku pszczelnych rojów, biją w niebo strzeliste wzdychania, łomot zaciśniętych pięści

w przejęte skruchą piersi i falą przelewający się nad tłumem żarliwy, modlitewny poszept.

Aż się zaniosą wichrem głosy i w strop kościelny uderzą, jak burza.

...Święty Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny!...

A wtedy wszystko, co się mrówczą pracą krzątało po nizinach ziemi, dostaje skrzydeł i lotu, a całe podniebie pełne jest duchów prostych, bijących czołem o podsienie Boże.

A tam, skróś wysady szumiących topoli, bieleje dwór starowieczny, z modrzewia stawiony dwór, którego belki głośne są od gniazd jaskółczych i od ich przeszłości.

Tu okna niskie, szerokie, zielnikom kwietnym podobne; tu ganki one dzikim winogradem strojne, tu zadumane, srogie twarze dziadów, ściągnięte troską czoła ojców, tu młodość promienna rwie się do życia, do czynu.

Czasem na wzgórzu, w ostępie tarnin i dzikiego głogu zamajaczą się ruiny rycerskiego gniazda i powieją tumanem podań starej, złotej sławy. Czasem jakaś mogiła polna przemówi głośno, surowo, donośnie, wielką swoją ciszą. Czasem głuchy bór zachuczy, jak w trąby bojowe, czasem dreszcz przeleci polem, jak poszept tajnego hasła.

Ale nad wszystkie poszepty i głosy wynosi się, panuje królewski szum Wisły. Gdy ona zrzuci lody i zagada, cały kraj słucha jej gromkiego huku. Gdy ona potężnym, nieokiełznanym pędem się zaniesie, cały kraj drży pod jej srebrną chłostą. Gdy ona idzie a przechodzi w swych wyrocznych drogach, cały kraj czuje, że u jej kresu, tam, jest nasze morze.

W szumach jej słychać odwieczne rozhowory starego Beskidu i srebrne drżenie potoków, niosących do niej czyste swoje wody. Szerokie, spiżowe dźwięki Zygmutowego koronnego dzwonu i szept harfiany czarnoleskiej lipy, odmawiającej psałterz wieków i pokoleń. Do niej pędzi Dunajec w rozechwianych pianach swych zawrotnych lotów; do niej San śpieszy z pod Czerwiennych Grodów; z nią łączą się i jednoczą święte wody Bugu nierozerwalną i wieczystą unją. Za nią idą sosny naszych

borów i królewskie dęby; idą złote pszenice i siwe lny pól naszych rodzajnych. Nad nią pieśń flisacza leci szeroko, daleko, niosąc ojczyste dźwięki pod wtór morskich szumów. Ona modrem przęsłem wiąże stare Śląsko z nami; opływa dwa koronne zamki naszych stolic; idzie przez pachnące chlebem Kujawy, bieży pod Toruń, którego poczerniałe wieże pełne są jeszcze widzenia wieczności, uderza srebrną tarczą o Chełmno, o Grudziądz, o Kwidzyn, budząc je z dziejowego uśpienia, aż dobieżawszy naszych pomorskich dzierżaw, roztwiera oboje ramion, i zanim rzuci się w odmęt, potężnym, szerokim od Gdańska po Królewiec uściskiem obejmuje tę ziemię, na której nam wyznaczyła wielką historyczną drogę.

Ale tam, gdzie Wisła dwojgiem ramion obejmuje ziemię, i ziemia chyli się i przykłania ku niej, roztopiły się wzgórza, wyrównały brzegi, wstecz poszły lasy i gaje, ławice, ostrowy, a kraj uczynił się niski, przepadzisty, płynny.

Prerje to nasze, nasze Malborskie Żuławy, którym równe jeden Niemen tylko pomiędzy Tylżą a Ragustą czyni. Tymczasem na lewo i na prawo wód przybywa coraz.

Ziemia popruta krótkiemi ciekami rzek przymorskich niezdolna objąć całej ich mnogości, jest jako sieć, przez której oka przelewa się żywe srebro bijących zewsząd ruczajów. Gęsto oprawione w szmaragdową zieleń traw stoją jasne szyby wodne, w których przegląda się kraj dziwny, pomglisty, głośny szmerem strumieni, pluskiem wiosła, ostrym krzykiem i trzepotem rybitw, mających tutaj wielkie swoje sejmy.

Inszy tu świat, insza piękność, inszy obyczaj żywota.

Tu naród szczudłuje, jak czapla, po wertepach wodnych, tu się funduje w groble, w tamy, w kanały, w stawidła, a podrywek i sieci więcej bodaj w chacie, niż kos albo sierpów.

Ale im dalej ku północy, tem bardziej ugasa zieleń traw i zbóż, ustępując ławicom mokrego iłu, słonym morszczynom, szarości odpłóczysk i piasków. Aż przymknie się ostatni okraj ziemi i rozewrze trzy cudnie rzeźbione czasze wielkich swych zatoczysk i uczyni się nad nim szum morza, i otworzy się przed

nim gościniec w świat cały, a mocny dech szerokich wolnych przestrzeni owionie go rześkością i siłą. Stań tam, pod grzmiącym hukiem fal, które, runąwszy w przepaść, dźwigają się nieśmiertelnym ruchem, stań na ostatecznych cyplach Pucka, Połągi, Windawy, a spojrzyj w nieobjęte okiem roztocze Bałtyku. Tu jest nasz kres, tu granica nasza, palcem przyrody wskazana. Tu wielkie wschody i zachody słońca topią swój szkarłat i złoto w ojczystych rzekach naszych, Wiśle, Niemnie, Dźwinie; tu dobiegają blaski starej naszej chwały, tu wiatr donosi pieśń ludu, tu zatkwiona jest kotwica naszych wspomnień i naszych nadziei.



Photo-Plat Tyniec od strony Wisły

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

LEGENDA OPACTWA SANDOMIERSKIEGO

Opat Sadok stanął na najwyższym szczeblu trzeszczącej drabiny, i chwyciwszy rękami za kratę, wciągnął się w głęboki wnęk okienny. Teraz, ukląkłszy na szerokim, przeszło trzyłokciowym murze, mógł swobodnie rozejrzeć się po okolicy. Od kilku już dni wszystkie dolne okna klasztoru były zabite na głucho deskami, w oczekiwaniu napadu; jeno po czerwonym blasku, padającym z górnych okien, można było wnosić, że w bliskości szerzyły się pożary.

Opat wysunął z trudnością głowę poprzez kraty, i smagła jego twarz pociemniała grozą. Trzy ćwierci nieba zajmowała łuna. Trzy ćwierci nieba płonęły. Nie była to łuna jednego bodaj największego pożaru, lecz równoczesny odblask tysiąca pożarów, — całego kraju, ginącego w męce i pożodze. Serce opata spłynęło na ten widok krwią, niby woda Wisły, płynącej w dole pod klasztornemi murami.

Miserere mei... — szeptał. — Cóż ci zawinili?... Za co karzesz ten lud zbożny, pracowity, chętny? Sądziłem drzewiej, że on Ci najmilszy, a oto na stracenie jest wydany... Za cóż to Panie? Trzysta lat jeszcze nie minęło, jak jest chrześcijańskim a miłuje Cię, prostszy jest i czystszy, niźli niejedne narody Zachodu, co od tysiąca lat i więcej Imię Twoje chwalą... Znam ich, Panie, bardzo dobrze. Pracowałem tu wiele lat, a przede mną pracowali poprzednicy moi. Dzieło, które wznosiliśmy, z Ciebie było, a nie z czarta. Dzieło to Boże rodziło owoce. — Uczy-

liśmy modlitwy i tkactwa, — bojaźni Twojej i uprawy roli, — poszanowania przykazań i chodzenia koło trzód. Budziliśmy do życia lud, który spał. W lasach nieprzeniknionych, w puszczach, borach niezdeptanych, gdzie żubr jeno a niedźwiedź rządziły, karczowaliśmy w krwawym trudzie, wespół z tym ludem, starodawne drzewa i wydzierali puszczy urodzajną ziemię. Gdzie się roześmiała do słońca urodzajna ziemia, wnet stawał kościół, a pod jego schronem chaty. Od trzech niedziel czekam ufnie, kiedy gniewowi swemu kres raczysz położyć i pochód szatanów rozpętanych wstrzymasz...

Lecz kres nie nadchodzi. Snadź już nie nadejdzie. Pozwoliłeś, by niszczyli całą Polskę wzdłuż i wszerz, by stratowali wsiane przez nas ziarno. Nic już naszego plonu nie ocali. Dziś jeszcze spalą miasto i ten klasztor, i pójdą dalej po gruzach. Gdzie ich zatrzymasz? Czemuś im aż tu dojść pozwolił? Zali to, co się dzieje, nie jest końcem świata, zapowiedzianym w objawieniu Jana?...

Ocknął się z długiej zadumy i ostrożnie zeszedł nadół gdzie stali stłoczeni ojcowie i bracia zakonni. Było ich czterdziestu. Stali tam czas dłuższy, nie śmiąc przerywać rozważań opata. Światła nie palono, lecz przez górne okna wpadał różowy blask ognia, oświetlając wnętrze. Przy tym blasku spojrzał opat ojcowskim wzrokiem na ich wymęczone twarze i rzekł:

— Mili moi! trza nam, nie tracąc czasu, godnie się sposobić.

— Na co? — zapytał brat Dominik, młodzieniaszek o różowej i dziecinnej twarzy.

— Na kołatanie do furty niebieskiej, by nam otworzona była...

— Jezu, Hospodynie nasz!

— Oto dom Boży, w którym zeszły długie lata wiernej służby naszej, dom, którego ślubowaliśmy nie opuścić. Któż w godzinę próby pierzchnie? — Gotujmy się, bracia, mężnie na męczeństwo i śmierć piękną!

Szloch cichy był odpowiedzią. To młodziutki brat Dominik płakał jękliwie na myśl o męczeństwie.

— Synaczku mój, Bóg z tobą, nie lękajże się. Wiele ludzi życie całe trapi się i męczy, by osiągnąć to, co ty w jednej godzinie otrzymasz. Chrystusowyś wojak, a przed bitwą drżysz? Bój dla nas może być tylko chwałą i zwycięstwem! Cóż ci śmierć? Zali prędzej czy później nie umrzesz? Zaliś się nie narodził poto, aby umrzeć i chwały wiecznej dostąpić?

Długo jeszcze prawił opat ku podniesieniu serc braci.

Odśpiewali modlitwy i legli spać w kościele, pokładając się blisko jeden drugiego. Pod sklepieniem drżało różowe światło od łuny, i sen nie imał się powiek. Noc jednak przeszła spokojnie. — Gdy słońce zeszło na niebie, opat z braćmi odśpiewał jutrznię, poczem co rychlej wdrapali się na okienny wnęk wieży, by stamtąd wyjrzeć na świat.

Łuny zgasły wobec wspaniałości słońca, ale, jak okiem zasięgnąć, ze wszystkich stron widnokręgu ścieliły się dymy. Wlokły się gęstym pierścieniem, unosiły ciężką chmurą, zaciemniały krańce nieba, z każdą chwilą stawając się bliższe. Wał ten, mieniący się ogniem, sunął szybko naprzód; to płonęło zboże na pniu i, gdzieś okiem wyjrzał, stały w ogniu sandomierskie urodzajne łany. Duszący biały dym napełnił mury. Gdy opadł, na szarem popielisku zbóż zaciemniały chmary jeźdźców. Widzieli się zdala podobni do stada szarańczy lub myszy. Z niezmierną szybkością zbliżali się ku rzece, i w kilka pacierzy obaj zakonnicy mogli już rozróżnić poczwarnych jeźdźców na poczwarnych koniach, pędzących z dymem wskróś zwęglonych pól. Tak, to oni byli, piekielnicy, Tartari, słusznie takimi nazwani... Bicz Boży... koniec wszystkiego...

Godziny sunęły zwolna, nieskończenie długie, odbierając zakonnikom odwagę i moc. Trzymali się cały dzień, sprężeni wolą opata w jedną wolę niezłomną i wiarę, lecz wysiłek był zbyt długi i sił im już nie stawało. Więc jedni zcicha płakali, a drudzy głośno mówili, że lepiejby było samemu sobie śmierć zadać, niźli potem w płomieniu lub wymyślnych mękach ginąć. Opat Sadok klęczał na stopniach ołtarza, pełen śmiertelnego żalu. Zali nie utrzyma do końca tej garstki? Nie o sobie my-

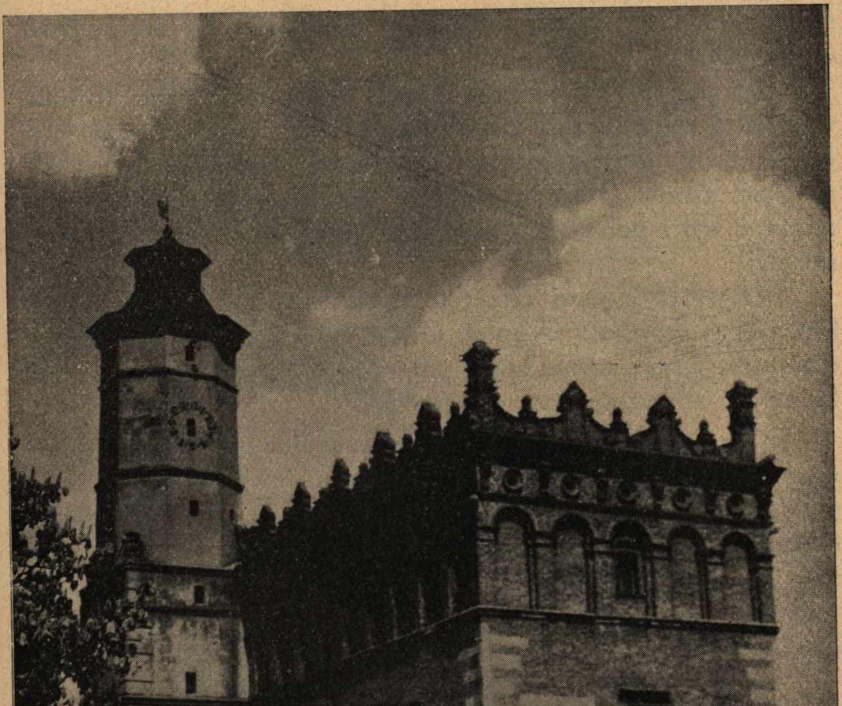


Photo-Plat

Ratusz w Sandomierzu

ślał, ale o nich. Chciał pospołu z nimi wejść do dziedzictwa wiekuistego.

Zgromadził ich wszystkich przy sobie, że zaś już świtało, wyszedł przed ołtarz ze mszą świętą. Lecz poza sobą czuł blady lęk braci, mocniejszy niż jego słowa, i nieugięte serce zaskomlało z bólu. Nie da rady, nie utrzyma: Nie był już zdolen zagrzać ich i podnieść. On, opat, zda z tego sprawę Chrystusowi...

Odwrócił się od ołtarza, przenikając bystrym wzrokiem klęczących wokoło. Dygotali jawnie, z oczami utkwionemi we drzwiach, gdyż właśnie krzyki tatarskie otoczyły klasztor i ciężkie wrota zajęczały pod uderzeniami.

Opat przewracał karty mszału, szukając lekcji na ten dzień wypadającej. Znalazł kartę poszukiwaną i chciał czytać, lecz głos urwał mu się przy pierwszych wyrazach. Od wściekłych razów leciał tynk ze ściany, on zaś przecierał oczy niby we śnie, nie wiedząc, gdzie jest i co się z nim dzieje. Zdało mu się nagle, że jest kędyś w innym świecie, o wieki całe odległy, i czyta o niejakim Opacie Sadoku, od pogan zamordowanym...

— Ojcze Rafale — rzekł cichym, strwożonym głosem, — przeczytaj lekcję, gdyż mgła przesłania mi oczy.

Ojciec Rafał przemógł lęk, z którym nasłuchiwał rąbania wrzeciądzów, i pochylił się nad mszałem.

— Na dzień... — zaczął, i urwał, spoglądając na opata ze zdumieniem, poczem upadł na kolana i w głos się rozpłakał.

Drzwi jęczały, puściła już jedna zawiasa.

Lecz opat, widząc, że zjawa nie była złudą ani snem, chwycił mszał oburącz i grzmiącym głosem tak czytał:

— „Na dzień Błogosławionych Opata Sadoka i Czterdziestu Braci Zakonników, umęczonych w Sandomierzu, czyta nam Kościół Święty lekcję zapisaną u św. Pawła“...

. . . .

Porwali się z kolan osłupieli zakonnicy. Nie rozumiejąc, otoczyli kręgiem ołtarz, a opat z twarzą radosną ukazał im kar-

tę mszału, nad którą Bóg cud uczynił. Na cienkim pergaminie purpurą i złotem mieniły się słowa one, pełne chwały.

Przeto na widok zaszczytu i łaski, jakie im Bóg chciał uczynić, wezbrały w nich serca wstydem i dumą zarazem, radością i uniesieniem. Stłoczyli się, oglądając zapowiedź przyszłej swej chwały, a żałując, że jeno jedno życie każdy z nich ma do oddania wzamian za taką nagrodę, której nie czuli się godni. Rozdrgały w nich dusze miłością Bożą, o nic nie dbającą, spłonęły męstwem walecznem, radosnem, a opat, szlochając głośno z uniesienia, skończył Ewangelję, i przechodząc na środek ołtarza, zakrzyknął zwycięsko:

— Credo in unum Deum!

W tejże chwili Tatarzy wpadli do kościoła.

. . . .

Od dnia owego minęło wiele, wiele lat. Minęło więcej niż 280 lat. Trawą porosły groby męczenników, a w potężnej, możnej Rzeczypospolitej matki straszyły dzieci wieścią o Tatarach, niby bajką, co jeno hen, kędyś na kresach, może być jeszcze żywą i krwawiącą zmorą. I zdarzyło się raz, że przesławnej pamięci król Zygmunt pierwszy, z rodu Jagiellonów, wznosił na chwałę Bożą nowy kościół, a nie mając dla niego relikwij, napisał do Ojca Świętego, Klemensa VII z prośbą o nie.

Papież Klemens VII wiekowy był i leżał złożony niemocą. Kardynał sekretarz odczytywał głośno Ojcu Świętemu Zygmuntowy list.

— Król polski chrześcijańskim jest i wspaniałym monarchą — zauważył; — sądzę, Wasza Świątobliwość, że prześlemy mu co najcenniejsze relikwje.

— Tak jest, mój synu. Prześlemy mu świętości, któreby miały moc ściągnąć niewyczerpane źródła łaski Bożej na ten chrześcijański kraj. Obmyślę to, a jutro damy odpowiedź poselstwu.

Gdy kardynał wyszedł, a Ojciec Święty pozostał sam, spadło nań zachwycenie, niby sen przedziwny. — Ocknąwszy się z niego, ujrzał, że już dzień, i posłał służbę co żywo po kardynała.

— Gdzie są posłowie z Sarmacji? — zapytał wchodzącego.

— Czekają w krużganku na posłuchanie u Waszej Świątobliwości.

— Idź do nich co rychlej i spytaj, czy jest w ich kraju miasto, co się zwie Sandomierz?

A gdy kardynał wychodził zdziwiony, papież dorzucił:

— Jeno nie pomyl, mój synu, tej dziwnej nazwy: Sandomierz.

Nie minęły dwa pacierze, gdy kardynał wracał.

— Wasza Świątobliwość, jest gród taki w Polsce.

— Czy nic o nim nie mówili?

— Owszem, Wasza Świątobliwość. — Gród to warowny, nad Wisłą, mówili, srogiemi bojami pamiętny.

— Tedy wróć do nich i rzeknij im odpowiedź moją: Miłemu synowi naszemu, Zygmuntowi królowi, pozdrowienie nasze i apostolskie błogosławieństwo. Z ojcowskim sentymentem i czułością udzielimy żądanych relikwij, wszelako nie wcześniej, aż posłowie wrócą do swojego kraju i przywiozą nam stamtąd w mieszku skórzanym miarkę ziemi z grodu zwanego Sandomierz.

Zdumiał się niepomału kardynał.

— Wasza Świątobliwość — szepnął, — azali to istotna i całkowita odpowiedź?

— Całkowita i istotna. Idź, powtórz ją posłom. Za sześć miesięcy winni być zpowrotem, a otrzymają relikwje.

. . . .

Nie minęło sześć miesięcy, gdy poselstwo polskie wjeżdżało zpowrotem do Rzymu. Ojciec Święty naznaczył uroczyste posłuchanie. Wielka bazylika św. Piotra pełna była ludzi, gdyż wieść o dziwnem żądaniu papieża rozeszła się już szeroko. Niepohamowana ciekawość rozpierała gadatliwy lud włoski. Jeden drugiemu opowiadał nieustannie, iż posłowie przywieźli ziemię, zwykłą, prostą ziemię, ze swego dalekiego północnego kraju. Naco ta ziemia? Co z nią zrobi papież?

Rozstąpił się tłum przed barwnym polskim orszakiem, co

szedł z powagą, dostojnie a strojnie. Dzwoniły szable o marmur, lśniły bogate zapięcia. W pośrodku orszaku panowie Górka i Jarandz z Brudzewa nieśli między sobą niewielki mieszek skórzany z pieczęcią.

Podeszli do Ojca Świętego, który, w biel odziany, siedział na wysokim pozłocistym tronie, i całowali, przyklęknąwszy, jego stopy. On zaś pobłogosławił ich i zapytał zaraz:

— Gdzie ziemia?

Oderwali pieczęć z worka i rozsupłali wiązania. Zaczem wytrząsnęli worek przed stopy Ojca Świętego. Posypała się ziemia sandomierska, czarna, pszeniczna, rodzajna. Za plecami posłów cisnęły się tłumy ciekawych, wspinających się aż na filary, by lepiej widzieć, co będzie. — A Papież pochylił się nisko, i białą, drżącą dłonią, co, wyschła ze starości, szeleściała jak pergamin, jął przegarniać leżący przed nim kopczyk ziemi.

— Ona to... — szepnął w zadumie. Wyciągnął ręce, modlił się i błogosławił krainie, z której została przywieziona ziemia.

Poczem nachylił się znowu, ujął garść ziemi, i podniósłszy wgórę, zacisnął mocno szeleszczące jak pergamin palce.

Kardynałowie, posłowie i ciekawy tłum patrzyli z oddechem zapartym, i oto ujrzeli, jak z ziemi ściśniętej powoli zaczęła kapać żywa krew...

Kropla po kropli, rubinowe, wielkie, spływały po białych palcach, zbiegały u dołu, wisiały drżące przez chwilę, grając purpurą w promieniu słonecznym, i ciężko padały na stopnie papieskiego tronu. Wśród ciszy, która zaległa wielką bazylikę, słychać było jeno kołatanie serc strwożonych i ciężkie, powolne kapanie.

Plam na stopniach przybywało...

Papież zaś rzekł:

— Krew, którą widzicie, to krew Męczenników świętych. Zaprawdę, nie potrzebuje posyłać daleko po relikwje polski król. Powiedzcie panu swojemu, że cenniejszej relikwji nad tę niemasz w Rzymie. Niechaj umieści tę ziemię w ołtarzu, a kościołowi da miano świętych Męczenników.

TADEUSZ SINKO

PRZESŁAWNA PERŁA WIEDZY

Nigdy przedtem ani potem Kraków nie obchodził tak uroczyście Zielonych Świąt, jak roku Pańskiego 1363, kiedy nasz król Kazimierz Wielki, wydawał swą wnuczkę po kądzieli, Elżbietę, za cesarza niemieckiego, Karola IV Luksemburczyka. Małżeństwo to, jak przeważnie związki ówczesnych rodów panujących, miało znaczenie polityczne. Cesarz bowiem pragnął zapewnić sobie pomoc potężnego króla polskiego w zatargach z sąsiadami, a król zabezpieczyć się przed intrygami zawistnego Luksemburczyka. Przy sposobności zjazdu weselnego miano omówić w Krakowie doniosły plan wyprawy krzyżowej przeciw Turkom, którzy wypędzili właśnie chrześcijańskiego króla Cypru i sięgali coraz dalej na Zachód. Ów plan popierały obie głowy chrześcijaństwa, papież i cesarz, a szło im o pozyskanie króla polskiego, posiadającego rozległy kraj, silną armję i zasobny skarbiec. W tym właśnie celu przyjechał z cesarzem do Krakowa król cypryjski, a prócz nich królowie węgierski i duński i kilku książąt dzielnicowych polskich. Marszałek dworu Kazimierzowego nie mało miał kłopotu przy wyznaczaniu honorowych miejsc tylu wielkościom, ale nikt nie uważał za naruszenie ceremonjału tego, że bogaty mieszczanin krakowski, Mikołaj Wierzynek, podejmując z łaski króla gości weselnych w swym domu, na pierwszem miejscu przy stole posadził swego pana. Wszyscy koronaci czuli, że ten polski monarcha góruje nad nimi nietylko potęgą, ale i majestatem.

Wierzynek przydzielił każdemu z dostojnych gości urodziwe pacholę do podawania potraw i napełniania kielichów. Przy królu polskim pełnił tę służbę bystry żaczek krakowski, Stanko ze Skalmierza, ślicznie wyglądający w barwnym stroju pazia. Wpatrzył on się w swego miłościwego pana, jak w księżyc na niebie, a w świetnych gości, jak w gwiazdy, jakby czuł, że podobnej wspaniałości już nigdy nie zobaczy i pragnął ją na zawsze zamknąć w swej pamięci.

Jan Matejko

portret Kazimierza Wielkiego



Ostatnie półmiski, szczerozłote, podano gościom nakryte. Gdy podniesiono pokrywy, każdy znalazł na swoim jakiś klejnot drogocenny. Na Kazimierzowym półmisku błyszczała ogromna perła urjańska niezwykłej barwy i przecudnego blasku. Nim ją król obejrzał. Wierzynek klęczał już u jego nóg i prosił o przyjęcie tej pamiątki z uczty mieszczańskiej. Król przyjął łaskawie i przemówił do gości, by nie wzgardzili upominkami jego wiernego sługi, którego śmiałość usprawiedliwia stary zwyczaj polskiej gościnności.

Ale bardziej niż osobliwą perłą ucieszył się Kazimierz pismem, które mu przed końcem uczty wręczył Wierzynek. Była to odpowiedź papieża Urbana V na prośbę, wniesioną przez osobne poselstwo, by królowi polskiemu wolno było w Krakowie założyć taką najwyższą szkołę powszechną czyli uniwersytet, jaką od piętnastu lat miała tylko Praga Karola IV, ale jakiej poza tem nie było jeszcze w Europie środkowej.

Zaraz po rozjechaniu się gości weselnych zabrał się król ze zwykłą energją do wykonania dawno wypieszczonej myśli, ale i tak praca przygotowawcza trwała prawie rok. Dopiero 12 maja 1364 roku odbyło się na zamku królewskim uroczyste otwarcie nowej szkoły, zagajone odczytaniem przez kanclerza dokumentu, zwanego dyplomem erekcyjnym. Po urzędowym wstępie padły między zgromadzonych wzruszające słowa:

„Pragnąc gorąco, jakto jest naszym obowiązkiem, aby się pożytek i pomyślność rodzaju ludzkiego rozszerzały; bacząc na to, co lepsze, i nie wątpiąc, że to duchowieństwu i poddanym królestwa naszego korzyści przyniesie; postanowiliśmy w mieście naszem, Krakowie, wyznaczyć, obrać, ustanowić i urządzić miejsce, na któremby Szkoła Powszechna w każdym dowolnym wydziale kwitnęła, a dla przyszłości na wieczne czasy niniejszem jej istnienie zapewnić chcemy.

„Niechże więc tu będzie nauk przemożnych perła, aby wydawała męże, dojrzałością rady znakomite, ozdobą cnót wietne i w różnych umiejętnociach biegłe. Niechaj otworzy się orzeźwiające źródło, a z jego pełności niech czerpią wszyscy, naukami napoić się pragnący! Niechaj do tego miasta Krakowa zjeżdżają się swobodnie i bezpiecznie wszyscy mieszkańcy, nietylko królestwa naszego i krajów przyległych, ale i inni, z różnych stron świata, którzy pragną nabyć tę przesławną perłę wiedzy...".

W gronie żaków ze szkoły parafjalnej N. Panny Marji znajdawał się i jedenastoletni Stanko ze Skalmierza, dumny, że jego nauczyciel, magister nauk wyzwolonych, otrzymał od króla jedyną katedrę na wydziale (artystów) t. j. uczniów studjujących tak zwane artes liberales, nauki wyzwolone, jak gra-

matyka, retoryka czyli nauka o wymowie, dialektyka czyli sztuka dysputowania, poetyka czyli sztuka objaśniania poetów i pisania wierszy, arytmetyka z geometrją, astronomja, ograniczona do wyznawania się na kalendarzu, i muzyka, zawierająca więcej praktyki w śpiewie niż teorji w zakresie nut. Najhojniej był wyposażony w katedry wydział prawniczy, na który powołano pięciu profesorów do wykładania prawa rzymskiego i trzech do prawa kościelnego czyli kanonicznego. Z tego widać, że na tym właśnie wydziale królowi najbardziej zależało. Potrzebował przecież jak najwięcej prawników dla wprowadzenia w życie swego Statutu Wiślickiego. Wydział lekarski miał tylko dwie katedry. Stanko dopiero w czwartym roku istnienia uniwersytetu mógł zapisać się na wydział artystów, gdzie po dwóch latach zdobył najniższy stopień naukowy bakałarza. Wrócił z nim do szkoły parafjalnej pomagać w nauczaniu swemu mistrzowi, bo studjować w Krakowie już się nie dało. Ze śmiercią wielkiego króla szkoła, pozbawiona jego opieki i funduszów, przestała działać, a nauczyciele i uczniowie rozproszyli się po nowozałożonych uniwersytetach w Wiedniu i Pecs'u i wielu podążyło także do Pragi.

W Polsce rozpoczęły się rządy Ludwika Węgierskiego, a w jego zastępstwie rządy jego matki, Elżbiety, siostry Kazimierza Wielkiego. Na jej dworze został sekretarzem młody bakałarz, mający bardzo ładne pismo i ozdobny styl, a po paru latach wyjechał ze swą panią do Węgier, by wrócić do Polski dopiero z wnuczką Kazimierza Wielkiego, młodziutką Jadwigą, koronowaną w r. 1384 na „króla polskiego".

On to spisywał klejnoty, które królowa przed śmiercią przeznaczyła na odnowienie Szkoły Kazimierzowskiej. Z jakiemże wzruszeniem poznał wśród nich ową perłę, którą Kazimierz otrzymał niegdyś od Wierzynka. To też, gdy wnet potem przemawiał na pogrzebie świętej królowej, porównał ją z drogą perłą, dla której nabycia pismo św. każe oddać wszelkie majętności.

Król Jagiełło lubił wiernego sługę Jadwigi niemniej, niż ona sama. Mianował go pierwszym rektorem otwartego

w pierwszą rocznicę śmierci Jadwigi uniwersytetu Władysławowskiego, zwanego potem Jagiellońskim.

Uniwersytet ten mieścił się w (istniejących do dziś) gmachach przy ulicy św. Anny, a wydział prawniczy umieszczono przy ulicy Grodzkiej. Już w pierwszym roku zapełniło sale wykładowe dwustu pięciu studentów, a z każdym dalszym rokiem liczba ich powiększała się przybyszami nietylko z całej Polski, Litwy i Rusi, ale też z sąsiednich Węgier, Czech



Jan Matejko

portret
Królowej
Jadwigi

i Niemiec, a nawet ze Szwajcarji i Skandynawji. Jak młodzież polska, tak i cudzoziemska mieszkała według narodowości (nacyj) wspólnie w dozorowanych ściśle zakładach, zwanych bursami. Ale i profesorów, którymi byli przeważnie duchowni, obowiązywało wspólne życie, jakby klasztorne, w tak zwanych kolegjach, mieszczących się przy wydziałach.

Sława szkoły krakowskiej rozeszła się po Europie już przez sobory w Konstancji i Bazylei, na których teologowie i kanoniści krakowscy bronili uczenie i wymownie praw Polski wobec uro-

szczeń krzyżackich i głosili tolerancję religijną wobec krzyżackiego nawracania Prusaków mieczem. Niemniej przyczyniali się do tej sławy krakowscy matematycy i astronomowie. Gdy nasz Stanisław ze Skalmierza, który pacholęciem był niejako przy narodzinach uniwersytetu Kazimierzowskiego, umiera po długim żywocie, „przesławna perła wiedzy", na nowo oprawiona przez Jadwigę i Jagiełłę, budziła już uznanie i podziw w całej Europie.



T-wo Krajozn. Dziedziniec Bibljoteki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

ZA KRÓLA JAGIEŁŁY

Za Olkuszem skręcili ku Śląskowi, którego granicą mieli wciąż jechać aż do Wielkopolski. Droga szła po większej części puszczą, w której pod zachód słońca odzywały się często podobne do podziemnych grzmotów ryki turów i żubrów, nocami zaś pobłyskiwały z pośród leszczynowej gęstwy oczy wilcze. Większe jednak niebezpieczeństwo, niż od zwierza, groziło na tej drodze wędrownikom i kupcom od niemieckich, lub zniemczałych rycerzy ze Śląska, których zameczki wznosiły się tu i ówdzie nad granicą. Wprawdzie, większą część tych zameczków pokruszyły ręce polskie, zawsze jednak trzeba się było mieć na baczności i, zwłaszcza po zachodzie słońca, nie popuszczać broni z ręki.

Jechali jednak spokojnie, tak, że Zbyszkowi poczynała się już droga przykrzyć i dopiero na dzień kołowej jazdy od Bogdańca posłyszeli za sobą pewnej nocy parskanie i tupot koni.

— Jacyś ludzie jadą za nami — rzekł Zbyszko.

Maćko, który nie spał, spojrzał na gwiazdy i odpowiedział, jako człowiek doświadczony:

— Świt niedaleko. Przecieżby zbóje nie napadali przy schyłku nocy, bo nadedniem czas im do domu.

Zbyszko wstrzymał jednak wóz, uszykował ludzi wpoprzek drogi, czołem do nadjeżdżających, sam zaś wysunął się naprzód i czekał.

Jakoż po pewnym czasie ujrzał w pomroce kilkunastu konnych. Jeden z nich jechał na czele, na kilka kroków przed innymi, ale widocznie nie miał zamiaru się ukrywać, albowiem śpiewał głośno. Zbyszko nie mógł dosłyszeć słów, ale do uszu jego dochodziło wesołe: „hoc! hoc!", którem nieznajomy kończył każdą zwrotkę pieśni.

— Nasi! — rzekł sobie.

Po chwili jednak zowołał:

— Stój!

— A ty se siednij! — odpowiedział żartobliwy głos.

— Coście za jedni?

— Coście za drudzy?

— A czemu nas najeżdżacie?

— A czemuż drogę zagradzasz?

— Odpowiadaj, bo kusze napięte.

— A u nas... wypięte — strzelaj!

— Odkazujże po ludzku, bo ci będzie bieda.

Na to odpowiedziała Zbyszkowi wesoła pieśń:

— Jedna bieda z drugą biedą
Na rozstaju w taniec idą...
Hoc! hoc! hoc!

Na cóż im się taniec przyda?
Dobry taniec, chociaż bieda...
Hoc! hoc! hoc!

Zdumiał się, usłyszawszy taką odpowiedź, Zbyszko; a tymczasem pieśń ustała, ale ten sam głos spytał:

— A jak się ta ma stary Maćko? Dycha jeszcze?

Maćko podniósł się na wozie i rzekł:

— Dla Boga, to jacyś swoi!

Zbyszko zaś ruszył koniem naprzód:

— Kto o Maćka pyta?

— A somsiad, Zych ze Zgorzelic. Już z tydzień jadę za wami i rozpytuję ludzi po drodze.

— Rety! Stryjku! Zych ze Zgorzelic tu jest! — zawołał Zbyszko.

I poczęli się witać radośnie, Zych bowiem był istotnie ich sąsiadem, a do tego człowiekiem dobrym i powszechnie lubianym dla wielkiej wesołości.

— No, jak się macie? — pytał, potrząsając dłoń Maćka. — Hoc jeszcze, czyli już nie hoc!

— Hej, już nie hoc! — odrzekł Maćko. — Ale rad was widzę. Miły Boże, to jakbym był już w Bogdańcu!

— A co wam jest, bo jak słyszałem, to was Niemcy postrzelili?

— Postrzelili psubraty! Żeleźce mi się między żebrami ostało...

— Bójcie się Boga! No i co? A próbowaliście niedźwiedziego sadła się napić?

— Widzicie! — rzekł Zbyszko: — każdy niedźwiedzie sadło rai. Byle do Bogdańca! Zara pójdę na noc z toporem pod barcie.

— Może Jagienka będzie miała, a nie, to poślę pytać.

— Jaka Jagienka? waszej przecie było Małgochna? — spytał Maćko.

— Oo! co ta Małgochna! Na święty Michał będzie trzecia jesień, jak Małgochna na księżej grudzi. Zadzierżysta była baba — Panie, świeć nad jej duszą! — A Jagienka po niej poszła, jeno że młoda...

— Ledwie, że ją pamiętam. Nie większa była, kiedym wyjeżdżał, jak toporzysko. Pod koniem mogła przejść, głową o brzuch nie zawadziwszy. Ba! dawno to już, i musiała wyrosnąć.

— Na świętą Agnieszkę skończyła piętnaście lat; alem jej też już blisko rok nie widział.

— A cóż się z wami działo? Skąd wracacie?

— Z wojny. Albo to mi niewola, mając Jagienkę, w domu siedzieć.

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Hej, mój Boże, to ja cię małego ostatni raz widział, teraz, zasie choć i po ciemku miarkuję, żeś chłop, jak tur. A zaraz gotów był z kuszy dziać!... Widać, że na wojnie bywałeś.

— Mnie od małości wojna chowała. Niech stryjko powie, czyli mi doświadczenia brak.

— Nie potrzebuje mi stryjko nic mówić. Widziałem w Krakowie pana z Taczewa, który mi o tobie rozpowiadał...

Zych ze Zgorzelic począł sobie znów pośpiewywać.

— Wam zawsze wesołość i śpiewanie w głowie — zauważył Maćko.

— Ba, a cóż błogosławione dusze w niebie robią?

— Śpiewają.

— No, to widzicie! A potępione płaczą. Wolę ja iść do śpiewających, niż do płaczących. Święty Pieter też powie tak: „Trzeba go puścić do raju, bo inaczej będzie jucha i w piekle śpiewała, a to nie przystoi". Patrzcie — świta już.

I rzeczywiście czynił się dzień. Po chwili wyjechali na szeroką polanę, na której było już wcale widno.

Rozmowa umilkła na chwilę, albowiem z nad ciemnego boru i z nad rumianej zorzy podniosło się jasne słońce i rozświeciło okolicę. Powitali je rycerze zwykłem: „Niech będzie pochwalony!" a następnie, przeżegnawszy się, poczęli ranne pacierze.

Przerwały ciszę odgłosy rogów w boru, które ozwały się daleko przed nimi. Zych wstrzymał zaraz konia i począł słuchać.

— Ktoś ci tu chyba poluje — rzekł. — Poczekajcie.

— Może opat. Toby dobrze było, żebyśmy się zaraz spotkali.

— Cichajcie-no!

Tu zwrócił się do orszaku.

— Stój!

Stanęli. Rogi ozwały się bliżej, a w chwilkę później rozległo się szczekanie psów.

— Stój! — powtórzył Zych. — Ku nam idą.

— Zbyszko zaś zeskoczył z konia i począł wołać:

— Dawajcie kuszę! może zwierz na nas wypadnie! wartko! wartko!

I porwawszy kuszę z rąk pachołka, wsparł ją o ziemię, przycisnął brzuchem, pochylił się, wyprężył grzbiet, jak łuk,

i chwyciwszy palcami obu rąk cięciwę, naciągnął ją w mgnieniu oka na żelazny zastawnik, zaczem założył strzałę i skoczył przed siebie w bór.

— Napiął! bez korby ci napiął! — szepnął Zych, zdumiony przykładem tak nadzwyczajnej siły.

— Ho, to morowy chłop! — odszepnął z dumą Maćko.

Tymczasem rogi i granie psów ozwało się jeszcze bliżej, aż nagle po prawej stronie boru rozległ się ciężki tupot, trzask łamanych krzewów i gałęzi — na drogę wypadł z gęstwiny, jak piorun, stary brodaty żubr, z olbrzymią, nisko pochyloną głową, z krwawemi oczyma i wywalonym ozorem, zziajany, straszny. Trafiwszy na wyrwę przydrożną, przesadził ją jednym skokiem, upadł z rozpędu na przednie nogi, ale podniósł się i już, już miał skryć się w gęstwinie po drugiej stronie drogi, gdy nagle zawarczała złowroga cięciwa kuszy, rozległ się świst grotu, poczem zwierz wspiął się, zakręcił, ryknął okropnie i runął, jak gromem rażony na ziemię. Zbyszko wychylił się z za drzewa, napiął znów kuszę i zbliżył się gotów do strzału ku leżącemu bykowi, którego zadnie nogi kopały jeszcze ziemię.

Lecz popatrzywszy chwilę, zawrócił spokojnie do orszaku i zdaleka począł wołać:

— Tak dostał, że aże parę popuścił!

— A niechże cię! — ozwał się, podjeżdżając Zych: — od jednej strzały!

— Ba, blisko było, a to przecież okrutny pęd.

— Myśliwcy muszą być już blisko; pewnikiem ci go zabiorą.

— Nie dam! — odpowiedział Zbyszko: — na drodze zabit, a droga niczyja.

— A jeśli to opat poluje?

— A jeśli opat, to niech go bierze.

Tymczasem z lasu wychyliły się naprzód psy, których było kilkanaście. Ujrzawszy zwierza, rzuciły się na niego ze strasznym harmidrem, zbiły się na nim w kupę i niebawem poczęły się między sobą gryźć.

— Zaraz będą i myśliwi — rzekł Zych. — Ot patrz! już są, jeno dalej przed nami wypadli i nie widzą jeszcze zwierza. Hop! hop! bywajcie tu, bywajcie!... leży! leży!...

Lecz nagle umilkł, przysłonił oczy ręką, a po chwili ozwał się:

— Dla Boga! co—że to jest? Czym oślepł, czy mi się zdaje...

— Jeden na wronym koniu na przedzie — rzekł Zbyszko.

Lecz Zych zawołał nagle:

— Miły Jezu! dyć to chyba Jagienka!

I naraz począł krzyczeć:

— Jagna! Jagna!

Poczem ruszył naprzód, ale nim zdążył puścić w cwał podjezdka, Zbyszko ujrzał najdziwniejsze w świecie widowisko: oto na chybkim srokaczu sadziła ku nim, siedząc po męsku, dziewczyna z kuszą w ręku i oszczepem na plecach. W rozpuszczone od pędu włosy powszczepiały jej się chmielowe szyszki; twarz miała rumianą jak zorza, na piersiach rozchełstaną koszulinę, a na koszuli serdak wełną dogóry. Dopadłszy, osadziła na miejscu konia; przez chwilę na twarzy jej odbijało się niedowierzanie, zdumienie, radość — nakoniec jednak, nie mogąc świadectwom oczu i uszu zaprzeczyć, poczęła krzyczeć cienkim, nieco jeszcze dziecinnym głosem:

— Tatulo! tatuś najmilejsi!

I w mgnieniu oka zsunęła się z konia, a gdy Zych zeskoczył także dla powitania jej na ziemię, rzuciła mu się na szyję. Przez długi czas Zbyszko słyszał tylko odgłos pocałunków i dwa wyrazy: „Tatulo! Jagula!" i jeszcze się obejmowali za szyję. Aż gdy wreszcie mieli już dosyta powitań i okrzyków, poczęła go Jegienka wypytywać:

— To z wojny wracacie? Zdrowiście aby?

— Z wojny. Co nie mam być zdrów! — A ty? A młodsze chłopaki? Myślę, że zdrowe? — tak? Bo inaczej nie latałabyś po lesie. Ale co—że ty tu robisz najlepszego, dziewczyno?

— Przecież widzicie: poluję — odpowiedziała, śmiejąc się, Jagienka.

— W cudzych lasach?

— Opat dał mi pozwoleństwo. Jeszcze przysłał pachołków do tego uczonych i psy.

— Do domu okrutny szmat drogi... takeśmy się za oną bestją zagnali. Chyba ze dwie mileśmy gnali, że już i konie ustawały. Ale tęgi żubr — widzieliście?... ma on ze trzy moje strzały w sobie, a od ostatniej musiał paść.

— Padł on od ostatniej, ale nie od twojej: ten to rycerzyk go ustrzelił.

Jagienka odgarnęła dłonią włosy, które się jej nasunęły na oczy, i spojrzała bystro, lubo niezbyt życzliwie na Zbyszka.

— Wiesz, kto to jest? — spytał Zych.

— Nie wiem.

— Nie dziwota, żeś go nie poznała, bo wyrósł. A może starego Maćka z Bogdańca poznasz?

— Dla Boga! to Maćko z Bogdańca! — zawołała Jagienka.

Zbliżywszy się do woza, pocałowała Maćka w rękę.

— A gdzie jest Zbyszko?

— Toś nie poznała, że to Zbyszko? — rzekł ze śmiechem Maćko.

— To jest Zbyszko? — zawołała dziewczyna, spoglądając znów na młodego rycerza.

— A jakże!

— Dajże mu po znajomości gęby, — zawołał wesoło Zych.

Jagienka zwróciła się żywo ku Zbyszkowi, lecz nagle cofnęła się i, zakrywszy ręką oczy, rzekła:

— Kiedy się wstydam...

— My się przecie od małości znamy! — ozwał się Zbyszko.

— Aha! dobrze się znamy. Pamiętam ci ja, pamiętam! Z ośm roków temu, przyjechaliście do nas z Maćkiem, i nieboszczka matula przynieśli nam orzechów z miodem. A wy, jak jeno starsi wyszli z izby, zaraz mnie pięścią w nos, a orzechy samiście zjedli!

— Nie uczyniłby on teraz tego! — rzekł Maćko. — U kniazia Witolda bywał, w Krakowie na zamku bywał i obyczaj dworski zna.

Lecz Jagience przyszło co innego do głowy, zwróciwszy się bowiem do Zbyszka, spytała:

— To wyście żubra zabili?

— Ja.

— Obejrzym, gdzie tkwi grot.

— Nie obaczycie, bo mu się całkiem pochował pod łopatką.

— Daj spokój, nie prawuj się, — rzekł Zych. — Widzielim wszyscy, jak go ustrzelił, i widzielim jeszcze coś lepszego, bo kuszę wmig bez korby naciągnął.

Jagienka spojrzała po raz trzeci na Zbyszka, ale tym razem z podziwem:

— Naciągnęliście kuszę bez korby? — spytała.

Zbyszko odczuł w jej głosie jakby pewne niedowierzanie, wsparł więc o ziemię kuszę, którą był poprzednio spuścił, naciągnął ją w mgnieniu oka, aż zaskrzypiała żelazna obręcz, poczem, chcąc pokazać, że zna dworski obyczaj, przyklęknął na jedno kolano i podał ją Jagience.

MARJA GERSON-DĄBROWSKA

WIELKI ARTYSTA

Biją dzwony Marjackiego kościoła na rynku krakowskim, lud się tłumnie zbiera, tłoczy się u drzwi kościelnych i ciekawie zaziera do wnętrza. A kościół oświetlony rzęsiście, świece woskowe migocą blademi płomykami, zgaszone jaskrawemi promieniami słońca, wdzierającemi się przez przepiękne, różnokolorowe szyby. Okna, z barwnych kawałków szkła złożone, błyszczą, niby drogiemi kamieniami sadzone, i przesiewają na kościół blaski tęczowe, rozpraszając mroki starej świątyni o wysokich sklepieniach i gotyckich łukach.

Ale nie smukłych kolumn i barwnych okien szukają tu dziś tłumy; wszak znają zdawna te piękności, zdawna przywykły ich oczy podziwiać kościół Marji. Coś nowego nęci je i ciągnie.

— Widzieliście? — pytają jeden drugiego mieszczanie krakowscy.

— Cud nad cudy — odpowiadają drudzy. — Niebo na ziemię zstąpiło.

— Bogu niech będzie chwała, że w naszym narodzie takiego postawił artystę! — odpowiadają inni.

— Oto i on! Cześć mu oddawajmy!...

I chylą się kołpaki, chylą się głowy, uśmiechy przyjazne gonią za przechodzącym w tej chwili mężczyzną w średnim wieku, około czterdziestu lat liczącym. Mądre oczy bystro i wesoło patrzą na zgromadzone tłumy, brodata twarz wyraża energję i siłę, dostatnie, piękne szaty, suto futrem bramowane,

mówią o dobrobycie. Boć i dobrze Witowi Stwoszowi w Krakowie, dobrze, jako i w niebie lepiej być nie mogło. Rówieśnik króla Kazimierza Jagiellończyka, w jednym z nim roku urodzony, szczyci się królewskiemi względami, zasypywany robotami snycerskiemi i rzeźbiarskiemi, coraz nową pracę wykańcza, za którą, prócz dobrej zapłaty, bierze wzrastającą cześć i uznanie. I oto teraz ciągnie ulicami Krakowa, a za nim gonią słowa i uśmiechy życzliwe; ciągnie zwolna ku ulicy Poselskiej, gdzie domostwo własne posiada, gdzie czeka go dumna ze sławy męża żona, gdzie otacza go gromadka dzieci, a starszy syn, Stanisław, z zachwytem wpatruje się w dzieła swego rodzica.

— I ja też będę rzeźbiarzem! — mówi pacholę i chwyta nóż snycerski, próbuje niezręcznemi jeszcze cięciami w twardem drzewie naśladować genjalne prace ojca.

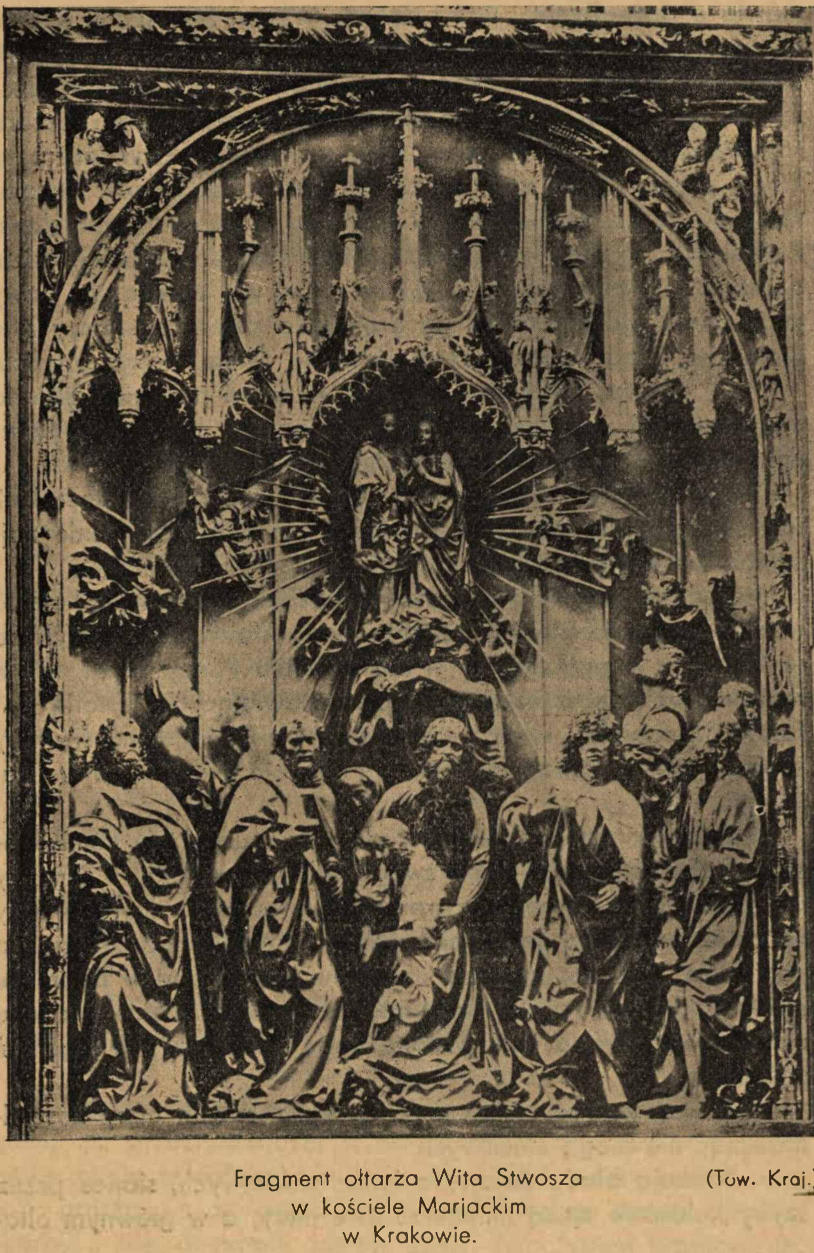
Wit mija sień i wkracza do izby obszernej, szerokiej, oświetlonej jasno wielkiemi oknami. To jego schronienie najmilsze, to świątynia wielkiej sztuki, to jego pracownia.

Zadumanemi oczyma powiódł wokoło, zatrzymując kolejno wzrok to na kamiennej rzeźbie, przedstawiającej Chrystusa w Ogrójcu, a przeznaczonej dla kościoła Panny Marji, to na rozpoczętych płaskorzeźbach, przedstawiających historję św. Jana Chrzciciela, to na rozpoczętym, otwierającym się niby szafa, ołtarzu, przeznaczonym do kościoła św. Krzyża w Krakowie.

Patrzy mistrz krakowski, wodzi oczyma po tym tłumie postaci, które do życia mocą swego talentu powołał, i chmurzy mu się oblicze; czegoś mu brak w tej pracowni. Zwraca oczy na kąt opustoszały, gdzie tak długo stało dzieło nad dzieła, cud nad cuda, nadewszystko mu ukochane, obmyślane w bezsenne noce, zaklęte w drzewo całą najtęższą mocą talentu, na jaką mógł się zdobyć, a dziś oddane Bogu i ludziom, nie jego już wyłącznie.

Tymczasem na rynku tłumy wciąż rosną, a mury kościelne objąć nie mogą ciekawych.

Błyskają blade światełka świec woskowych, słońce przez szyby kolorowe tęczą maluje surowe mury, a w głównym ołta-



Fragment ołtarza Wita Stwosza w kościele Marjackim w Krakowie. (Tow. Kraj.)

rzu błyszczy klejnot najwspanialszy, gra barwami żywemi, błyska złotem, szafirem i purpurą: to arcydzieło Wita Stwosza. Ponad rzęsiście oświetlonym ołtarzem, niby obraz rzeźbiony, cały z wypukłych, w drzewie wyrobionych postaci złożony. A wszystkie te postacie nadnaturalnej wielkości, pięknie kolorowane, zda się żywe stoją. W środku postać Najświętszej Panny Marji klęcząca, półomdlała, zasypiająca snem wiecznym na rękach Apostołów, którzy ją wokoło otaczają. Górą rodzaj ozdobnego baldachimu o leciutkich, gotyckich wieżyczkach. To obraz główny. A na dwóch skrzydłach zamykającego się niby szafa, ołtarza, jeszcze sześć mniejszych obrazów, z życia Chrystusa i Marji Panny. A w górze wieżyczki, piękne posążki i jeszcze wieżyczki, pnące się wzwyż, strzeliste, jakby niebios sięgnąć chciały.

Patrzą ludzie i podziwiają: jeszcze takiego dzieła, jak Kraków Krakowem nie widziano. Radością i dumą wzbierają serca Krakowian.

I idą ludzie oglądać ołtarz Marjacki. I, jak szli wówczas, idą aż do dni naszych. Jest-li taki, coby w Krakowie był, a ołtarza Stwoszowskiego w kościele Marjackim nie widział?

Były to złote czasy w życiu Stwosza. W nagrodę za piękne dzieło, którem ozdobił Kraków, rajcy miejscy zwalniają go od podatków i danin, król darzy zaszczytami, miasto zaś uwielbieniem.

Po całej Polsce idzie jego chwała. Szczyci się katedra włocławska pomnikiem biskupa Piotra z Bnina, roboty Wita, i szczyci się ziemia spiska ołtarzem i grobowcami w kościele miasteczka Lewoczy i kościół św. Florjana w Krakowie płaskorzeźbami w drzewie. Szczęśliwie żyje Wit w chwale, niby król w koronie, chodzi wielbiony, kochany, na rękach noszony.

Gdzie nie zawędrowała sława polskiego mistrza? Oto na dwór króla portugalskiego, Emanuela, przychodzą starannie opakowane skrzynie: to zamówienie królewskie wykonane przez Stwosza. Schodzi się dwór ciekawy; podnoszą wieko i dobywają dwa posągi naturalnej wielkości, przedstawiające Adama

i Ewę. Zdumiał się król - znawca, zdumieli dworzanie, ktoś, wszedłszy niespodzianie, krzyknął przerażony, sądząc, że posągi są żywymi ludźmi.

— Mowy im brak tylko! — mówią oczarowani widzowie.

Nietylko w Norymberdze, ale i w Niemczech całych pełno jest po kościołach prac wybornych tego wielkiego i pracowitego mistrza. Ileż pięknych krucyfiksów, płaskorzeźb i posągów rozsiał po świecie ten wielki mistrz!

„Mistrz Wit dziwnie stateczny, pilny a miłościwy, z roboty po wszystkiem chrześcijańswie słynie", opiewają księgi starej Norymbergji.

A ileż pięknych dzieł Stwoszowych nasza ziemia posiada!

MIECZYSŁAW SMOLARSKI

MIKOŁAJ KOPERNIK

Było to w roku 1494. Na dziedzińcu akademji krakowskiej, na którym stoi dziś pomnik Kopernika, i na schodach wiodących ku górze, zapanował jakiś niecodzienny ruch. Uczniowie i profesorowie w przerwach między wykładami śpieszyli na krużganek, na którym ustawiono niezwykły dar, przywieziony z Węgier przez Marcina z Olkusza, głośnego w świecie profesora matematyki i astronoma.

Oglądano z ciekawością wielkie narzędzia astronomiczne, które król Maciej Korwin darował uniwersytetowi. Przyrządy były drewniane, bardzo niedoskonałe jeszcze, ale dokładniejsze od tych, które Kraków posiadał. Brakło jednak między niemi rzeczy najważniejszej, lunety astronomicznej, którą wynaleziono dopiero w sto lat później.

Nadszedł wieczór, ucichł gwar, powoli noc zapadła. Gdzieś na dole sączyło się jeszcze światło z okna mieszkania jednego z profesorów. Zegar na wieży ratuszowej wybił godzinę jedenastą. Odezwały się potem świstania strażników nocnych, którzy dawali sobie wzajem znać, że czuwają. Zaraz potem w całym gmachu i mieście zaległa wielka cisza. Wówczas przez wąskie, kamienne drzwi wyszli na krużganki uniwersytetu dwaj mężczyźni w długich szatach. Jednym z nich był Marcin z Olkusza, drugim Mikołaj Kopernik. Poważnie i w głębokiem skupieniu skierowali kroki ku narzędziom astronomicznym.

— Przyrządy nasze—mówił profesor—każę jutro ustawić na wysokim tarasie, lecz dziś już mogę pouczyć cię o ich użytku. Przedstawiono mi ciebie po powrocie z Węgier jako najzdolniejszego ucznia nauk matematycznych, a już po pierwszej rozmowie przekonałem się, iż wyczerpałeś niemal współczesną wiedzę, mówiącą o ruchu gwiazd. Wystarczyło mi kilka dni, bym zaprzyjaźnił się z tobą i ocenił twe zdolności. Wiem, iż nie zaniedbujesz żadnej nocy pogodnej, by nie spoglądać w niebiosa i nie przeprowadzać swych obliczeń.

— Wymówki o to, panie, czyni mi siostra, u której mieszkam — odrzekł uczeń z uśmiechem. — Mówi mi, iż zaniedbuję zdrowie.

— Dbaj o nie. Nie marnuj go napróżno. I zwierz mi myśli, które nurtują w tobie, gdyż dostrzegłem, iż o czemś marzysz, coś ukrywasz.

Uczeń pokornie schylił głowę i odpowiedział:

— Wyrozumiałość twoja, panie, zachęca mnie, bym opowiedział ci o tem, o czem nikt nie wie jeszcze. Są, mistrzu, niektóre zagadki, które mnie samego przerażają swym ogromem. Nie umiem znaleźć innego wytłumaczenia dla ruchu, który od bywa się we wszechświecie, jak tylko, iż nie słońce koło ziemi, ale ziemia obraca się koło wiecznego ogniska swego światła.

Spoważniał głos Marcina:

— Młodzieńcze! Jakże odważasz się roić przypuszczenia podobne, które szaleństwem tylko nazwać mogą ludzie wiedzy i nauki.

— Mistrzu, nie ufałem sobie jeszcze. Począłem zatem badać księgi stare i nowsze i przekonałem się, iż te same wątpliwości, które mnie dręczą, odczuwali już również pisarze starożytni. Narazie nie zwierzę nikomu swych przypuszczeń. Na całym świecie ty znasz je jeden.

Żachnął się Marcin ponownie:

— Czyż każdy prostak nawet nie widzi wschodów i zachodów słońca? Czyż nie wierzysz własnym oczom?



Jan Matejko — Mikołaj Kopernik.

— Nauczycielu, płynąłeś nieraz łodzią po rzece. Czyż nie wydało ci się wówczas, iż łódź stoi w miejscu, a uciekają brzegi i drzewa?

Zastanowił się profesor. Zakłopotała go uwaga ucznia. A jeśliby miał słuszność? Ileż jednak cierpieć będzie musiał ten, kto śmiało wygłosi nową prawdę!

Objął w ramiona i uścisnął młodzieńca, a potem rzekł ze wzruszeniem:

— Jeśli udowodnisz istotnie to, co przypuszczasz, imię twoje nie zaginie nigdy i ze czcią wymawiać je będą wówczas nawet, gdy zapomną już dawno o Marcinie z Olkusza. Mogę powiedzieć ci jedno: kształć się i czyń bodaj przez całe lata dalsze doświadczenia. Gdy nabierzesz pewności, iż wydarłeś wiedzy nową tajemnicę, mów o niej głośno, krzycz, walcz o nią i zwyciężaj. Gdyż przestrzegam cię, iż obrzucą cię pociskami nienawiści pierwsi ci, którzy przekonają się, iż nauczali fałszywie. Nie rozstrząsajmy jednak teraz dalej twych przypuszczeń. Spieszmy przekonać się, jak wspaniały, jak dokładny jest dar króla Macieja.

Kopernik nie zapomniał rady mistrza i nie zawiódł nadziei, które pokładali w nim nauczyciele. Dzieło jego „O obrotach ciał niebieskich", jedno z najgłośniejszych dotychczas, wyszło jednak dopiero wtedy, gdy leżał dogorywający i bez przytomności. I lepiej stało się, iż pojawiło się tak późno, gdyż, jak przewidział Marcin z Olkusza, wywołało najpierw powszechne oburzenie.

Na dziedzińcu, w otoczeniu tych samych krużganków, na których młody astronom rozmawiał ongi ze sławnym profesorem, stoi posąg jego, jako jednej z największych sław akademji krakowskiej.

JADWIGA LECHICKA

WIELKI KRÓL

Było to gdzieś koło roku 1582. Nad ogromną równiną, połyskującą taflą jeziora, z czarnemi torfowiskami po jednej stronie, a z uprawnemi polami po drugiej, świeciło pogodne słońce. W promieniach jego widać było miasto, obwarowane murem, nad którem wznosiło się kilkadziesiąt baszt, najeżonych działami i hakownicami. Jasno błyszczały złote kopuły cerkwi i monasterów. Pod mostem, na gładkiej polanie poruszało się mrowie ludzkie. Wczoraj jeszcze twierdza pskowska drżała od huku armat i krwawiła łunami pożarów. Dziś walki ustały: pokonany nieprzyjaciel wysyłał poselstwo do króla polskiego z błaganiem o pokój.

Stefan Batory nie lubił przepychu. Podczas wojny sypiał na twardem wąskiem łożu, lub na posłaniu z drobnych gałęzi, posypanych listowiem. Żywił się prostą strawą żołnierską, czasem wydobywał z torby kawał zwykłej wędzonki i dzielił się nią z otoczeniem. Ale ten książę siedmiogrodzki, wyniesiony na jeden z najpierwszych tronów Europy, umiał w chwilach uroczystych występować z wspaniałością godną wielkiego narodu. Zasiadł więc na podwyższeniu pod bogatym namiotem, kapiącym od złota. Obok stanął wysłannik papieski, ksiądz Possevino oraz kanclerz Jan Zamoyski, prawa ręka królewska, wierny towarzysz i zaufany przyjaciel. Za monarchą zajęli miejsca co najprzedniejsi dygnitarze w świetnych strojach, bijących w oczy barwnością i przepychem. Obszerną polanę zajęła ciżba żołnierzy i pospólstwa.

I oto przed obliczem króla Stefana stanęli posłowie moskiewscy w sukniach i kołpakach, gęsto perłami naszytych. Zdjęli kołpaki i uderzyli czołem, wsparłszy się rękami o ziemię, poczem, przeżegnawszy się trzykrotnie, ucałowali rękę królewską. Snać olśniła ich wspaniała postawa monarchy i przepych, jaki go otaczał, gdyż zmowy ich zniknęły akcenty buty i zuchwalstwa. Król słuchał ich uważnie; i on pragnął zgody po kilkuletniej wojnie, to też dobrotliwy uśmiech wybiegł mu na usta.

Posłuchanie dobiegło końca. Tłum powoli rozchodził się, rozprawiając żywo o wydarzeniach, których był świadkiem. Król z kanclerzem udali się w głąb namiotu.

— Mości kanclerzu — rzekł król — otóż mamy pokój, którego pragnął naród.

— Zasłużony to pokój — odrzekł Zamoyski.

— Nieprzyjaciel jest chytry i podstępny — dodał król. Płaszczył się, ilekroć przegrywał, a zionął pychą, gdy czuł za sobą siłę lub zyskiwał nadzieję na pozyskanie sprzymierzeńca.

— Może jednak trzy nasze wyprawy nauczyły go, że Polska jest mocarstwem, na które nie wolno porywać się bezkarnie. To też tuszymy sobie, że Moskwa na długie lata zaniecha napaści na nasze ziemie.

— Oby słowa wasze, mości kanclerzu, stały się ciałem! Wyznaczamy dla wojska trzydniowy spoczynek, aby wytchnęło po trudach wojennych.

— Tobie przedewszystkiem, najjaśniejszy Panie, należy się wytchnienie, boś dzielił wszystkie znoje żołnierzy, dźwigając zarazem brzemię odpowiedzialności za całe królestwo.

— Niemasz dla mnie lepszej uciechy po trudach nad myślistwo. Jutro łowczy powiedzie nas do ostępu, w którym wodzą się żubry i łosie. Prosimy was, byście przy naszym boku wzięli udział w łowach.

Kanclerz schylił głowę w milczeniu.

— Chcę mówić jeszcze z mym sekretarzem, imć Heidensteinem — dorzucił władca.

Zamoyski klasnął w dłonie i wydał polecenie pachołkowi. Za chwilę zjawił się mężczyzna słusznego wzrostu z przystrzyżoną bródką, ubrany z niemiecka.

— Mości sekretarzu — rzekł król. Zapiszcie w księgach, na co dziś oczy wasze patrzyły. Przekażcie pokoleniom pamięć dnia, w którym zawarty został pokój wieczysty z Moskwą.

Dziejopis skłonił się nisko.

— Baczcie jeno, dodał Zamoyski, by księgi wasze były wierne i jasne, gdyż na nich potomność uczyć się będzie miłości kraju i jego dziejów.

Heidenstein zamyślony opuścił namiot. Było już południe, gdy znalazł się u siebie. Pod namiotem jego wrzała dziwna praca. Dwaj rzemieślnicy składali drewniane czcionki na ręcznej polowej drukarni, która zawsze towarzyszyła monarsze w pochodach, a trzeci układał arkusze papieru. Obok na prostym stole, wbitym w ziemię, leżały różne księgi, większe i mniejsze, oraz pergamin i pióra gęsie do pisania.

Uczony usiadł przy stole i zastanawiał się głęboko, w jakie wyrazy ubrać nowe czyny monarchy. Machinalnie sięgnął ręką po księgę. Otworzyła się gdzieś na początku. Zaczął czytać pocichu:

Lwów 1576. Miasto przygotowuje się na przyjęcie nowego elekta. Wjeżdżającego króla witają fanfary trąb i litaurów. Ojcowie miasta w otoczeniu uzbrojonych mieszczan ruszają na przedmieście halickie, by wręczyć symboliczne klucze. Za polskiem mieszczaństwem postępują Ormianie, Grecy i Rusini, w odświętne szaty przybrani. Przedstawiciel szlachty wita monarchę piękną oracją łacińską. Batory odpowiada krótko, po żołniersku, że postara się udowodnić, iż władca, wybrany wolnemi głosami wolnego narodu, przewyższa monarchów, których ślepy traf lub urodzenie wyniosły na tron królewski.

Historykowi stanęły w myślach ciężkie chwile po śmierci ostatniego z Jagiellonów. Wydawało się niektórym, że z wygaśnięciem wielkiego rodu królewskiego kończy się złoty okres historji Polski, zwłaszcza, że kandydat francuski do tronu nie

przybył do kraju. Batory jednak przezwyciężył wszystkie przeszkody, opanował zamęt i poprowadził naród szlakami chwały i wielkości.

Dziejopis przewrócił kilka kartek i czytał dalej:

Przeciwnicy króla nie chcieli zapomnieć o swej porażce, a stronnicy żądali wciąż nowych łask. Lecz, gdy posłowie domagali się od niego sprawowania czynności, zawołał rozgniewany: „Jestem waszym królem rzeczywistym, nie malowanym. Chcę panować i rozkazywać i nie ścierpię, by kto nade mną przewodził. Nie pozwolę, żebyście byli bakałarzami moimi i senatorów moich. Tak strzeżcie wolności, aby się w swawolę nie przerodziła..."

Znów zaszeleściły karty książki. Czytał umowy o założeniu w Elblągu portu zbożowego, przez który miała wędrować polska pszenica hen do Niderlandów, Anglji, czy nawet Hiszpanji, o poskromionym buncie gdańskim, o założeniu uniwersytetu w Wilnie... Stanęła mu w oczach piękna scena wręczenia dyplomu na pięknym pergaminowym papierze władzom miejskim. Pomimo trudów wojennych król znalazł czas na lustrację uczelni. Uwagę gości zwrócił trafnemi odpowiedziami mały płowowłosy chłopiec o jasnych oczach. Batory zapytał go łaskawie, kim pragnąłby zostać w przyszłości. „Hetmanem" — odpowiedział uczeń bez namysłu. „Zostaniesz nim, jeśli tego naprawdę pragniesz. A jak się zowiesz, dziecię?" — „Karol Chodkiewicz" — brzmiała odpowiedź chłopca, który miał w przyszłości wyrosnąć na jednego z największych wodzów swojej epoki.

Długo jeszcze siedział historyk nad książką. Z każdej prawie stronicy promieniowała siła woli i hart ducha monarchy, który umiał utrzymać mocarstwową potęgę, godność przybranej ojczyzny. Mimowoli przypominał się uczonemu wiersz sławnego wieszcza z Czarnolasu, który, zestawiając króla Stefana z innymi władcami Polski, zwrócił się doń z przepowiednią:

Serce niemylnie tuszy, że Cię z Bolesławy
Równo Polska kłaść będzie.

JAN KOCHANOWSKI

Za czasów króla Stefana Botorego żył wielki poeta polski, Jan Kochanowski. Wysoko wykształcony humanista, wielki patrjota, przyjaciel drugiego wielkiego człowieka tych czasów, kanclerza Jana Zamoyskiego, żył pogodnie w ukochanym swym majątku, Czarnolesie. Szczęście rodzinne zakłóciła śmierć małej córeczki, Urszulki, zdradzającej wybitne uzdolnienie poetyckie. Ból swój ojcowski poeta zaklął w sławne, dziś jeszcze zachwycające Treny.

TREN VIII

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo, tym zniknieniem swoim!
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło!
Tyś za wszystki mówiła, za wszystki śpiewała,
Wszytkiś w domu kąciki zawżdy pobiegała;
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytnim głowy psować,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.
Teraz wszytko umilkło, szczyre pustki w domu,
Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać się nikomu:
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje!

HENRYK SIENKIEWICZ

W OBRONIE CZĘSTOCHOWY

Pochód na Częstochowę był postanowiony.

Nie trzymano go nawet w tajemnicy, skutkiem czego z wieluńskiego konwentu ojciec Jacek Rudnicki, profos, mógł wyruszyć na czas do Częstochowy z wiadomością. Biedny zakonnik nie przypuszczał ani przez chwilę, aby jasnogórscy mieli się bronić. Pragnął ich tylko uprzedzić, by wiedzieli, czego się trzymać i uzyskali dobre warunki. Wieść ta przygnębiła umysły braci zakonnej. W niektórych dusze wątlały odrazu. Lecz ksiądz Kordecki pokrzepił ich, zdrętwiałych rozgrzał żarem własnego serca, dnie cudów obiecał, sam nawet widok śmierci miłym uczynił i tak zmienił ich tchnieniem ducha własnego, że mimowiednie poczęli się gotować na napad, jak zwykli byli gotować się na wielkie uroczystości kościelne, zatem z radością i solennie.

Jednocześnie świeccy naczelnicy załogi, pan miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki, czynili także ostatnie przygotowania. Spalono mianowicie wszystkie kramy, które tuliły się naokół murów fortecznych, a które mogły szturmy nieprzyjaciołom ułatwiać; nie oszczędzono nawet i budowli bliższych góry, tak, że przez cały dzień pierścień płomieni otaczał twierdzę; lecz gdy z kramów, belek i tarcic zostały tylko popioły, działa klasztorne miały przed sobą puste przestrzenie, nie najeżone żadnemi przeszkodami. Czarne ich paszcze poglądały swobodnie wdal, jakby wyglądając nieprzyjaciela niecierpliwie i pragnąc go jak najprędzej swym złowrogim grzmotem powitać.

W dniu 18 listopada miało się rozpocząć oblężenie. Lecz jenerał szwedzki liczył, że nie potrwa nad parę dni i że drogą układów twierdzę zajmie.

Tymczasem ksiądz Kordecki przygotowywał dusze ludzkie. Przystępowano do nabożeństwa, jakby w wielkie i radosne święto i gdyby nie niepokój i bladość niektórych twarzy, możnaby było przypuszczać, że to wesołe a solenne „alleluja" się zbliża. Sam przeor mszę celebrował, ozwały się wszystkie dzwo-



J. Suchodolski. Obrona Częstochowy.

ny. Po mszy nabożeństwo nie ustawało jeszcze, wyszła bowiem wspaniała procesja na mury.

Księdza Kordeckiego, niosącego Przenajświętszy Sakrament, prowadzili pod ręce miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki. Przodem szły pacholęta w komżach, niosące trybularze na łańcuszkach, bursztyn i mirrę. Przed i za baldachimem postępowały szeregi białej braci zakonnej, ze wzniesionemi ku nie-

bu głowami i oczyma, ludzie różnych wieków, począwszy od starców zgrzybiałych, skończywszy na młodzieniaszkach, którzy zaledwie do nowicjatu weszli. Żółte płomyki świec chwiały się na wietrze, a oni szli, śpiewali, zatopieni całkiem w Bogu, jakoby niczego więcej na tym świecie nie pamiętali. Za nimi widziałeś pogolone głowy szlacheckie, zapłakane oblicza niewiast, ale spokojne pod łzami, wiarą i ufnością natchnięte. Szli i chłopi w sukmanach, długowłosi, do pierwszych chrześcijan podobni, małe dzieci, dziewczęta i chłopcy, zmieszani w tłumie, łączyli swe anielskie, cienkie głosiki z ogólnym chorałem. I Bóg słuchał tej pieśni, tego wylania serc, tego uciekania się z pod ucisków ziemskich pod jedyną ochronę skrzydeł Bożych. Wiatr ucichł, uspokoiło się powietrze, niebo wybłękitniało, a słońce rozlało łagodne, bladozłote, lecz ciepłe jeszcze światło na ziemię.

Orszak obszedł raz mury, lecz nie wracał, nie rozpraszał się — szedł dalej. Blaski od monstrancji padały na twarz przeora i ta twarz wydawała się od nich jakoby złota także i promienista. Ksiądz Kordecki oczy trzymał przymknięte, a na ustach miał nieziemski prawie uśmiech szczęścia, słodyczy, upojenia; duszą był w niebie, w jasnościach, w odwiecznem weselu, w niezmąconym spokoju. Lecz jakgdyby odbierał rozkazy, aby nie zapomniał o tym ziemskim kościele, chwilami zatrzymywał się, otwierał oczy, wznosił monstrancję i błogosławił.

Więc błogosławił lud, wojsko, chorągwie kwitnące jak kwiaty, a migotliwe jak tęcza; potem błogosławił mury i wzgórze na okolice patrzące; potem błogosławił wioskom na dalekościach leżącym i błogosławił północy, południowi, wschodowi i zachodowi, jakgdyby chciał na całą okolicę, na całą tę ziemię moc Bożą rozciągnąć.

Biła godzina druga z południa, procesja była jeszcze na murach. A wtem na krańcach, gdzie niebo zdawało się stykać z ziemią i rozciągały się mgły sinawe, w tych mgłach właśnie zamajaczyło coś i poczęło się poruszać, wypełzały jakieś kształty, z początku mętne, które, zwierając się stopniowo, sta-

wały się coraz wyraźniejsze. Okrzyk nagle uczynił się na końcu procesji:

— Szwedzi! Szwedzi idą!

Potem zapadła cisza, jakoby i języki zdrętwiały; dzwony tylko biły dalej. Lecz w ciszy zabrzmiał głos Kordeckiego, donośny, choć spokojny:

— Bracia, radujmy się, godzina zwycięstwa i cudów się zbliża.

A w chwilę później:

— Pod Twoją obronę uciekamy się, Matko, Pani Królowo nasza.

GUSTAW MORCINEK

ZIEMIA ŚLĄSKA

Ziemia bywa, jak twarz ludzka.

Jedna zbiedzona, jakby zgryzotą w zmarszczki pomięta, o wyblakłem spojrzeniu; inna znowu zamyślona, zamknięta w sobie, nigdy do nikogo się nieuśmiechająca; a jeszcze insza bezpłodna i surowa. Ale takiej ziemi, coby uśmiech młodej dziewczyny przypominała, uśmiech jasny i zamyślony, to mało. Tam jeno powstała, gdzie Pan Bóg w chwili jej tworzenia Swemi modremi oczyma dobrotliwie się zapatrzył i czegoś uśmiechnął.

Polska ma taką ziemię. Niewielką, ale ma. W ostatnim zakątku swoim, u podnóża zachodniego krańca Beskidów. Jest nią ziemia cieszyńska i pszczyńska.

Od południa zamknięta ona przed sąsiadem miękką, łagodną a wyniosłą ścianą Beskidów. Od Klimczoka poprzez Stołów, Baranią — rodzicielkę Wisły i Olzy — potem od Czantorji przez Stożek aż po Kozubową i Jaworowy idą sznurem zielone gronia, skąd już bliżej Boga się wydaje. Kiedy człowiek na którymś z nich stanie i słucha, wtedy ucisza się w nim serce, jak dziecko u matki, i dobrze mu. Urzeczone oczy zaś lecą w zamyśleniu w dalekie, rozfalowane doliny Olzy czy Wisły, tak lecą, jakby te ptaki stęsknione, śpieszące w rodzinne gniazdowstwa. Pod spojrzeniem rozkłada się ogromna przestrzeń kryształem po wierzch napełniona, na kraj świata w słoneczku

idąca, a gdy oczy zamknąć, pod powiekami wynurza się wtórny obraz urodziwej ziemi, w sercu zaś radość wykwita.

I czy w lecie, czy w zimie, z wiosną czy na jesień, zawsze spojrzenie ludzkie napotyka na jej krasę.

Pobok Czantorji wgłąb rozwartej naścieżaj doliny snuje się wąski, srebrzysty paseczek Wisły, łuszczy się rozsianem złotem słoneczkowem, przewija miękko międzywzgórzami i kępami, znika na drobną chwilkę, potem znowu wycieknie srebrem i bieży i bieży, aż w tamtej mglistości pod niebem utonie. Odwrócić się za słońcem, oczy polecą w zieloną głębinę. Środkiem jej pomiędzy olszynami przelewa się ciemnawa woda Olzy, świętej rzeki śląskiej, przez poetów umiłowanej, w pieśniach sławionej.

Po obu stronach Wisły i Olzy schodzą ze wzgórzy łąki i pola. Wydają się z miękkiego atłasu utkane. Pomiędzy polami, w pachnącym cieniu lipowym samotna droga śpieszy. Leci przez wzgórza i doliny, bieli się w słońcu, czasem spętli się w gruby węzeł. Czasem ponad rzeką czarnym mostem przebieży, czasem jej w drodze towarzyszy, potem znowu w bok zawróci, potok jeden i drugi przeskoczy i za widnokręgiem gaśnie. W pogodny dzień ponad gęstwę zielonych kęp wspina się jedna i druga i dziesiąta wieża kościelna, od przyciesi aż po kalenicę z jodłowego drzewa zmajstrowana. A koło kościoła domki białe, jakoby paciorki jasne, od niechcenia hojną dłonią po wzgórzach rozsiane.

W nich to się rodzi ta przedziwna twarda moc ślązacza.

Czasem jakieś miasto można dojrzeć z wyniosłych groni beskidzkich. Malutkie domki na gromadkę zgarnięte, w środku w równy czworoboczek wybrane — to rynek. A potem, jakby ktoś palcem w ich mrowiu przejechał: raz tak, potem zaś owak, nakrzyż, nawspak i ulice gotowe. Ponad ich zbiegowiskiem senne dymy w powietrzu, przejrzyste, fioletowe, i znowu jedna i druga wieżyca z unurzanym w słońcu krzyżem. Tam wyżej jeszcze, ponad wieżycami i nikłemi dymami słodka cisza podniebna.

A jeżeli zejść z groni w tamte doliny i pójść, gdzie oczy poniosą, spotykają cię co krok nowe uradowania. Pobok ścieżyn górskich napotykasz święte źródełka. Z pod zwalistego kamienia, z szczerbatej szczeliny lub z kępy olbrzymich paproci sączy się struga dzwoniącej wody w podłożone koryto drewniane, z jednego pnia wydłubane. A w powierzchniach wód przegląda się zielone sklepienie drzew, na dnie zaś gmerają

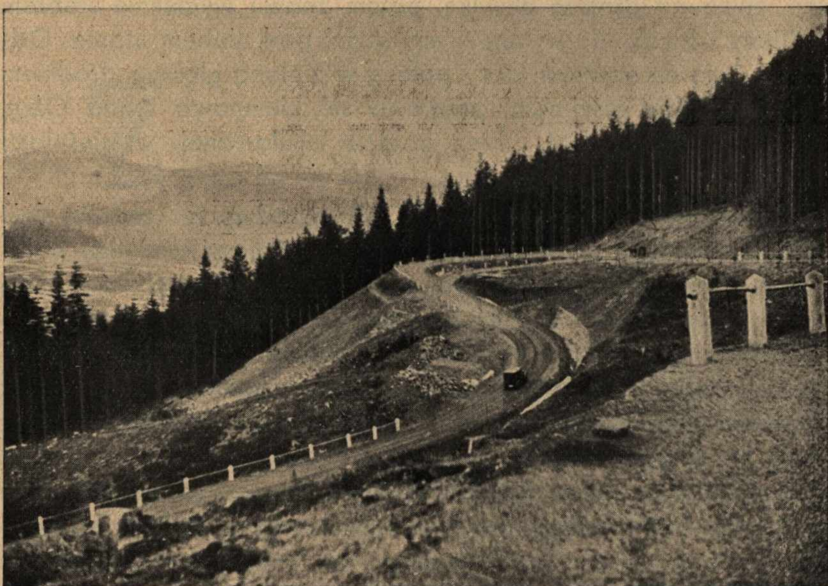


Photo-plat Droga do Wisły

złociste pętelki połuskanego złota. Woda jest zimna i przynosząca zdrowie, bo gdy ją pijesz — myślisz, że płynne słońce pijesz. Gdy zejdziesz w doliny, mijasz wsie przeróżne o nazwach od piastowego pomyślenia się wywodzących, a brzmiących w wymawianiu, jak dzwon ze starego złota. Mijasz ustronia, rozkosz dla źrenic zdziwionych, ze wzgórzy patrzysz i widzisz, jak ziemia nie spoczywa, lecz płynie w łagodnych, miękkich, obłych zgięciach.

Ziemia spływa coraz wolniej za Wisłą, wygładza się, ucisza, przemienia w równinę, gdzie wody w Wiśle i potokach leniwieją, a z pomiędzy gęstwy szuwarów wychylają się śpiące stawy i rozlewiska, poprzegradzane staremi groblami i staremi dębami. Człowiek pracowicie osuszył tutejsze moczary, pozamieniał w pola zboże i ziemniaki rodzące, poodgradzał wielkiem lasami szpilkowemi, w których niedobitki żubrów przytułek znalazły.

Śląsk zielony, a zwłaszcza Beskidy śląskie stanowią płuca olbrzymiego okręgu przemysłowego, Śląska Czarnego. Gdzieżby człowiek mógł się schronić w wolną chwilę przed temi dymami i sadzą, jak nie do Beskidów? Nadejdzie niedziela i święto, a zaroją się asfaltowe drogi i szosy śpieszącemi samochodami i motocyklami, przeludniają się pociągi, zmierzające w kierunku omglonych zlekka groni beskidzkich, a same gronia, wszystkie śnieżyny górskie, miedze wąziutkie i doliny Białej i Czarnej Wisełki zamieniają się jakoby w odpustowe drogi, któremi wędrują niedzielni pątnicy. Ciche lasy Równicy, Czantorji, Stożka, Baraniej i Klimczoka wypełniają się po wierzch twardym, kanciastym gwarem Górnoślązaków, schroniska na szczytach krzyczą daleko śpiewem i splątanem nawoływaniem się turystów, niefrasobliwemi śmiechami i baraszkowaniem o dziecinnej jakiejś naiwności i prostocie. Beskidy — to jedno wielkie uzdrowisko dla nerwów ludzkich, wyczerpanych zawrotnem tempem fabryk i dla płuc, zduszonych dymem i czadem, i dla serca, wyjaławianego twardemi warunkami pracy. A kiedy śnieg spadnie i wszystkie tamte szlaki turystyczne zasypie wysoko, drzewa zaś ubierze w czapate płachcie i zsypujące się szrony, kiedy cały ten podniebny obszar zamieni się w jakąś baśń o szklanej górze, w ogród zaczarowany, w którym jeno cisza dzwoni, a słońce skrzy się mrowiem migotliwych łuseczek — wówczas po skłonach górskich i groniach błąkają się rozradowane gromady narciarzy. Leci taki powicher jeden i drugi na wąziutkich deskach, kraje śnieg w zwiewne koleiny, sunie w dolinę na złamanie karku, skacze, zawraca w kunsztownym łuku, wspina się zpowrotem pod słońce, a suchy śnieg dzwoni zlekka pod nar-

tami; czerstwe, mroźne, żywicą pachnące powietrze syci łakome płuca, oczy zaś, urzeczone doostatka krasą beskidzkiej zimy, skrzą się, zlekka przymrużone, maluchnemi żywemi drobinami słońca.

Dawniej Beskidy były nieznane. Obecnie zbudowano kolej do Wisły i do świata ją przybliżono. Kolej wspina się powoli, krok za krokiem, na wysoką przełęcz Kubalonki, żeby z niej do najpiękniejszej doliny na świecie, do słonecznej Istebnej polecieć.

Zbudowano najpiękniejszą drogę w Polsce, równą, gładką, która od Katowic bieży przez Ustroń i Wisłę, potem w cudacznych a wdzięcznych pętlach wylatuje na gronia, a następnie spada już łagodnie do Istebnej, żeby dotrzeć do Koniakowa.

Na zboczu Zadniego Gronia, którędy się na Baranią idzie, szarzy się nadobny pałacyk Pana Prezydenta, zbudowany na miejscu spalonego drewnianego zameczku, dawniej arcyksięcia Fryderyka. Roztomiły a dostojny Gość lubi wracać do niego na odpoczynek, gdyż i jego urzekły Beskidy swym czarem.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

W DRODZE POD WIEDEŃ

Otoczony dwurzędem, starych, prastarych drzew, zawiłą plątaniną konarów, pni i sęków, — sczerniały od wieku kościół, zdawał się być kąciną, utuloną w świętym gaju.

Niezmiernie wysoki dach opadał stromo, łagodniał w pół biegu, zanim krawędziami nie wsparł się mocno na rysiach, wybiegających daleko przed lice ścian. Ściany te były ułożone z potężnych modrzewiowych bierwion. Z końca kalenicy dachu wyrastał okrągły przystrzeszek, tak bliski duszy, jak rodzona chata. Wielka czworokątna wieża, zrośnięta w jedno z kościołem, wzniesiona była lekko, strzeliście.

Wnętrze kościoła pełne było starych, spłowiałych malowideł i złączonej woni kadzidła i żywicy. W zielonym cieniu (bo światło skąpo padało, przyćmione przez gęstwę drzew i drobne, w ołów oprawne, szybki) żółte, jarzące płomyki świec płonęły, jak w gąszczu leśnym. Sczerniałe chorągwie bractw drżały od przeciągu.

Byłby ów kościół nie różnił się niczem od stu podobnych rozsianych po Śląsku, tak samo starych, tak samo gontem obitych, tak samo wieńcem prastarych drzew otoczonych, — gdyby nie zaszczyt czcigodny, dostojeństwo wyłączne, które wyróżniały go z pomiędzy wszystkich kościołów, unosiły w pojęciu wysoko, czyniły przedsionkiem nieba.

Tym zaszczytem była żywa i cudowna obecność Jej, Panny Przenajświętszej. Nikt nie wiedział, kiedy tu przybyła i skąd? Czy przywieziono skądciś, z Rzymu lub Bizancjum, obraz dla ko-

ścioła? czy kościół wzniesiono dla znajdującego się już obrazu? Czyj pędzel malował miłosierną twarz, oczy patrzące skroś człeka? — Nie wiedział nikt. Dzieje to były stare, stare jak drzewa, które zrąbano przed pięciuset laty na podwaliny kościoła.

Ona, żywa Matka Boża, upodobała sobie Piekary niezależnie od Swej podobizny.

Gdy król polski, z wielkiem wojskiem ciągnący pod Wiedeń, przysłał pana Karczewskiego, oboźnego, pytać, zali może uczcić Najświętszą Panienkę, — kazał ksiądz odrzec, że Najświętsza Panna jest miłościwie w Piekarach i audjencji królowi udzieli.

Następnego dnia, dwudziestego sierpnia 1683 roku, otaczające kościół błonia i dziedziny zaroiły się, pokryły wojskiem. Zbrojne masy spadły niby stado wielkich ptaków, wstrzymanych w przelocie. Hufce ciągnące z męską mocą, z szumem skrzydeł i proporców, chrzęstem zbroi, tętentem i szczękiem, strojnie, buńczucznie, potężnie, prące wprzód nieustraszenie, jak wezbrana rzeka, niezwyciężone chorągwie usarskie, pancerne — cały ów stalowy wał ludzi i koni, niepowstrzymany jak zalew, zatrzymał się w biegu przed progiem drewnianego niskiego kościołka, by zaczerpnąć w nim siły istotniejszej, niż orężna moc ramienia.

Ksiądz Przyborowski, jezuita, spowiednik króla Jana, celebrował sumę, i grzmot organów, potężny śpiew rycerstwa wstrząsały przepełnionym kościołem. Drewniane ściany drżały, odpowiadając dźwięcznem echem, niby pudło skrzypiec. Błysk szabel przy ewangelji przeleciał olśniewającą błyskawicą i zgasł. Złota monstrancja lśniła, jak w obłoku. Powyżej, wśród płomyków świec, wśród korali, pereł i lasek kalecznych, niby zarazem pośród chwały nieba i nędzy świata, — spoglądała Ona, Pocieszycielka strapionych, czyniąca ład i spokój na ziemi.

Król Jan Sobieski zsunął się ciężko z klęcznika, legł krzyżem, rozścielając na posadzce swe olbrzymie ciało ze szczęsnem westchnieniem ulgi. Czuł się w promieniu łaskawości Bożej, wzmocniony i ukrzepiony, a po raz pierwszy od długich lat spo-



Juljusz Kossak Sobieski pod Wiedniem

kojny i szczęśliwy. Jako dawni rycerze krzyżowi, jechał swobodny walczyć z poganami. Jechał po sławę lub śmierć. Zwycięży Turka, lub zginie. Śmierć równie jest bliska rycerzowi, jak sława. Przenikający myśli Bóg znał i widział, że nie idzie on pod Wiedeń dla żadnej ziemskiej korzyści, dogodnego sojuszu, lub politycznej rachuby, jeno z czystej miłości dla wiary. Wspierając wielkie czoło o stopień ołtarza, ostatni krzyżowiec dziękował kornie Bogu za ten zaszczyt.

Msza dobiegała końca. Echo pod malowanym stropem ścichło. Król wstał z trudem, uniesiony z obu stron przez dwóch towarzyszy, i wyszedł do zakrystji wspaniały, wielki, górujący nad wszystkimi lwią, łaskawą głową.

Mrużył oczy jakgdyby przed światem zewnętrznym, o którym na chwilę zapomniał. Za nim stąpała królowa, umiłowana Marysieńka, czarna, urodziwa, płomiennooka. Za nią dwie podobnie przyodziane damy dworu i królewicz Jakób, drobny, śniady, ospowaty.

W zakrystji Ojciec Teodor, o łagodnej śląskiej twarzy, zabawiał dwóch malców w koronach i aksamitach: siedmioletniego królewicza Aleksandra i trzyletniego królewicza Konstantego, ofiarowując im maleńkie, na pergaminie malowane obrazki, przedstawiające Najświętszą Panienkę z Piekar. Na widok wchodzącego króla wstał żywo, patrząc na niego z zachwytem.

— Pomodliliśmy się niezgorzej, jak na Jasnej Górze... — zwrócił się król do niego z łaskawym uśmiechem...

— Boś i tu w Polsce, Miłościwy Panie... — odparł z prostotą zakonnik.

Zginając wysoką postać w rzeźbionem obramieniu drzwi, król Jan wyszedł na cmentarz kościelny, zalany blaskiem słonecznym. Rozejrzał się wkoło i zdumiał. Miejsce wojsk zajęły tłumy wieśniaczego ludu. Nadpłynęły nieprzebraną falą, przesłoniły, odsunęły zjeżone proporcami szeregi jazdy: zalały ciasnem, zbitem mnóstwem cmentarz i wzgórze kościelne. Oczekujące, odświętne, szczęsne, niespokojne, — rozgorzałemi oczyma wyglądały niecierpliwie jego wyjścia; parły w uniesieniu, z podniesio-

nemi w górę dłońmi, odpychające na bok żołnierzy i konie, nie bacząc na nic, jak w godzinę cudu. Poznano króla w drzwiach zakrystji przy boku Ojca Bellmana, i huragan potężny okrzyków wstrząsnął powietrzem, jak grom. Toczył się, przewalał, cichnął, i znów rósł — gorączkowy, wniebowzięty, pełen miłości i oczekiwania.

Król poczuł się szczerze wzruszony.

— Boją się niebożęta Turków, co i nie dziwota — zauważył do stojącego za nim księdza, a wyszedłszy nieco naprzód, założył rękę za pas i huknął gromko:

— Nie bójta się, ludzie kochane! Nie przyjdą tutaj pogany! Zadzierżymy ich z pomocą i łaską Matki Najświętszej!

— Niech żyje król! Niech żyje! — zagrzmiało zewsząd stokrotnie.

STANISŁAW KONARSKI

SPRAWIEDLIWOŚCI NIE CHCĘ

Sprawiedliwości nie chcę; nikt mi nic nie winien:
Uczyniłem, co byłem uczynić powinien.
Czyż słusznie o nagrodę taki się odzywa,
Który tylko powinność swoją wykonywa?

Niemasz zasług: te, co my zowiemy zasługi,
Są tylko ku ojczyźnie wypłacone długi.
Ojczyzna nic nam nie jest winna;ona pani,
My jej więźnie, jej słudzy, jej obowiązani.

Co jesteśmy, co z przodków mamy, każdy przyzna,
Wszystko po Bogu jedna dała nam ojczyzna.
Jej więc wolno krwi, ozdób, fortun naszych zażyć,
My powinniśmy dla niej wszystko z życiem ważyć,

Nie, żebyśmy się od niej dopominać nowych
Wdzięczności lub dzięk mieli lub nagród jakowych.

TADEUSZ SINKO

ŚWIATŁO W CIEMNOŚCI

Pan Mikołaj Ostoja Staruszkiewicz, dziedzic rozległych Ciemnisk w województwie warszawskiem, wiózł drugiego dnia po swych imieninach trzech najmłodszych synów do konwiktu ojców jezuitów w Pułtusku. Szkołę tę mógł uważać za rodzinną, bo w niej chowali się od przeszło dwustu lat, prawie od chwil jej założenia, wszyscy Staruszkiewiczowie i jej zawdzięczali biegłość w przemawianiu po łacinie, przywiązanie do wolności szlacheckiej i żarliwą pobożność, wrogą wszelkiemu mędrkowaniu.

Zbliżającego się do rogatek miejskich uderzyło tego roku niezwykłe zjawisko: Bryki i pojazdy szlacheckie, które zawsze w pierwszych dniach września wracały z miasta próżne, pełne były rozwrzeszczanych i roześmianych chłopców, jakby im przedłużono wakacje i kazano jechać jeszcze do domu. Od pierwszego spotkanego w drodze znajomka dowiedział się pan Mikołaj, co to znaczy, i równie się tem zasmucił, jak się ucieszyli jego synowie. Szkoła zamknięta, bo Ojciec św. jeszcze w lipcu zniósł zakon jezuitów. Odtąd już niema ani jezuitów ani ich szkół. Olbrzymie ich majątki przypadły rządowi...

Ze zniesieniem zakonu zamknięto wszystkie szkoły jezuickie z konwiktami dla młodzieży szlacheckiej. Z blisko 1.200 ojców, zwolnionych od ślubów zakonnych, jedni idą na probostwa, jako księża świeccy, drudzy przyjmują po dworach szlacheckich

stanowiska nauczycieli domowych, inni zastanawiają się, czy nie objąć posad nauczycielskich w nowoutworzonych szkołach narodowych.

Pan Mikołaj znał dotąd tylko szkoły akademickie, zakładane przez Akademję Krakowską, i szkoły zakonne, jak jezuickie, pijarskie itd. O żadnych narodowych nigdy nie słyszał. Więc ksiądz prefekt skierował go do bawiącego właśnie w kolegjum pułtuskiem jezuity, a właściwie eks-jezuity lwowskiego, księdza Grzegorza Piramowicza, który wpadł do Pułtuska w celu szybkiego zorganizowania nowej szkoły z pomocą wybitnych sił nauczycielskich rozwiązanego kolegjum. Od niego to dowiedział się dziedzic Ciemnisk, że wobec zamknięcia szkół jezuickich obradujący właśnie Sejm uchwalił utworzenie Komisji Edukacji Narodowej, która narazie obejmuje w swój zarząd wszystkie istniejące szkoły publiczne, używając na ich utrzymanie dochodów z dóbr pojezuickich, i przystępuje do opracowania nowej organizacji całego szkolnictwa w Polsce. Jak się jej plan ukształtuje, dziś jeszcze nie wiadomo, bo dotychczas żadne państwo nie poczuwało się do obowiązku „upaństwowienia" szkolnictwa w celu wychowania obywateli, świadomych swoich wobec państwa obowiązków; żadne nie ma jakiegoś centralnego urzędu, zarządzającego całem szkolnictwem. Komisja Edukacyjna nie ma więc, wzorów, jest nowym w Europie urzędem, niby jakiemś ministerstwem oświaty.

Polska musi się oświecić, bo tylko w świetle zobaczy prawdziwą rzeczywistość i znajdzie środki wzmocnienia się politycznego. Środki te widzą już mężowie, których Sejm wybrał do Komisji, a więc senatorowie: Michał Poniatowski, August Sułkowski, Ignacy Massalski i Joachim Chreptowicz, i posłowie: Andrzej Zamoyski, Antoni Poniński, Adam Czartoryski i Ignacy Potocki. Komisja wystosuje niebawem Uniwersał do narodu, w którym ogłosi swe zadania i wezwie wszystkich obywateli, interesujących się szkolnictwem, do nadsyłania swych rad, uwag i projektów.

Pan Staruszkiewicz postanowił, że narazie zgodzi dla synów jednego z ojców pułtuskich do nauki w domu. Sapiąc

z niezadowolenia, oznajmił czekającym w korytarzu synom, że wracają do domu, co chłopców, jak przedtem ich kolegów, napełniło wielką radością.

Nie cieszył się tylko Waluś Wróbel, mleczny brat najmłodszego ze Staruszkiewiczów, Stacha, przywieziony z paniczami do konwiktu, by im posługiwał, a przy sposobności i trochę się uczył. Bo ten wiejski sierota, chowający się we dworze, od pacholęcia okazywał wielką ciekawość do nauki, a przysłuchując się domowym lekcjom Stacha, wlot nauczył się tego samego, co panicz, a nawet pochwycił niejedno z lekcyj obu starszych chłopców. To też, jakkolwiek pan Staruszkiewicz sądził, że chłopów nie trzeba uczyć, nie sprzeciwiał się przygodnej nauce Walka, obiecując sobie z niego bezpłatnego pisarza w gospodarczej kancelarji. Zmartwienie swoje z powodu zamknięcia szkoły wyraził Waluś tak rzewnem łkaniem i szlochaniem, że przechodzący obok niego ksiądz Piramowicz zatrzymał się przy nim, pogłaskał go po jasnowłosej głowie i zaczął wypytywać o powód płaczu. Ujęty serdecznością głosu i miny księdza, opowiedział mu Waluś wszystko i tak go wzruszył, że Piramowicz podbiegł do wsiadającego już na bryczkę dzidzica i prosił go o zostawienie mu do posług sieroty. Dziedzic odjechał z synami do Ciemnisk, a Waluś został przy księdzu Piramowiczu.

Nowy pan przelał na swego pacholika całą miłość do ludu wiejskiego, którego oświecenie uważał za jedno z najpoważniejszych zadań Komisji. Każdą chwilę, wolną od wyczerpującej pracy w Komisji, a potem w Towarzystwie do Ksiąg Elementarnych, poświęcał na rozmowy ze swym wychowankiem, przynosił mu nowe podręczniki szkolne, napisane dla średnich szkół narodowych, jakby na nim chciał wypróbować przydatność tych książek. Z radością i dumą stwierdzał ogromne postępy tego wiejskiego dziczka, który zresztą pod jego wpływem przemienił się po kilku latach w układnego młodzieniaszka. Po siedmiu latach Waluś wyczerpał cały program siedmioletniej szkoły wojewódzkiej czyli wydziałowej i mógł uzyskać przyjęcie do świeżo zreformowanej przez przyjaciela jego pana, X. Hugona Kołłątaja, Akademji Krakowskiej.

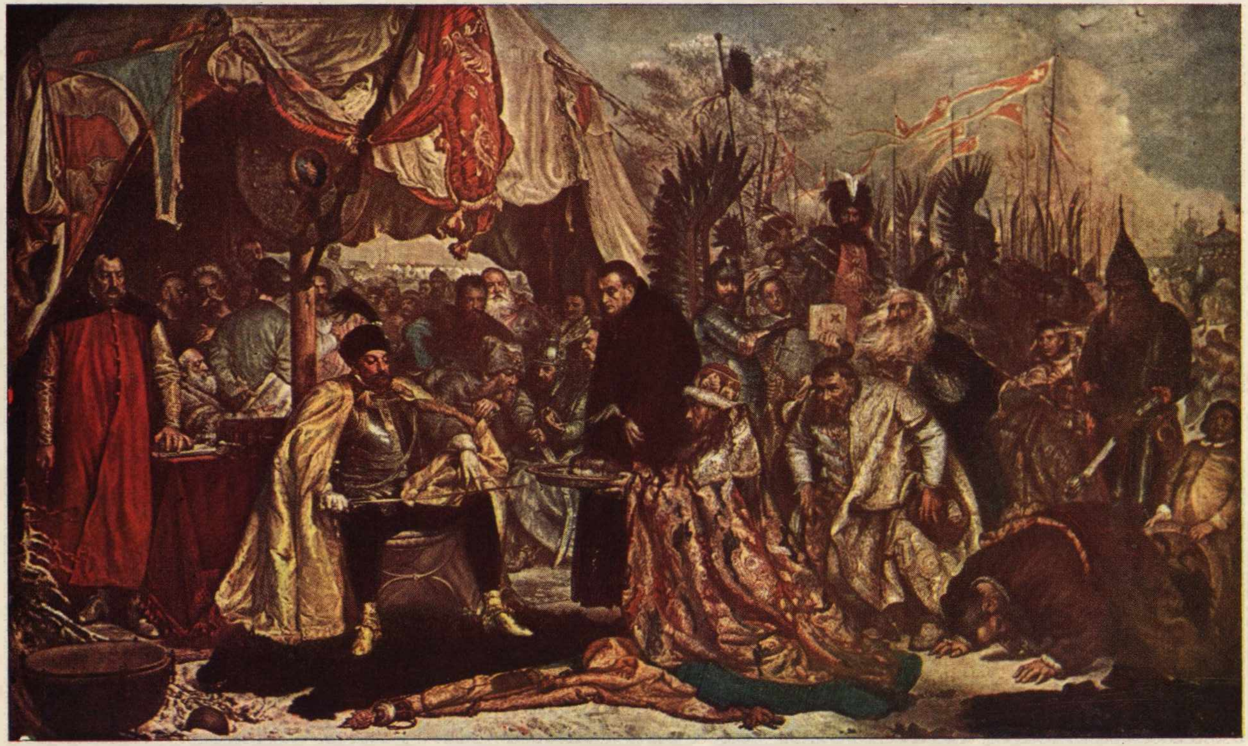
Konstytucja 3-go Maja, uchwalona przez wychowanków szkół, zreformowanych przez Komisję Edukacyjną, stwiehrdziła istotnie odrodzenie się ducha narodu. Prezesa Komisji wprowadziła Konstytucja do Straży, t. j. rady ministrów, jako ministra oświecenia, i w ten sposób zapewniła jej dalsze kierownictwo szkolnictwem narodowem. Walenty Wróbel, który jako nauczyciel gimnazjum Nowodworskiego w Krakowie, przemawiał



Sztych nieznanego autora

Stanisław Konarski

do młodzieży podczas obchodu drugiej rocznicy Konstytucji, przytoczył słowa Tadeusza Kościuszki: „Niech tylko powszechna będzie edukacja, niczego się lękać nie trzeba. Od nas samych zależy poprawa rządu, od obyczajów naszych". Trzeciej rocznicy Konstytucji już nie święcił wychowanek Piramowicza, bo w marcu 1794 r. wstąpił do powstańczej armji Kościuszki, a 4 kwietnia tegoż roku poniósł chwalebną śmierć za Ojczyznę, prowadząc do zwycięstwa tych włościan z których sam wyszedł.



Jan Matejko mal.

STEFAN BATORY POD PSKOWEM

II

W WALCE

ADAM MICKIEWICZ

ODA DO MŁODOŚCI

Tu bez serc i bez ducha, — tu szkieletów ludy!
Młodości! podaj mi skrzydła,
A nad martwym wzlecę światem
W rajskiej dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowość potrząsa kwiatem
I obleka nadziei złote malowidła!

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.

Młodości! Ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Patrz na dół, kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności zalany odmętem:
To ziemia!

Patrz, jak nad jej wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie:
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem,
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali;
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali;
A wtem jak bańka prysnął o szmat głazu.
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! Tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu jednego są wszystkich cele;
Jednością liczni, rozumni szałem,
Razem młodzi przyjaciele!
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Da innym szczebel do sławy grodu.
Razem, razem przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się zamłodu!

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze,
Ten młody zdusi centaury,
Piekłu ofiary wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie!

Młodości! Orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!

Hej! ramię do ramienia! Zgodnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!
Dalej, bryło, z posad świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,

Jednem: Stań się! z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią:

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha,
Żywiołów chęci jeszcze są w wojnie...
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swojem łonie,
A przyjaźń w wieczne utwierdzi spójnie.

Pryskają nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące:
Witaj, jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

EDMUND JEZIERSKI

O WOLNOŚĆ

Po opuszczeniu kraju rodzinnego, udał się Kościuszko do Francji, gdzie z czasów dawniejszego swego pobytu posiadał kolegów i znajomych.

W Paryżu dowiedział się już szczegółów o zatargu kolonij amerykańskich z metropolją, o którym jeszcze w Polsce głuche go dochodziły wieści. Jako wykwalifikowany inżynier mógł z łatwością otrzymać odpowiednie i korzystne stanowisko w armji angielskiej, która poszukiwała zdolnych oficerów inżynierji i suto im płaciła, przyjął jednak niepewną i chwiejną propozycję Ameryki, gdyż tam miano walczyć o wolność, której był gorącym czcicielem.

Po przybyciu do Ameryki, zapisał się w Wydziale Wojny i w dniu 31 sierpnia roku 1776-go otrzymał polecenie opracowania planów fortyfikacji Billingsportu, mających zabezpieczyć to miasto, siedzibę kongresu, od ataku floty angielskiej przez zagrodzenie rzeki Delaware.

Z zadania tego wywiązał się bardzo dobrze.

Za pracę tę Kościuszko otrzymał wynagrodzenie w wysokości 50 funtów szterlingów od Rady Bezpieczeństwa stanu Pensylwanja, jednocześnie zaś złożył dowód swego uzdolnienia fachowego, co zjednało mu przychylne świadectwo Wydziału Wojny i otrzymał od Kongresu nominację na „inżyniera w służbie Stanów Zjednoczonych", w randze pułkownika.

Nadeszły pierwsze zwycięstwa Amerykan. Okrzyk triumfu, rozbrzmiewający w całych Stanach Zjednoczonych, potężnem echem odbił się w Europie, budząc uwielbienie, szczególnie we Francji.

Ochotnicy z najpierwszych rodzin, za przykładem Lafayete'a, dążyli do Ameryki, by walczyć za jej wolność, a idea niepodległości amerykańskiej stała się sprawą rodu ludzkiego.

Kościuszko tymczasem nie ustawał w pracy. Na wszystkich drogach, któremi posuwać się mogła armja angielska, porządzał przeróżne przeszkody, przytem dość zaznał niewygód i nędzy obozowej.

Dowództwo Stanów Zjednoczonych postanowiło posunąć się na północ, ku pozycjom angielskim. W tym celu wysłało przodem pułkownika Kościuszkę i Hay'a, polecając im upatrzyć miejsce na obóz obronny na prawym, wyższym i górzystym brzegu rzeki Hudson. Wynalazł miejsce takie Kościuszko w pobliżu wioski, zwanej Saratoga i tu dopiero w całej pełni zabłysnął jego talent. Plany fortyfikacji Saratogi zachowały się po dziś dzień. Rozbiły się o nią wszelkie usiłowania generała angielskiego, zmierzającego do zniesienia armji nieprzyjacielskiej. Posuwanie się armji angielskiej w znacznym stopniu zostało utrudnione przez zasieki i zmaganie się z milicją amerykańską, prowadzącą pomyślnie walkę partyzancką. Każdy oddział angielski, który odłączył się od głównych sił, w celu zdobycia żywności i furażu, był rozbity lub zniesiony.

Topniały siły Anglików, aż wreszcie poddali się, mając w niewoli u Amerykanów około sześć tysięcy swoich żołnierzy.

Ten triumf w znacznym stopniu zawdzięczali Amerykanie dobrze ufortyfikowanej przez Kościuszkę pozycji. Bo czyż bez niej niewyćwiczone należycie zastępy milicji, pomimo całego swego patrjotyzmu i zapału, mogłyby stawić czoło regularnym i wyćwiczonym żołnierzom angielskim?

Od tego czasu zwycięstwo pod Saratogą na zawsze związane jest z imieniem Kościuszki, które po dziś dzień z wdzięcznością wspominają młode pokolenia amerykańskie.

W krótkim czasie po tej bitwie Kościuszko poprosił o urlop, a uzyskawszy go, podążył, jak mógł najspieszniej, do Trentonu.

Co było przyczyną tego?...

Ciągnęło go tam serce, ciągnęła myśl, że zobaczy przybysza z Ojczyzny, i to nie byle jakiego, lecz wsławionego już w walkach o jej wolność.

Oto pod koniec długiej tułaczki po ziemiach obcych przybył w dniu 20 sierpnia r. 1777-go do Ameryki jeden z wodzów konfederacji Barskiej, nieszczęsny Kazimierz Pułaski. Na decyzję jego w znacznym stopniu wpłynął Benjamin Franklin, z którym zapoznał się w Paryżu.

— Spodziewam się — rzekł do Pułaskiego wielki Amerykanin, — że panowie Polacy, którzy w całym świecie cieszą się sławą dzielnych wojowników, będą wielką pomocą dla biednej mojej Ojczyzny.

— W narodzie naszym — odrzekł mu Pułaski — obrzydzenie jest do wszelkiej tyranji, a zwłaszcza do cudzoziemskiej — więc, gdzie tylko na kuli ziemskiej biją się o wolność, tam jest jak gdyby nasza własna sprawa.

Bez długiego namysłu podążył Pułaski na drugą półkulę z wiernym towarzyszem wygnania, Rogowskim.

Zaraz po przybyciu w szczęśliwszych od Kościuszki znaleźli się warunkach.

Za pośrednictwem Lafayette'a dostali się do obozu i przedstawieni zostali Washingtonowi. Obóz ten wywarł na Pułaskim nadzwyczaj ujemne wrażenie. Była to raczej wieś ogromna, otoczona wałami i rowami, w której mieściła się armja amerykańska, licząca od 10 — 11 tysięcy ludzi. Armja ta, z powodu braku jednolitych mundurów, podobna była raczej do jakiegoś oddziału partyzanckiego, niż do armji regularnej. Większa część żołnierzy ubrana była w szare kurty, a niektórzy tylko w płócienne opończe; jedni w butach, drudzy w trzewikach, a niektórzy zupełnie boso — słowem lichota i zbieranina wielka, i gdyby nie karabiny i ładownice, łatwoby ich można było wziąć za spędzoną gromadę prostego chłopstwa.

Lecz zaraz po pierwszej bitwie Pułaski zmienił swe zdanie.

— Nie mają butów — rzekł do Rogowskiego — ale mają serca, a z tem, bracie, można iść daleko, choć i na bosaka.

Pułaskiego wysłano do Trentonu, gdzie miał pomagać Amerykanom w zwalczaniu wycieczek nieprzyjacielskich.

Tam też podążył Kościuszko, ażeby zobaczyć się z rodakiem.

Kościuszko i Pułaski, choć równego wieku, nie znali się z sobą w kraju, ale tu oto na cudzoziemskiej ziemi pokochali się mocno, przyjaźń dozgonną sobie obiecując.

Zasługą wielką Pułaskiego dla Ameryki była reorganizacja kawalerji, uczynienie z niej niezwyciężonej prawie jednostki bojowej. Miewał nieraz zatargi z władzami wyższemi, zwłaszcza, gdy zadraśnięto jego dumę szlachecką. Wracał jednak do służby, aż wreszcie znalazł się pod Savannah, miastem oblężonem przez angielskiego generała.

Z małym oddziałem kawalerji puścił się obces w lukę między okopami angielskiemi, żeby wpaść w środek miasta i tym sposobem zrobić nieprzyjaciołom dywersję, a mieszkańcom uciechę.

„Pułaski krzyknął: naprzód! — pisze Rogowski — a my za nim, w dwieście koni, kopnęliśmy się galopem, że aż ziemia się zatrzęsła. Pierwsze dwie minuty szło znakomicie: lecieliśmy, jak na stracenie, ale gracko, po polsku. Dopiero, gdyśmy mijali owe dwie baterje, między któremi była luka, wstrzymał nas ogień krzyżowy i zmieszał się hufiec. Padł Pułaski. Kula armatnia urwała mu nogę, a z piersi krew buchała, snadź od innego strzału. Żył jeszcze blisko godzinę, ale mówił tylko słowa przerywane: to o Polsce, to o przyszłości, to o jakiejś Franciszce".

Amerykanie miejsce, gdzie padł, upamiętnili wysokim obeliskiem; jest też w Georgji miasto, zwane Pułaski, a imię jego po dziś dzień jest wspominane w Ameryce ze czcią, obok imion najszanowniejszych twórców Unji.

Wojna toczyła się dalej .

Kościuszko położył wielkie zasługi w tym czasie, fortyfikując twierdzę West-Point.

Nadchodziły ciężkie bardzo czasy dla walczących o swą wolność Amerykanów. Szczupła armja znużyła się, a zasoby były na wyczerpaniu. Brakło pieniędzy, brakło żywności. Jakże musiał skromnie żyć ubogi pułkownik inżynierji! A jednak ze szczupłych zasobów swoich wspierał on jeszcze jeńców angielskich, którzy wdzięczną pamięć o tem zachowali.

Jeden z pamiętnikarzy we wspomnieniach swoich opowiada, co następuje: „W czasie wędrówek moich po Australji zachorowałem na febrę, pewien sklepikarz zabrał mnie do swego domu i zaopiekował się mną troskliwie, jako Polakiem, dlatego, że dziad jego, będąc żołnierzem angielskim, dostał się do niewoli i byłby zginął z głodu w West-Point, gdyby go własnym chlebem nie żywił polski generał „Koskcusko".

Wódz naczelny wyrażał się o nim jak następuje:

„Do liczby najużyteczniejszych i najmilszych dla mnie towarzyszów broni należał pułkownik Kościuszko. Z niczem nie daje się porównać gorliwość jego dla służby publicznej, a w rozwiązywaniu poważnych zadań, jakie się nam nastręczały wśród drobnej, ale czynnej wojny, nie mogło być nic pożyteczniejszego nad jego uwagę, czujność i staranność. Przy wykonywaniu zaleceń moich we wszelkich wydziałach służby zawsze był chętny, zdatny, słowem — nieprzystępny żadnej pokusie przyjemności, niestrudzony żadną pracą, nieustraszony wśród niebezpieczeństw. Bardzo się też wyróżniał bezprzykładną skromnością i zupełną nieświadomością tego, że dokonał czegoś niezwykłego. Nigdy nie objawiał żądań dla siebie samego i nigdy nie pominął sposobności odznaczenia i zalecenia cudzych zasług".

Przez cały rok 1782-gi znajdował się Kościuszko w polu, dowodząc tam oddziałami frontowemi wojska, przyczem poczynał sobie nader dzielnie.

Wreszcie w dniu 14 grudnia tegoż roku Charleston oddane zostało Amerykanom.

Radość panowała ogólna, a jednoczyły się w niej wszystkie Stany.

W uczczeniu zaś zasług Kościuszki Kongres wydał następującą rezolucję:

„Postanawia się, że sekretarz wojny ma wydać pułkownikowi Kościuszce patent na szarżę generała-brygadjera i oświadczyć temu oficerowi, że Kongres jest przejęty wysokiem uznaniem dla jego długich, wiernych i cennych wielce zasług".

W dniu 23 grudnia 1783-go r. Washington złożył uroczyście w ręce Kongresu całą władzę swoją, poczem, pożegnawszy się z oficerami, odjechał do wiejskiej siedziby, by miecz zamienić na lemiesz.

Kościuszko mógł iść w jego ślady, gdyż miał przyznany sobie kawał ziemi w Ameryce, lecz wszystko ciągnęło go do Ojczyzny, którą opuścił przed ośmiu laty.



Kazimierz Pułaski

WŁADYSŁAW REYMONT

NA KRAKOWSKIM RYNKU

Nad miastem wisiały postrzępione mgły, przez które tu i owdzie przedzierały się błękitne płaty nieba i wały białych chmur, a chwilami słońce blade, niby opłatek. Dzień podnosił się pogodny, od pól pociągał wilgotny chłód, przejęty surowym oddechem ziemi, a chociaż po ogrodach i głębokich fosach leżały jeszcze kupy szczerniałych śniegów, już pierwsza wiosna pachniała w dziwnie słodkiem powietrzu. Ptaki świergotały po nagich drzewach i blankach murów, a coś niepojęcie radosnego dźwięczało w głosach i zdawało się rozpierać wszystkie serca. Snać i te wiośniane podmuchy zrobiły swoje, by Kraków przybrał zgoła niezwyczajny wygląd, gdyż tłumy, świątecznie wystrojone, burzliwe i wesołe, wyległy ze wszystkich domów. Każda z ulic stawała się szumiącym strumieniem, którym mrowia ludzkie spływały w główny rynek, jakoby w morze rozburzone, sfalowane i tysiącami głosów bijące.

A nad zlewiskiem, ujętem w cembrowiny prawiecznych kamienic przedziwnej struktury, Marjackie wieże strzelały w błękity, wynosiły się spiętrzone dachy i attyki, misterne zręby Sukiennic, strażowała potężna wieża ratuszowa, i jakoby w czas przypływu mewy, tak kołowały nad głowami stada białych gołębi. Widok był cudny, do zastanowienia zmuszający.

Martwe zazwyczaj miasto budziło się z długiego snu i na głos powinności ojczyźnie stawało do apelu. Bowiem wielkie polskie święto miało się obchodzić na tym prastarym rynku, wpośród

tych murów odwiecznych, które widziały Łokietków, widziały Kazimierzów, widziały Jagiellonów, widziały Batorych i Sobieskich, gdzie przed długie wieki srebrne surmy rozgłaszały chwałę zwycięstw, gdzie odprawowały się hołdy pruskie i moskiewskie, gdzie koronacyjne pochody, triumfalne wjazdy, zasługi bohaterów i wielkość Rzeczypospolitej świeciły nieśmiertelnemi blaski, gdzie snuły się nieprzeliczone pokolenia, gdzie przepływały czasy świetności, zarówno jak i klęsk, gdzie każdy kamień przemawiał głosem przeszłości. Pod Wawelskiem wzgórzem miał znowu zahuczeć Zygmuntowski dzwon na zmartwychpowstanie.

Tłumy narastały z minuty na minutę i gwary były już jednym ogromnym szumem, z którego tu i owdzie wydzielały się strzeliste okrzyki nawoływań, dźwięki jakowychś trąb, to nawet piosenki, niewiadomo, przez kogo rzucane. Że zaś ruch kołowy był powstrzymany, tem głośniej słyszały się wrzawy, tupoty kroków i tysiączne pogłosy i dzwony.

Jakoś po dziewiątej, gdy Marjacki hejnał prześpiewał, cechy krakowskie zaczęły ściągać na rynek. Szły w ordynku, ze sztandarami na przedzie i odznakami, a przy odgłosie trąb i wtórze dzwonów, ustawiały się pod ratuszem.

Nieco z boku wzięła miejsce żydowska deputacja: siwe brody, kunie kołpaki, atłasowe chałaty i białe pończochy znacznie ich wyróżniały.

Ciżby tak gęstniały, że między Sukiennicami, ratuszem a połacią domów przeciwną niesposób się było przecisnąć. Niekiedy tłumy kolebały się gwałtownie i parły ku ulicy św. Anny, skąd miał się ukazać Kościuszko.

Uwagę powszechności ujarzmiała coraz gorętsza chęć zobaczenia Wodza. Jakoż i nadeszła ta chwila, gdyż przed samą dziesiątą zagrały bębny.

— Idzie! Kościuszko! Cicho, mospanowie! Cicho! — zawrzały różne głosy.

Tłum nagle przycichnął, zwarł się w jednym dreszczu, serca załomotały, a oczy wszystkich poniosły się w jedną stronę.

Bębny warkotały coraz bliżej, potem trąby wrzasnęły niebosiężnemi głosy, huknęła sfornie wojskowa kapela i z ulicy



Wojciech Kossak Przysięga Tadeusza Kościuszki na rynku krakowskim

św. Anny wypłynęła wielka chorągiew i niby amarantowy obłok, powiała nad głowami. Biały Orzeł, — rozwijając władcze skrzydła, unosił się coraz wyżej. Niezmierny krzyk wstrząsnął powietrzem i ustokrotniony odbiciem o mury, bił pod niebo niemilknącemi długo echami. Zadygotała ziemia pod ciężkiemi, mierzonemi krokami żołnierzów.

— Miejsca! Na strony! Na strony! — padły rozkazy i w mgnieniu oka uczyniła się przed wojskiem szeroka, pusta ulica. Błysnął gęsty las bagnetów, zażółciły się rabaty, rozbłysły mosiężne blachy u kapeluszów. Na czele, pod chorągwią, postępował Kościuszko w asyście oficerów i cywilnych. Kiedy znaleźli się nawprost wylotu Szewskiej, bataljon rozłamał się na cztery części i, utworzywszy wielki czworobok, stanął z bronią u nogi. Wtedy wszystkim oczom odsłoniła się postać Kościuszki.

Stał w pośrodku wojsk i ludu, wyniosły, surowy, wielki, jakoby posąg wszystkiej Polski, zjawiony tęskniącym oczom w tej cudów godzinie.

Właśnie słońce wybłysło z poza chmur, otaczając go złocistą glorją majestatu, zaś z piersi tysięcy wybuchnęły grzmiące okrzyki. Jakoby szał ogarnął ciżby, wrzeszczano ze wszystkiej mocy, machano rękami, a z okien i balkonów, z galerji Sukiennic i ratusza powiewano chustkami, rzucano kwiaty, płakano.

Lecz kiedy bębny nakazały spokój, zaległa taka cisza, że słychać było trzepotanie chorągwi i wystraszony lot uciekających gołębi.

Odczytano akt powstania obywateli i mieszkańców województwa krakowskiego, a gdy wygłoszono słowa:

„Obieramy i uznajemy niniejszym aktem naszym Tadeusza Kościuszkę za najwyższego i jedynego Naczelnika i rządcę całego zbrojnego powstania naszego...", jakoby orkan się zwalił i wybuchnął wszystkiemi potęgami żywiołów.

— Niech żyje Kościuszko! Wiwat! Niech żyje Naczelnik! Niech żyje!

Uczynił się nieopisany zamęt, ledwie kordony żołnierzów odparły napór uderzających ciżb. Wzdymali się, niby morze do dna rozburzone i rozszalałemi falami bijące. Wszystkie gło-

sy, wszystkie spojrzenia i wszystkie czucia, pijane uniesieniem radości, leciały pod stopy Naczelnika. Burze okrzyków, tysiączne wołania, gdzie już płacze radości, gdzie jeno ręce wzniesione, gdzie twarze zalane łzami zachwyceń, gdzie rozwiedzione ramiona, gdzie oczy obłąkane w szczęściu nadludzkiem — dawały słaby jeno obraz tego, co się działo w sercach i umysłach.

Trwało to pewien czas, aż znowu twardy warkot bębnów nakazał milczenie.

Naczelnik wystąpił na środek czworoboku; wyrwana z pochwy szabla zamigotała w słońcu, podniósł ją w górę i z oczami wzniesionemi, podobien do archanioła wzniosłością oblicza, przysięgał narodowi:

— „Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu narodowi polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi, Panie Boże, dopomóż i niewinna męko Syna Jego...".

Przestał, tocząc dokoła wniebowziętemi oczami.

Pochyliły się przed nim sztandary, wojsko sprezentowało broń, kapele uderzyły triumfalną fanfarą, zadzwoniły we wszystkich kościołach dzwony, ze wszystkich piersi wyrwał się krzyk niezmierny i Zygmutowski dzwon zahuczał, aż zadygotały mury: bił zwolna, głosząc uroczyście dalekim ziemiom i miastom i morzom i górom i ludom, całemu światu i wszystkiej Polsce zmartwychpowstania godzinę.

. . . .

Naczelnik otoczony ciżbami, ruszył na ratusz podpisywać akt powstania.

ADAM MICKIEWICZ

KONCERT JANKIELA

Jankiel z przymrużonemi napoły oczyma
Milczy i nieruchomo drążki w palcach trzyma.
Spuścił je, zrazu bijąc taktem triumfalnym,
Potem gęściej siekł struny jak deszczem nawalnym;
Dziwią się wszyscy, — lecz to była tylko próba,
Bo wnet przerwał, i w górę podniósł drążki oba.

Znowu gra: już drżą drążki tak lekkiemi ruchy,
Jakgdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.
Spojrzał zgóry, instrument dumnem okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:
Zdumieli się słuchacze...
Razem ze strun wiela
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki.
Brzmi Polonez Trzeciego Maja! — Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją —
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
Zgodzonego z narodem króla fetowali;
Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat Król kochany!
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża,
A wtem puścił fałszywy akord jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dreszczem
I wesołość pomięszał przeczuciem złowieszczem.
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodję zmąca,
Coraz głośniej targając akord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany.
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: „Znam! znam głos ten! To jest TARGOWICA!
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...
Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca,
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów.

Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów,
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek. — Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
RZEŹ PRAGI, którą znały z pieśni i z powieści,
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkiemi
Zagrzmiał, i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna: — znów zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche, kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.
Lecz strun coraz przybywa, już rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legjony,
I już w takt postępują zgodzonemi dźwięki,
Tworząc nutę żałosną tej sławnej piosenki
O żołnierzu tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,

A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze, wiara się skupiła
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosenkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata,
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając, smutnie pochylili głowy!

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia, coś innego głosi.
I znowu spojrzał zgóry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz triumfalny: Jeszcze Polska nie zginęła.
Marsz Dąbrowski do Polski! — I wszyscy klasnęli,
I wszyscy „Marsz Dąbrowski" chórem okrzyknęli!

29.XI.1830.

Opadły resztki dymów wojen napoleońskich i świat zapadał w martwą odrętwiałość, a wówczas obywatel polski ujrzał wkoło siebie ruiny. Jak sen minęły piękne marzenia o odbudowaniu wolnej ojczyzny: pod znakiem obcej woli rozpoczynał naród nową erę życia.

Konstytucja, którą car, jako król polski, ogłosił, zapowiadała zgóry, że Królestwo Polskie na wieki zostaje połączone z Cesarstwem, ale obok tego gwarantowała Polakom ustrój odrębny i całkowitą samodzielność wewnętrzną.

Ale już pierwsze zarządzenia nowego króla przyniosły rozczarowanie.

Na namiestnika Królestwa, a więc najwyższy w kraju urząd, opinja publiczna przeznaczała księcia Adama Czartoryskiego, a na czele wojsk chciała widzieć Kościuszkę. Tymczasem, ku powszechnemu zdumieniu, naczelnym dowódcą wojsk polskich został brat cesarski, Wielki Książę Konstanty, który nie budził w nikim zaufania. W ruchliwej jego twarzy było coś dziwacznie śmiesznego i okrutnego zarazem. Patrząc na tę twarz, każdy odczuwał, że W. Książę łatwo zapala się gniewem i że gniew jego musi być straszny. Zasady konstytucyjne ciążyły mu jak kajdany. Więc zaczął je rozluźniać i szarpać, a w tem dziele niszczenia konstytucji tajny senator rosyjski, Nowosilcow, okazał się najlepszym pomocnikiem.

Rozpoczęły się w Królestwie rządy samowoli.

Słynne przeglądy wojska na placu Saskim w Warszawie stały się torturowaniem żołnierzy i oficerów. Najmniejsze uchybienie przepisom wojskowym wprawiało W. Księcia w stan niesłychanego rozdrażnienia.

Tymczasem w armji polskiej przechowywało się wysokie pojęcie honoru. Starzy żołnierze z zaciśniętemi zębami znosili tyranję naczelnego wodza, a oficerowie, nie mogąc znieść wyrządzanych im obelg, podawali się do dymisji. Kilku szlachetnych młodzieńców, nie chcąc żyć po doznanych zniewagach, odebrało sobie życie.

A za plecami W. Księcia knował swe intrygi Nowosilcow i powoli, lecz systematycznie doprowadzał kraj do rozpaczy...

Intrygant ten poprzysiągł sobie zniszczyć odrębność Królestwa i połączyć je w jedną całość z Cesarstwem. Swoją krecią robotę rozpoczął od zorganizowania policji tajnej i wprowadzenia do wszystkich sfer życia systemu szpiegowskiego. Niepokój ogarnął kraj cały, życie stawało się duszne, ciężkie.

W roku 1819 powstała głośna później organizacja pod nazwą Wolnomularstwa Narodowego. Twórcą tej organizacji był major czwartego pułku linjowego, Walerjan Łukasiński, człowiek o duszy czystej i pięknej, obdarzony niezłomną wolą i hartem, a cały przeniknięty myślą o odbudowaniu ojczyzny. Wolnomularstwo Narodowe miało pozory legalności, ale dążyło do tego, aby cały naród ożywić jednym buntowniczym duchem i wrócić Polsce niepodległość. Organizacja ta została wkrótce zamknięta, ale Łukasiński nie składał broni i, nie myśląc wyrzekać się konspiracji, utworzył w r. 1821 nowy spisek, ściślejszy i złożony z ludzi zaufania, a znany pod nazwą Towarzystwa Patrjotycznego.

Policja tajna często wpadała na tropy sprzysiężenia, ale dopiero w r. 1822 aresztowany został Łukasiński i, oskarżony o zbrodnię stanu, wtrącony do lochu. Dwa lata nękano go i dręczono, lecz twórca Towarzystwa milczał, jak grób, nic nie powiedział i nikogo nie wydał. Wbrew istniejącym prawom oddano Łukasińskiego na dziesięć lat ciężkiego więzienia.

Spiski, pociągając w swój wir ludzi starszych, szerzyły się jednocześnie i śród kształcącej się młodzieży. Upokorzenia, jakich doznawał naród, odczuwała ona głęboko, a nie mogąc jawnie uczuć swych wyrażać, zaczęła naradzać się szeptem i skrycie marzyć o odbudowaniu utraconej ojczyzny.

Jednocześnie z budzeniem się nowych uczuć i nowych pożądań powiał świeży wiatr i w literaturze ojczystej. Adam Mickiewicz rzucił był właśnie w świat swą słynną Odę do młodości i tym grzmiącym utworem, nawołującym do śmiałego czynu i do odpowiadania gwałtem na gwałt, ujarzmił wyobraźnię swego pokolenia.

Na widownię wystąpić mieli niebawem podchorążowie.

Byli to młodzi żołnierze, którzy, służąc w szeregach, dosłużyli się stopnia podoficerskiego, a pilnem wypełnianiem swoich obowiązków zwrócili na siebie uwagę zwierzchności. W. Ks. Konstanty postanowił kształcić tych młodych ludzi i przygotować ich na dzielnych, dobrze znających swoje rzemiosło oficerów. W tym celu utworzył szkołę, w której podchorążowie ćwiczyli się we władaniu wszelką bronią i zdobywali wiedzę fachową.

Szkoła mieściła się w jednej z oficyn pałacu Łazienkowskiego w Warszawie. Nikt nie wiedział, że W. Książę tuż pod swoim bokiem umieścił najstraszniejszych swych wrogów, że te młode dusze, skazane na atmosferę koszar, przenika ogień uniesienia patrjotycznego, że głowy podchorążych płoną i roją o czynach wielkich a śmiałych.

Marzenia te, początkowo niejasne i nieokreślone, znalazły ujście w tajnem sprzysiężeniu, zwanem Spiskiem podchorążych.

Spisek ten utworzył w grudniu 1828 r. podporucznik grenadjerów gwardji, a zarazem instruktor w szkole podchorążych, Piotr Wysocki. Była to płomienna dusza, gotowa do największych poświęceń.

Spisek rósł szybko w siły i znaczenie, w szeregach spiskowców znalazło się wkrótce wielu oficerów z różnych pułków, konsystujących w Warszawie i na prowincji, a zczasem do spisku przyłączyło się grono cywilne, gotowe oddać swe siły na usługi sprawy.

Dzień 29 listopada 1830 r. przeznaczony został na rozpoczęcie wybuchu.

Zbliżał się wieczór i mrok począł otulać miasto. Spiskowcy, ukończywszy przygotowania, podążyli na umówione stanowiska i w niezmiernem naprężeniu oczekiwali uderzenia godziny szóstej, która wyznaczona została na rozpoczęcie kroków stanowczych. Łuny pożarów, jednego na Solcu, drugiego na Nowolipiu,

Piotr Wysocki



miały wezwać spiskowców do dzieła i oznajmić stolicy o powstaniu.

Dwa główne zadania mieli przed sobą sprzysiężeni.

Jednem z nich było pochwycenie lub zabicie W. Księcia, drugiem — rozbrojenie wojsk rosyjskich. Jednocześnie garść spiskowców miała poruszyć lud Starego Miasta, a wojskowi, po dokonaniu rozbrojenia, skoncentrować w jednem miejscu wszystkie pułki polskie, na które można było liczyć.

W Belwederze panowała cisza.

W. Ks. Konstanty spał spokojnie, nie przeczuwając, co się święci tego wieczora. Naraz na dziedzińcu przed książęcą siedzibą rozległy się przerażające okrzyki, jęknęły szyby pałacowe i rozprysły się z trzaskiem, jacyś ludzie wyważyli drzwi i jak huragan wtargnęli do komnat, wołając strasznym głosem:

— Śmierć tyranowi!

Budzi się Konstanty, słyszy hałas i złowróżbne okrzyki, zrywa się na równe nogi i, podtrzymywany przez kamerdynera, biegnie do pokojów żony i w otoczeniu kobiet szuka dla siebie ratunku.

Tymczasem oddział sprzysiężonych, wpadłszy do wnętrza pałacu, przebiega jeden pokój po drugim, lecz nigdzie nie znajduje oporu. Wtem od tyłów pałacu, na które napadła inna grupa spiskowców, rozlega się okrzyk:

— Wielki Książę zabity!...

Wówczas pierwszy oddział przerywa dalsze poszukiwania i z tą samą szybkością, z jaką wpadł, wybiega z pałacu. Lecz cóż się okazało? Oto wkrótce przed napadem przyjechał do Belwederu generał rosyjski. Usłyszawszy groźne okrzyki, rzucił się do tylnego wyjścia i jak kula wpadł pomiędzy oddział, pozostawiony na straży tyłów pałacowych. Spiskowcy, dostrzegłszy w ciemnościach mundur generalski, wzięli uciekającego za W. Księcia i przeszyli pierś generała bagnetem.

Po chwili cały ten oddział spiskowców cywilnych połączył się i szybkim krokiem zmierzał do mostu Łazienkowskiego.

A w tym samym czasie, gdy W. Książę szukał dla siebie schronienia w pokoju żony, do szkoły podchorążych wszedł Piotr Wysocki, przerwał odbywający się o tej porze wykład, i, dobywając szpady, zawołał grzmiącym głosem:

— Polacy! godzina zemsty wybiła. Dzisiaj zwyciężymy, albo polegniem...

W sali zapanował entuzjazm.

— Do broni! do broni! — odpowiedzieli mu hucznym głosem podchorążowie, pochwycili karabiny, rozebrali ostre ładunki, wypadł ze szkoły i w mgnieniu oka sformowali się w ordy-

nek bojowy. Teraz szli się odpłacać za długą naukę na Saskim Placu! Na czele kolumny postępował Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej. Noc ciemna nie pozwoliła zorjentować się wojskom rosyjskim, ilu nieprzyjaciół mają przed sobą, i podchorążowie z łatwością mogli opanować koszary. Wysocki dał rozkaz do odwrotu i cały oddział cofnął się w kierunku Łazienek. Spotkawszy po drodze spiskowców belwederskich, podchorążowie zabrali ich z sobą i razem ciągnęli ku miastu. Strzelając do zastępującej im drogę konnicy, to robiąc sobie przejście bagnetem, dostali się w Aleje i, trupem usławszy drogę, wpadli nareszcie do miasta.

Ulice były puste. Mieszkańcy, przestraszeni wrzawą i kursującemi pogłoskami, zamykali okiennice, ryglowali sklepy.

— Do broni! do broni! — wołali podchorążowie.

Odpowiadała im cisza.

Wreszcie po kilku drobnych utarczkach podchorążowie przyszli pod arsenał. Teraz dopiero otoczył ich gwar miasta, ruch i ożywienie. Do arsenału ciągnęły oddziały wojska polskiego, prowadzone przez należących do spisku oficerów, a ze Starego Miasta dążył lud warszawski, żądny broni i walki. Rozbito arsenał i uzbrojono mieszczaństwo. Powstanie, w pierwszych swych krokach niepewne i chwiejne, poważną zaczęło przybierać postawę. Było zbuntowane wojsko, był lud uzbrojony, tworzyła się siła, rewolucyjna i groźna, rosnąca nieustannie i nabierająca zaufania do sprawy.

Tymczasem W. Ks. Konstanty ochłonął z pierwszego strachu i, namawiany przez generałów, którzy doń przybyli, ruszył w Aleje Ujazdowskie, gdzie zgromadzono już całą jazdę rosyjską. Namawiano W. Księcia, aby uderzył na powstańców, ale Konstanty stracił głowę, a szmer zbuntowanej stolicy napełniał go przerażeniem. Więc stał bezczynnie i z trwogą wlepiał swe oczy w zbuntowane miasto. Wreszcie po długich wahaniach wyprawił ku miastu pułk strzelców konnych. Ci zajęli Nowy Świat i przylegające ulice, lecz przekonawszy się, że powstańcy za-

garnęli całą przestrzeń od Placu Bankowego aż po Plac Zamkowy, zatrzymali się niepewni, to posuwając się ku Krakowskiemu Przedmieściu, to cofając się aż w Aleje...

Dobrze po północy strzały ucichły.

Na ulicach i placach zapłonęły ogniska, rzucając krwawe światło na zgromadzony lud i żołnierzy, a zgiełk orężny pomieszał się z odgłosami patroli, wysuniętych poza linię dwu wojsk nieprzyjacielskich.

Tak się zaczęła wojna o niepodległość w r. 1830.



Photo-Plat Belweder

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

Wielki poeta polski z końca 19-go i początku 20-go stulecia, Stanisław Wyspiański, przedstawia w utworze dramatycznym p. t. Noc Listopadowa wypadki rzeczywiste, które miały miejsce w noc wybuchu powstania, t. j. 29-go listopada 1830 r. i obrazy fantastyczne, które w jego wyobraźni wiązały się z tą chwilą. Namiestnik Królestwa Polskiego, brat cara, W. Książę Konstanty, przypadkowo uratowany po napadzie sprzysiężonych na siedzibę jego, Belweder, wypuszcza z lochu więźnia, twórcę spisku, nazwanego Towarzystwem Patrjotycznem. Niżej podany urywek z „Nocy Listopadowej" odtwarza uczucia tego męczennika polskiej wolności.

ŁUKASIŃSKI

W. KSIĄŻĘ (wskazuje)
Ot, wiodą go straże!

WALERJAN ŁUKASIŃSKI (ślepy, w łachmanach, w kajdanach na nogach i rękach, wchodzi, prowadzony przez straż).

STRAŻ (wiąże Łukasińskiego do armaty; zdejmuje mu kajdany z nóg).

(słychać dzwony z Warszawy).

W. KSIĄŻE (idzie ku głębi, dosiada konia).

STRAŻ (oddala się od Łukasińskiego).

ŁUKASIŃSKI: (poczuł, że straż już się odeń oddaliła).
I poczuł, że chwila wolności nadeszła,
ta chwila, w której go wiodą;
choć skuty w kajdany,
do działa związany,
to jednak ci jego wrogowie,
jak tchórze tej chwili
zadrżeli, zwątpili, —
powietrze czuć swobodą.

I poczuł, że bracia
wzlecieli orłowie,
wzlecieli tam, w Warszawie;
że dzwony, co biją,
wieść niosą gloryją,
że wstali bohaterowie.

„Wytrwania! Wytrwania,
o, dajże im, Boże,
niech siły ich się nie zmarnią!
Bądź srogie więzienie
wieczyste me łoże
i żywot jedyną męczarnią!
Niech wloką, niech wloką,
niech w lochy zakują,
niech sępy żreją me ciało,
by ino tym braciom,
co dzwonią w Warszawie,
zwycięstwo się walki dostało!“.

I dłonie przed siebie wyciąga i słucha,
wiew każdy powietrza czuje,
i twarz mu się mieni;
w zachwycie jest ducha,
spełnione dzieło zgaduje.
Uklęka, — łzy cieką,
pierś łkaniem się wstrząsa,

radością płonie oblicze, —
i szepce, a trudno mu słowa się wleką,
modlitwy łka tajemnicze:

„O, pójdziesz ty kiedyś,
mój duchu, na gody
za kaźń twą, żywota gorycze!
W tych dzwonach z Warszawy
do ciebie to gońce:...".

Witaj — Jutrzenko — swo - bo - dy — —
za to - bą –- zba - wie - nia — Słońce!...
(powstaje).



Walerjan Łukasiński

JAN CZARKOWSKI

PIERWSZY WYKŁAD

W mieszkaniu przy ulicy Amsterdamskiej w Paryżu panował ruch i zamęt. Pani Celina Mickiewiczowa nerwowo krzątała się po pokojach, pomagając mężowi w przygotowaniach do wyjścia. Poeta siedział jeszcze przy biurku i przeglądał notatki przed wykładem. Potężne jego czoło, ozdobione wieńcem bujnych włosów, pocięły fałdy troski i wysiłku. Przez wpółotwarte drzwi widać było w sąsiednim pokoju małą pięcioletnią dziewczynkę, która cichutko bawiła się lalką.

Pani Celina weszła do gabinetu, niosąc laskę i nowy kapelusz.

— Adamie, jest już po pierwszej.

Wyszli do przedpokoju. Służąca pomagała profesorowi włożyć palto, niepierwszej już świeżości.

— Zawiążę ci chustkę na szyję, bo zimno.

Milczeli przez chwilę.

— Jak zdrowie Włodzia? — zapytał profesor.

— Dzisiaj czuje się doskonale, ale powietrze lozańskie lepiej służyło nam wszystkim. Cóż mówić o dzieciach, kiedy ja sama zachorowałam, i to w takiej chwili, gdy tobie ze względu na objęcie katedry w Paryżu potrzebny był jak największy spokój. Wciąż jeszcze nie mogę przyjść do siebie. W Szwajcarji bylibyśmy szczęśliwsi...

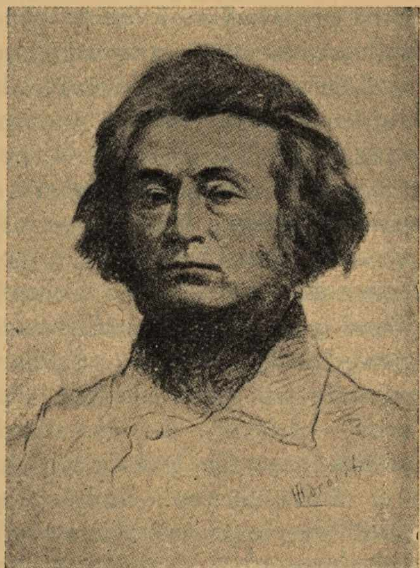
— Moja droga, nie powracajmy do tych spraw...

— Ależ wiem, że postąpiłeś tak, jak należało, i bynajmniej nie chcę cię zasmucać. Dzień dzisiejszy, w którym po raz pierwszy przemówisz do całego świata, wynagrodzi nas za wszystko.

— Cudzoziemiec na katedrze paryskiej! Pamiętasz wczorajsze rozmowy z naszymi przyjaciółmi. Nie ufają mi nietylko Francuzi, lecz i własni rodacy.

— Cóż znowu, Adamie? Któżby mógł o tobie powątpiewać?

—Ty pierwsza! — odparł profesor.



Adam Mickiewicz
portret Horowitza

Pani Celinie słowa zamarły na ustach.

— Będę się modliła za twoje powodzenie...

Po chwili profesor opuszczał mieszkanie. Dorożkarz czekał przed domem i poeta zajął miejsce w powozie, zalecając pośpiech. Postanowił wysiąść przed Sekwaną i zażyć ruchu, aby opanować wzburzenie wewnętrzne. Wobec słuchaczów musiał stanąć z umysłem jasnym, musiał skupić całą wolę, aby ujarzmić uwagę otoczenia i podporządkować je tej wielkiej idei, dla któ-

rej rzucał wygodne, spokojne stanowisko profesora starożytności w Lozannie i pogrążał się w wir życia paryskiego. Było chłodno i mglisto. Zamyślony poeta wodził nieuważnem spojrzeniem po szarych postaciach przechodniów, podobniejszych do cieni, niż do żywych ludzi. Uderzył go odświętny wygląd sklepów, ozdobionych świeżą zielenią, co stanowiło dziwny kontrast z bezbarwnem tłem.

— Prawda, — przypomniał sobie profesor — za dwa dni wigilja Bożego Narodzenia, dzień urodzin i imienin Adama, jego własnych imienin. Któreż to urodziny? Jest 22 grudnia 1840 roku, a on przyszedł na świat w roku 1798. Ma więc za sobą 42 lata radości i smutków, zawodów, oczekiwań. A jednak dzieciństwo wydaje się wciąż tak świeże i bliskie! Może dlatego, że wśród swoich spędzone. Wciąż w oczach stoją w zieleń spowite domy rodzinnego Zaosia, pagórki, pokryte kolorowemi łanami zbóż, lasy i bory odwieczne, błękitna toń Niemna i Wilji, tysiące uroków i piękności, które poeta odmalował w swoim największym utworze, „Panu Tadeuszu". A oto poważna postać ojca Mikołaja, komornika mińskiego, i dobrotliwe oblicze matki. W uszach brzmi gwar licznego rodzeństwa, pieśni ludowe piastunki, bajki gawędziarzy wiejskich, melodje prządek przy kołowrotku. Przewija się we wspomnieniach długa galerja znajomych. Ileż to braci — szlachty, zarówno szaraczków, jak karmazynów gościło w nowogrodzkiej kancelarji pana komornika!

Fiakr zatrzymał się i profesor otrząsnął się z zadumy. Wysiadł i pośpiesznym krokiem zdążał do dzielnicy łacińskiej, w której mieszczą się wszystkie wyższe uczelnie Paryża. Na moście zatrzymał się i przez chwilę spoglądał w zielonkawą toń Sekwany. Pochylił nisko głowę: szybciej, niż fale rzeczne mijają pogodne lata dzieciństwa. Wraz ze starszym bratem Franciszkiem chodzili do szkoły w Nowogródku. Nazwisko poety zostało niebawem wydrukowane po raz pierwszy — na liście uczniów celujących. Na pauzach dzielono się na partje i urządzano walki husarzy z niewiernymi. Może nie przypadkowa była ta dziecięca zabawa, w której urabiały się dusze przyszłych wodzów i żołnierzy...

Zimny wiatr powiał od rzeki i poeta ruszył dalej. W myślach stanął mu rok 1812, rok wyprawy Napoleona na Rosję. Przeżył wtedy najszczęśliwszą wiosnę swego życia, wiosnę wolności i uniesienia. Zbyt krótko trwały chwile radości. Przyszła śmierć ojca, a potem — po okresie trwożnych oczekiwań — powróciły żałosne niedobitki wielkiej armji. Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie przed dwoma tygodniami Francja sprowadziła do ojczyzny zwłoki wielkiego cesarza.

Poeta zatrzymał się. Ujrzał prastary budynek Collège de France. Odczytał napis łaciński: „Docet omnia" — uczy wszystkiego. Przed laty z podobnem nieco uczuciem wstępował w mury uczelni wileńskiej. Wykładali w niej wówczas sławni uczeni: znawca filologji, Groddek, historyk Lelewel, bracia Śniadeccy i tylu, tylu innych. Profesor słyszy przez okna gwar głosów młodzieńczych. Może za chwilę pojawią się twarze przyjaciół młodości? Jeżowski, Zan, Czeczott i inni druhowie poety zakładają związki filomatów i filaretów dla pogłębienia wiedzy i uczuć narodowych. Adam staje się ich dumą i piewcą... Mimowoli zaczyna szeptać gorące słowa „Ody do młodości".

Koło murów przesunęła się młoda dziewczyna z teczką pod pachą, zmierzająca na wykład. Twarz wydała się jakby znajoma. Serce poety zabiło żywiej; powiało zeń tchnienie pierwszej miłości...
Ale ukochana była córką zamożnego rodu, więc po krótkiem upojeniu przyszła okrutna rzeczywistość: Maryla oddała rękę innemu. Rozpacz wstrząsnęła Adamem; talent jego szybko dojrzał i zmężniał. Przywiązanie do stron rodzinnych oraz miłość dla Maryli wydają zbiór ballad, rozmaitością nastrojów podobny do kwiecia łąk nadniemeńskich, oraz „Dziady", ów gwałtowny wybuch gniewu, żalu i bólu...

Profesor wzdrygnął się i przez otwartą bramę wstąpił wgłąb budynku. Przywitał się z zarządcą, który, zamieniwszy z nim kilka słów, wprowadził go do pokoju profesorskiego. Przy oknie stał mężczyzna o zimnem przenikliwem spojrzeniu.

— Pan Letronne, profesor anatomji — przedstawił go administrator.

Mickiewicz przypomniał sobie, że człowiek ten był głośny z doświadczeń na żywych zwierzętach. Spotkanie to wydało mu się złą wróżbą. Ogarnęło go uczucie smutku i obcości. Obaj panowie wkrótce wyszli i poczucie osamotnienia wzmogło się. Ale wnet poeta podniósł głowę wgórę. Obcość była dlań chlebem powszednim podczas długich lat tułaczki. Filaretów odkryto, rząd rosyjski wtrącił członków do więzienia. Adam znalazł się za niepopełnione winy na wygnaniu. Wędrował po Rosji od północy aż po Krym. Sława jego zataczała szerokie kręgi: tłumaczono jego wiersze na obce języki, otaczała go atmosfera czci i zachwytu. Ale on dusił się w kraju, rządzonym przez despotów carskich, i myślał o środkach walki. Poświęcił im utwór, który zatargał pokoleniem: „Konrada Wallenroda". Potem wyjechał na zachód...

Rozległ się dzwonek. To dobiegł do końca wykład znakomitego fizyka, Ampère'a. Studenci szybkim krokiem sunęli przez korytarz. Słychać było coraz głośniejsze hałasy.

Profesor przyciska dłonie do rozpalonych skroni. Stają mu w oczach dni klęski. Na odgłos dział powstańczych udał się w Poznańskie, by się przekonać, że wysiłek narodu okazał się daremny. Dziesiątki tysięcy uczestników powstania Listopadowego opuściły ojczyznę, udając się na tułaczkę. Duszę poety przepełnił ból nadludzki niezasłużonej krzywdy. Bunt! Władca świata, który obojętnie patrzy na mękę niewinnych ofiar, jest tyranem. Przez żyły raz jeszcze przelewa się ów żar, którym kipią nieśmiertelne „Dziady" drezdeńskie. Lecz zwyciężyła pokora i skrucha. Bóg tylko dumnym nie chce odsłonić prawdy, ale maluczkim daje niezłomną pewność, iż sprawiedliwość zwycięży.

Poeta wstaje nagle i prostuje się dumnie. Walki nie zaniecha, prowadzić ją będzie do ostatniego tchu. Stłumi niepewność, okaże twarz niezwruszoną, wejdzie na katedrę niby na szaniec bitewny, ugodzi ogniem słów — pocisków w piersi słuchaczów i rozbudzi w nich miłość dla świętego ideału braterstwa i wolności ludów.

Rozległ się ponownie dzwonek. Wszedł zarządca gmachu. Mickiewicz przechodzi przez korytarz i wąskiem przejściem

między ścianami i balustradą zmierza do katedry. Ogłusza go grzmot oklasków. Obrzuca spojrzeniem salę, wznoszącą się amfiteatralnie dogóry, i widzi, że jest przepełniona. Koło balustrady siedzą same znakomitości: Montalambert, głośny historyk Michelet, a obok nich — Adam Czartoryski i poeta Niemcewicz. Na dalszych miejscach widać znajome twarze przyjaciół. Wyróżniają się egzotyczni słowianie: Bułgarzy, Dalmac', Czarnogórcy. Jest i spora grupka Rosjan z głośnym pisarzem Turgeniewem na czele oraz kilkadziesiąt pań.

Oklaski powoli ucichły. Poeta zaczął mówić z pamięci głosem dźwięcznym i donośnym:

„Panowie! Te oznaki dobrego usposobienia dla mnie publiczności, złożonej w części z moich spółziomków, śród których widzę wielu moich przyjaciół, są mi drogie; ale nie mylę się, co naprawdę znaczą. Pokazują mi , że czujecie, jak mi potrzeba dodawać odwagi, czujecie trudność mego położenia. Istotnie, położenie to jest niebezpieczne... Jestem cudzoziemcem, muszę tłumaczyć się językiem, który nie ma nic wspólnego z tym, jaki zwyczajnie służy za organ moim myślom...".

Sala drgnęła. Wszystkich uderzyły akcenty prawdy i szczerości. A profesor tłumaczył dalej, że chcąc mówić o sztuce, trzebaby oddać w żywem słowie natchnienie, które kierowało twórcami. Lecz czyż można to osiągnąć bez opanowania wszystkich tajemnic języka, którym się przemawia? Cudzoziemiec narażony jest na to, że jedno niewłaściwe słowo czy zły akcent zniweczą cały wysiłek. „Wszystkie te trudy", mówił poeta, „są mi znajome. Za każdym ruchem, za każdem skinieniem czuję ciężar tego łańcucha, jak wy jego brzęk słyszycie...".

Słuchaczom dech zamarł w piersiach. Zrozumieli mękę wielkiego poety, posługującego się mową obcą miast tej, w której był arcymistrzem. W wielu oczach ukazały się łzy. Byli tacy, którzy chcieli wykład notować, ale wzruszenie wytrąciło im ołówki z rąk.

Słowa płynęły falą swobodną i bujną, choć zabarwione akcentem słowiańskim. Profesor przedstawiał ogrom materjału,

jaki mu wypadało ogarnąć. Wyliczał ludy słowiańskie, mówił o ich związku z Zachodem i o ich zasługach na polu nauki. Wspomniał o botaniku Zaluzińskim, który wyprzedził Linneusza, o Mikołaju Koperniku, który pierwszy pojął zasady świata słonecznego.

Za oknem rozległo się stukanie. To mularz dokonywał remontu budynku. Jeden ze słuchaczy wstał i pośpiesznie zamknął okno.

Wykład dobiegał końca. Profesor rozwinął myśl zespolenia się poważnionych narodów na gruncie piękna. Głos nabrał mocy, gdy wypowiadał ostatnie słowa:

„Literatura jest placem, gdzie wszystkie ludy słowiańskie znoszą płody swojej działalności moralnej i umysłowej, bez spychania się, bez wzajemnego wstrętu. Bogdajby to spotkanie się spokojne na tem pięknem polu było godłem ich zjednoczenia się w innym zawodzie...“

I znów zagrzmiały oklaski. To publiczność, poruszona do głębi, czciła w znakomitym poecie — wielkiego profesora literatur słowiańskich. Powoli, jakby niechętnie słuchacze zaczęli się rozchodzić. Niemcewicz, z białym jak śnieg włosem, zbliżył się do Adama i złożył pocałunek na jego czole, na co patrzano z szacunkiem. Książę Czartoryski uścisnął mu rękę w milczeniu.

ANTONI SŁONIMSKI

MICKIEWICZ

Cóżby się z wami stało, nierozumne drzewa?
Tartakby was pochłonął i pociął na deski,
I tyleby was było. Lecz w ziemi litewskiej
Razem z wami żył człowiek, który o was śpiewał.

Po zaściankach na Litwie różni Mickiewicze
Żyliby zwykłą pracą przykładnych Polaków.
Cóżby nas obchodziły te Tuchanowicze,
Któżby pamiętał imię córki Wereszczaków?

Po zaułkach wileńskich bracia filomaci
Przeminęliby nikłym, niepowrotnym cieniem.
Dzisiaj szukamy imion i serc tych postaci,
Które w historji On podmalował wzruszeniem.

Krzyk obłąkanej żony uszy mu rozdzierał,
I nie przestało krwawić przez złe, długie lata
Serce, które miłości naprzestrzał otwierał,
Serce, które jak gąbka piło gorycz świata.

Rozpinał swe ramiona nad ziemię ojczystą,
Płonął i w groźne urastał modlitwy,
Albo w tchnieniu tęsknoty przejrzyście i czysto
Cierpliwem piórem pisał krajobrazy Litwy.

Z miljona liter martwych, z książek rozmaitych,
Słów, co przez wargi szmerem płyną jednostajnym,
Nagle przy jego słowach, z pozoru zwyczajnych,
Czemu me serce staje jak zegar rozbity?

Chociaż poznałem ziemię, choć szukałem wszędzie,
I wędrówki dalekiej trud nie był daremny,
Przecież zawsze piękniejszy, zawsze droższy będzie
Tam na Litwie ukryty jakiś ogród ciemny.

Tyś mnie najpiękniejszemi przykuł łańcuchami,
Tyś dla mnie słowo pierwsze, pierwszy człowiek Adam!
Tyżeś mnie wyrwał z ziemi, uskrzydlił słowami,
I dumny jestem z mowy, którą i ja władam.

Żem już umaczał dłonie w Twoich słów potoku,
W wielkiej czystej miłości, w czystej wielkiej mowie!
Błogosławię dziś całe stujęzyczne mrowie,
Zbudzone ludy ziemi, wychodzące z mroku.

Ty, któryś w słowach krwiste tunele otwierał
I któryś wrzącą lawę przesączał przez wargi,
Gdy Cię na nędzny barłóg rzuciła cholera,
Jakieś miał troski w oczach? Jakie w sercu skargi?

Żyłeś wśród wiecznej męki i kochałeś wiele,
I na mnie część miłości Twej pewnie spłynęła.
Wiem, komu oddać miłość, wszystkie ziemskie dzieła,
Wiem, że w szczęściu ludzkości wszystkie nasze cele,
Razem młodzi przyjaciele!

Więc młody przyjacielu, nim cię zapał rączy
Porwie do walki z światem, klęknij na tym grobie,
Wiedz, że On się z za grobu z twoją wiarą łączy,
Że On na łożu śmierci myślą był przy tobie.

ADAM MICKIEWICZ

Z KSIĄG NARODU POLSKIEGO i PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO

Niech każdy składa talent swój Ojczyźnie, jako dar w skarbonę tajemnie, i nie mówiąc, wiele złożył. Przyjdzie czas, że się skarbona napełni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył.

Ale jeśli chwalić się będziecie, iż tyle a tyle złożyliście, tedy wyśmieją was ludzie, i poznają, żeście dawali talent wasz tylko dla chluby.

Zasługa dla Ojczyzny jest jako proch.

Kto proch szeroko rozsypie i podpali, zrobi mały błysk bez mocy, i huku, i skutku.

Ale kto proch zakopie głęboko, i podpali, tedy wywróci ziemię i mur z hukiem i skutkiem, a ludzie mówić będą: zaiste było tam wiele prochu; chocia było niewiele, ale w zakopaniu głębokiem.

Przetoż i zasługa głęboko schowana pokaże się sławnie; a kto ją tak schowa, że się na tym świecie nigdy nie pokaże, tedy ukaże się w wieczności, i huk jej będzie nieskończony, i blask jej nigdy niegasnący, i skutek jej na wieki.

Zasługa dla Ojczyzny jest jako ziarno: kto obnosi to ziarno w ręku, i wszystkim pokazuje, wołając: oto jest ziarno wielkie, tedy wysuszy je, i nic z niego nie otrzyma.

A kto zakopie ziarno w ziemię, a czeka cierpliwie kilka tygodni; tedy ziarno wyda roślinę.

Ale kto schowa ziarno w kłosie na rok przyszły, na życie przyszłe; ten otrzyma ziarn sto, a z tych stu tysiące tysięcy. A przeto, im kto dłużej czeka nagrody, tem większą weźmie; a kto jej tu nie weźmie, tam weźmie największą.

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: waleczni byliśmy, a nie mamy starszeństwa i znaku? A czyż walczyliście dla starszeństwa i znaku? Kto dla starszeństwa i znaku walczy, niech idzie do Moskala.

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: oto ten, który stoi na prawo, lękliwy jest, a wziął znak; oto ten, który stoi na lewo, niemądry jest, a wziął starszeństwo? A czyliż żołnierz dobry, biegąc na nieprzyjaciela, ogląda się na prawo, na lewo? Nie ogląda się, ale naprzód idzie. Bo kto ogląda się na prawo i na lewo, tchórz jest. Oglądać się, i oglądać, jest rzecz naczelnika.

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: naczelnik nasz pomylił się, dając znaki, wybierając na starszeństwo ludzi złych. Bo widzi każdy łatwo wadę w naczelniku, a nie widzi przymiotu; i widzi zasię w sobie przymiot, a nie widzi wady. A często to dobre, które jest w naczelniku, potrzebniejsze jest dla dobra Narodu, niżeli to dobre, które w nas jest.

Alboż nie wiecie, iż CHRYSTUS BÓG, wybrał między dwunastu Apostołów jednego zdrajcę; tedy naczelnik człowiek, jeśli między dwunastu wybierze pięciu złych do urzędu, i do znaku, doskonały jest.

A między Apostołami Jan Święty był najwięcej kochany, chociaż najmłodszy, i nie miał żadnego osobnego urzędu; ani był namiestnikiem jak Piotr; ani przeznaczony do powołania narodów jak Paweł, ani podskarbim jak Judasz.

A przecież Jan jeden przepowiedział przyszłość w Apokalipsie, i nazwany jest Orłem, i koniec Jego tajemniczy jest, i dotąd wielu myśli, iż on nie umarł, ale dotąd żyje; a tego nie myślą o żadnym Apostole.

Otóż widzicie, iż zasługa bez urzędu stała się okazalszą na wieki.

ANNA ZAHORSKA

APOSTOŁ NAUKI W CHILE

Przez kamienistą pustynię szedł pociąg. Na widnokręgu bielały szczyty Kordyljerów i powoli odsuwały się w dalekość. Czasem opodal toru ukazywał się szyb z gromadką górników. Czasem kilku Indjan ciągnęło przez pustynię.

Pociąg z sapaniem wtoczył się przed stację. Naczelnik stacji podbiegł do jednego z wagonów, salutując.

Grupa Hiszpanów stała na peronie, przyglądając się pociągowi.

— Któż to jedzie? — zapytał jeden z nich przebiegającego kolejarza, — czy prezydent? Wszak to jego wagon paradny.

— To nasi ministrowie odwożą do portu pana Domejkę, — odparł zdyszany kolejarz — odjeżdża już do kraju.

— A, pana Domejkę — z szacunkiem ozwało się kilka głosów.

— A jakiż jest jego kraj? Nie wie pan, Don Fernando? — zapytał ciekawie stary fazendeiro w wielkim kapeluszu sombrero.

— Polska — odparł zagadnięty.

Fazendeiro uchylił kapelusza.

— Cześć krajowi, który takich ludzi wydaje.

W oknie wagonu ukazał się starzec o twarzy łagodnej i poważnej.

— Dość miał u nas wdzięczności, bogactwa, zaszczytów— mówił don Fernando — a nie wygląda wesoły.

— Bo to syn narodu w niewoli, — ozwał się ktoś zboku. — Pracowałem z nim razem przy zakładaniu kopalni. Opowiadał mi, jak się bił z zaborcami.

Obok Domejki stanął jeden z ministrów.

— Proszę spojrzeć — zawołał — oto jedna z kopalń srebra, któremi pan kraj nasz wzbogacił.

Domejko wpatrzył się w czerniejący otwór kopalni.

— Tak, — rzekł w zamyśleniu, — to jedna z pierwszych żył srebra, którą odkryłem podczas moich wędrówek po Kordyljerach.

— Wędrówki te były dla nas błogosławieństwem, — podjął z przejęciem drugi z ministrów, — dały nam węgiel, złoto, rudy przeróżne, arkweryt...

— Pozostawia pan po sobie bogate dziedzictwo, — zaczął gorąco wyliczać rektor uniwersytetu w San Jago, następca Domejki — wodociąg w San Jago, pracownie, muzea... zorganizowane i ulepszone szkolnictwo...

— Pamiętajcie, panowie, — przerwał Domejko — że wzory do urządzenia waszego szkolnictwa czerpałem z mojego kraju. Stworzyła je w Wilnie gromada moich rodaków, wybitna nietylko uczonością i rozumem, lecz i wartością moralną.

— Czemuż daliście się zwyciężyć narodowi od was niższemu? — zapytał ze zdziwieniem minister wojny.

— Zwyciężyła nas przemoc — cicho odparł starzec — ale nie złamano naszego ducha. Będziemy się zrywali do walki po wielekroć, aż wkońcu zwyciężymy. Profesorowie Uniwersytetu Wileńskiego, organizacje młodzieży, zwane Filaretami i Filomatami, dały nam moc ducha, której nic nie przełamie. Z miasta rodzinnego wyniosłem skarb na całe życie. Wałęsając się po obcych krajach, nie zmarnowałem go, nie straciłem.

W tej chwili pociąg ruszył. Obecni na peronie wznieśli okrzyk na cześć Domejki, powiewając kapeluszami o szerokich kresach.

Dostojnicy chilijscy otoczyli ciasnem kołem uczonego z Polski. Zdziwiono się, że rzuca oto wszystkie zaszczyty i bogactwa, że odjeżdża z kraju zamożnego i szczęśliwego do swej cierpiącej, zrujnowanej ojczyzny... Ostatni raz pytali go o rady. Ostatni raz cieszyli się obecnością człowieka wyjątkowego, którego piękno duchowe i prawość tak silne wywierały na nich wrażenie.

Pociąg zwolnił biegu. Jeden z podróżnych zawołał:

— Oto już Valparaiso.

Przez okna zamajaczyła przestrzeń błękitna. Szafir zlewał się na widnokręgu w jednolitą kotarę, przechodzącą w kobierzec. Domejko powiedział w zamyśleniu:

— Ocean...

Powozy czekały już na stacji, by zawieźć wszystkich do portu. Jechali przez ulice wielkiego miasta międzynarodowego. Było zbudowane, jak większość miast w Europie. Te same kościoły renesansowe i barokowe... Te same domy piętrowe... Te same kolumny i balkony...

Tylko od czasu do czasu przechodzący Indjanie przypominali, że biali rozsiedli się na gruzach cudzego życia. Stali przed sklepami Indjanie Quichua, Guarani. Kroczyli z wdziękiem Inkasowie o jaśniejszej cerze, potomkowie rodów królewskich, prastarych... Ponuro patrzyli na jadących potomkowie tak licznych ongi Mayów... Czasami mieli jeszcze na sobie pióra, skóry lub malownicze rysunki na ciele. Ale większość nosiła już łachmany europejskiej odzieży i kapelusze miejscowego wyrobu.

Nagle grupa Indjan o płaskich nakryciach głowy zwróciła uwagę Domejki. Prosił o zatrzymanie powozu, by jeszcze im się przypatrzyć. Podziwiał w tych postaciach miedziano - bronzowych, o orlich nosach i wydatnych wargach, niezatarte rysy dzikiej odwagi. Rozradował się świętą, wysoką radością.

— Oto pańscy Araukanie, — uśmiechnął się minister — ci Araukanie, którzy przez tyle lat wojowali z nami, nie dając się zwyciężyć, ani przejednać. Wtedy pan zwiedził Araukanję i napisał o niej książkę, zalecając łagodną, chrześcijańską pracę.

— Książka pana miała takież znaczenie, jak książka pani Beecher Stowe w Stanach Zjednoczonych — żywo dodał jeden z profesorów — p. Beecher Stowe nauczyła widzieć ludzi w murzynach, pan kazał nam postępować humanitarnie z Araukanami i innemi szczepami indjańskiemi. Zalecił pan zorganizować dla nich oświatę i warsztaty pracy...

— Tak — powiedział minister oświaty — teraz żyją spokojnie. Nauczyli się rolnictwa, cywilizują się, budzą się ich pierwotne dusze, łagodnieją obyczaje...

— Panie ministrze — prosił Domejko wzruszony — proszę pamiętać, że jeszcze nie wszystkim Indjanom w Chile jest dobrze.

— Będę pamiętał — uśmiechnął się minister — książka pańska o Araukanach leży zawsze u mnie na biurku.

Powozy stanęły koło przystani. Szalupy przewiozły Domejkę i dostojników chilijskich na pokład żaglowca, który miał zawieźć strudzonego działacza na odpoczynek do kraju rodzinnego.

Starzec żegnał się pokolei z otaczającymi. Młody Hiszpan, były jego słuchacz na uniwersytecie, podał mu szkatułkę — dar pamiątkowy.

— Cóż tam może być? — zapytał Domejko z dobrocią, podnosząc nakrywkę.

— Panie rektorze, w szkatułce tej znajduje się wszystko, co w nauce jest nazwane imieniem pana. Oto skamielina małża — Nautilius Domeycus, oto druga skamielina — Ammonites Domeycanus, oto gatunek fiołka — Viola Domeycana. A oto kawałek rudy żelaznej, znalezionej przez pana rektora i nazwanej z tego powodu Domeykitem.

— Dziękuję ci, młody przyjacielu — serdecznie uścisnął jego dłoń sędziwy uczony.

Rozległ się sygnał kapitana. Odprowadzający musieli opuścić pokład.

— Nie zapomnimy o panu nigdy — rzekł ze wzruszeniem rektor San Jago — był pan u nas prawdziwym apostołem nauki.

— Był pan czemś więcej — sprostował minister — bo apostołem miłości, zwiastunem nowego, lepszego człowieczeństwa.

— Pomnikiem pańskim są nasze muzea i pracownie naukowe — zawołał rektor.

— Pomnikiem pańskim — kwitnące osady uspokojonych Araukanów — rzekł minister.

Ozwał się sygnał ponowny. Dostojne grono obywateli chilijskich zeszło do szalupy. Wiatr wydął żagle okrętu. Ocieniły one, jak skrzydła, szlachetną głowę starca. Stał, powiewając chustką, aż port zniknął z oczu.

Wtedy z nieuciszoną tęsknotą zwrócił wzrok w stronę dalekiej ojczyzny. Wyciągnął ręce przed siebie. Płynął nakoniec.

Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych...

Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem...

Usta jego szeptały:

— Nie zmarnowałem nic z tego, co wyniosłem z domu...

. . . .

W stolicy Chile dotąd stoi pomnik Ignacego Domejki, powstańca polskiego z 1831 roku, najserdeczniejszego przyjaciela Mickiewicza, Filomaty, jak i on, apostoła nauki w Chile, obrońcy nieszczęśliwych Indjan, ciemiężonych przez białych zdobywców.

BOLESŁAW PRUS

Z PAMIĘTNIKA SUBJEKTA (1848 r.)

Ze smutkiem od kilku lat uważam, że na świecie jest coraz mniej dobrych subjektów i rozumnych polityków, bo wszyscy stosują się do mody. W tej pisaninie chcę mówić o sobie, żeby wiedzano, jakim sposobem tworzyli się dobrzy subjekci i, choć nieuczeni, ale rozsądni politycy. Do takiego interesu nie trzeba akademji, lecz przykładu — w domu i w sklepie.

Ojciec mój był zamłodu żołnierzem, a na starość woźnym w komisji spraw wewnętrznych. Trzymał się prosto jak sztaba, miał nieduże faworyty i wąs do góry; szyję okręcał czarną chustką i nosił srebrny kolczyk w uchu.

Mieszkaliśmy na Starem Mieście z ciotką, która urzędnikom prała i łatała bieliznę. Mieliśmy na czwartem piętrze dwa pokoiki, gdzie niewiele było dostatków, ale dużo radości, przynajmniej dla mnie. W naszej izdebce najokazalszym sprzętem był stół, na którym ojciec, powróciwszy z biura, kleił koperty, u ciotki zaś pierwsze miejsce zajmowała balja. Pamiętam, że w pogodne dnie puszczałem na ulicy latawce, a w razie słoty wydmuchiwałem w izbie bańki mydlane.

Na ścianach u ciotki wisieli sami święci; ale jakkolwiek było ich sporo, nie dorównali jednak liczbą Napoleonom, którymi ojciec przyozdabiał swój pokój. Był tam jeden Napoleon w Egipcie, drugi pod Wagram, trzeci pod Austerlitz, czwarty pod Moskwą, piąty w dniu koronacji, szósty w apoteozie. Wszyscy, nie wyłączając ciotki, twierdzili jak najbardziej stanowczo, że choć

Napoleon I umarł w niewoli, ród Bonapartych jeszcze wypłynie. Po pierwszym Napoleonie znajdzie się jakiś drugi, a gdyby i ten źle skończył, przyjdzie następny, dopóki jeden po durgim nie uporządkują świata.

— Trzeba być zawsze gotowym na pierwszy odgłos! — mówił mój ojciec.

Chcąc, ażebym zupełnie był gotów, gdy wybije godzina sprawiedliwości ojciec sam pracował nad moją edukacją.

Nauczył mię czytać, pisać, kleić koperty, ale nadewszystko — musztrować się. Do musztry zapędzał mnie w bardzo wczesnem dzieciństwie, kiedy mi jeszcze z za pleców wyglądała koszula. Była to najdokładniej prowadzona nauka.

Nieraz w nocy budził mnie ojciec krzykiem: „do broni!..." musztrował pomimo wymyślań i łez ciotki i kończył zdaniem:

— Ignaś! zawsze bądź gotów, wisusie, bo nie wiemy dnia. ani godziny... Pamiętaj, że Bonapartów Bóg zesłał, ażeby zrobili porządek na świecie; a dopóty nie będzie porządku, ani sprawiedliwości, dopóki nie wypełni się testament cesarza.

W późniejszem życiu przekonałem się, jak proroczemi były poglądy ojca. Wszyscy widzieliśmy drugą gwiazdę napoleońską, która obudziała Włochy i Węgry; a chociaż spadła pod Sedanem, nie wierzę w jej ostateczne zagaśnięcie.

W parę miesięcy po śmierci ojca przyjaciele jego, p. Raczek i p. Domański wraz z ciotką Zuzanną zebrali się na radę: co ze mną począć? Gdy mnie zapytano: do czego mam ochotę? odpowiedziałem, że do sklepu.

— Do tego na Podwalu, co ma we drzwiach pałasz, a w oknie kozaka.

— Wiem — wtrąciła ciotka. — On chce do Mincla.

Sklep Mincla znałem oddawna, ponieważ ojciec wysyłał mnie do niego po papier, a ciotka po mydło. Zawsze biegłem tam z radością ciekawością, ażeby napatrzeć się wiszącym za szybami zabawkom.

Wnętrze sklepu wyglądało jak duża piwnica, której końca nigdy nie mogłem dojrzeć z powodu ciemności. Wiem tylko, że po pieprz, kawę i liście bobkowe szło się na lewo, do stołu, za

którym stały ogromne szafy, od sklepienia do podłogi napełnione szufladami. Papier zaś, atrament, talerze i szklanki sprzedawano przy stole na prawo, gdzie były szafy z szybami, a po mydło i krochmal szło się w głąb sklepu, gdzie było widać beczki i stosy pak drewnianych.

Nawet sklepienie było zajęte. Wisiały tam długie szeregi pęcherzy naładowanych gorczycą i farbami, — ogromna lampa z daszkiem, która w zimie paliła się cały dzień, — sieć pełna korków do butelek, wreszcie — wypchany krokodylek, długi może na półtora łokcia.

Zczasem przekonałem się, że w naszym małym sklepie istnieją aż dwa wielkie stronnictwa, z których jedno, składające się ze starego Mincla i jego matki, bardzo lubiło Niemców, a drugie, złożone z młodych Minclów i Katza, nienawidziło ich. O ile pamiętam, ja tylko byłem neutralny.

W roku 1846 doszły nas wieści o ucieczce Ludwika Napoleona z więzienia. Rok ten był dla mnie ważny, gdyż zostałem subjektem, a nasz pryncypał, stary Jan Mincel, zakończył życie.

Rok 1846 i 1847 upłynęły w wielkim rozgardjaszu. Ukazywały się coraz to jakieś pisemka, a znikali ludzie. Nieraz i ja myślałem: czy już nie pora wytknąć głowę na szerszy świat?

Dopiero w lutym roku 1848, kiedy Ludwik Napoleon już był w Paryżu, ukazał mi się jednej nocy nieboszczyk ojciec, tak, jak widziałem go w trumnie. Stanął we drzwiach mojej izdebki we front i rzekł tylko te słowa:

— Pamiętaj, wisusie, czegom cię uczył!...

Sen mara — Bóg wiara, myślałem przez kilka dni. Ale już sklep mi obrzydł. Ciasno zrobiło mi się na Podwalu, tak, żem nie mógł wytrzymać.

Gdy około dziesiątej wieczorem, ubrany w półkożuszek i grube buty, uściskawszy Jana Mincla, wziąłem za klamkę, ażeby opuścić izbę, w której tyle lat przemieszkaliśmy razem, coś dziwnego stało się z Janem. Nagle zerwał się z krzesła i rozkrzyżowawszy ręce, rzucił się na moje łóżko, szlochając jak dzieciak.

Uciekłem. W sieni, słabo oświetlonej olejnym kagankiem, ktoś zastąpił mi drogę. Ażem drgnął. Był to August Katz, odziany, jak wypadało na marcową podróż.

— Co tu robisz, Auguście? — spytałem.

— Czekam na ciebie.

Myślałem, że chce mnie odprowadzić; więc poszliśmy na plac Grzybowski w milczeniu, bo Katz nigdy nie mówił. Fura żydowska, którą miałem jechać, była już gotowa. Ucałowałem Katza, on mnie także. Wsiadłem... on za mną...

— Jedziemy razem — rzekł.

A potem, kiedy byliśmy już za Miłosną, dodał:

— Twardo i trzęsie, spać nie można.

Wspólna podróż trwała niespodziewanie długo, bo aż do października 1849 roku, pamiętasz Katz, niezapomniany przyjacielu? Pamiętasz te długie marsze na spiekocie, kiedy nieraz piliśmy wodę z kałuży; albo ten pochód przez bagno, w którem zamoczyliśmy ładunki; albo te noclegi w lasach i na polach, kiedy jeden drugiemu spychał głowę z tornistra i ukradkiem ściągał płaszcz, służący za wspólną kołdrę?... A pamiętasz tarte kartofle ze słoniną, które ugotowaliśmy we czterech w sekrecie przed całym oddziałem? Tylem razy jadał od tej pory kartofle, ale żadne nie smakowały mi tak, jak wówczas. Jeszcze dziś czuję ich zapach, ciepło pary, buchającej z garnka i widzę ciebie Katz, jak dla nietracenia czasu, mówiłeś pacierz, jadłeś kartofle i zapalałeś fajkę u ogniska.

Ej Katz, jeżeli w niebie niema węgierskiej piechoty i tartych kartofli, niepotrzebnieś się tam pospieszył.

A pamiętasz jeneralną bitwę, do której zawsze wzdychaliśmy, odpoczywając po partyzanckiej strzelaninie? Ja bo nawet w grobie jej nie zapomnę, a jeżeli kiedyś zapyta Pan Bóg: pocom żył na świecie?... Po to — odpowiem — ażeby trafić na jeden taki dzień. Ty tylko rozumiesz mnie, Katz, bośmy to obaj widzieli. A niby narazie wydawało się — nic...

Na półtory doby przedtem skupiła się nasza brygada pod jakąś wsią węgierską, której nazwy nie pamiętam.

Gdy weszło słońce, zobaczyliśmy przy gościńcu pierwsze ślady nieprzyjaciela: resztki słomy, wytlone ogniska, budynki rozebrane na opał. Następnie coraz częściej zaczęliśmy spotykać uciekających: szlachtę z rodzinami, duchownych rozmaitych wyznań, wkońcu — chłopów i cyganów. Na wszystkich twarzach malowała się trwoga; prawie każdy coś wykrzykiwał po węgiersku, wskazując rękoma za siebie.

Była blisko siódma, kiedy w stronie południowo-zachodniej huknął strzał armatni. Po szeregach przeleciał szmer:

— Oho! zaczyna się...

Staliśmy na wzniesionem miejscu, skąd widać było idącą za nami brygadę. Zaznaczał ją rudy obłok kurzu, ciągnący się wzdłuż gościńca, ze dwie albo i trzy wiorsty.

— Straszna masa wojsk! — szepnąłem. — Gdzie się to pomieści!...

Zepchnięto nas z gościńca, którym w kilka minut później przejechały wolnym kłusem dwa szwadrony huzarów i cztery armaty, z należącemi do nich jaszczykami. Idący ze mną w szeregu poczęli żegnać się:

„W imię Ojca i Syna..." — Ten i ów popił z manierki.

Na lewo od nas huk wzmagał się; pojedyńczych strzałów już nie można było odróżnić. Nagle krzyknięto w przednich szeregach:

— Piechota!... piechota!...

Machinalnie schwyciłem karabin na tuj, myśląc, że pokazali się Austrjacy. Ale przed nami, oprócz wzgórza i rzadkich krzaków, nie było nic. Natomiast, na tle grzmotu armat, który prawie przestał nas interesować, usłyszałem jakiś trzask, podobny do rzęsistego deszczu, tylko o wiele potężniejszy.

— Bitwa!... — zawołał ktoś na froncie przeciągłym głosem.

Około czwartej po południu pułk nasz ściągnięto; było po bitwie. Tylko na zachodniej krawędzi horyzontu jeszcze odzywały się pojedyńcze strzały lekkiej artylerji, jak odgłosy burzy, która już przeszła.

W godzinę później ,na rozległym placu boju, w różnych punktach, zagrały pułkowe orkiestry. Przyleciał do nas adjutant z powinszowaniem. Trębacze i dobosze uderzyli sygnał: do modlitwy.

Stopniowo dym opadł. Gdzie oko sięgło, widzieliśmy, w rozmaitych miejscach, jakby skrawki białego i granatowego papieru, bez ładu porozrzucane na zdeptanej trawie. W polu kręciło się kilkanaście furmanek, a jacyś ludzie składali na nich niektóre z owych skrawków. Reszta została.

— Mieli się też poco rodzić!... westchnął, oparty na karabinie Katz, którego znowu opanowała melancholja.

Było to bodaj czy nie ostatnie nasze zwycięstwo. Od tej chwili sztandary z trzema rzekami częściej chodziły przed nieprzyjacielem, aniżeli za nieprzyjacielem, dopóki wreszcie pod Vilagos nie opadły z drzewców, jak liście na jesieni.

Dowiedziawszy się o tem, Katz rzucił szpadę na ziemię (byliśmy już obaj oficerami) i powiedział, że teraz tylko sobie w łeb strzelić. Ja jednak, pamiętając, że we Francji już siedzi Napoleon, dodałem mu otuchy i — przekradliśmy się do Komorna.

W parę dni po śmierci Katza weszliśmy do Turcji, a przez dwa lata następne, ja, już sam, tułałem się po całej Europie. Byłem we Włoszech, Francji, Niemczech, nawet w Anglji, a wszędzie nękała mnie bieda i żarła tęsknota za krajem. Nieraz zdawało mi się, że stracę rozum, słuchając potoków obcej mowy i widząc nie nasze twarze, nie nasze ubiory, nie naszą ziemię Nieraz oddałbym życie, ażeby choć spojrzeć na las sosnowy i chałupy poszyte słomą. Nieraz, jak dziecko, wołałem przez sen: ja chcę do kraju!... A gdym się obudził zalany łzami, ubierałem się i pędem biegłem na ulicę, bo mi się przywidziało, że ta ulica koniecznie musi być Starem Miastem, albo Podwalem.

Nareszcie nie mogłem wytrzymać i — w grudniu 1851 roku, przejechawszy wzdłuż Galicję, stanąłem na komorze w Tomaszowie. Jedna mnie tylko myśl trapiła:

— A nuż mnie i stąd wypędzą?...

Zdaje się jednak, że to Jaś Mincel, do którego napisałem list, zrobił coś, choć nie wspomniał o tem do śmierci i nawet nie lubił o tem rozmawiać. Oto, chodził on do różnych jenerałów, którzy odbyli węgierską kampanję i tłómaczył im, że przecież powinni ratować kolegę w nieszczęściu. No i uratowali mnie, tak, że już w lutym 1853 roku mogłem jechać do Warszawy. Zwrócono mi nawet patent oficerski, jedyną pamiątkę, jaką wyniosłem z Węgier, nie licząc dwu ran: w piersi i w nogę.

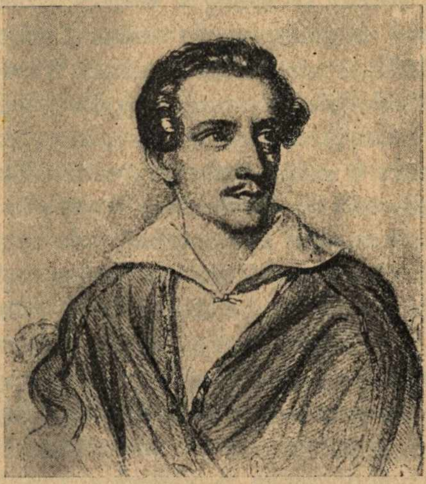


Photo-Plat. Stare Miasto

JULJUSZ SŁOWACKI

KRAJ MŁODOŚCI

Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.
Ja sam, com widział Chrystusa oliwy,
Góry z marmuru i góry z płomienia,
Wolę — i sądzę najpiękniejszą z krajów,
Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów,
Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalja, pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzozy jasnych są kochanką źródeł —
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny — jako księżyc w chmurach.



Juljusz Słowacki

Podczas pobytu w Szwajcarji

STEFAN FLUKOWSKI

DWIE WĘDRÓWKI CYPRJANA NORWIDA

Pusta była Warszawa w roku 1843, kiedy Cyprjan Norwid opuszczał ją, udając się zagranicę. Dopiero dwanaście lat upłynęło od chwili zduszenia przez Rosję powstania listopadowego i w pałacu namiestnikowskim przy ulicy Krakowskie Przedmieście, tym samym, w którym dziś mieści się rząd polski, zamieszkiwał pogromca największego z powstań naszych, książe Paskiewicz. Wszystko, co przejawiało jakąkolwiek żywszą działalność, co było młode, niezależne i buntownicze, musiało porzucić kraj i udać się na emigrację.

Młodzież, żądna swobody i wiedzy, szukała więc poza granicami terenów działalności dla siebie. Cyprjan Norwid, urodzony w roku 1821, w chwili opuszczania Warszawy liczył zaledwie lat 22. W młodzieńczym jego umyśle ani przez chwilę nie powstała myśl, że wyjeżdża na zawsze, że więcej już ziemi ojczystej nie zobaczy w swem życiu. Wyjeżdżał bowiem na studja tylko do Italji, aby tam na dziełach znakomitych malarzy i rzeźbiarzy nauczyć się wielkiej sztuki, której całe życie miał oddanie poświęcić. Potem chciał wrócić do Warszawy, w której okolicach się urodził i gdzie spędził swe dzieciństwo, lata szkolne i młodość. Przedtem jednak jakby przeczuciem cudownem wiedziony, że pisane mu jest już nigdy więcej kraju ojczystego nie oglądać, Norwid wraz z paroma swoimi przyjaciółmi odbywa pieszą wycieczkę po kraju. Wędruje więc od miasta do miasta, od wsi do wsi w kierunku południowym, w kieleckie, radomskie i krakow-

skie, południowo-zachodnie dzielnice, gdzie pełno jest zadziwiających starych kościołów z przylegającemi do nich murami obszernych klasztorów. We wnętrzu tych świątyń panuje lekki mrok. Oko Norwida chciwie oglądało wspaniałe łuki sklepień romańskich, których kształt przynieśli ze sobą aż do Polski włoscy budowniczowie i architekci. W jakimś innym kościele mrocznym bardziej i chłodnym, do którego wchodząc, zejść trzeba parę stopni wdół, jak do piwnicy, łuki zbiegają się ku górze gwałtowniejszemi linjami, tworząc ostre kąty. To gotyk, jeszcze przed renesansem przybyły do Polski i tu przez miejscowych majstrów przekształcony i zmieniony tak dalece, że otrzymał specjalną nazwę gotyku nadwiślańskiego, czy też polskiego. W takich kościołach jest jaśniej i weselej, płaszczyzny ścian i sklepień nie zbiegają się tak gwałtownie i nie piętrzą ponad głową w zawrotne skróty i załamania. Norwid w długich rozmowach przekonywa towarzyszy, że właśnie to jest wartościowe, co wynikło z ducha miejscowego artysty, co jest zgodne z pojęciem ludu, zamieszkującego właśnie te okolice. Bowiem lud ten nosi w sobie pojęcie piękna i niem się kieruje w życiu codziennem. Poczucie piękna to jest to, co ładne i zawiera się ono w duszy każdego człowieka i w każdym przedmiocie, który spotykamy w życiu naszem. Trzeba tylko umieć je uchwycić i pokazać.

Po kościołach i klasztorach kłoniły się ku Norwidowi z licznych obrazów głowy madonn i świętych. A gdy szedł miedzami, to łany zbóż przychylnie pieściły go wąsatemi kłosami. Było już po sianokosach, czerwiec minął, więc na noclegach sypiali po stodołach na miękiem i pachnącem sianie. Budząc się rankiem, szeroko otwartemi oczami patrzał na oświetlony wschodzącem słońcem strop gumna. Porównywał to prostackie sklepienie chłopskiej stodoły z oglądanemi w ciągu ostatnich paru tygodni wspaniałemi stropami kościelnemi i wydawało mu się, że ten dach wiejskiej budowli, stawiany ręką cieśli, który mieszkał w tej samej wsi przez całe życie, jest równie piękny, jak gotyckie sklepienie. Dlaczego? Przecież trudno porównać biedne budynki gospodarskie ze świątyniami, wzniesionemi z cegieł. Ale Norwid, chociaż młody, znajduje na to odpowiedź. Mówi on, że to,

co czyni przedmioty pięknemi, nazywa się użytecznością, bowiem piękno harmonijnie łączy się z praktycznością, z potrzebą. I dlatego piękno spostrzega w całej sztuce ludu: w budowlach, meblach, ubiorach, pieśniach i legendach. Lud dla Norwida jest jednym wielkim artystą, który dopracował się harmonji, to jest zgody idealnej między pięknem a użytecznością. Sztuka ludowa to wielkie źródło dla artystów polskich, którzy na niej budowali wielkie swoje dzieła, jak np. Fryderyk Chopin.

To wszystko Norwid opisał w swoich książkach, które dzisiaj są uważane za najmędrsze z tych, jakie nam wiek XIX zostawił w spuściźnie.

Idąc tak od wsi do wsi, wędrowcy nasi przechodzili przez pola i lasy. Cały świat upajał się słońcem lipcowem. Drzewa lekko szumiały poruszane łagodnym wiatrem, a w niebie prawie niewidoczne śpiewały bez przerwy skowronki. Na szerokich łąkach, rozciągniętych ponad strumieniami, chodziły bociany. Czasami stada owiec albo krów mijały tę grupkę piechurów, spowijając wstęgę drogi dymiącym słupem kurzu. Było cicho i beztrosko, jakby tu nigdy nie zawitała była burza, powódź, czy huragan. W lat trzydzieści poeta napisze utwór, w którym wygłosi pochwałę życia wiejskiego i piękna wsi. W nim woła wzruszony wspomnieniami dzieciństwa i młodości:

O! wsi w atłasie kwiatów jabłoni
I w zwierciadłach księżyca
Jako oblubienica
Na ustroniu...
Przeszłość twa — zawsze wczora!
Przyszłość — ręką dosiężna,
U ciebie zawsze — pora!
Tyś wczasów księżna...

W krótkim czasie po tej wycieczce wyjeżdża Norwid zagranicę. Odwiedza Berlin, Rzym, Wenecję, Florencję, prowadząc wszędzie sumienne studja nad architekturą, malarstwem i rzeźbą. Ale już wtedy zaczyna coraz więcej pisywać wierszy, opowiadań, czy też przesyłać do krajowych pism korespondencje. Zaprzyjaźnia się z Mickiewiczem, Słowackim, Krasińskim

i Chopinem. Na przełomie 1852—53 roku wyjeżdża do Ameryki. Jest zupełnie biedny, więc podróżuje z wielką trudnością. Za przejazd żaglowcem pracuje jako zwykły marynarz. Przez cały czas pobytu w Ameryce zamieszkuje w Nowym Jorku. Początkowo zarabia na chleb pracą fizyczną jako robotnik, ale wkrótce jako znakomity rysownik i malarz sprzedaje swoje szkice i obrazki, malowane farbą wodną, czyli akwarelą. Polaków tam wtedy było jeszcze niewielu. Mieszkał tam rzeźbiarz Henryk Dmochowski, już wtedy znany i ceniony artysta. Ten był Norwidowi przewodnikiem pośród nieznanych mu ludzi. Jednak po półtorarocznym pobycie Norwid wrócił do Europy. Tęsknił za nią, za jej bogatem życiem artystycznem, za jej odwiecznemi pomnikami kultury, jak wspaniałe kościoły, pałace, miasta, pełne pamiątek po wielkich ludziach, którzy kiedyś stwarzali potężne i bogate państwa, i przewodzili niemal całemu światu. Tego wszystkiego w Ameryce nie można było znaleźć. Nowy Jork nie był jeszcze tak wielkim portem jak obecnie. Dopiero zaczynał się rozrastać. Wszyscy mieszkańcy chcieli zrobić majątek, a to było dalekie od zainteresowań Norwida, który wiódł żywot mędrca, poświęcając cały czas czytaniu mądrych książek, pisaniu swych utworów i rozmyślaniu. Przejechał więc zpowrotem do Europy okrętem Linji New York and Liverpool United States Mail Steomship Company. Osiadł w Paryżu na stałe, gdzie umarł w roku 1883. Rocznicę jego śmierci obchodziła cała Polska w 1933 roku bardzo uroczyście, czcząc w Norwidzie jednego ze swych największych poetów i myślicieli obok Mickiewicza i Słowackiego.

Te dwie wędrówki Cyprjana Norwida: jedna kilkudniowa w młodości po kraju i druga, trwająca wiele, wiele lat na tułaczce, na emigracji, pozostają w pamięci i poety i malarza na zawsze, kładąc niezatarte piętno na jego twórczości.

CYPRJAN NORWID

MOJA PIOSENKA.

I.

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów nieba...

Tęskno mi, Panie...

II.

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie...

III.

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są jak odwieczne Chrystusa wyznanie:
„Bądź pochwalony".
Tęskno mi, Panie...

. . . .

M. J. TOPOROWSKI

SERCE CHOPINA

Jako dwudziestoletni młodzieniec opuścił Fryderyk Chopin Ojczyznę, udając się przez Niemcy do Paryża. Zostawiał za sobą sielskie dzieciństwo, spędzone w rodzinnej wiosce, Żelazowej Woli, gdzie już jako 6-letni chłopiec wstawał nocą — i boso, w jednej koszulince siadał do fortepianu, grając z pamięci utwory, które dnia poprzedniego grała jego ukochana matka. Zostawiał w kraju rodziców i rodzeństwo oraz serdecznych przyjaciół z Liceum Warszawskiego, gdzie ojciec jego był nauczycielem. Po młodzieńczych triumfach wśród swoich, dusza artysty rwała się w szeroki świat.

Nie sam odjeżdżał Chopin do obcych. Uwoził ze sobą obrazy mazowieckich pól i lasów, w uszach grały mu melodje wiejskich skrzypek, wycinających skoczne obertasy i mazurki, a wiatr nadwiślański, szumiący wśród topoli i wierzb, śpiewał mu pieśń odjazdu. Te wspomnienia, nigdy niezatarte, i wszystko, co wiedział i co sam przeżył z dziejów Polski, miało wybuchnąć potem ogromną tęsknotą w jego wspaniałej muzyce.

Gdy przebywał przejazdem w Niemczech, doszła go wieść o wzięciu Warszawy przez Moskali. Wpadł wtedy w wielką rozpacz. Nie ukoiły tego smutku triumfy, jakich zaznał po przekroczeniu granicy. Nie przeczuwał jeszcze, że każde miasto, przez które przejeżdżał, szczycić się będzie kiedyś, że miało szczęście gościć go u siebie.

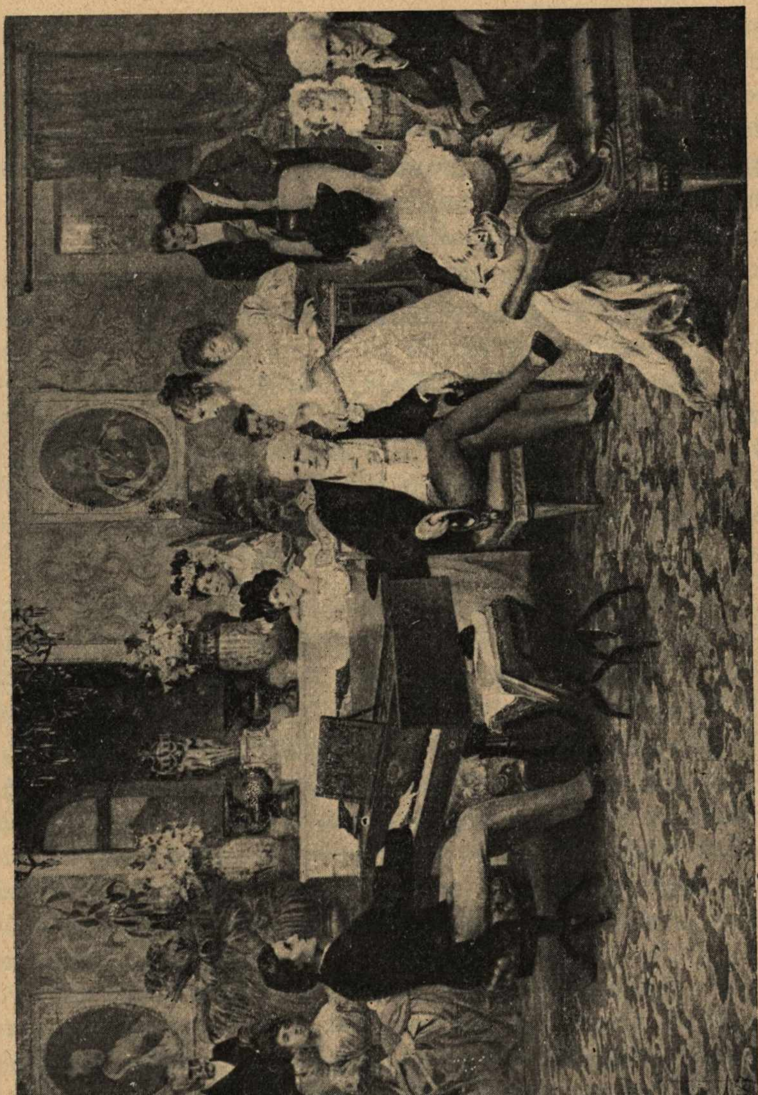
W Paryżu słyszano już o nim. Po roku wiedziano także, iż wschodzi jedna z największych gwiazd w muzyce świata. A przecież borykał się tu Chopin z trudnemi warunkami i bieda zaglądała mu do oczu. Zarabiał lekcjami, jak wszyscy podówczas artyści, lecz iluż to ich, i to najsławniejszych, bawiło wtedy w Paryżu! Zdecydował się więc opuścić Francję, ale los pomógł mu w ostatniej chwili. Przed odjazdem spotkał na ulicy przyjaciela, Walentyna Radziwiłła, a rozstając się z nim, począł się żegnać.

— Jakto, odjeżdżasz? — spytał Radziwiłł.

— Muszę — odpowiedział Chopin pełen rezygnacji.

Widząc, że perswazje nie pomogę, Radziwiłł zaczął go gwałtownie prosić, aby jeszcze tego dnia udał się z nim na przyjęcie.

We wspaniałych salonach panował wesoły gwar rozmów, szumiały jedwabne suknie dam, grały barwami diamenty, błyszczały stroje ambasadorów. Chopin pokrywał swoją zadumę dowcipem i humorem, z którego był znany. Gdy wreszcie na prośby gospodarzy podszedł, wytworny i smukły, do fortepianu, w salonie zapanowała cisza. Ktoś szepnął: „Wygląda, jak książę..." Tymczasem z nad białych i czarnych klawiszów zerwała się burza, uderzył szturm huraganu. Akompanjowały mu jęki boleści i rozdzierającego smutku. Czy był to krzyk duszy artysty? Nie, to było coś więcej. W szumie wściekłego wiatru, w łopocie jakby skrwawionych sztandarów rozlegały się raz po raz wystrzały armat. Słuchacze oniemieli. Nikt zdawał się nikogo już nie dostrzegać, w ulewie dźwięków zniknął sam fortepian. Z pod klawiszów grzmiały echa śmiertelnej walki i bunt i protest wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne, przeciwko tyrańskiej przemocy i krzywdzie... Tak rozszalała ta pieśń nieśmiertelna, jeden z najwspanialszych utworów Chopina. Na pobladłych twarzach zebranych odmalowało się zdumienie i strach przed czemś groźnem i potężnem i podziw dla jakiejś ogromnej, nieznanej im mocy. Mało kto wiedział wówczas, że preludjum D-moll skomponował Chopin pod wrażeniem wieści o zdobyciu Warszawy przez Moskali... Do końca zebrania panował już poważny,



H. Siemiradzki — Chopin u Radziwiłła

uroczysty nastrój. Na uboczu gospodarz zastanawiał się, w jaki sposób zrewanżować się artyście, uprzedzono go jednak, że Chopin nie przyjmie pieniędzy. W tej chwili zresztą już ich nie potrzebował, bowiem jeszcze tego wieczoru arystokracja i najbogatsi ludzie w Paryżu prosili go, aby zechciał dawać w ich domach lekcje. Brał od tej pory najwyższe honorarja w Paryżu. Tylko rodakom udzielał lekcyj bezpłatnie.

Mając odtąd byt zapewniony, tworzył Chopin coraz nowe arcydzieła, wszystkie przepełnione wonią, barwą i głosem ziemi ojczystej, rzecby można — jej najżywotniejszym sokiem. To, co było najbardziej narodowe, stawało się zarazem w jego muzyce najgłębiej ludzkie. Najsławniejsi artyści pragnęli go usłyszeć i poznać tajemnicę czaru jego sztuki, król francuski zasypywał go darami, królowa Wiktorja podczas jego pobytu w Anglji, przybyła specjalnie na przyjęcie do księżny Sutherland, dowiedziawszy się, iż będzie na niem grał Chopin.

Gdyby sama sława mogła uszczęśliwić człowieka, byłby Chopin szczęśliwy. Lecz życie jego miało swoje tragiczne koleje, które jednak artysta znosił z dumą i godnością. Śmiertelna choroba płuc wyniszczyła jego siły. W miłości również nie zaznał szczęścia. Uczucia skończyły się smutnem rozczarowaniem.

Martwił się nieraz Chopin francuskiem brzmieniem swego nazwiska — coprawda niepotrzebnie. Wszak muzyka jego była przedewszystkiem tęsknotą i marzeniem o Polsce i ten jej charakter wyczuwali odrazu nawet cudzoziemcy. Znakomity kompozytor niemiecki, Schumann, wyraził się raz, iż gdyby car Północy wiedział, jakich ma wrogów w melodjach mazurków, zakazałby ich grania, gdyż są one, jak wśród kwiecia ukryte armaty... A przecież zdarzył się raz wypadek, gdy Chopina wzięto za Francuza. Odbywał się koncert na rzecz emigrantów, a Chopin uświetniał zawsze podobne imprezy swoim udziałem. Pewien lord angielski, pragnąc za wszelką cenę usłyszeć mistrza tonów, a nie mogąc już dostać wyprzedanych biletów, zwrócił się o pomoc do samego Chopina, który ułatwił cudzoziemcowi zdobycie karty wstępu. W trakcie rozmowy lord zagadnął mimocho-

dem, co skłania Chopina do brania udziału w polskim koncercie. Artysta, dotknięty w swej dumie narodowej, odparł: „Czyż Panu niewiadomo, iż jestem Polakiem?" — Anglik zmieszał się i natychmiast przeprosił artystę, a następnie, wyjąwszy z portfelu plik banknotów, prosił o przyjęcie tej ofiary na cele koncertu.

Jeżeli Chopin, jako kompozytor i wirtuoz, budził podziw i zachwyt cudzoziemców, to polskim słuchaczom muzyka jego dawała ponadto żywą wizję kraju ojczystego. W najgłębszem wzruszeniu zapominali wtedy o niedoli wygnania. Pod dotknięciem aksamitnych palców Chopina fortepian łkał chwilami jak skrzypce, to znów skarżył się głosem ludzkim na niczem nieukojoną tęsknotę. Przed zapatrzonemi w dal oczami słuchaczy, przesuwały się obrazy rozległych łanów zbóż, łąk pełnych kwiecia i słychać było szmer strumieni i pszczelnych rojów brzęczenie, a nad wszystkiem zdawał się unosić zapach wiejskich sadów wiśniowych, tak cudnie kwitnących na wiosnę...

Nie ujrzał ich już nigdy nieśmiertelny poeta fortepianu. Zgasł w roku 1849 w Paryżu, na rękach swego ukochanego ucznia, w otoczeniu serdecznych przyjaciół, wśród woni fijołków, które tak lubił za życia. Śmierć jego wstrząsnęła całym Paryżem. Uroczystość pogrzebowa zamieniła się w olbrzymi żałobny koncert najwspanialszej muzyki z udziałem najsłynniejszych artystów. Wtedy to po raz pierwszy orkiestra konserwatorjum paryskiego odegrała przejmującego Marsza pogrzebowego, który odtąd stał się hymnem żałoby na całym świecie. Ciało Chopina złożono na cmentarzu Père Lachaise, lecz serce jego zgodnie z życzeniem artysty przewieziono w urnie do Warszawy, gdzie spoczęło w kościele Św. Krzyża.

JÓZEF PIŁSUDSKI

WIELKOŚCI, GDZIE TWOJE IMIĘ?

. . . .

Rok 1863 stoi na przełomie naszych dziejów; stara Polska umiera — nowa się rodzi. Na przełomie dziejów staje epokowe zdarzenie — powstanie naszego narodu, walka orężna, długo trwająca, długo zalewająca krwią i pożogą ziemię naszą. Na progu nowoczesnego życia społecznego stoją wydarzenia 1863 roku. Wyrasta mur olbrzymi, dzieląc pokolenia od pokoleń, czyniąc nowe życie, zamykając stare, — mur, na którym tryskają ogniem pisane cyfry 1, 8, 6, 3. Płonęły te cyfry świadomie dla myślących, bezwiednie dla wszystkich, tworząc i kształtując duszę nowego, popowstaniowego Polaka, — nowe zjawiają się załomy duszy, inne nerwy, całkiem odmieny sposób odczuwania i reagowania. Pod wpływem wypadków roku 1863 rodzi się inna Polska z innem ujęciem życia i jego zadań. Skutki sięgają tak daleko, że śmiało rzec można, że dziś jeszcze, gdy dziecko na świat przychodzi, jest obciążone rokiem 1863.

. . . .

Gdy badam tę epokę i porównywam ją z innemi, to śmiało powiedzieć mogę: ludzie byli wówczas wulkanami, biło w nich to, co w nich żyło, — pogarda, niechęć, nienawiść, zbliżona prawie do wojny domowej. I gdy życie mego narodu w różnych epokach porównywam, to znam tylko dwie epoki, podobne do tej treuga Dei. Jedna — gdy palec Boży dotknął naszej ziemi

i wulkany trysnęły, żeby z nas Herkulanum i Pompeję na wieki zrobić, gorącym popiołem wulkanu, jak w mogile, zasypać — tam znajdujemy tę samą nienawiść, tam znajdujemy tę samą walkę, tam toczyła się wojna domowa. A druga — to epoka, gdy wśród wulkanów świata, ziemia nasza na nowo, nad potoki lawy gorącej się dźwigała, gdy te Herkulanum i Pompeja, w mogile zasypane, z pod popiołów żywemi się stawały — to epoka nasza.

. . . .

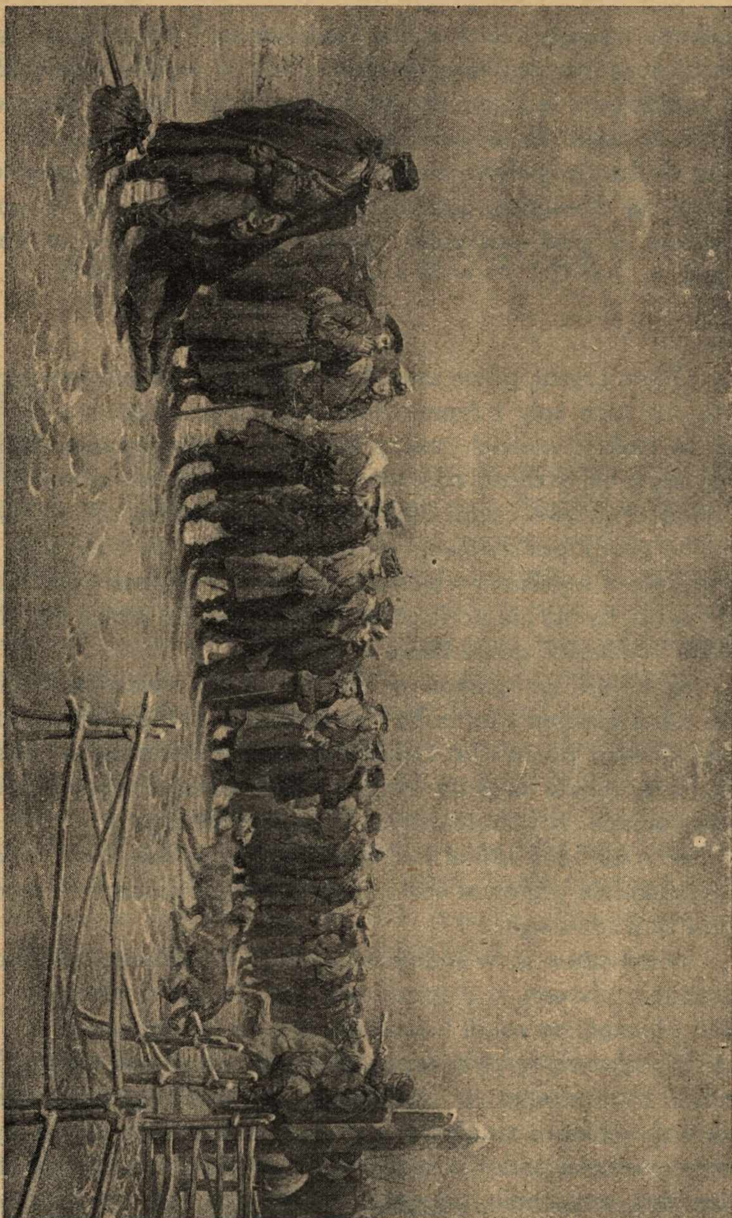
Gdym czytał, gdym szukał, gdym badał, natrafiałem powoli na to, co ruch cały trzymało tak długo. Nie mogłem się pogodzić, by małość wielkich rzeczy dokonać mogła, by samo szaleństwo, sama śmieszność zdołała zmusić, aby wielkie państwo cara, mające na swe usługi olbrzymie tysiące żołnierza, olbrzymią technikę pracy państwowej, więzienia i baty, rok cały, całe 365 dni toczyło z wysiłkiem wojnę ze słabością i szaleństwem. Silnym być trzeba, by się nie poddać w takiej walce, by walkę tak długo toczyć. Wielkości, gdzie twoje imię?

Szukałem gorączkowo. Wielka epoka wielkich ludzi nie dała, lub większym z tej doby niezwalczone przez nich przeszkody na drodze postawiła. Gdzie wielkich w podobnych czasach zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu swej wartości, w instytucjach, w symbolicznych nieraz dziwolągach.

W roku 1863 istniał taki symbol, który silnie, ba — nieraz wszechwładnie panował nad ludźmi. Była nim pieczęć — pieczęć Rządu Narodowego.

Widywałem ją w różnych muzeach — kawałeczek bibułki z drobnem pismem, a u spodu pieczęć. To był symbol siły. Cóż robiła pieczęć, co robili ludzie, stojący za tą pieczęcią?

Dla charakterystyki pracy pieczątki i ludzi, strzegących jej powagi i znaczenia w narodzie, przytoczę przedewszystkiem parę wspomnień o stanie prac przygotowawczych przed wybuchem powstania. Jeden z wielkich, Miłkowski (Jeż), jeszcze przed wybuchem powstania przyjechał konspiracyjnie do Warszawy i był zdumiony potęgą organizacji. Cała poczta konna, którą



Artur Grottger Pochód na Sybir

jechał, a która zastępowała wówczas nieistniejące prawie koleje, była w rękach organizacji. „Urzędnik naszego Rządu jedzie, konie zaprzęgać, niech inni czekają". „Nasz Rząd jedzie!". Trąbka pocztyljona gra i w lesie wpada w tony Mazurka Dąbrowskiego. Cała poczta pracuje, pracuje dla swego Rządu, gdy oficjalnie istnieje inny, z którym ma się toczyć walka zbrojna. Stary mój przyjaciel, Szwarce, opowiadał mi chwilę swego aresztowania przed powstaniem. Miał przy sobie papiery rządowe, czuł, że za chwilę będzie wzięty, i cóż zrobił z papierami? Skoczył do pierwszego lepszego sklepiku, rzucił je na ladę i krzyknął: „Papiery Komitetu Centralnego, papiery Rządu". Dziś sprzedanoby te papiery na giełdzie! Wtedy przechowano je z szacunkiem i oddano, komu należało. Jak wielką musiała być już wtedy spoistość społeczeństwa, jak silną chęć dobrowolnego oddania się przymusowi moralnemu, gdy mogły przezwyciężyć przymus materjalny, nieledwie cielesny, ciążący tak silnie wtedy na wszystkich Polakach.

. . . .

To cud siły, cud Rządu Narodowego, cud jakiejś wielkości. Gdym karty historji Rządu Narodowego przerzucał, pytałem siebie, gdzie przy tej cudownej treuga Dei był spór, gdzie podziały się te namiętności, które przy wybuchu powstania tak żywo grały. Czy Czerwoni i Biali, jedni i drudzy, przebrali się w kolor różowy i różaną wodą zlewali siebie ku uspokojeniu własnemu? Nie! Ludzie zostali ludźmi, a z nimi namiętności i ich siła. Umieli się przezwyciężyć, a przy tem zwycięstwie nawet ludzie mali stanęli do pracy, jako ludzie godni swojej epoki.

Wielkości, gdzie twoje imię?

Rok 1863 dał wielkość nieznaną, wielkość, co do której i teraz świat wątpi, gdy mówi o nas, wielkość, zaprzeczającą wszystkiemu temu, co my o sobie mówimy, wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, siły zbiorowej i wysiłków woli, siły moralnej, — nie treuga Dei szui zbiorowej, nie treuga Dei tchórzów, lecz treuga Dei ludzi, którzy w wielkiej godzinie, gdy palec Boży ziemi dotknął, rosną w olbrzymy olbrzymiej pracy moralnej.

Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co jako sztandary
Wojsk zatraconych pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu, szkielety —
Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza.

I gdy raz jeszcze rzucam pytanie: wielkości, gdzie twoje imię? — znajduję odpowiedź: wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 1863 roku istniała, a polegała ona na jedynym może w dziejach naszych rządzie, który, nieznany z imienia, był tak szanowany i słuchany, że zazdrość wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów.

. . . .

Polska trudy ciężkie przeżywa, nieraz Polak miota się w trwodze.

I gdy na sennych was uderzą strachy,
I gdy zbudzicie się w łożu spotniali,
I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali —
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Boga pokaże i przed Nim powali

— wtedy wiedźcie: z mogił, z grobów 1863 roku żywy cień powstaje, cień wielkości epoki, cień Rządu Narodowego i wtedy mogiły zawołają głosem straszliwym: — „Idź i czyń!".

JAN SAWA (KONOPNICKA)

ROK 1863

Poszła młódź do lasu,
Pustką stoją dwory,
Pozostał pod strzechą
Kto stary lub chory.

Poszła młódź wśród boju,
Inni poszli w pęta:
Ratujże ich, Panno
Częstochowska, święta.

Nieraz ciemną nocą
W okno ktoś kołacze;
Przynieśli rannego:
— Cicho... matka płacze.

Pozostały matki
I siostry i żony,
Został smutek wielki,
Żal nieutulony.

Płyną z różnych domów
Gorące modlitwy.
Czasem strzały słychać:
Tu bitwy, tam bitwy...

Jedzie sznur kibitek
Na wschód od Tobolska
Tylu swoich synów
Żegna Matka — Polska.



Artur Grottger Bój leśny (1863 r.)

JOSEPH CONRAD (KORZENIOWSKI)

O ROKU 1863

Jeden z najsympatyczniejszych mych krytyków usiłował przypisać pewne charakterystyczne cechy mego dzieła temu, że jestem synem „rewolucjonisty". Jest to najmniej trafne ze wszystkich określeń w stosunku do człowieka, którym był mój ojciec, mający tak silne poczucie odpowiedzialności w zakresie idei i czynu, i tak nieczuły na poduszczenia osobistej ambicji. Nie mogę doprawdy pojąć, dlaczego w całej Europie określano jako „rewolucje" polskie powstania z lat 1831 i 1863. Te powstania były poprostu buntami przeciw obcej przemocy. Nawet sami Rosjanie nazywali je rokoszami, co z ich punktu widzenia było ścisłą prawdą. Ojciec mój nie był bardziej rewolucyjny od innych Polaków, zajętych przygotowaniem ruchu z 1863, to jest nie pracował nad zniszczeniem żadnego społecznego czy politycznego systemu. Był poprostu patrjotą, jak człowiek, który wierzy w ducha narodu i nie może znieść, aby ten duch cierpiał niewolę.

Jako dziecko nie zdawałem sobie sprawy z działalności ojca, bo umarł, zanim jeszcze skończyłem lat dwanaście. Widziałem na własne oczy uroczysty pogrzeb, pustą jezdnię, milczące tłumy; lecz było dla mnie jasne, że duch narodu chwycił dogodną sposobność, aby się wypowiedzieć. Tłum robotników i młodzieży akademickiej z obnażonemi głowami, kobiety u okien, uczniowie na chodnikach, wszyscy ci ludzie nie mogli wiedzieć o moim ojcu nic poza znaną jego wiernością dla

uczucia, które panowało wszechwładnie we własnych ich sercach. I ja sam wówczas nie wiedziałem nic więcej; ta wielka, milcząca manifestacja wydała mi się najprostszym z hołdów nie dla człowieka, lecz dla Idei.

Osobiście wzruszyło mię daleko silniej spalenie rękopisów ojca na jakie dwa tygodnie przed jego śmiercią. Odbyło się to pod własnym jego kierunkiem. Tego wieczoru wszedłem do pokoju ojca trochę wcześniej, niż zwykle i, niezauważony przez nikogo, przypatrywałem się szarytce, wrzucającej rękopisy do ognia rozpalonego na kominku. Mój ojciec siedział w głębokim fotelu, oparty na poduszkach. Wstał wówczas z łóżka po raz ostatni.

Przez wiele lat byłem pewien, że rękopisy ojca zostały spalone aż do ostatniego skrawka, lecz w lipcu 1914 roku bibljotekarz uniwersytetu krakowskiego odwiedził mię w czasie mego krótkiego pobytu w Polsce i wspomniał, że istnieje kilka rękopisów mego ojca, a także serja listów, pisanych przed wygnaniem i podczas wygnania do najbliższego przyjaciela, który przesłał je do uniwersytetu na przechowanie. Poszedłem odrazu do bibljoteki, ale miałem wtedy czas tylko okiem na nie rzucić. Chciałem przyjść znowu nazajutrz i polecić, aby sporządzono kopję całej korespondencji. Lecz nazajutrz wybuchła wojna. Myślałem, że zapomniano o nim zupełnie w czterdzieści pięć lat po jego śmierci. Ale nie. Kilku młodych literatów wydobyło go z zapomnienia, głównie, jako wybitnego tłumacza Szekspira, Wiktora Hugo i Alfreda de Vigny. Przypomniano także polityczną działalność mego ojca.

Kilku współczesnych mu ludzi — jego kolegów w pracy, dążącej do utrzymania w narodzie niezłomnej nadziei na przyszłą niepodległość — ogłosiło po dojściu do starości wspomnienia, w których rola odegrana przez mego ojca została ujawniona po raz pierwszy. Dowiedziałem się wówczas o faktach z jego życia zupełnie mi nieznanych, faktach, które poza grupą wtajemniczonych mogły być wiadome tylko jednej osobie — mej matce. I tak, z tomu pośmiertnych wspomnień, odnoszących się do tych gorzkich lat, dowiedziałem się, że pierwotnym zamia-

rem tajnego Narodowego Komitetu było zorganizować opór moralny przeciwko wzmożonemu rosyjskiemu uciskowi i że projekt ten wyszedł od mego ojca, a pierwsze zebrania Komitetu odbywały się w naszem mieszkaniu w Warszawie; pamiętam z tego mieszkania wyraźnie tylko jeden pokój, biały i czerwony, prawdopodobnie salon. Były tam sklepione drzwi — najwyższe, jakie sobie można wyobrazić. Dokąd prowadziły, pozostaje dla mnie tajemnicą; lecz po dziś dzień nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wszystko to było olbrzymich rozmiarów, i że postacie, ukazujące się i znikające w tej niezmiernej przestrzeni, przerastały wzrostem ludzi, których spotykałem w późniejszem życiu. Pamiętam wśród nich moją matkę, bliższą mi od innych postaci, ubraną w czerń narodowej żałoby, noszonej wbrew okrutnym nakazom policji. Zachowałem też głównie z tych czasów wspomnienie lęku wobec tajemniczej matczynej powagi, która nie była jednak pozbawiona uśmiechu. Bo pamiętam i uśmiechy mej matki. Pewno dla mnie umiała zawsze zdobyć się na uśmiech. Była wówczas młoda, nie miała jeszcze trzydziestu lat. Umarła w cztery lata później na wygnaniu.

Wywołałem ponownie cienie, odpowiadając na słowa życzliwej krytyki, a teraz niechże im będzie wolno powrócić na miejsce swego spoczynku, gdzie ich ziemskie postacie trwają wciąż, zasnute mgłą, lecz żywe, czekając chwili, kiedy ich dojmująca rzeczywistość, ostatni ślad ich życia na ziemi, zniknie ze mną na zawsze z tego świata.

HENRYK SIENKIEWICZ

WSPOMNIENIA Z MARIPOZY.

Gdy dyliżans nasz wjechał do miasta, było w niem niezwykle ludno, przybyliśmy bowiem w piątek, a to jest dzień targowy. Skwaterowie przywożą w ten dzień miód do grocerni, w której wzamian zaopatrują się w rozmaite artykuły żywności. Inni przypędzają trzodę, farmerowie dostawiają zboże. Lubo emigracja napływa do Maripozy bardzo pomału, znajdowało się wszelako i kilka wozów emigranckich, które łatwo poznać po białych, wysokich dachach i po tem, że między kołami zwykle upięty jest na łańcuchu pies, szop albo niedźwiadek. Ruch przed hotelem panował niemały, gospodarz zaś hotelu, pan Biling, kręcił się na wszystkie strony, roznosząc dżin, whisky i brandy. Na pierwsze wejrzenie poznał on we mnie cudzoziemca, jadącego do Big Trees; ponieważ zaś tacy turyści stanowią najpożądańszą klientelę, dlatego zajął się mną ze szczególną troskliwością.

Był to Niemiec, niemłody już człowiek, ale ruchliwy i żywy, jak iskra. Z wielkiem ugrzecznieniem wskazał mi mój pokój. Objaśnił, że już jest po brekfeście, ale, jeżeli sobie życzę, podadzą mi natychmiast jeść w „dining room".

— Gentleman zapewne z San Francisco?

— O nie, z dalszych stron, z Polski.

— Jest tu pański rodak.

— W Maripozie?

— Nie, on mieszka w lesie. Ale w piątek przyjeżdża na targ z miodem i zostaje na noc. Stary człowiek. Bardzo do-

bry bardzo dobry! On tu już jest ze dwadzieścia lat. Jeszcze tu nikogo nie było, jak on przyszedł. Jutro go panu przyprowadzę.

— Jakże się nazywa?

Niemiec wstaje i poczyna się w głowę drapać, jak pierwszy lepszy polski Bartek.

— O! I don't know! Nie wiem — mówi — coś bardzo trudnego.

Nazajutrz, ledwiem wstał, już mój Niemiec jeszcze przed brekfestem przyprowadził mi rodaka.

Był to człowiek wysoki, bardzo nawet wysoki, ale pochylony mocno. Miał białą głowę, białą brodę i niebieskie oczy, które utkwił we mnie odrazu z jakąś dziwną uporczywością.

— Zostawiam panów samych — rzekł Niemiec.

Zostaliśmy tedy sami i patrzyli na siebie przez długi czas w milczeniu. Po prawdzie, byłem jakiś zmieszany widokiem tego starca, podobniejszego do Wernyhory, niż do przeciętnego rodaka.

— Zwę się Putrament — ozwał się starzec. — Aza nazwisko moje obce jest uszom twoim?

— Nazwisko moje M. — odparłem. — Pańskie obiło mi się o uszy. Zdaje się z Litwy?

Coś istotnie przypomniało mi się z Pana Tadeusza, „Putrament z Pikturną" w opowiadaniu Protazego o procesach.

Starzec przyłożył rękę do ucha.

— Hę? — rzekł.

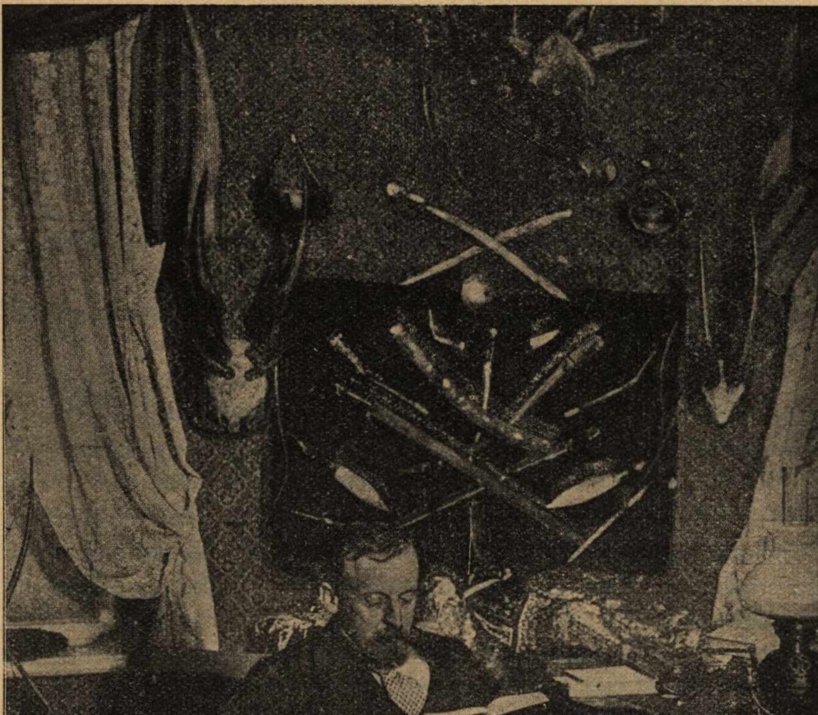
— Zdaje mi się z Litwy?

— Podnieś głos twój, albowiem wiek zepsował uszy moje i głuchą jest starość moja — odrzekł pan Putrament.

— Czy on kpi sobie ze mnie, czy ja głupi jestem? — pomyślałem — ale coś ten staruszek mówi językiem proroków. Cóż za oryginały spotykam w tej Maripozie!

— Pan dawno z kraju? — spytałem.

— Dwadzieścia dwa lat tu mieszkam i, zaprawdę, pierwszym jesteś, którego oglądam ze stron ojczystych, gwoli czemu wzruszone jest serce moje i uradowana dusza we mnie.



Henryk Sienkiewicz w swojej pracowni

Rzeczywiście, starzec mówił głosem drżącym i wydawał się bardzo wzruszony. Co do mnie, byłem tylko zdziwiony. Nie siedziałem dwadzieścia lat w lesie, Polaków widziałem niedawno w San Francisco i nie miałem powodu się rozczulać. Miałem natomiast trochę ochoty wykrzyknąć: „Co za styl! Żeby tak kto do mnie mówił przez dobę, tobym chyba zaczął wyć. Brr!“ Tymczasem starzec wpatrywał się we mnie uporczywie i myśl jego zdawała się silnie pracować. Kilka razy jakby pragnął mówić i uciął. Widoczne było, iż sam czuł, że nie wyraża się, jak każdy inny człowiek. Mówił, zresztą, bardzo poprawnie, ale z trudnością.

— W ziemi dalekiej stężał język mój i związały się wargi moje...

— Co prawda, to nie grzech — pomyślałem.

Ale wesołość opuszczała mnie. Robiło mi się jakoś przykro i czułem pewien wyrzut sumienia. — Jak sobie tam mówi, tak mówi ten starzec, — myślałem — ale mówi ze wzruszeniem, z głębokim smutkiem i szczerze, a ja oto... jakbym podrwiwał sobie z niego.

I mimowoli wyciągnąłem ku niemu obie ręce. Wziął je i przycisnął silnie do swych piersi, powtarzając:

— Rodak! Rodak!

Takie uczucie drgało w jego głosie, że chwyciło mnie wprost za serce.

W każdym razie miałem przed sobą dziwną zagadkę, a może bardzo smutną. Począłem wtedy patrzeć na niego, jakbym patrzył na starego ojca. Posadziłem go z uszanowaniem na krześle i sam usiadłem koło niego. On wciąż patrzył na mnie.

— Co słychać w ziemi naszej? — spytał.

Rozpuściłem język, jak kołowrót, starając się tylko mówić głośno i jasno. W ten sposób gadałem z pół godziny, a w miarę słów moich, szanowna jego głowa kiwała się smutno, lub uśmiech występował mu na usta. Częstokroć zadawał mi pytania, zawsze tymże samym poważnym, dziwnym i niewytłumaczonym stylem.

Wszystko, com mu opowiadał, zajmowało go nad wszelki wyraz. Cała jego dusza zbiegała się do oczu i ust. Żyjąc samotnie, wśród lasu, może on dnie całe myślał tylko o tem, co płynęło teraz z ust moich.

Dziwny starcze, dziwna raso ludzka, która na najodleglejsze krańce świata niesiesz jedną myśl i jedno uczucie! Tem żyjesz w lasach, w pustyniach i nad morzem; unosisz ciało swoje, a duszy oderwać nie umiesz i chodzisz, jak błędna — między innymi ludźmi. Ale rasa ta umiera zwolna. Ja wam opowiadam o jednym z ostatnich.

Opowiadanie to zda się wymysłem, a jednak jest rzeczywistością. Putrament może żyje jeszcze w swoim lesie w bliskości Maripozy. Z opowiadań jego dowiedziałem się, co następuje. Był pasiecznikiem, jak większość skwaterów. Nie jest zbyt biedny. Pszczoły zarabiały na jego życie. Zestarzawszy się, wziął pomocnika, małego Indjanina, który dogląda pasieki. Mówił, że sam dotychczas jeszcze poluje. Zwierzyny wpobliżu Maripozy jest mnóstwo: jeleni, antylop i ptactwa wszelkiego moc nieprzebrana.

Niedźwiedzie przerzedziły się znacznie. Jego „kanjon" jest jednym z najpiękniejszych w okolicy. Przy domu jest cudny strumień, tworzący mnóstwo kaskad, zresztą, skały i góry, a na nich las i las nieprzebyty. Cisza, spokój... Zapraszał mnie mocno, bym go odwiedził; ale musiałbym zpowrotem czekać aż do następnego piątku, z żalem więc nie mogłem przyjąć zaproszenia. Mówił ciągle, jak jaki Abraham lub Jakób... Słowa: aza, azali, zaprawdę, lepak, przecz i wżdy — powtarzały się w jego ustach co chwila. Czasami zdawało mi się, że mam przed sobą jakiegoś człowieka z czasów Górnickiego lub Skargi, który pod ziemią przywędrował do Maripozy i zmartwychwstał tu, lub żył od owych czasów, jak owe Big Trees pobliskie.

Ale prócz tego starego języka była w mowie jego jeszcze i jakaś dziwna uroczystość, polegająca na toku zdań, na mnóstwie pleonazmatów, na szczególnych określeniach. Postanowiłem wreszcie rozwiązać zagadkę.

— Powiedz mi, szanowny panie, skąd ci się wziął ten język? Język to nie dzisiejszy, ale stary, którym już nie mówią w Polsce.

Uśmiechnął się.

— Jedną książkę mam w domu: „Biblję" Wujka, którą czytuję codzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemym w języku ojców moich.

Teraz zrozumiałem. Przez kilkadziesiąt lat w zapadłej Maripozie nie widział ani jednego Polaka, nie mówił z nikim. Czytywał więc Wujka, i nic dziwnego, że nietylko jego słowa, ale i myśli ułożyły się do miary biblji. Inaczej już po polsku nie umiał i nie mógł mówić, oddawał to, co czerpał. Nie chciał tylko za nic w świecie zapomnieć. Miał zwyczaj czytywać głośno swoją biblję każdego ranka. Zresztą, nic więcej nie dochodziło go ze stron ojczystych, nic, znikąd — chyba tylko szum lasu kalifornijskiego przypominał mu szumy litewskie...

Gdyśmy się żegnali, rzekłem:

— Za miesiąc wracam do kraju. Czy nie masz pan jakich krewnych: brata, swata, kogokolwiek, komubyś mógł dać znać o sobie?

Zamyślił się, jakby szukał w pamięci jakich najdalszych krewnych — potem począł potrząsać głową:

— Nikogo... nikogo... nikogo...

A jednak ten starzec czytywał Wujka i nie chciał... zapomnieć.

Pożegnaliśmy się.

— Niech cię prowadzi Pan! — rzekł mi na drogę.

Nazajutrz rano myślałem sobie: w tej chwili stary Putrament czyta głośno w kanjonie swoją biblję...

STEEAN ŻEROMSKI

LEKCJA JĘZYKA POLSKIEGO

Na początku trzeciego kwartału, po przyjeździe ze świąt Bożego Narodzenia, uczniowie klasy siódmej zastali nowego kolegę. Był nim Bernard Zygier, wydalony z tejże klasy któregoś gimnazjum w Warszawie. Nikt z klerykowian nie miał wiadomości autentycznych, za co właściwie Zygier był ze stolicy raz na zawsze wypędzony, a do Klerykowa przyjęty. Chodziły tylko niezdecydowane pogłoski, że to „ptaszek". Zczasem dopiero jeden z ósmoklasistów, któremu zdarzyło się być podczas świąt w Warszawie, oświetlił nieco sprawę, rozgłaszając, że tajemniczy przybysz wyrzucony został za „niebłagonadiożnosť".

W nowej szkole Zygier natychmiast otoczony został szczególniejszą opieką. Mieszkał sam jeden u pana Kostriulewa i poza murami szkoły nie miał prawa stykać się z kolegami. W gimnazjum pilnowano go również w sposób, nie zostawiający nic do życzenia.

Tego dnia lekcja języka „miejscowego" była ostatnią zrzędu, a więc przypadła między godziną drugą a trzecią. Sztetter wszedł do klasy, jak zwykle z wyrazem niechęci na twarzy, zasiadł i wnet wymienił czyjeś nazwisko, prosząc o tłumaczenie z języka polskiego na rosyjskie wiersza Czajkowskiego p. t. „Pająk".

Ten, kogo spotkał los tak nudny, pragnąc wykręcić się, zaczął gadać (rozumie się po rosyjsku):

— Panie profesorze, mamy nowego ucznia.

— Nowy uczeń? — spytał Sztetter ze zdziwieniem. — Gdzie, jaki uczeń?

Zygier wstał ze swego miejsca i skłonił się nauczycielowi.

— No... czytaj pan!

Zygier odczytał i przetłumaczył na język urzędowy kilka strof wiersza, a potem rozbierał kolejno zdania pod względem gramatycznym i logicznym. Zastanowiło wszystkich, że czynił to nadzwyczaj starannie i rozbierał po polsku. Sztetter, oparty ramieniem na krześle, dźwignął zwieszoną głowę i, bębniąc w stół palcami, z pod oka przyglądał się Zygierowi. Podmiot, orzeczenie, słowa określające, rzeczownik, zaimek, mianownik, dopełniacz, celownik, imiesłowy odmienne, nieodmienne i t. d. brzmiały w tej klasie tak dziwnie, tak jakoś zabawnie, że wszyscy uczniowie, słysząc to po raz pierwszy, spoglądali ze śmiechem to na profesora, to na ucznia, ciągnącego rzecz swoją ze skupieniem i uwagą. Ukończywszy rozbiór całego wiersza, Zygier złożył książkę na ławie. Nauczyciel otworzył swój notes prywatny, dziennik klasowy, ujął za pióro, wykręcał je w palcach i myślał o czemś głęboko.

— Proszę mi powiedzieć — rzekł jeszcze nauczyciel — co pan czytałeś, w jakim kierunku?

— Czytałem... tak dosyć rozmaitych rzeczy.

— A z literatury polskiej?

— Uczyliśmy się kolejno, systematycznie okresami.

— Tak, tak... — mówił Sztetter, zabawnie strzepując ręką piasek z dziennika, — no i jakież to tam okresy?

— Czytaliśmy utwory z wieku złotego dosyć pobieżnie, zato romantyków szczegółowo.

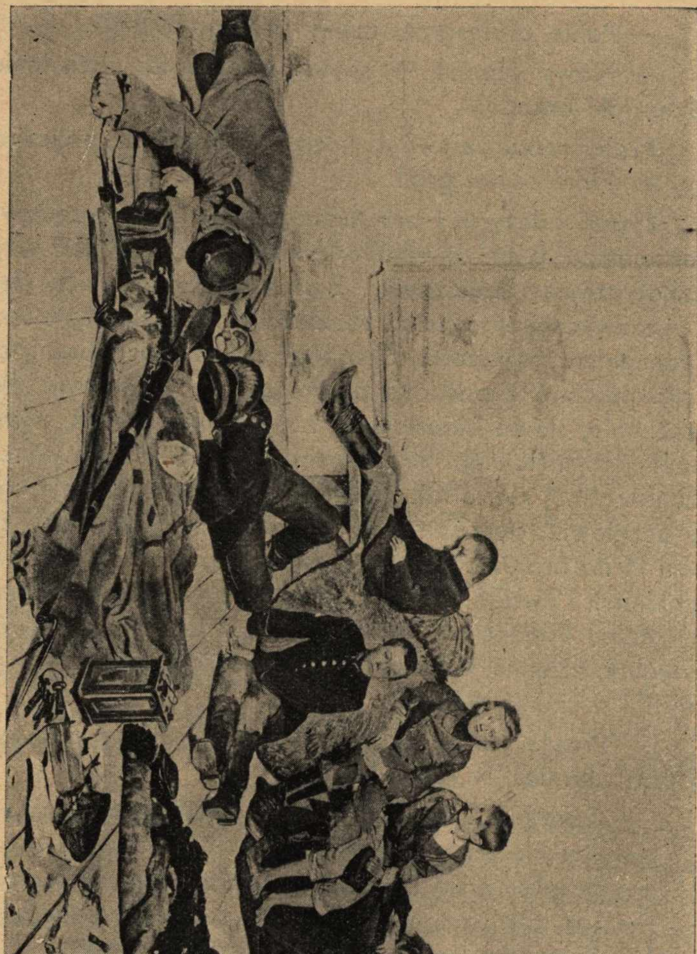
— Któż to... my? — zapytał nauczyciel daleko ciszej i patrząc we drzwi.

— To tam w Warszawie... my... sami...

— Cóż pan czytałeś np. z Mickiewicza?

— No, zdaje się... Niektórych rzeczy żadną miarą nie mogliśmy dostać.

Artur Grottger



Nocleg aresztowanych uczniów

— Ja się o to nie pytam, nie chcę wiedzieć! Jakiż utwór podobał się panu najbardziej?

— Czy ja wiem? Trzecia część... Improwizacja, Pan Tadeusz, Księgi Pielgrzymstwa...

Sztetter umilkł. Po chwili zapytał jeszcze.

— No, a cóż pan wiesz o Mickiewiczu?

Uczeń wyraźnie, jasno i bardzo szczegółowo opisał w języku rosyjskim młodość poety, związek Promienistych, Filomatów i Filaretów, aresztowania, uwięzienia i deportację. Wprost od tych szczegółów najniespodziewaniej zjechał z Wilna do Warszawy i, już nie ku profesorowi, lecz w stronę klasy swrócony, jął wyborną i bardzo piękną ruszczyzną, z chwalebnem uniknięciem „polonizmów“, plastycznie malować napad podchorążych na Belweder w nocy 29 listopada.

Oszołomiony belfer, pragnąc co tchu przerwać ten wykład, rzucił pytanie:

— Umiesz pan może co na pamięć?

— Tak, umiem to i owo.

— Proszę powiedzieć.

Zygier złożył książkę, przez chwilę się namyślał i wnet zaczął mówić głosem nie donośnym, ale dźwięcznym, jak szlachetny metal:

„Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo...“

Usłyszawszy te wyrazy, Sztetter zerwał się na równe nogi i zaczął machać rękami, ale Zygier nie umilkł. Jakby odepchnięty jego wzrokiem nauczyciel siadł na swem krześle, podparł głowę rękoma i nie spuszczał oka ze szybek we drzwiach. W klasie stała się cisza. Wszystkie oczy skierowały się na wypowiadającego „wiersze polskie“. Ten mówił równo, ze spokojem i umiarkowanie, ale jednocześnie z taką ukrytą w słowach, wewnętrzną gwałtownością, która kiedy niekiedy, w pewnych cezurach, wymykała się między sylabami. Dziwne, niesłychane słowa przykuwały uwagę, potężny obraz boju rozwierał się przed oczyma słuchaczów — i nagle mówca dźwignął swój głos o stopień wyżej:

„Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo francuskie twoje stopy liże,
Warszawa jedna mocy twej urąga!
Podnosi na cię rękę...“

Nauczyciel syknął i zaczął wstrząsać głową. Wtedy „Figa“ Walecki wylazł ze swej ławki, zbliżył się do drzwi, wspiął na palce i, spoglądając uważnie w korytarz, machnął ręką na Zygiera, żeby gadał dalej. Nie była to już recytacja utworu wielkiego poety, lecz oskarżenie uczniaka polskiego, zamknięte w zdarzeniach bitwy. Był to własny utwór, własna mowa. Każdy obraz walki dawno przegranej wydzierał się z ust mówcy, jak pragnienie uczestnictwa w tem dziele zgubionem. Uczucia dziecięce i młodzieńcze po miljon kroć znieważane, leciały teraz między słuchaczów w kształtach słów poety, pękały wśród nich, jak granaty, świszczały, niby kule, ogarniały dusze na podobieństwo kurzawy bojowej. Jedni słuchali wyprostowani, inni wstali z ławek i zbliżyli się do mówcy.

Wtem Zygier zaczął mówić:

„... nieraz widziałem
Garstkę naszych, walczącą z Moskali nawałem,
Gdy godzinę wołano dwa słowa: — Pal! Nabij!
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi,
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność,
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia pamięci
Żołnierz, jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci
Broń od oka do nogi, od nogi — do oka...
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko —
Szukała... Nie znalazła... I żołnierz pobladnął,
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął
I poczuł, że go pali strzelba rozogniona
I puścił ją i upadł... Nim dobiją, skona...“

Sztetter siedział na swem miejscu wyprostowany. Powieki jego były, jak zwykle, przymknięte, tylko teraz kiedy niekiedy wymykała się z pod nich łza i płynęła po bladej twarzy.

ANNA POHOSKA

SYN KUJAW

Był maj. Wieczór zapadał pogodny i cichy. W stronę Kościelca szła gromadka chłopców. Była to „szkółka“ Kaspra. Wyszli, każdy oddzielnie, z Inowrocławia i szli dróżkami polnemi, by nie zwracać na siebie uwagi. W lesie złączyli się, szli już gromadą. Cienie drzew bladły, ptaki cichły, noc nadchodziła. Drzewa nabierały tajemniczych kształtów. Nadlatywał wiatr, las zaczynał szumieć. Wtedy młodsi chłopcy przyśpieszali kroku, by nie pozostać w tyle. Dróżka leśna zwężała się, mrok zapadał coraz gęstszy. Idący przodem Kasper zwalniał kroku, obawiał się, że zatraci ślad dróżki i zbłądzi.

— Zaczekajmy; gdy księżyc wzejdzie, pójdziemy dalej — rzekł Kasper.

Stanęli.

Gwiazdy otwierały oczy, promień księżyca rozjaśnił niebo, szczyty drzew i leśną dróżkę. Wiatr ucichł. Stawało się widno jak w dzień.

— Chodźmy — rzekł Kasper.

I przodem pośpieszył. W lesie była cisza. Słychać było tylko odgłosy kroków, szept stłumiony chłopców i szelest rozsuwanych gałęzi. Drzewa rozstąpiły się. Wydało się chłopcom, że srebrne jezioro zamajaczyło wdali.

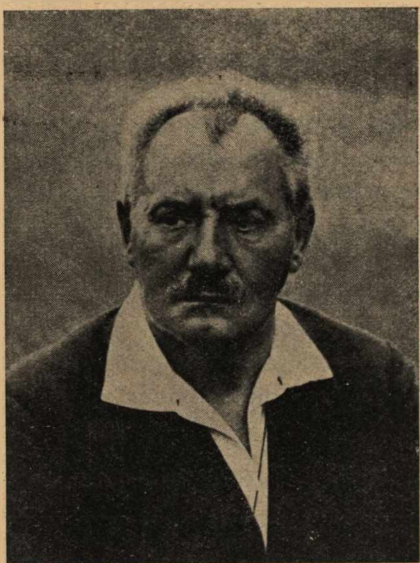
— To tu — rzekł Kasper. — Jeszcze kilkadziesiąt kroków, i będziemy u celu wędrówki.

Wiatr zerwał się znowu. Nasunął obłoki, zasłonił księżyc, polana i las ciemniały.

— Zapalmy ogień — rzekł Kasper i usiadł w cieniu starego dębu.

Chłopcy zbierali gałęzie, ułożyli je, skrzesali ogień. Płomień rozniecił się szybko. Oświetlił stary, rozłożysty dąb.

— Być może — myślał Kasper — że przed wiekami pogańscy kapłani palili u tego dębu ogień ofiarny.



Jan Kasprowicz

Wstał. Zaczął mówić o dawnej świetności, o dniu Wielkim, którego rocznicę święcili, o dniu 3-go Maja, który zrównał wszystkich obywateli państwa Polskiego wobec prawa i obowiązków.

Noc stawała się ciemna. Obłoki zasłoniły niebo, nikt nie myślał o boginkach lub wilkołakach. Wszyscy słuchali słów Kaspra. Chłopcy patrzyli weń. Jakże w tę noc wielkiej rocznicy wdzięczni mu byli za to, że otworzył przed nimi księgę dziejów narodu! Słowa Kaspra padały głęboko w ich dusze i rozniecały ogień miłości ojczyzny. A on stał, wpatrzony w las to-

nący w mrokach nocy. Wydało mu się, że w cieniach lasu widzi korowód wielkich duchów, twórców Konstytucji 3-go Maja, i słowa jego układać się zaczęły w strofy wierszy.

Godziny przechodziły. Niebo zaczęło szarzeć. Ognisko przygasło, kontury drzew wyodrębniać się poczęły z cieniów nocy.

— Świt — szepnął Kasper.

— Świt — powtórzyli zasłuchani chłopcy.

Dopiero teraz zauważyli, że noc się kończyła.

— Czas nam do domów wracać — szepnął Kasper.

— Czas.

Niejeden chłopak wymknął się z domu bez pozwolenia majstra, bał się bowiem zdradzać tajemnicy. Zagasili szybko ognisko.

— W drogę! — zawołał Kasper.

Ruszyli zpowrotem, szli szybko. Dróżka leśna stawała się z każdą chwilą jaśniejsza.

— Tak, jak my — zaczął, idąc, mówić Kasper — zbierać się musieli spiskowcy, przygotowujący zbrojne powstania.

— Czas nam się rozłączyć — rzekł — bywajcie zdrowi.

Chłopcy szli do Inowrocławia drogami różnemi. Jedni łąkami, inni miedzami pól, inni gościńcem. Szli prędko, by dostać się do swych izdebek, zanim miasteczko się obudzi.

Kasper szedł powoli. Z nim razem szedł kolega jego, Kaczmarek. Chłopak był chory i nie mógł iść prędko. Astma dokuczała mu bardzo.

— Usiądźmy pod drzewem — rzekł Kasper, widząc, że Kaczmarek idzie z wielkim trudem.

Usiedli. Kaczmarek wydobył z kieszeni zeszyt.

— Spisz zaraz to, coś mówił.

Kasper kręcił głową. Nie chciało mu się. Zmęczony był i śpiący. Ale Franek nalegał.

— Kasper, pisz, proszę cię, prosze na wszystko!

Kasper usiadł. Otworzył zeszyt, na pierwszej kartce zaczął pisać.

—Oprawię ten zeszyt pięknie bardzo — mówił Kaczmarek, — od dziś będziesz wpisywał do niego wszystkie swoje wiersze. Gdy będziesz sławnym poetą, oddam ci je wszystkie.

Kasper uśmiechnął się.

— Sławnym poetą...

Kasper marzył, rysując, że będzie malarzem, niekiedy myślał, że będzie poetą.
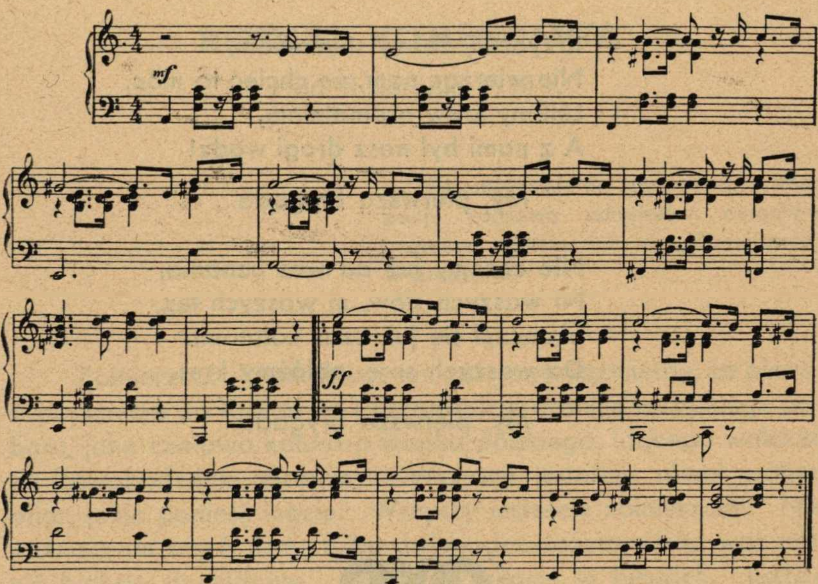
Spojrzał na niebo.

Jutrzenka zaczęła złocić świat, wstawał dzień. Chory, blady chłopak podnosił z ziemi zapisany bruljon. Z nabożeństwem wielkiem chował go za pazuchę.

III

ŚWIT

PIERWSZA BRYGADA



Legjony to żołnierska nuta,
Legjony to ofiarny stos,
Legjony to żołnierska buta,
Legjony to straceńców los.

My, pierwsza brygada,
Strzelecka gromada,
Na stos rzuciliśmy
Nasz życia los,
Na stos, na stos.

O, ile mąk, ile cierpienia,
O, ile krwi, wylanych łez,
Pomimo to niema zwątpienia,
Dodaje sił wędrówki kres.

My, pierwsza brygada...

Krzyczeli, żeśmy stumanieni,
Nie wierząc nam, że chcieć to móc,
Leliśmy krew osamotnieni,
A z nami był nasz drogi wódz!

My, pierwsza brygada...

Nie chcemy już od was uznania,
Ni waszych słów, ni waszych łez,
Skończył się już czas kołatania
Do waszych serc, połóżmy kres.

My, pierwsza brygada...

ROZKAZ KOMENDANTA

z dn. 3 sierpnia 1914 r.

Przemówienie do złączonych w kompanję kadrową oddziałów związków i drużyn strzeleckich w „Oleandrach" w Krakowie.

Żołnierze... Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcję dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzę na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armja polska, i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanję.

Józef Piłsudski

KPT. MIECZYSŁAW B. LEPECKI

JÓZEF PIŁSUDSKI NA SYBIRZE

Dnia 1 marca 1887 roku grupa studentów petersburskich usiłowała zgładzić ze świata panującego podówczas w Rosji cara, Aleksandra III. Zamach się nie udał. Sprawców aresztowano i osadzono w więzieniu. Śledztwo wykazało, że niektóre zebrania spiskowców odbywały się w mieszkaniu nienależącego do sprzysiężenia studenta, Bronisława Piłsudskiego, rodzonego brata dzisiejszego Pierwszego Marszałka Polski. Ten nikły kontakt z rewolucjonistami wystarczył, aby sąd skazał go na 15 lat ciężkich robót. Udział Józefa Piłsudskiego był jeszcze mniejszy. O przygotowanym zamachu zupełnie nie wiedział, a jedyną jego „winą" było, że na pisemną prośbę brata zetknął przysłanego do Wilna człowieka z miejscowym aptekarzem, Tytusem Paszkowskim. Ani Bronisław, ani Józef nie wiedzieli, że przybysz z Petersburga miał otrzymać od aptekarza materjały wybuchowe, potrzebne do sporządzenia bomby. W rezultacie obaj bracia znaleźli się na Sybirze: Bronisław na wyspie Sachalinie, jako katorżnik, Józef zaś — w gubernji Irkuckiej, jako zesłaniec administracyjny.

Przedtem, zanim wyrok zapadł i potem, w czasie dokonywania formalności, tułał się Józef Piłsudski po różnych więzieniach. Z za krat oglądał Wilno, Petersburg, Moskwę, a potem etapy. W owym czasie komunikacja z Sybirem odbywała się częściowo drogą wodną, częściowo zaś przy pomocy koni — wozami lub saniami. Zesłańcy nie korzystali nigdy z innych

środków lokomocji, jak tylko statki rzeczne i własne nogi. Nie zważając na to, że podróż piesza kosztowała drożej, rząd carski trzymał się uparcie zasady, aby więźniom nie dawać koni. Prawdopodobnie chciano w ten sposób skazańcom dokuczyć. Było to zgodne z tezą sprawiedliwości rosyjskiej, że więzienie ma być karą, a nie drogą do poprawy, względnie środkiem wyeliminowania ze społeczeństwa jednostki szkodliwej. I rzeczywiście, droga na Sybir była bodaj cięższą karą od samego pobytu na „pasielenju".

Pod koniec roku 1887 znalazł się Józef Piłsudski w maleńkiej mieścinie sybirskiej, Kireńsku, leżącej w odległości około 6 tysięcy kilometrów od jego rodzinnego Wilna.

Sybir jest krajem o klimacie mroźnym. Zimy są tam długie, trwające 8 — 9 miesięcy. Krótkie lata zaledwie pozwolą mieszkańcom zakosztować rozkoszy ciepła, a już mają się ku końcowi. Nadomiar złego, brak tam pór pośrednich: wiosny i jesieni. Upały następują prawie bezpośrednio po mrozach, a mrozy — po upałach. Miejsce, przeznaczone na pobyt Piłsudskiemu, leżało daleko na północy Sybiru i te wszystkie cechy, o których piszę, występowały tam szczególnie jaskrawo. Przebył w niem Józef Piłsudski przeszło dwa lata. Złożył się na ten czas różaniec dni smutnych. W oddaleniu od rodziny, w trosce o starszego brata, Bronisława, który jednocześnie przebywał w katordze na wyspie Sachalinie, a więc jeszcze kilka tysięcy kilometrów dalej, płynęły rozpaczliwie wolno. Młody, rwący się do życia, człowiek musiał cierpieć stokroć więcej od swych starszych, spokojnych towarzyszy. Twardy charakter, duma i upór, w najlepszem tego słowa zrozumieniu, pozwoliły mu jednak nie dać się opanować apatji, czy też depresji. Pomimo ciężkich warunków, Józef Piłsudski nie upadł na duchu, nie poddał się zwykłemu na zesłaniu nałogowi lenistwa. Jego żywy umysł nie spoczywał ani na chwilę. Wszystko go obchodziło, wszystko interesowało. W jego pamięci odbijało się, jak na kliszy fotograficznej, życie tajgi, zwyczaje ludów pierwotnych i czołdonów — Sybiraków. Wchłaniał w siebie naukę z tego, co mogło mu dać smutne otoczenie zesłańców i kraj zesłańczy.



NA EMIGRACJI W LONDYNIE
(1895)
Ignacy Mościcki, Bolesław Miklaszewski, Bolesław Antoni Jędrzejowski, Józef Piłsudski, Aleksander Dębski, Witold Jodko-Narkiewicz.

A, bądź co bądź, i otoczenie i kraj były oryginalne. Naokoło Kireńska roztaczała się olbrzymia, równa selwasom amazońskim — tajga. Ta piękna, iglasta puszcza, roztaczająca swoje ostępy na przestrzeni wielu miljonów kilometrów kwadratowych, otulała szczelnie maleńkie miasto, oddzielając je nieprzebytym gąszczem od reszty świata. Modrzewie, jodły, świerki i brzozy stanowiły jej podstawę. Wyrastały ku niebu smukłe, jędrne i tęgie. U dołu spowijało je gęste podszycie w lecie, a gruby, biały kożuch śniegowy w zimie. Między niemi uwijało się mnóstwo niedźwiedzi, rysi, wilków, popielic, lisów srebrnych i rudych, sarn i wiele innych zwierząt.

Jedynemi drogami, przecinającemi te nieprzebyte gąszcze, były rzeki. Kireńsk leżał nad rzeką Leną, dłuższą kilkakrotnie od Wisły. Po jej wodach, gdy były wolne od lodu, kursowały przez kilka miesięcy w roku nędzne stateczki, stanowiące jedyną więź ze światem zewnętrznym. Żył więc Józef Piłsudski w tajdze, nad rzeką Leną, licząc dni pozostałe mu do końca kary. Zły wróg nawet tam nie pozostawił go w spokoju. Pod koniec roku 1888 skazano go na sześć miesięcy więzienia za udział w rzekomym „buncie" podczas pobytu w więzieniu w Irkucku.

Wtrącony do nawpół rozwalonego aresztu, w celi, do której zaglądał w nocy przez szpary księżyc, nieomal nie zmarzł na śmierć. Przeziębiony i chory został przeniesiony do szpitala, a potem do innej miejscowości, położonej na południu Sybiru, w klimacie nieco łagodniejszym od kireńskiego.

I tak w dniu 6 sierpnia 1890 roku znajdujemy Józefa Piłsudskiego we wsi Tunka, położonej w granicach dzisiejszej autonomicznej republiki Burjato-Mongolskiej. Tutaj zdrowie jego poprawia się i hartuje.

Kraj i warunki życia zastał Józef Piłsudski w Tunce inne od tych, które poznał w Kireńsku. A więc przedewszystkiem nie było tutaj tajgi. Naokoło wsi rozciągały się obszerne stepy, łąki i pola uprawne, obejmujące całą, szeroką na 30 do 40 kilometrów dolinę rzeki Irkutu, w której Tunka leży. Zamiast smukłych drzew, szumiały trawy, a uczucie zamknięcia, tak zwykle

w miejscach zalesionych, tutaj zostało zastąpione uczuciem swobody, zwykłem krainom stepowym. I ludzie byli tu inni. W okolicach nie koczowały dzikie plemiona Tunguzów, lecz wszędzie mieszkał lud osiadły — Burjaci i nieco Rosjan. O ile Kireńsk był tylko zwykłą kolonją rosyjską, o tyle Tunka posiadała już wybitne piętno Wschodu. Bliskie sąsiedztwo Mongolji i Chin, pochodzenie rasowe Burjatów, należących do pnia mongolskiego, oryginalne stroje, odmienna religja (lamaizm) i odmienne zwyczaje — stwarzały tło egzotyczne, a dla młodego zesłańca nadzwyczajnie powabne. Gdyby nie to, że sprowadzono go tam poniewoli, że męczyła go tęsknota za Ojczyzną i rodziną, być może, cieszyłby się z losu, który pozwolił mu podziwiać ten kraj i tych ludzi.

Życie Józefa Piłsudskiego płynęło w Tunce pod znakiem pracy. Korzystając ze znajomości języków, został nauczycielem młodych chłopców ,synów lekarza-zesłańca. Poza tem, chodził na polowania, grał w szachy, gawędził i dyskutował z towarzyszami niedoli: Bronisławem Szwarce, Michałem Mancewiczem i Stefanem Juszczyńskim.

Dnia 8 kwietnia 1892 roku upłynął mu pięcioletni okres zesłania. W pięć tygodni później opuścił kraj golgoty i udał się koleją do Polski, do Wilna, gdzie oczekiwała go stęskniona rodzina.

Przybycie do Wilna było wielką uroczystością nietylko dla niego, ale dla ojca i dla całej wielce licznej rodziny Piłsudskich. Były zesłaniec nie zawiadomił nikogo o dacie swego przyjazdu. Może dlatego, że był nieco przesądny, a może poprostu dlatego, że bał się w ostatniej chwili jakiegoś kawału ze strony zapamiętałych w prześladowaniu wszelkich m i a t i e ż n i k ó w władz carskich. Dość, że do Wilna przybył niespodziewanie i udał się najpierw do siostry Zofji (Kadenacowej). I tam, w przedpokoju, wywiązała się taka scena:

— Proszę powiedzieć pani, — rzekł do służącej — że przyszedł do niej jeden pan.

Służąca popatrzyła na nieznajomego, może wzruszyła ramionami na to niewymienienie nazwiska i zaanonsowała „jednego pana".

Pani Zofja Kadenacowa nadeszła, spojrzała na przybysza i, nie poznawszy go, zapytała:

— Czego pan sobie życzy?

Józef Piłsudski opuszczał Wilno, jako młody 19-letni chłopiec, a wracał, jako dojrzały 25-letni mężczyzna. Twarde życie, zmartwienia, odmienny klimat — wszystko to zmieniło go tak bardzo, że nic dziwnego, iż nie poznała go rodzona siostra. Zachowując powagę do ostatniej chwili, nie mógł jednak powstrzymać się, gdy usłyszał takie zapytanie z ust ukochanej Zuli, i wybuchnął śmiechem. Dopiero ten śmiech otworzył oczy siostrze, która, jak to zwykle kobiety, płacząc ze szczęścia, rzuciła się kochanemu bratu na szyję.

ALEKSANDER KAMIŃSKI

STRZELEC

OPOWIADANIE Z ŻYCIA PŁK. LISA-KULI.

Było to wtedy, gdy pułkownik Leopold Lis-Kula nie był jeszcze pułkownikiem, lecz szesnastoletnim skautem-harcerzem, zastępowym zastępu Lisów w Rzeszowskiej drużynie.

Było to już jednak wtedy, gdy młody chłopak szukać zaczął uzupełnienia ćwiczeń skautowych rzeczami wojskowemi, gdy odczuwał już tęsknotę do prawdziwej broni, mogącej kiedyś, w potrzebie, być pomocą w wyzwalaniu Polski. Bawienie się w „wojsko" w domu, w szkole i na polach — nie wystarczało

To też, gdy zastępowy Lisów dowiedział się, że w Rzeszowie powstaje Związek Strzelecki z instruktorem specjalistą od ćwiczeń wojskowych na czele, nie mógł tej wiadomości znieść obojętnie. Jest dobrym uczniem, starczy mu więc czasu i na skauting i na strzelectwo.

Stanął przed komendantem, zameldował chęć wstąpienia do Strzelca i został przyjęty.

— Nazwisko wasze? — pyta komendant, otwierając księgę ewidencyjną.

— Kula Leopold, ale w drużynie nazywają mnie Lisem, bo jestem zastępowym Lisów.

— No, niech będzie Lis-Kula. Zgadzacie się, obywatelu? Bo u nas pseudonimy z różnych względów są bardzo pożądane.

Lis od pierwszego dnia wstąpienia do oddziału strzeleckiego zdobył sobie autorytet, choć był jednym z najmłodszych Strzelców. Skąd to przyszło, nie wiem. Może dlatego, że sprowadził razem z sobą kilku Lisków? Może dlatego, że jako bardzo wysoki, maszerował zawsze w pierwszej czwórce? A może ze względu na wyjątkowe zdolności w służbie polowej, do której tak świetnie przygotował się w swoim zastępie skautowym? Może! Każda z tych przyczyn prawdopodobnie wpłynęła na popularność. Istota rzeczy tkwiła w tem, że Lis wniósł ze sobą do oddziału kapitał ideologji skautowej i podstawy każdej wielkiej pracy: charakter i zapał do dalszego kształcenia tego charakteru.

Na każdą zbiórkę strzelecką przychodził Lis ze skautowym podręcznikiem Małkowskiego. A ponieważ Strzelcy rzeszowscy nie mieli prawie żadnej bibljoteczki, więc Lis stał się jakby źródłem mądrości oddziału. Trzeba poznać mierzenie rzeki — Lis ma to w swojej skautowej książce. Alfabet semaforyczny, niezbędny do sygnalizacji wojskowej, też jest u Lisa. Budowanie noszy, przenoszenie rannych, rozbijanie namiotów — książki Lisa są tu encyklopedją.

Ale właściwa sława Lisa wśród Strzelców rzeszowskich zabłysła dopiero na ćwiczeniach pod Jasłem. Tam to właśnie na błoniach jasielskich odbyły się manewry okręgu rzeszowskiego, które oceniał przybyły specjalnie Komendant Strzelców — Józef Piłsudski.

Lis wtedy dowodził plutonem. W czasie zaciętych walk Czerwonych z Białymi, plutonowy Kula, znakomicie wykorzystując teren, wykonał zwykły swój skautowy manewr, oparty na podchodzeniu i zaskoczeniu wroga natarciem od tyłu. Pomysł to był zwykły i strasznie prosty, cóż kiedy w zdenerwowaniu ćwiczebnem nie wpadł na ten pomysł żaden z dowódców! Jasny jest, zrozumiały i łatwy do wykonania, ale dopiero wtedy, gdy się walka skończy i wszyscy przysłuchują się opowiadaniom o dokonanym manewrze.

Przed dwuszeregiem stojących na szosie, zmordowanych ćwiczeniami Strzelców, stanął w towarzystwie szefa i dowódcy

okręgu rzeszowskiego — Komendant. Zwrócił się do jednego z oficerów, który zakomenderował:

— Obywatel Lis-Kula, wystąp! —

— To ja — zahuczało w głowie Lisa. — Niemożliwe! Poco?

I dopiero szturchnięcie w bok przez sąsiada wprawiło w ruch długie nogi Kuli. Stanął wyciągnięty jak struna przed lekko zgarbionym Komendantem i pytający, niepewny wzrok utkwił w jego szarych oczach.

— Jestem z was zadowolony, obywatelu — rozległ się niski głos Komendanta, którego wąsy lekko drgnęły, odsłaniając półuśmiechnięte wargi. — Należy wam się pochwała za przytomność umysłu, szybkie działanie i dobrą postawę całego waszego plutonu.

Te właśnie ćwiczenia, pochwała Komendanta, a ponadto specjalny kurs oficerski, odbyty w czasie wakacyj w Zakopanem, sprawiły, że Lis otrzymał szarżę oficera strzeleckiego i został zastępcą komendanta okręgu rzeszowskiego. Było to już bardzo poważne stanowisko, wymagające wielu wysiłków psychicznych i zabierające tyle czasu, że nie starczyło go już na zajęcie się pobocznemi sprawami. Lis musiał wycofać się z drużyny skautowej, gdzie miał daleko mniej odpowiedzialną pracę. Natomiast nie mógł wycofać się ze szkoły, gdzie jako uczeń szóstej klasy niczem nie zdradzał swej wysokiej szarży strzeleckiej. Strzelec był w owe czasy organizacją napół konspiracyjną, dla uczni zaś konspiracja była zupełną, regulaminy bowiem szkolne zabraniały należenia do Strzelca. Siedział więc sobie Lisek jak trusia w ławce szkolnej, pisząc klasówkę o sonetach mickiewiczowskich, lub przy tablicy, objaśniając reguły postępu geometrycznego. I żaden z nauczycieli nie domyślał się, że ten wysoki, szczupły, wybitnie inteligentny uczeń jest przełożonym setek poważnych obywateli Rzeszowa i okolicy. Skromny i zakonspirowany Lis niczem nie zdradzał, gdzie i jak spędza całe dni świąteczne.

Raz tylko. Raz jedyny wylazło szydło z worka, ale bo też pokusa była zbyt silna.

Działo się to jednego z ciepłych wiosennych dni, kiedy starsze klasy gimnazjum pod dowództwem profesorów, oficerów rezerwy armji austrjackiej, wymaszerowały na ćwiczenia polowe. Młodzież, podzielona na dwa wrogie oddziały, spotkała się wpobliżu niewielkiego lasku i urządziła formalną bitwę. Oddziały nacierały na siebie, pokrzykując zwycięsko dla dodania odwagi, a gdy zbliżyły się wzajem na odległość 200 kroków — przypadły w tyraljerze do ziemi i poczęły się zawzięcie ostrzeliwać.

Mijały długie minuty, a walka pozycyjna trwała. Pan profesor Kralisz, przypomniawszy sobie oficerskie czasy, zachęcał uczniów do spokoju i dobrego celowania. „Zwycięży, kto wytrwa" — powtarzał szereg razy.

— Panie profesorze — wyrwał się wreszcie, zniecierpliwiony i podniecony bezcelowem pukaniem, Lis. — Z tego nic nie będzie. Nie zwycięża ten, kto leży bez ruchu! Proszę mi dać połowę chłopców, a urządzę jakiś manewr.

— Leżeć spokojnie i nie zawracać głowy! — sucho odpowiedział profesor. Ale, gdy Lis natarczywie prosił i objaśniał swój pomysł, nauczyciel pozwolił mu wreszcie zabrać paru kolegów dla wypróbowania owego wątpliwego „manewru". Kiedy Lis z kolegami, ostrożnie pełzając rowem, zmierzał do lasu, oddział cały pukał po dawnemu.

Można sobie wyobrazić zdumienie całej szkoły, gdy po pewnym czasie, na tyłach przeciwnego oddziału wyskoczyła nagle, jak z pod ziemi mała gromadka Kuli i z głośnem „hurra" rzuciła się do ataku na wroga. Oddział profesora Kralisza samorzutnie skoczył również naprzód i nieprzyjaciel, wzięty w dwa ognie, musiał się poddać.

— No, no — mówił do Lisa zdumiony nauczyciel — nigdy nie myślałem, żeś ty taki zuch!

Pan profesor Kralisz mógł się pocieszyć, że żaden z jego kolegów nie domyślał się zupełnie, kim był ten mizerny, wysoki, o pałających oczach uczeń.

K. BIERNACKI

PIEŚŃ O WODZU MIŁYM

Melodja sierżanta I Brygady,
Zygmunta Pomarańskiego.

Jedzie, jedzie na kasztance,
Siwy strzelca strój! Siwy strzelca strój!
Hej, hej, Komendancie,
Miły Wodzu mój!
Gdzie szabelka Twa ze stali?
Przecież idziem w bój — przecież idziem w bój!
Hej, hej... i t. d.
Gdzie Twój mundur generalski,
Złotem zszywany, złotem zszywany?
Hej, hej... i t. d.
Masz wierniejszych, niż stal chłodna,
Młodych strzelców rój... młodych strzelców rój...
Hej, hej... i t. d.
Nad lampasy i czerwienie
Wolisz strzelca strój... wolisz strzelca strój...
Hej, hej... i t. d.
Ale pod tą szarą bluzą
Serce ze złota! Serce ze złota!
Hej, hej... i t. d.
Ale błyszczą groźną wolą
Królewskie oczy! Królewskie oczy!
Hej, hej... i t. d.
Pójdziem z Tobą po zwycięstwo
Poprzez krew i znój! poprzez krew i znój!
Hej, hej... i t. d.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

SZTANDAR Z ZA MORZA

Powiadają nieraz nasi na obczyźnie: — nasza Ojczyzna jest tam, gdzie żyjemy i pracujemy.

Gdy słucham takich słów, nic nie odpowiadam. Po pierwsze dlatego, że wiem, że to nie prawda; po drugie dlatego, iż na własne oczy widziałem, jak niektórym emigrantom naszym ciężko wytrzymać poza krajem. A już niech się coś stanie ważniejszego, niech się ojczysty kraj w niebezpieczeństwie znajdzie, wtedy wszyscy z najdalszych końców świata porzuciliby wszystko, byle się w kraju znaleźć i o los jego walczyć.

Widziałem taki wypadek w czasie wojny światowej w roku 1915-ym, gdym służył w I-ej Brygadzie Legjonów pod Józefem Piłsudskim. Owa I-sza Brygada, jak zresztą i całe Legjony, składała się z ochotników, którzy na wezwanie Piłsudskiego zbiegli się do szeregów z całej Polski i z poza Jej granic. Kto był w Polsce wówczas, ten nie musiał szczególnych trudności przezwyciężać, by się znaleźć w szeregach Piłsudskiego. Ale kto był gdzieś dalej zagranicą, ten musiał bardzo się wysilić, by na wielu granicach państw wojujących omylić czujność władz i dobrnąć do Polski.

Z Belgji, z Niemiec, z Francji, z Anglji, z całej Europy śpieszyła młodzież do Piłsudskiego, którego imię już wtedy sławne było, jako imię bojownika za wolność. Mieliśmy nawet w szeregach I-szej Brygady ochotników z Ameryki Północnej. Chłopcy

ci byli właśnie wówczas w Europie, albo do niej jechali przez morze i gdy wojna wybuchła, zaraz do nas przystali.

My, krajowi, — jakto zawsze bywa w wojsku, — zamiast pochwalić tych ochotników, jeszcześmy im przygadywali. Przygadywaliśmy z wielkiej miłości i z szacunku, że, mogąc siedzieć na uboczu, do nas przystali i za oręż chwycili. Uczynek tych ochotników amerykańskich był tem piękniejszy, że wielu z nich



Photo-Plat Legjoniści w marszu

nigdy Polski dotąd na oczy nie oglądało, a stary kraj znali już tylko ze słuchu, z rozmowy, z wieści i z powieści.

Żołnierzami byli doskonałymi, wielu z nich dosłużyło się w I-szej Brygadzie stopni oficerskich, ale mowę mieli skażoną obcym angielskim akcentem. Więc, jak to w wojsku! Niech się jeden od drugiego czemkolwiek odróżnia, zaraz mu inni dokuczą. Zaraz też nasi dokuczali tym Amerykanom, że to niby ojczystego języka zapomnieli, że ich rodzice mowy ojczystej nie

nauczyli, że oni to jeszcze Polacy, a rodzice ich już są zamerykanizowani.

Nic na to pomóc nie mogło, ani to nawet, że widzieliśmy tych chłopaków w ciężkich walkach, jak naprzykład tego właśnie roku 1915 w bitwie pod Konarami, gdzie owi amerykańscy ochotnicy, wcieleni do III-go bataljonu nad wyraz dzielnie stawali z piękną pogardą śmierci i z rycerskiem koleżeństwem.



Photo-Plat Legjoniści w ziemiance

Żołnierz jest zawsze przekorny, zamiast pochwalić, dokuczy. Tak też i my.

Było to już po bitwie i staliśmy na pozycjach walki niedawnej. Aż tu nagle roznosi się wiadomość, że do Komendanta Piłsudskiego przedarł się poprzez wszystkie granice, z za morza, z Ameryki, emisarjusz jakiś, czyli tajemny wysłaniec z poselstwem od Polaków z Ameryki do Wodza naszego.

Z czem przyjechał ów emisarjusz, nie wiedział nikt, ale mnie udało się dowiedzieć i zobaczyć, gdyż właśnie wówczas miałem służbę w sztabie Brygady. Był to człowiek już stary, dawny emigrant, który za walkę przeciw carom musiał wywędrować z Polski.

Widziałem, jak w chłopskiej izbie meldował się u Komendanta Piłsudskiego. Tu oto stoi Komendant w szarym swoim mundurze, tu zaś ów emisarjusz w czarnym surducie, starzec pochylony. Ręce mu się trzęsą, w których trzyma jakoweś zawiniątko.

Komendant Piłsudski rękę mu podaje, lecz twarz stanowcza ani nie drgnie Wodzowi. Wódz nad wzruszeniem, cierpieniem, nad żalem, czy to troską zawsze zapanuje.

Tamten zaś, emisarjusz, schylił się jeszcze bardziej i oto mówić zaczyna, półobcą, ale wciąż jeszcze polską mową. Mówił, a nam, tym kilku, cośmy tam stali, serce się przewracało z ogromnego wzruszenia. Emisarjusz powiadał, że gdy wojna wybuchła, gdy Piłsudski walczyć zaczął za Polskę, oni, Polacy z Ameryki, poczuli wdzięczność dla Wodza, ale zarazem rozpacz, iż sami ramieniem swojem wesprzeć Go nie mogą. Choć tam już żyją w Ameryce 30, czy też 40 lat, każdy pragnął się wyrwać i tu z pomocą śpieszyć. Lecz dojazdu już niema. Więc tam pracować zaczęli dla Polski ze zdwojoną siłą. Co mogli, uzbierali.

Tu emisarjusz złożył na chłopskim stole płócienny stos z pieniędzmi.

Prócz tego zaś wyszyli tam, wyhaftowali sztandar dla naszego wojska. Sztandar ów wiózł stary emisarjusz w największem ukryciu z za morza, poprzez wszystkie granice, niby skarb utajony. Teraz prosi w imieniu Polaków z Ameryki, by Wódz raczył przyjąć i by powierzył sztandar temu oddziałowi, w którym walczą synowie naszych emigrantów.

Uroczystość wręczenia sztandaru odbyła się zaraz nazajutrz tuż przed zachodem słońca pośród wzgórz, w tymże samym wąwozie, w którym nasi polscy Amerykanie parę dni temu

tak wspaniale walczyli. Piłsudski z świtą swoją stoi na pagórku, obok ów emisarjusz stary w długim czarnym surducie. Bataljon III-ci z ochotnikami z za morza stoi naprzeciw w szyku rozwiniętym. Komendant daje znak. Poczet sztandarowy zbliża się dziarskim krokiem, teraz ma wypowiedzieć mowę emisarjusz. W ręku trzyma sztandar.

Szeregi milczą.

Emisarjusz zaczyna, że oni na obczyźnie, choć tam już trwają od tylu, tylu lat, kiedy się dowiedzieli, że tu Ojczyzna walczy, jednem uczuciem miłości ożywieni... — Zabrakło mu głosu, łzy puściły mu się z oczu.

Żołnierze sztandar odebrali. Zawołały komendy. Bataljon III-ci ruszył do defilady. Staruszek-emisarjusz z za morza płakał przy Komendancie, my ze świty łykaliśmy łzy i żołnierze, defilujący w czwórkach, kropili kurz swej drogi łzami. Bo uczuliśmy nagle w tej chwili wszyscy, że żadne oddalenie, żadne granice, morza najgłębsze i czas choćby najdłuższy nie wykreślą z serca Polaków miłości Ojczyzny.

EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI

NA ZIEMI MURMAŃSKIEJ

W roku Pańskim 1918-ym stało się, iż na „czerwoną" Rosję ruszyła sprzymierzona z nią niegdyś Wielka Koalicja.

Na pobrzeżu Murmańskiem i w porcie Archangielska wyładowywały się okręty, powiewające banderą Wielkiej Brytanji. W ponure ujście Dźwiny Północnej wgrząsł kolos pancernego krążownika, niby żelazna wyspa pływająca. Na brzeg cisnęła się ciżba zbrojnych ludzi w mundurach zielonych, szarych i zielonawo-żółtych. Po ziemi dawnych carów deptali Anglicy i Francuzi, Włosi i Amerykanie. Nie brakło walecznych Serbów. Była również garstka wojaków, pyszna ze swej nędzy i bezpańskości. Składała się ze szlachetnych awanturników i tułaczy zajadłych. W obliczu wroga robili oni bronią chwyty, jak na paradzie, a wśród tundry podbiegunowej co wieczora śpiewali głębokim głosem smętną w swej śpiewnej powadze „Rotę".

W pierwszych miesiącach wyprawy Francuzi i Serbowie łącznie z tą garstką Polaków, walcząc 1 przeciw 10, zdobyli na bolszewikach kilkaset kilometrów ziemi w głąb dziewiczych borów i odwiecznych bagien. W tym czasie Anglicy urządzali na tyłach wielkie składy, zwożąc całemi okrętami żywność, zakonserwowaną w blaszankach, pomalowanych na wszystkie kolory. Włosi tych składów pilnowali.

Gdy w ciągłem natarciu bataljony francuskie i serbskie zdarły się, jak długo niereparowany but, ofenzywa utknęła w miejscu; znużonych zastąpiono bataljonami szkockiemi i woj-

skiem amerykańskiem. Co do Polaków, to wycofać ich nie miał zamiaru nikt. Bo po pierwsze: Polak wogóle nie ma się nużyć; po wtóre — o krzywdę polską nieistniejące jeszcze państwo upomnieć się nie mogło; po trzecie — owi Polacy byli wprost niezastąpieni: znali język tubylców, na wywiad zapuszczali się w bagna, i nie zdradzali sprzymierzeńców.

Sama wojna przeinaczyła się na wojnę specyficznie angielską. Straciła francuską brawadę, serbską zaciekłość i polską furję, zato stała się rozważną, zamyślającą się i nieskwapliwą.

Nadchodziła sroga zima polarna z mrozami do 45° R.

Na owym odcinku angielskim Polacy posiadali osobny pododcinek bojowy. Stosownie do rozkazu mieli oni wystawić dla siebie fortalicję swoją głową i, że tak powiem, sumptem własnym.

Prócz siekier, gwoździ i szpuli drutu kolczastego nie dostali nic.

Szkoci zdobyli się na ścięcie kloców jodłowych i zwleczenie ich do kupy, lecz wpadli potem w głęboką zadumę. Usiedli na zgromadzonem drzewie i zakurzyli fajki, nie wiedząc z jakiej strony ugryźć stężałe od mrozu na miedź bierwiona, aby wybudować tradycyjny blokhauz.

Oddziałek polski poszedł swoją drogą.

Czterej ekssaperzy pod wodzą sierżanta Hurmy zostali wysłani do sąsiedniej wioski. Tam zmobilizowali wieśniaków i kazali im zabrać siekiery i łopaty. Po drodze na plac roboty rozebrano do ostatniego zrębu jedną z wioskowych „bań“, poczem procesja chłopska, objuczona belkami w ten sposób zdobytemi, pobrnęła przez zaspy śnieżne na linję bojową. I tam dopiero zawrzała robota!

Śnieg z pod łopat wyleciał w powietrze, jak puch z rozprutej poduszki; wślad za śniegiem furknęły czarne grudki zamarzłego bagna. Chłopi pracowali z taką gorączką, jak straż ogniowa, kiedy umiejscawia pożar. Zanim spadł zmierzch, co w tamtym kraju bywa zimą o pierwszej popołudniu — na pod-

odcinku polskim stał już blokhauz, jakiego Wielka Brytanja ani jej kolonje nie pamiętały od wieków. Budowla spękacona ziemnym obsypem, wznosiła się jak kurhan pośród potrójnego pierścienia kołków, gęsto zaprzędzonych włochatym drutem kolczastym. Zdaleka czerniało to na śniegu, jak olbrzymi opasły pająk. Z tego pająka na zimowe powietrze coś ulatywało, jak siny oddech. To w blokhauzie palił się już piec i dymił, jak komin fabryczny. „Biełyje orły" smażyli na ognisku upolowaną gęś dziką i również upolowane, ale swojskie prosię.

W ciągu następnych dni dyżurujący w blokhauzie żołnierze skracali sobie czas, wymyślając coraz to nowe ulepszenia. Każdy coś majstrował, wystrugał, wbił swój gwóźdź, obrobił własny kołek. Któryś z legjonistów, mistrz od stosowanej sztuki, ozdobił ogładzone heblem ściany wycinkami zakopiańskiemi. Blokhauz stał się umiłowanem dzieckiem Oddziału, jego chlubą i dumą.

Czas płynął jak wartka rzeka. Ani się obejrzano, jak nadszedł 24 grudnia.

Było polarne południe zimowe. Słońce znajdowało się u szczytu tego małego półkola, które zakreślało teraz co dnia tuż nad samym horyzontem, zatraconym w śniegach. Dokoła bielała pustynia śnieżna. Gdzieś na linji widnokręgu bór, malejący wskutek oddalenia, czerniał jak wąska tasiemka aksamitu. Na dookolnym placu różowiał i fiolecił się od niskiego światła słonecznego śnieg, gruby na parę łokci. Odcinały się na nim czarno-zielone wierzchołki świerków, zawianych prawie do szczytu. Tam i sam biegł i krzyżował się wklęsły ślad stóp ludzi, którzy tędy przebrnęli.

Za chwilę wojacy uplacowali się w blokhauzie i ogarnęła ich zaduma, mająca w sobie coś uroczystego. Przecież była dziś Wigilja. Myśli z niesfornych głów pomknęły daleko, daleko przez zaśnieżony obszar tysięcy mil, jak jaskółki rozświegotane tkliwie. W dniu powszednim mieli czas zajęty ciężką służbą, lub beztroskiem próżniactwem żołnierskiem i nie nabijali sobie głowy byle czem. Wieści o kraju brakło. W listopadzie dowiedzieli się

wprawdzie z komunikatów angielskich, że Niemcy wojnę przegrali, ale o Polsce nie było nic.

Wnet stół nakryto sztuką namiotu. Nie omieszkano pod improwizowany obrus nasłać siana. W kącie lokalu ustawiono snopek żytniej słomy. Na okrytym stole porządnie rozłożono pożyczone od tubylców talerze i sztućce.

Wtem posterunek, wystawiony nazewnątrz, doniósł, że na niebie zalśniła już wyczekiwana „pierwsza gwiazda". Wówczas Hurma wziął ze stołu talerz, w którym były nakruszone białe galety angielskie. Zebrał dookoła siebie podkomendnych, z biskupim majestatem przeżegnał pszenne okruchy i przełamał się niemi, jak opłatkiem, ze swoją sekcją. Poczem zasiedli do stołu. Spożyto barszcz z „uszkami", osobiście ugotowany przez Hurmę. Zabrano się do pieczonych i faszerowanych ryb z gatunków miejscowych. O tych rybach Hurma mawiał, że ani jedna nie nazywa się po ludzku; istotnie nazwy brzmiały po samojedzku.

Za stołem długi czas panowało milczenie.

Potem rozwiązały się języki.

W trakcie gawędy dał się słyszeć z nadworu okrzyk wartownika: „Stój! kto idzie?", potem — chrzęst kroków na śniegu. I do blokhauzu wszedł komendant Oddziału.

Wyglądał jak człowiek zwarjowany, lub w najlepszym razie — nietrzeźwy. Na twarzy Hurmy odmalowało się zgorszenie.

Komendant po przebrnięciu zasp śnieżnych, jakiś czas łapał dech. Gdy jako tako odsapnął, stanął w postawie, która jego podkomendnym była dobrze znaną, a zwiastowała dłuższą przemowę. Odchrząknął i otworzył już usta w sposób, będący zapowiedzią nie byle jak utoczonego okresu... Wtem — machnął ręką i głęboko wzruszonym głosem zawołał:

— At, co tu gadać! Dajcie, moi chłopcy, lepiej pyska! Tylko co otrzymałem wiadomość. Polska jest wolna i wielka.

I chwytając żołnierzy pokolei w ramiona, sypał w międzychwilach słowami:

— Komendant Piłsudski w Warszawie. — Jest rząd. — Sztubacy porozbrajali Niemców w całej Kongresówce. — Armja

maszeruje na Wilno. Poznań nasz. — Polska będzie od morza do morza! — Trzymajcie mnie, bo zwarjuję!

I zwarjował — o ile łzy, ciurkiem płynące po twarzy żołnierza, są szaleństwem. Za przykładem dowódcy powarjowali żołnierze. Szarże w zgromadzeniu znikły. Ściskano się i całowano bez względu na nie.

I z gardzieli, założonych szlochem szczęścia, wyrwała się — razem u wszystkich — pieśń, zrodzona w godzinie najgłębszej niewoli Narodu — Rota.

MARJA DĄBROWSKA

MŁODZI ŻOŁNIERZE

Było to w czerwcu 1917 roku.

Staś i Tomek jechali zakurzonym pociągiem z miejsca swego postoju (byli obaj w 4-tym pułku piechoty) do rodzinnego miasta.

W czasie długiego stania garnizonem, w chwilach wolnych od ćwiczeń przygotowywali się do egzaminu z siódmej klasy.

Obaj chłopcy siedzieli przy oknie, za którem biegł szeroki, równy krajobraz mazurski.

Od wielu tygodni panował nieprzerwanie upał. Było to, jakby tchnienie pustyni i głodu rozpostarło się nad ziemią.

Wszystko straciło barwność. Siwe żyta pochylały się nad siwym ugorem. Siwe niebo, na samym brzegu szarofioletowe, parzyło białem słońcem, jak ukropem. Zdawało się, że upał pada na ziemię gorącym srebrzystym deszczem.

Twarze młodych żołnierzy zmieniły się przez te trzy lata wojny.

Nie były to już twarze dzieci, falujące co chwila innem uczuciem, jak młode zboże. Były to oblicza ludzi, którzy widzieli dużo smutnych rzeczy na świecie, a jednak zachowali w oczach pogodę i mocną pewność, że życie samo przez się jest dobre.

. . . .

W parę dni później szkoła, w której Tomek i Staś zdawali egzamina do 8-ej klasy, przeżywała dziwne chwile. Ile razy wychodzili z egzaminacyjnej sali, chłopcy z pierwszej i wstępnej otaczali ich wkoło, tańcząc i skacząc i odprowadzali aż do skrę-

tu ulicy, wołając: „Niech żyją Legjony!". A oni odpowiadali: „Niech żyje szkoła polska!".

Wkrótce w gazecie miejscowej wśród uczniów promowanych do 8-ej klasy, wyliczeni byli: Tomasz Sokora i Stanisław Zawisza, kaprale czwartego pułku Legjonów Polskich.

Wtedy nastał dla szkoły dzień smutny i wesoły zarazem, a dziwnie uroczysty.



Marszałek Piłsudski dekoruje ucznia-ochotnika

Po popisie, w wielkiej sali zgromadzili się rodzice i goście zaproszeni.

Zapanowała cisza, jak makiem zasiał, a na ścianie odsłonięto marmurową tablicę z napisem:

„Pamięci Karola Wolborskiego, szeregowca drugiego pułku piechoty Legjonów Polskich, ucznia siódmej klasy szkoły filo-

logicznej w N., poległego dn. 4 grudnia 1914 roku w Karpatach — Koledzy. Niech żyje Polska Niepodległa!".

A z nad szarego kieleckiego marmuru tablicy wyglądała fotografja Karola w żelaznej ramce.

Jego rodzice stali, płacząc i śmiejąc się zarazem, a potem ściskali i całowali Tomka, Stasia i dyrektora szkoły.

Gdy do tablicy zbliżyła się Halżusia i zawieszała nad nią gałązkę jedliny, wszyscy obejrzeli się raz jeszcze po szkolnej sali.

Chcieli jeszcze przez chwilę zostać w tych murach. Lecz nie było tu już nic do roboty.

Wtem Tomek wystąpił nieco naprzód i zaśpiewał:

Nie rzucim ziemi
Skąd nasz ród...

I wszyscy, jakby czując, że to tej pieśni jeszcze brakowało, zaśpiewali:

Nie damy pogrześć mowy,
Polski my naród, polski lud,
Królewski szczep piastowy.

Powoli opuszczali wszyscy salę, śpiewając wciąż:

Twierdzą nam będzie
Każdy próg,
Tak nam dopomóż Bóg.

Gdy wszyscy opuścili szkołę, Staś i Tomek wysunęli się naprzód i skręcili wbok, w szerokie, rozległe pola, po których szły ciągle fale zboża, jak po oceanie.

Poszła z nimi Halżusia.

Śpiewali teraz rozgłośnie, z zachwytem:

O Polsko, kraju święty,
Warowny grodzie nasz,
O jakże niepojęty
Ty dla nas urok masz!
Czarowna w tobie siła,
Żywota wieczny zdrój,
O Polsko moja miła,
O kraju cudny mój!

Pomału przyszli na szczyt wzgórza, na którem rosły smółki i kampanule.

Zapadł mrok.

Gorące tchnienie szło od lasu, w powietrzu unosił się jakby cichy szept zasypiającej ziemi.

Staś wyciągnął ręce i rzekł:

— Oto jest nasza najjaśniejsza, kochana Polska. Powietrze nasze słodkie, obejmujące mnie i zastępujące mi matkę.

Głos chłopca zadrżał.

A Tomek dodał:

— Tu, gdzie stoimy, i tam daleko, jak okiem sięgnąć, wszędzie buduje się państwo polskie. A my wszyscy — jego budownicy i stróże. Halżusiu, jak myślisz, czy będzie w niem choć jeden człowiek pokrzywdzony? — — —

JERZY ŻUŁAWSKI

TESTAMENT

Synkowie moi, poszedłem w bój
Jako wasz dziadek a ojciec mój,
Jak ojca ojciec i ojca dziad,
Co z legjonami przemierzył świat,
Szukając drogi przez krew i blizny
Do naszej wolnej ojczyzny.

Synkowie moi! Da nam to Bóg,
Że wreszcie spadną kajdany z nóg
I, nim wy męskich dojdziecie sił,
Jawą się stanie, co pradziad śnił.
Szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny
Łan naszej wolnej ojczyzny.

Synkowie moi! Lecz gdyby Pan
Nie dał wznijść zorzy z krwi naszych ran,
To jeszcze w waszych piersiach jest krew
Na nowy świętej wolności siew
I wy pójdziecie, pomni spuścizny,
Na bój dla naszej ojczyzny.

JANUSZ JĘDRZEJEWICZ

W ODZYSKANEM WILNIE

Strzelanina, słabnąca z każdą chwilą, znów staje się silniejsza, aby w następstwie, wśród zapadającego wieczoru, powoli umilknąć zupełnie. Ściągają naszych ułanów. Oczy bezsenne, czerwone, twarze zmordowane, brudne, ruchy nerwowe, rozgorączkowane — w oczach światło zwycięstwa. Nie oddamy Wilna. Komendant może spokojnie przyjechać do swojego ukochanego miasta. Nie zrobiliśmy mu zawodu...

Istotnie...

Tłumy niezmierne ustawiły się długim szpalerem wdłuż ulic. Na placu przed dworcem ścisk, tłok i radość. Marszałek Józef Piłsudski na kasztance, wśród wiwatów, krzyków uniesienia, radości przejeżdża ulicami miasta, w którem niegdyś uczęszczał do szkoły, w którem uczył się „być jak otchłań w myśli niedościgłym". Dziś wjeżdża jako triumfator, jako Wódz Naczelny wojska, które sam stworzył, wychował i poprowadził do boju.

Patrzą w oczy Wodza tysiące oczu prześwietlonych radością, nabrzmiałych tęsknotą, przepełnionych zachwytem. Więc to On. Wybawiciel — a przytem swój, bliski, kochany, „tutejszy".

Wolno, uroczyście posuwa się pochód. Migocą chorągiewki ułańskie, błyszczą bagnety zwartych szeregów piechoty, tupocą miarowo kopyta końskie i buty żołnierskie.

Przez tłum przelatują okrzyki i westnienia — chwilami staje się zdumiona, uroczysta cisza.

I ta cisza, co falą wzruszenia ściska gardła, cisza, co łzy z oczu wyciska, najgłębiej może oddaje treść tego dnia, który wszystkich obecnych, żywych i zabitych w walkach o Wilno, przeniósł na skrzydła historji.



W. Pikiel Marszałek Piłsudski przyjmuje defiladę na pl. Marsz. Piłsudskiego w Warszawie

MIŁE MIASTO

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW W WILNIE

W sierpniu r. 1928 odbył się w Wilnie 7-my zkolei zjazd Legjonistów. Marszałek Piłsudski wziął w tym zjeździe osobisty udział, wygłaszając, jak i w latach poprzednich, dłuższe przemówienie.

Gdym siedział w Magdeburgu, istotnie stał nad głową kat. Nie byłem nigdy pewien życia. Był to jak grób zamknięty. Izolowany byłem bardzo od świata i wtedy właśnie myślałem o miłem, co, jak poduszka, do trumny z człowiekiem idzie. Jedno z najmilszych, jakie mam i jakie przeżyłem, jest Wilno, jest miasto moje rodzinne. I nieraz tam w Magdeburgu o Wilnie myślałem, do Wilna tęskniłem. Miłe miasto. Rzędem biegną mury, pagórki otoczone zielenią, pieszczą mury. Mury tęsknie na pagórki spoglądają. Miłe miasto. Gdy na który z pagórków się wyjdzie, ku niebu przez mgłę oparów błyszczą do góry wieżyce, wieżyczki, na których, gdy dzwony zadzwonią, niewiadomo, czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos wznoszą. Miłe miasto. Miłe mury, co mnie dzieckiem niegdyś pieściły, co kochać wielkość prawdy uczyły, miłe miasto z tylu, tylu przeżyciami. Miasto — symbol naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi. Dynastja Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna potężnie niegdyś panowała. Wilno Stefana Batorego, co uniwersytet zakładał i mieczem nowe granice wybijał. Wielcy poeci i wieszcze, co naród pieścili słowem i w czar zakuwanemi

słowami życie narodowi dawali. Nie gdzieindziej, jak tu, w tej samej szkole, gdzie ja biegałem w tych murach, pięknie wołających do Boga, uczyli się, jak ja kiedyś, w przeklętej rosyjskiej szkole.

Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieszczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czem dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast w świecie. I biegłem ku Wilnu pieszczotliwą myślą, tworząc sam dla siebie pieściwe pieszczoty dziecka. Jedna z moich książek tam właśnie powstała, w murach Magdeburga. Czar, zakuty we wspomnieniach, urok odrodzenia, rzucony w szale tam niegdyś. Wszystko to razem składało się na marzenia człowieka, co nie wie, czy jutro do grobu się nie położy. Minęło lat parę i byłem znowu z wami i gdym marzył i myślał o Wilnie, w warszawskim Belwederze zamknięty, myślałem także i o was i, gdym w bój zawołał, by Wilno zdobyć, was do siebie powołałem, marzyłem, sądziłem, że dwa serca zbratane dadzą mi to, o czem dusza marzyła. Wilno musi być moje. I jak wyście mi na to odpowiedzieli: żywo pamiętam tę chwilę. Wilno w owym czasie, gdy Polska ledwie żyć poczynała, gdy ze wszystkich stron żądano naszej ziemi, dłonie ku niej wyciągano, gdy bitwy na wszystkich ścianach Rzeczypospolitej i wojna trwała, gdy inne państwa już były spokojne, gdy działa u nas grzmiały, gdy tam spokoju już doznali, Wilno dalekie było od myśli i Wilno dalekie było od zakłopotania serca wszystkich. Wyście stanowili najpewniejszego żołnierza, żołnierza który mnie nigdy w wojsku nie zawiódł, który dał mi wszystko, co żołnierz wodzowi dać musi. Was powołałem. Szła wielkanocna pora, gdy bataljon za bataljonem, szwadron za szwadronem do Wilna śpieszyły. I szła pogwarka wśród wiary: Komendant nasz Wilno kocha, na Wielkanoc Wilno w prezencie Mu damy. Prezent wspaniały. I gdy myślę, że, nie sądząc nawet o ważności Wilna dla nas, jako prezent, jako pieszczota dla serca Komendanta, wieleście mi dali i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rossie u wrót cmentarzy mogiłka za mogiłką leżą, jedna przy drugiej, jak żołnierze w szeregach ci, co życie dali, by Komendanta serce pie-

ścić, to mówię, że miłem to być musi i gdy serce swe grobem poję, serce swe tam na Rossie kładę, by wódz spoczął z żołnierzami, co mogli tak pieścić dumnego wodza czoło, co mogli tak życie dawać jedynie dla prezentu. I miłe to musi być wrażenie przeżyć życiowych w legjonach, miłe wrażenie i teraz, gdy z Wami się żegnam, gdy kończę i kończę w Wilnie, życzę Wam, byście dzień dzisiejszy, dzień naszego święta, spędzili istotnie tak, jak było to niegdyś, byście miastu spokój zakłócili, by miasto zadrżało w waszych objęciach, tak, jak drżało ongiś, gdyście tu marszem zwycięskim wchodzili.



Photo-Plat Wilno. Ostra Brama

BRONISŁAW KŁACZYŃSKI

OCHOTNICY

Stach, uczeń VII kl. gimnazjalnej, siedział zamyślony nad gazetą. Już nie miał żadnych wątpliwości. Nasza armja, posunąwszy się w zwycięskim pochodzie hen, aż po Dniepr, Berezynę i Dźwinę, nie miała dostatecznych sił do utrzymania opanowanych przestrzeni i została przez przeważającego liczebnie nieprzyjaciela zmuszona do odwrotu.

Codzień nadchodziły wieści o nowych siłach nieprzyjacielskich i dalszym odwrocie naszych wojsk, a w dniu dzisiejszym jak grom spadła wieść, że Równe wzięte.

Stach zacisnął zęby.

Gwałtowny tupot nóg po schodach przerwał mu myśli. Do pokoju z trzaskiem drzwi, jak bomba, wpadł Władek.

— Ty tu siedzisz — wołał od progu — a na mieście ruch, zapał we wszystkich sercach! Czy nie wiesz o tem?... Masz! Czytaj! — I nim Stach zdołał się opanować, Władek rozwinął przyniesiony plakat i sam zaczął czytać z przejęciem:

„Obywatele Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie! Wrogowie, otaczający nas zewsząd, skupili wszystkie siły, by zniszczyć wywalczoną krwią i trudem żołnierza polskiego niepodległość naszą. Zastępy najeźdźców, ciągnących aż z głębi Azji, usiłują złamać bohaterskie wojska nasze, by runąć na Polskę, stratować nasze niwy, spalić wsie i miasta i na cmentarzysku polskiem rozpocząć swoje straszne panowanie.

Jak jednolity, niewzruszony mur musimy stanąć do oporu, o pierś całego narodu rozbić się ma nawała bolszewizmu. Jed-

ność, zgoda i wytężona praca niech skupi nas wszystkich dla wspólnej sprawy!

Żołnierz polski, krwią broczący na froncie, musi mieć to przeświadczenie, iż stoi za nim naród, każdej chwili gotowy przyjść mu z pomocą.

Chwila taka nadeszła...

Wzywamy tedy wszystkich zdolnych do noszenia broni, by dobrowolnie zaciągali się w szeregi armji, stwierdzając, iż za Ojczyznę każdy w Polsce z własnej woli gotów złożyć krew i życie.

Niech śpieszą wszyscy: i ci, młodość i siłę czujący w żyłach, co żelazem odpierać będą najazd wroga, i ci, którzy stanąć mogą do pracy w instytucjach wojskowych, by zwolnić z nich i zastąpić tych, co na froncie przydatni być mogą.

Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej wiernych i prawnych synów, co wzorem ojców i dziadów, pokotem położą wroga u stóp Rzeczypospolitej!

Wszystko dla zwycięstwa! Do broni!!

W imieniu Rady Obrony Państwa J. Piłsudski Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz. Warszawa, dnia 3 lipca 1920 roku".

— Słyszysz! Do broni! Do broni! Ja już nie mam żadnych wątpliwości. Na nic się nie oglądam. Nie słucham tego, co mówią starzy, że Francja i Anglja zginąć nam nie pozwolą. Musimy liczyć tylko na własne siły, na własne męstwo. Ojczyznę obronimy ofiarą własnej krwi, a nie obietnicami obcych. Dość zwłoki! Dziś jeszcze pędzę na komisję zaciągową i na front! A ty coś postanowił ? Milczysz? W takim razie bywaj zdrów!

Nim Stach zdołał otworzyć usta, Władek już był na dole.

— Wolniej, warjacie! Wolniej!... Z trudem dopędził przyjaciela. Szli razem.

— Słuchaj, Władku. Pozwól mi przyjść do słowa. Nie jestem tchórzem. Możesz być spokojny, że obowiązek swój spełnię równie dobrze, jak ty i inni koledzy. —

Głos Stacha nabrał powagi: — Przyjdzie mi to może trudniej, niż tobie. Znasz moją matkę; wiesz, że chodzi stale w ża-

łobie. To po ojcu. Mieszkaliśmy w Cleveland nad jeziorem Erie w stanie Ohio w Ameryce. Ojciec miał przedsiębiorstwo transportowe. Powodziło się nam doskonale. Podczas wojny na wieść o odradzającej się Ojczyźnie i tworzącej się armji polskiej ojciec wstąpił na ochotnika do wojska i z oddziałami amerykańskiemi przybył do Europy. We Francji przeszedł do armji Hallera



Photo-Plat Wymarsz ochotników na front

i w Szampanji pod Châlons — padł podczas ataku na okopy niemieckie. Dowiedzieliśmy się o tem przez Biały Krzyż, który oprócz tej wiadomości przysłał wszystkie pamiątki po ojcu i jego ostatni list. Matka sprzedała cały majątek i po zawieszeniu broni przyjechała ze mną do Francji, odnalazła grób ojca i pokonawszy dość znaczne trudności, przywiozła jego ciało do Polski i pochowała tutaj na cmentarzu. Taka była wola ojca.

Stach umilkł. Milczał i Władek, nie mogąc opanować napływającego wzruszenia.

— Jestem jedyną nadzieją matki — zaczął Stach po chwili — nie dziw się więc mej powolności, bo myślę o niej.

— Rozumiem cię. Daruj mi moją porywczość! Nie chciałem cię urazić.

— No, już dobrze. Ale to nie wszystko! — Stachowi zabłysły oczy: — Tak, jak wpadłeś do mnie, udasz się i do innych kolegów i wszystkich, a przedewszystkiem klasę VI, VII i VIII wezwiesz na wielkie zebranie do sali rekreacyjnej naszej szkoły. Tam odczytasz rozkaz Naczelnego Wodza. A gdyby ktoś się wahał, to wskażesz mu właściwą drogą. Muszą pójść wszyscy, nikogo nie może zabraknąć. Ja na zebraniu, niestety, nie będę. Chcę te ostatnie chwile spędzić przy matce i przygotować ją do rozstania. Zresztą wiem, że dasz sobie radę i beze mnie. A jutro — na komisję zaciągową...

Stach wracał powoli ku domowi. Na ulicach panował niebywały ruch. Ludzie stojący grupami żywo rozmawiali, podając sobie ostatnie wiadomości z frontu. Stach myślał o rozmowie z matką.

— Jak ona to zniesie... Jak ona biedna to zniesie...

Wszedł do mieszkania. Minął stół, przykryty mapą i gazetami. Wszedł do drugiego pokoju. W głębi fotela, nieco w cieniu, siedziała matka. Usłyszawszy kroki Stacha, wstała. Spojrzała na syna. Z twarzy jego wyczytała wszystko.

— Kiedy? —

— Już jutro, mamusiu. —

. . . .

Kiedy w kilka dni potem kompanja uczniów, umundurowana i w pełnym rynsztunku, stała na placu przed koszarami gotowa do odmarszu, matka Stacha wraz z innemi przybyła na pożegnanie idących na front uczniów-ochotników.

Rygor wojskowy nie pozwalał na bliższe podejście, zdaleka więc patrzała na Stacha. Uśmiechali się do siebie.

Padła komenda: „Na ramię broń!", „W czwórki w prawo zwrot", „Kompanja marsz!".

W dziarski rytm kompanijnego kroku wmieszały się słowa:

— Pamiętaj, bądź dzielnym! —

Upłynęło kilka tygodni. Z pola walki zaczęły przychodzić coraz bardziej pocieszające wieści, aż wreszcie kraj cały odetchnął swobodnie. Wróg pobity! Ofiara krwi dała zwycięstwo.

Wrzesień miał się ku końcowi. Miasto oczekiwało powrotu swych bohaterów, ławy szkolne — swych uczniów.

Pewnego popołudnia od stacji kolejowej doleciała żołnierska piosenka. Kto żyw, biegł na spotkanie.

Matka Stacha nie wyszła. Nie była pewna, czy wśród wracających ujrzy syna. Wolała przyjąć wieść w domu...

Ktoś lekko zastukał do drzwi i do nóg wzruszonej kobiety przypadł Stach.



W. Pikiel Marszałek Piłsudski na święcie kawalerji w Krakowie

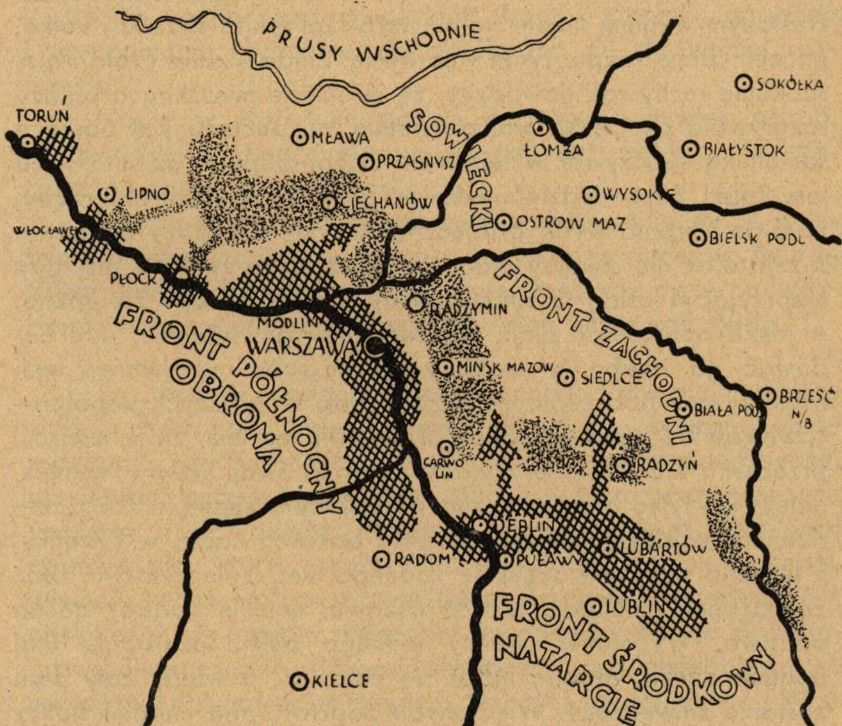
ALEKSANDER KAWAŁKOWSKI

BITWA NAD WISŁĄ.

Odrodzona w listopadzie 1918 roku, Polska na samym początku swojego istnienia znalazła się w wirze wojny. Źli sąsiedzi bądź zajmowali wielkie połacie naszej ziemi, bądź wyciągali ku niej drapieżne szpony. Trzeba było krwawym wysiłkiem obronić Lwów i Cieszyn, odebrać Niemcom Poznań, wyzwolić z bolszewickiej niewoli Wilno. Tworzone z wielkim pośpiechem wojsko, chociaż nieliczne, słabo wyćwiczone i źle uzbrojone, godnie odpowiadało bohaterskiej tradycji dawnego rycerstwa polskiego. Stopniowo, po długich miesiącach bojów, prawie wszystkie ziemie kresowe zostały oswobodzone, a żołnierz polski stanął na dawnych szlakach rycerskich u brzegów Dźwiny i Dniepru.

Jednak nasz wschodni sąsiad, choć głosił hasła wolności ludów, nie mógł pogodzić się z utratą łupów, zdobytych niegdyś przez Katarzynę. Komunistyczna Rosja wytężyła wszystkie swoje ogromne siły do rozstrzygającego pojedynku z Polską. W końcu czerwca 1920 roku chmara kawalerji sowieckiej pod dowództwem Budiennego zwaliła się na front polski na Ukrainie, a rozerwawszy go, poczęła szerzyć panikę na tyłach naszych oddziałów. Wkrótce potem, w początkach lipca, spadła na północną część frontu polskiego, pomiędzy Dźwiną i Berezyną, straszliwa nawałnica kilku armij rosyjskich pod dowództwem Tuhaczewskiego. Mimo bezgranicznego poświęcenia i nieprawdopodobnego męstwa słabsze liczebnie dywizje polskie musiały się cofać w głąb kraju, ścieląc drogi odwrotu trupami

poległych. Wielka trwoga padła na cały naród, bo zdawało się, że już ostatnia godzina wybiła dla Polski. I chociaż tłumy ochotników zgłosiły się do wojska, to niewiadomo było, czy siły nasze wystarczą i czy zdołają zatrzymać rozpęd wroga, upojonego powodzeniem.



Sytuacja w dniu 16 sierpnia 1920 r.

W początkach sierpnia główne siły rosyjskie zaczęły zbliżać się ku Warszawie. Jednocześnie Budiennyj maszerował z Wołynia w kierunku Lwowa, pragnąc owładnąć stolicą południowo - wschodniej dzielnicy Polski. Teraz musiała nastąpić bitwa rozstrzygająca, gdyż w razie upadku Warszawy groziła nam niechybnie utrata z takim trudem wywalczonej niepodległości.

Późnym wieczorem 5-go sierpnia, gdy nad Warszawą zaległy już ciemności gorącej, letniej nocy, w jednym z pokojów Belwederu przechadzał się samotny i zamyślony człowiek w szaro-błękitnej kurtce legjonisty. Od czasu do czasu podchodził do stołu, zarzuconego stosem map i raportów, rzucał z pod krzaczastych brwi uważne i skupione spojrzenie ku zakreślonym węglem linjom frontu, wytyczał jakieś strzałki i kółka, poczem znów rozpoczynał wędrówkę. Zmarszczone czoło i niespokojne ruchy rąk dowodziły, że w umyśle mieszkańca pałacu rozgrywała się ciężka walka. Istotnie, na pochylonych barkach samotnika spoczywał w tej chwili ciężar odpowiedzialności za losy Polski. Zapowiedział niedawno generałom i członkom rządu, że 6-go sierpnia wyda ostateczną decyzję i rozkazy do bitwy. Jeżeli teraz nie stworzy planu zwycięstwa, to za kilka dni, gdy nieprzyjaciel osiągnie brzegi Wisły, może już być za późno. A jakże opracować plan, zapewniający powodzenie, gdy budować go trzeba w walce z samym sobą oraz wbrew woli i trwożliwym podszeptom innych, często najbliższych współpracowników? Zdrowy rozsądek przemawia za tem, że w miejscu, przeciwko któremu nieprzyjaciel zwraca swój główny wysiłek, należy się tylko bronić i to możliwie słabemi siłami, a zaoszczędzonem wojskiem uderzyć gdzieś z boków i nagle, w kierunku, z którego wróg nie oczekuje żadnego niebezpieczeństwa. Lecz zagrożonem miejscem jest Warszawa, wielkie miasto, stolica państwa. Wycofanie choćby jednego pułku spowoduje tutaj upadek ducha, obrona może się załamać, a wtedy cały plan zostanie zniweczony. Więc chyba zostawić pod murami stolicy prawie połowę całej armji polskiej, która się tutaj zebrała? Lecz wówczas skąd wziąć siły, mające stworzyć grupę zaczepną i wywalczyć zwycięstwo? Jeżeli ściągnie się je z południa, to wówczas zostanie ono bez osłony. Francuzi radzą cofnąć cały front aż nad San i Wisłę, by zebranemi koło Warszawy i Modlina siłami zaatakować nawałnicę sowiecką od czoła. Tak, lecz wówczas, gdyby nawet manewr się udał, zwycięstwo byłoby połowiczne, gdyż nieprzyjaciel mógłby się wycofać spokojnie i bez poważniejszych strat. Nie, gdy wszystko już na ostatnią

postawione kartę, trzeba znaleźć rozstrzygnięcie stanowcze, choćby śmiertelnie ryzykowne.

Krótka, sierpniowa noc dobiega końca. Świt zastaje samotnika w legjonowej kurtce nad stosem map. Zmęczona twarz zakrzepła w spokojnem, surowem skupieniu. Z pod rzęs biegną nabrzmiałe poczuciem pewności spojrzenia wzdłuż kółek, linij i strzałek, oznaczających kształt frontu, kierunki poruszeń i ugrupowanie dwóch wojsk, gotujących się do walnej rozprawy.

Nagle w sąsiednim pokoju rozlega się dźwięk ostróg. W otwartych drzwiach ukazuje się adjutant, meldując przybycie szefa sztabu generalnego.

Postać w szaro-błękitnym mundurze prostuje się. Z zaciśniętych warg padają w kierunku przybyłego generała twarde słowa decyzji. Przyoblека się w szatę słowną w męce nadludzkiego wysiłku myślowego stworzony plan bitwy nad Wisłą.

. . . .

Po dwóch miesiącach bezustannego odwrotu, jednolitą myślą uchwycone i jednym związane planem, dywizje polskie zaczynają wreszcie czuć się ogniwami całości, zorganizowanej dla wielkich zadań. Nowy duch wstępuje w serca przemęczonych żołnierzy i dowódców. Poprzez szeregi wojska idzie prąd otrzeźwienia, które przekształca się nagle w szalony zapał, pewność i namiętną żądzę zwycięstwa. Krzepnie opór oddziałów, zasłaniających armjom sowieckim bezpośredni dostęp do Warszawy. Jednocześnie odbywają się dniem i nocą jakieś tajemnicze poruszenia na wszystkich drogach, leżących na południe od Warszawy, pomiędzy Wisłą a Bugiem. To na rozkaz Naczelnego Wodza odrywają się pod osłoną nocy dywizje polskie od frontu nieprzyjacielskiego i, schodząc z dotychczasowej linji odwrotu, wiodącej na Warszawę, maszerują wbok, ku południowi, w stronę wideł, które tworzy San i Wisła, oddalają się napozór od pola przyszłej rozprawy. A nieprzyjaciel, zaślepiony wizją zdobycia Warszawy i czekających tam łupów, nie dostrzega zmian, które zachodzą przed jego frontem. Wytężywszy wszystkie siły, dąży dniami i nocami ku stolicy. Spodziewając

się zaś pod jej murami zdecydowanego oporu, kieruje część swoich sił nieco na północ, aby przekroczyć Wisłę na zachód od Warszawy i powtórzyć w ten sposób manewr feldmarszałka Paskiewicza, zdobywcy naszej stolicy w 1831 roku. W tej chwili sytuacja armji rosyjskiej przypomina boksera, który, zanadto będąc pewnym zwycięstwa, zaczyna lekceważyć przeciwnika i odsłania szczękę na cios nieoczekiwany. Tą słabą stroną ugrupowania nieprzyjaciela staje się jego odsłonięte, w powietrzu zawieszone, lewe skrzydło. Orli wzrok polskiego wodza dostrzega to zaniedbanie. W tem miejscu padnie cios rozstrzygający. Wszystko zależy od wykonania.

Lecz nad przygotowaniem bitwy czuwa sam twórca jej planu, Marszałek Piłsudski. Pomiędzy 9 i 15 sierpnia odbywa się przegrupowanie wszystkich sił polskich. Największa grupa wojsk otrzymuje jako zadanie obronę Warszawy i dróg, do niej prowadzących. Naczelny Wódz żąda od tego odcinka tylko przetrwania, wygrania na czasie. Dowództwo tej części frontu powierza gen. Hallerowi.

W widłach Wieprza i Wisły zbiera Marszałek Piłsudski w największej tajemnicy masę zaczepną. Utworzą ją najlepsze dywizje, a najodpowiedzialniejsze zadanie dostaną najsławniejsi weterani legjonowych bojów z gen. Rydzem-Śmigłym, zdobywcą Wilna, Dyneburga i Kijowa, na czele. Zadaniem tej grupy jest manewr na skrzydło i tył głównych sił rosyjskich, atakujących Warszawę. Trzecia grupa, oddana pod dowództwo mężnego gen. Iwaszkiewicza, zasłoni Lwów przed nawałnicą armji konnej Budiennego. Posiłków spodziewać się może dopiero po zwycięstwie.

Nadchodzą rozstrzygające dnie. W szeregach wojska polskiego, doskonale dzięki olbrzymiej energji ministra wojny, gen. Sosnkowskiego, zaopatrzonych w broń i sprzęt bojowy, odradza się na nowo duch zwycięstwa. Nikt już nie wątpi, że pod twardą ręką Naczelnego Wodza, który powiązał luźne do niedawna odcinki frontu w mądrą całość, zbliża się radosny przełom.

13 sierpnia straże przednie wojsk Tuhaczewskiego podchodzą pod Warszawę. Wywiązuje się tutaj niezmiernie krwawy

i zacięty, trzydniowy bój, prowadzony ze zmiennem szczęściem. Są chwile śmiertelnej grozy, gdy pod naporem szturmów najlepszych dywizyj sowieckich pęka front polski pod Radzyminem i chwieje się lewe skrzydło obrony pod Modlinem. Dzięki bohaterskim przeciwuderzeniom udaje się odzyskać w dniu 15 sierpnia stracone pozycje, ale sytuacja jest ciągle niemal tragiczna. Wódz rosyjski, sądząc, że ten straszliwy opór jest już ostatni, że lada chwila jego pułki wtargną w ulice Warszawy, każe prowadzić szturm po szturmie, bez względu na straty i zmęczenie swoich żołnierzy.

Nagle, 16-go sierpnia, dochodzi go wieść niepokojąca. Jakieś nowe, nieznane siły polskie pojawiły się w widłach Wisły i Sanu. Tuhaczewski nie wierzy zpoczątku. Zbyt mocno zaślepiony jest myślą, że pod Warszawą walczy cała polska armja, że tam odbywa się główna rozprawa.

Ale groźne wieści potężnieją z godziny na godzinę. Uchodzący zbiegowie opowiadają, że od południa idzie pogrom. Na lewem skrzydle sowieckiem wybucha panika. Zaczyna się ono zwijać, kłębić, drżeć, aż wreszcie pęka, przerażone i oślepione blaskiem straszliwej grozy.

A tymczasem pod osobistem kierownictwem Naczelnego Wodza mknie od Wieprza i Wisły na północ lawina masy zaczepnej frontu środkowego. Już dopada skrzydła krwawiącej pod Warszawą armji rosyjskiej i druzgoce je, łamie, wywraca i pędzie w niepowstrzymanym pędzie na tyły, przecina drogi odwrotowe, niesie zgubę.

W ciągu dwóch dni, 17 i 18 sierpnia, wielka, zwycięska doniedawna armja rosyjska ulega zupełnemu zniszczeniu. Dziesiątki tysięcy jeńców, setki armat, wielkie zapasy sprzętu bojowego stają się naszą zdobyczą. Całe dywizje nieprzyjacielskie, mając odwrót odcięty, przechodzą granicę Prus Wschodnich, szukając u Niemców ratunku przed polskim pościgiem. Europa zastyga z podziwu. Od czasów Napoleona świat nie widział większego pogromu, w jednej bitwie osiągniętego. Od czasów Sobieskiego nie znała Polska równie wspaniałego zwycięstwa.

JAN KASPROWICZ

ROZKAZ

Idź, czuwaj! Do czynu ciągłego
Młodzieńcze wyciągaj ramiona,
Ojczyzna sprawności twej wzywa,
Do ciebie ma prawo li Ona!...

Idź, czuwaj! kochając swe serce,
Prawdy w niem buduj świątynię:
Żyć warto, jeśli Twe serce
Ofiarnie dla Polski płynie...

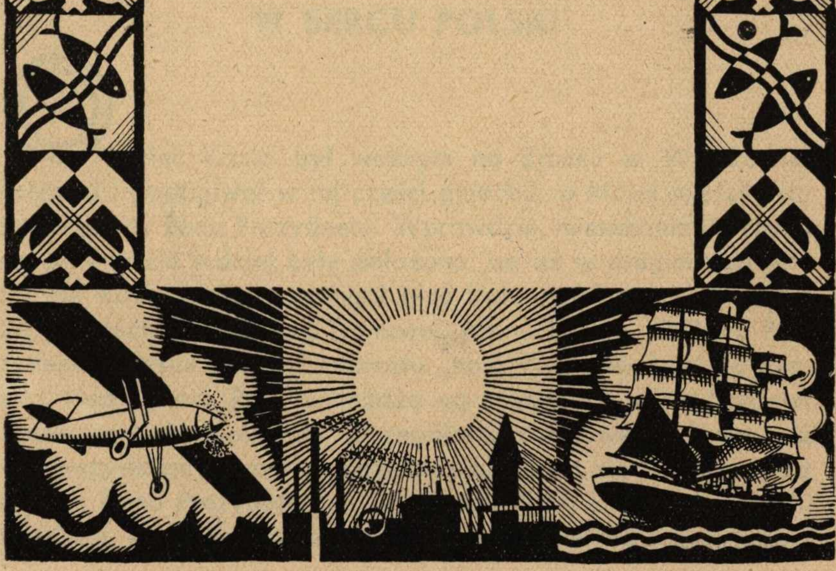
Idź! Czuwaj! Bądź czujny! Codziennie
Ucho przykładaj do ziemi,
Byś słyszał jej szept najmniejszy,
Gdzie pójść masz z ramiony swojemi.

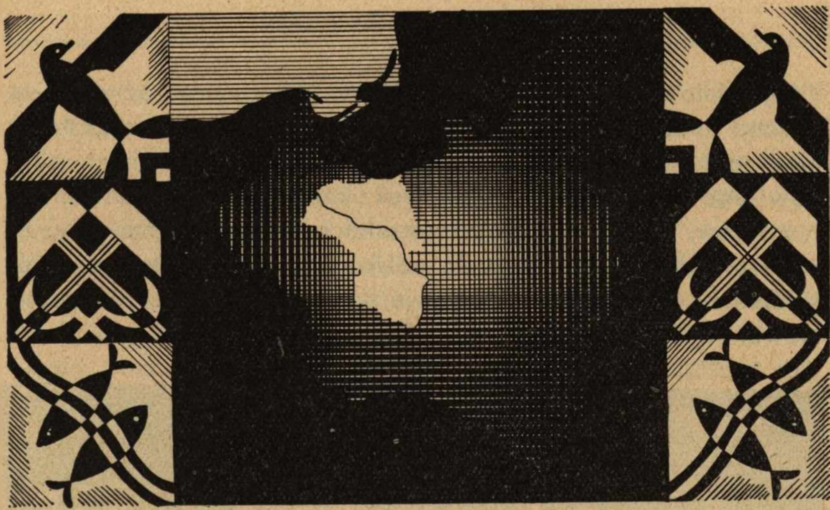


W. Skoczylas mal. ŁUCZNIK

IV

W SŁOŃCU WOLNOŚCI





MARJA KUNCEWICZOWA

W SERCU POLSKI

Ojciec Kazia był woźnym na Zamku w Warszawie. Sprzątał i posługiwał w tej części gmachu, w której mieściły się apartamenty Pana Prezydenta. Wprawdzie, mieszkania woźnych zupełnie gdzie indziej były położone, bo aż w drugim podwórcu, ale Kazio często pomagał ojcu froterować posadzki i czuł się w salach Rycerskiej i Tronowej, jak w domu. O Panu Prezydencie myślał i mówił poprostu „nasz Pan“, wiedział od szofera, kiedy „nasz Pan“ wyjeżdża na miasto, i o wiele bardziej interesował się poufnemi szczegółami zamkowego życia, niż tem wszystkiem ważnem, niezrozumiałem, co się działo — za sprawą Pana Prezydenta — po kancelarjach i na audjencjach. Wiedział, że kiedy szwadron szwoleżerów wśród tupotu kopyt

i błyskania proporców zjawia się na dziedzińcu, oznacza to wyjazd „naszego Pana" na oficjalne narady, czy uroczystości, kiedy zaś z błyszczącej limuzyny wysiada u stóp głównych schodów jegomość, wystrojony we frak, kapiący od złotych haftów i orderów, oraz w kapelusz w kształcie pieroga — znaczy, że obce mocarstwo przysłało do polskiej stolicy ambasadora, który śpieszy przedstawić się głowie naszego państwa. Nie przejmował się jednak naradami, ani ambasadorami.

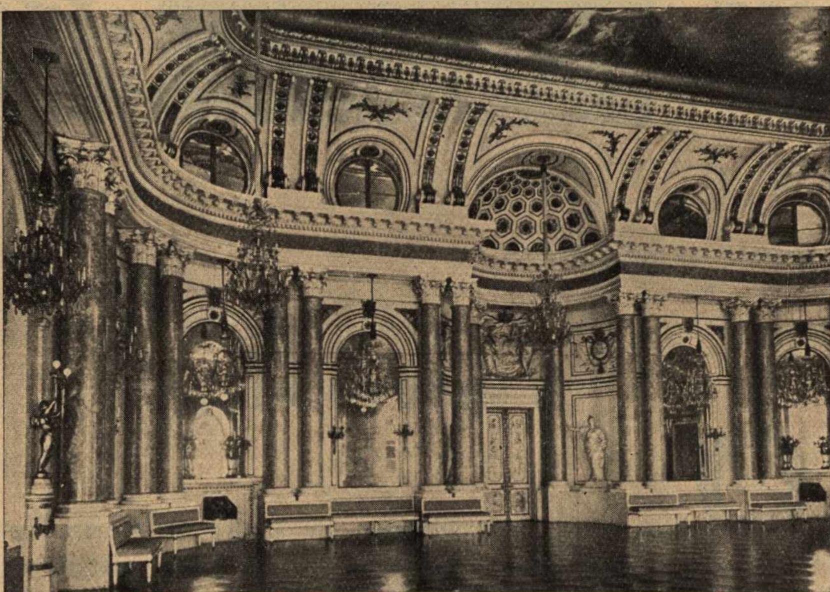


Photo-Plat

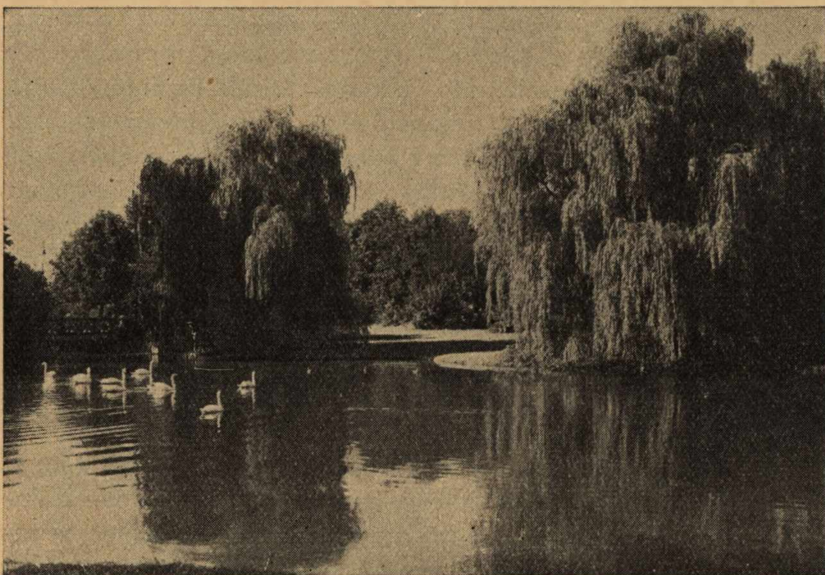
Zamek królewski w Warszawie
Sala kolumnowa

Kaziowi dobrze się żyło w obrębie Zamku: miał towarzystwo z pośród dzieci woźnych i dozorców, przyjaźnił się ze stangretem Filipem, co mu otwierało dostęp do koni; często przy okazji świetnych zjazdów było na co się gapić u bramy, a do przepięknego ogrodu, schodzącego tarasami ku Wiśle, udawało się także wpadać na truskawki. Warszawa — poza szkołą,

pobliską katedrą i odwiedzinami u babki — prawie nie istniała dla Kazia. Dopiero, kiedy w klasie zaprzyjaźnił się z Jerzym, który mieszkał przy ulicy Marszałkowskiej i do którego Kazimierz zawsze miał mnóstwo interesów, zaczęło się bieganie na miasto, bury od matki za włóczęgostwo i jakieś pełniejsze, wyraźniejsze pojęcie o Warszawie. Pędząc od Placu Zamkowego przez Krakowskie Przedmieście, a później przez Plac Marszałka Piłsudskiego i długą ulicę Marszałkowską, pełną sklepów, dzwonienia tramwajów, ryku taksówek i cierpliwego dreptania piechurów, chłopiec czasami przystawał i zagapiał się: a to na pomnik Mickiewicza, taki wyniosły, szanowny, ustawiony na kwiatach, jak na dywanie, a to na księcia Józefa Poniatowskiego w dziwnej luźnej szacie, galopującego na śpiżowym rumaku, a to na delfiny, wypuszczające z nozdrzy strugi brylantowej wody u podnóża wielkiej fontanny w Ogrodzie Saskim, a to na wystawy sklepowe, za któremi piętrzyło się tyle i tak różnego towaru — od czarnego chleba do bananów, od butów do Rolls Royce'ów, od podręczników szkolnych do szmaragdów i pereł. Jeżeli Kazio zasiedział się u kolegi i wracał wieczorem, na domach płonęły zimno-niebieskie neonowe światła, czerwone i złociste elektryczne węże, ułożone w litery; słowa reklam goniły się po ścianach i nad dachami; tu na jednym z gmachów jaśniał wielki globus, gdzie indziej skakały świetliste cyfry, przy zbiegu Alei Jerozolimskiej i Marszałkowskiej od pobliskiej kolei dolatywał gwizd pociągów, a podróżni z walizami, zamknięci w taksówkach, wyjeżdżali z wąskiej ulicy Chmielnej, prowadzącej do dworca; bramy kin błyszczały, jak czarodziejskie pieczary, gazeciarze wrzeszczeli: „Wieczór Warszawski", Wieczoro... „Dobry Wieczór"... „Nowi...". Przechodnie łapali te gazety i śpieszyli dalej, czytając. To wszystko wyglądało tak, jakgdyby w Warszawie działo się nieustannie mnóstwo najważniejszych zdarzeń, za któremi ludzie ledwie mogli nadążyć. Kazio przypominał sobie swój pobyt u wuja w Grójcu, czy u ciotki we Włocławku: to przecież także były miasta, a jednak nikt tam tak ciągle czegoś nie ogłaszał i nigdzie się tak strasznie nie śpieszył. „Ha — myślał sobie Kazimierz — widocznie to dlatego

że Warszawa jest stolicą". I słowo stolica zaczęło nabierać dlań żywego sensu.

Ojciec Jerzego był tak, jak i Kaziowy, woźnym, ale w Ministerstwie Pracy. I nieraz opowiadał, że u pana referenta na biurku „pół Polski codzień się przewala". Kazio tego nie rozumiał, więc pan Kowalski tłumaczył: „A bo, jak sekretarka zacznie wyrzucać koperty, jak człowiek popatrzy na te stemple, to aż podziw bierze: i Gdynia, i Kraków, i Koziegłowy, i Mysi-



T-wo Krajozn. Park Paderewskiego w Warszawie

kiszki... Na podaniach także samo: różne ważne pieczęcie, wielkie firmy, różne zakrętasy przy podpisach, a są i takie kulfony, co to zaraz widać, że je nieuczony jakiś człowieczyna nabazgrał... I każdy do Warszawy sobie interes upatrzy". Pan Kowalski podciągał spodnie i dalej klarował: „Musowo. Bo przecież w Warszawie jest stolica. Tu ministrowie, tu główny bank, główna władza, wszystko główne, to i rada na wszystko musi się tu znaleźć i najwyższe postanowienie".

Pewnego sierpniowego dnia, pod koniec wakacyj, około czwartej po południu Kazik z Jerzym zapuścili się aż na Topolową. Bardzo ich to zdziwiło, że ulicami, prowadzącemi w kierunku lotniska, walą tak wielkie i tak podniecone tłumy. Spytali policjanta, coby to miało znaczyć... Posterunkowy rzucił pośpiesznie: „Żwirko i Wigura wracają, dalej, dalej, nie przeszkadzać". Ledwie zdołali uskoczyć na chodnik, tak gęsto nacierały samochody; wiele z nich miało chorągiewki obcych państw, inne nad błotnikami przymocowaną tabliczkę z literą R. — rządowe. Wewnątrz siedzieli panowie w cylindrach i panie w strojnych sukniach, na chodnikach także ścisk był nieopisany. Chłopcom się poszczęściło: nurkując w tłumie, zdołali dotrzeć do pierwszego szeregu publiczności przed kordonem policji, otaczającym lotnisko. Publiczność naokoło denerwowała się i nawet obcy ludzie do siebie gadali. Jakiś gruby pan, ocierając spocone czoło, prawił: „Podobno, panie dobrodzieju, Niemcy w Berlinie strasznie naszemu Żwirce bakę świecili. Ale Żwirko na zagraniczne honory niełasy. Obcy w pas mu się kłaniają, a on nic, tylko pyta dziennikarzy: — „A co mówią w Warszawie? Co w naszej stolicy?" Gruby pan powiódł dumnym wzrokiem po stłoczonych sąsiadach. Tymczasem poprzez kordon policji na środek placu przedostawało się coraz więcej znakomicie wyglądających osób. Ludzie wyciągali szyje i objaśniali sobie głośno: „To minister komunikacji... To szef sztabu, to wojewoda, to znów dyrektor departamentu lotnictwa. A to—ach patrzcie, patrzcie! To żona Żwirki i jego maleńki synek". Wreszcie około 5-ej woddali zafurczał samolot komunikacyjny, a w chwilę później na zachodniej stronie nieba ukazały się cztery ciemne punkty. Mrowie w dole zakołysało się, las rąk podniósł się ku górze, zagrzmiały okrzyki, a czarne punkty, coraz wyraźniej nabierając kształtu aeroplanów, opuszczały się ku ziemi. Wtedy nagle coś się stało okropnego: grzeczni, cierpliwi ludzie, którzy zewsząd otaczali Kazia i Jerzego, rzucili się naprzód, popchnęli chłopców, później policjantów i ruszyli naprzód. Posterunkowi rozpostarli ramiona, zaczęli krzyczeć: „Stać, stać, panowie! Nie wolno dalej". Ale ludzie parli



T-wo Krajozn. Kolumna Zygmunta w Warszawie

naprzód, nie zważając na zakazy. Wśród piekielnej wrzawy Kazio zaledwie chwytał poszczególne słowa. Gruby pan piorunował: „Co to znaczy? Cóż to, nie wolno w stolicy radować się polskim bohaterem?" Inni wrzeszczeli: „Dawać Żwirkę! Niech się nam pokaże!" Policja ustępowała, tłum sunął w kierunku samolotów, już osadzonych na murawie i niebawem Kazik ujrzał gdzieś w górze, ponad głowami czerni, w zawierusze kwiatów, męskich czapek i damskich chusteczek, krępą postać lotnika, podrzucaną, jak piłkę. Oczy zwycięzcy challenge'u ciskały istne snopy radosnych promieni. Śmiał się i wyciągał ręce do warszawian. W pewnym momencie Kazio zdołał usłyszeć: „Dziękuję wam, kochaniż wy moi, dziękuję..." i okropnie się wzruszył miękkim, wileńskim akcentem tych wyrazów. Orkiestra zagrała hymn państwowy, samochody ryknęły tysiącem klaksonów, z ciżby wystąpiła gromadka uroczystych figur. „To posłowie państw zagranicznych winszują" — ktoś szepnął. Zaraz jednak Żwirkę oraz inżyniera Wigurę, konstruktora zwycięskiego samolotu, poniesiono dalej. Pochód zatrzymał się, znowu dano miejsce komuś ważnemu: generał Fabrycy przypiął obu triumfatorom złote krzyże zasługi. Chłopców zepchnięto nabok, przestali widzieć, co się dzieje, słyszeli tylko, że potężna fala głosów unosi się i spada i znowu huczy, jak morze... Nie mieli siły pchać się naprzód, przeciwnie — zaczęli się nawet wycofywać z tłoku, poczuli wreszcie luz koło siebie, wzięli się pod ręce i — spoceni, zgnieceni — powlekli się na ulicę. Kazik teraz dopiero zdał sobie sprawę, że zmierzch zapada, że matka pewnie się niepokoi, czem prędzej więc pożegnał Jurka, puścił się kłusem do tramwaju i po półgodzinnej jeździe do swojej odległej od pola lotniczego dzielnicy, — wysiadł na Zamkowym Placu. Jakież było jego zdumienie, gdy i tam ujrzał spory tłum. Podniecony, zapytał pierwszego człowieka z brzegu: „Co się stało? Czemu takie zgromadzenie?" Obcy człowiek uśmiechnął się: „Cóż ty, smyku, nie wiesz, że Żwirko i Wigura wrócili do stolicy? To pewnie ich tu zaraz przywiozą do Pana Prezydenta, jako się bohaterom należy, żeby ich naczelnik państwa uścisnął".

Kazik przystanął pod kolumną Króla Zygmunta: słońce zachodziło, rzucając blaski na Wisłę, okna Zamku płonęły złotem... „Nasz Pan" pewnie się przygotowuje do przyjęcia lotników — pomyślał chłopiec — pewnie mój tata już dyżuruje w szatni, a w Rycerskiej sali pewnie zdejmują pokrowce z najpiękniejszych mebli i zapalają żyrandole!"...

Kazik aż zadrżał — tak się tem przejął, że mieszka w Warszawie i to przy Zamku, blisko Pana Prezydenta... Bo teraz nagle zrozumiał, że stolica — to znaczy sam środek, samo najgorętsze ognisko, samo serce kraju. A „nasz Pan" — jego główny gospodarz. A Zamek — dawniej królewski, dzisiaj prezydencki — to dom, w którym sława czeka na bohaterów.



T-wo Krajozn. Park Paderewskiego. Tancerka

OR-OT.

DZWONY

Kiedy rankiem lub w cichą godzinę wieczorną
Na wieżycach kościelnych srebrny dzwon uderza,
Z rozrzewnieniem wspominam modlitwę nieszporną
I naiwne me prośby z pierwszego pacierza.

Dźwięk leciał skrzydłem sławy po wiślanej fali
I od murów się miasta odbijał donośnie,
A jam czuł, jak mi dusza zrywa się i pali
I jak w piersiach młodzieńczych pieśń zwycięstwa rośnie,

Tak poważnie, tak rzewnie wzbijały się tony;
Słuchała ich Warszawa, czcią pokorną zdjęta, —
I cóż przeto dziwnego, żem kochał was, dzwony,
Jak kogoś, który wszystko kocha i pamięta?

Dziś zmieniło się wszystko, nawet i pieśń wasza
Rozbrzmiewa tak inaczej, tak dumnie, tak pięknie,
Ma w sobie gromy armat, ma piorun pałasza —
Że myślę: od zachwytu śpiż dzwonowy pęknie;

Wtedy mi się chce klęknąć i powietrzną drogą
Myśl słać, jak srebrny obłok, co niebem przepływa,
I szeptać tym, co zmarli, że już usnąć mogą,
I mówić tobie, Polsko: jakaś Ty szczęśliwa...

ALEKSANDER JANOWSKI

STOLICA

Gwarno było w Jędrzejowej chacie, bo to na wielkanocne święta zjechali się krewniacy, a zeszli się kumowie, krewni i znajomkowie, aby przybyłych powitać i pogwarzyć z nimi.

Kogo tam nie było... Syn, Franek, przyjechał z Tarnopola, gdzie służył w wojsku, jego siostra, Walerka, przybyła z Pińska, gdzie jej mąż służył w marynarce. Ciotczyn Władek opowiadał o Gdyni, bo pracował tam w kapitanacie portu. Rózia od Michalików uczyła się roboty koronek w Zakopanem, a miała narzeczonego, górnika z Królewskiej Huty.

Każdy miał coś do opowiadania, a dzieci, których wszędzie pełno, z otwartemi buziami słuchały tych dziwów, o jakich rzadko się słyszy u nich pod Biłgorajem.

— Mój ma tylko rok do wysłużenia, ale z Warszawy mają mu napisać, czy go może zwolnią wcześniej — mówiła Walerka.

— Musiałem zatrzymać się jeden dzień w Warszawie, bo mi pan kapitan kazał oddać papiery w ministerstwie — opowiadał Władek.

— A do nas przyszło z Warszawy, że tarnopolski pułk ma być przeniesiony do Lublina.

— A to byłbyś bliżej domu.

— A juści, ale niewiadomo jeszcze, bo to w Warszawie postanowią.

— Moja kumo, słyszycie? Wszystko w tej Warszawie radzą, a my ino musimy słuchać.

— Moiściewy, jakże ma być inaczej? Tyli świat ziemi, tyle narodu, to przecie, gdyby każdy chciał po swojemu, toby tylko zamęt był. Musi jeden stanowić.

Tymczasem Rózia pokazywała prześliczne koronki, jakie wyrabiają w jej szkole w Zakopanem, i mówiła:

— Kiedy z Warszawy przyjechała pani instruktorka, nauczyła nas jeszcze ładniejszych, ale najpiękniejsze wybrała na wystawę, która będzie na Zielone Świątki w Warszawie.

W drugim rogu izby pogwarzali starsi gospodarze o swoich sprawach, a najwięcej zajmował ich proces kuma Wojciecha z Zawiślakami z sąsiedniej wsi.

— Już my się sądzili w Biłgoraju i w Lublinie, ale teraz to jest apelacja do Najwyższego Sądu w Warszawie.

— Nie może to nam pomóc nasz poseł sejmowy?

— Eh, tyżeście, kumie, powiedzieli. Poseł w sejmie radzi nad całym krajem, a nie nad tem, że się dwóch gospodarzy ze sobą wadzi.

— Ja wiem, ale to ciężko, że oni tam radzą w Warszawie, a to tak daleko.

— A niechta.

— Niesprawiedliwie mówicie. Musi być jakiesi miasto, kaj się urzędy gromadzą. Nie tu, to tu, ale musi być. Najlepiej, żeby było w środku kraju, to jest właśnie w Warszawie.

Najmłodszy Jędrzejów chłopak, Grześ, słuchał uważnie i coś tam w swej głowinie kombinował. Wtem, wybiegłszy z chaty, skoczył do Stacha, najlepszego swego przyjaciela.

— Stasiek?

— A co?

— Wiesz? Musimy jechać do Warszawy...

— Iiii...

— No, co iii? Gdybyś ty słyszał, co tam u nas opowiadają. Jakie tam miasto, jakie pałace, kościoły i tyle, tyle luda...

— A niech se...

— Nie radbyś widzieć?

— Nie.

— A ja ci, Stasiek, mówię, że pojedziemy.

Grześ był to chłopak dzielny i wszystkiego ciekaw, a że Stach był pod jego wpływem, byliby może w niedowarzonych głowach uradzili jakąś niedorzeczną, a wielce tajemniczą wyprawę do stolicy, gdyby się wszystkiego nie domyślił Franek wojak. Zamiaru ich nie zganił, ale przedstawił brzydkie jego strony: uciekać z domu, martwić rodziców — to przecież bardzo nieładnie. Jest to nawet i niebezpieczne, bo można się narazić na aresztowanie za włóczęgostwo.

— Czekajcie, chłopcy, — rzekł. Za tydzień urlop mój się kończy, a że mam jechać przez Warszawę, jeżeli ojcowie się zgodzą, wezmę was ze sobą.

— Mój złociutki, jakiżeś ty dobry.

Franek powoli, dzień po dniu, omawiał z ojcem marzenie chłopców. Naradzał się i sąsiad, ojciec Stacha, i w końcu pozwolono Frankowi zabrać chłopaków, zostawić ich u ciotki Walentowej na Złotej ulicy; a gdy kum Wojciech będzie wracał po swojej sprawie, przywiezie ich zpowrotem.

Grześ chodził, jak otumaniony, a że urlop Franka dobiegał końca, robiono w domu ostatnie przygotowania przed wyjazdem. Grzesiowa matka nieco popłakiwała, ale stary Jędrzej uspakajał żonę:

— Nic im nie będzie, a nauczą się dużo. Kiedy ja byłem w ich wieku, już na siebie pracowałem, a i w Warszawie byłem kilka lat, a ot, widzisz, nic mi się nie stało.

— Inne to były czasy...

— A inne, to się wie, ale tysiąc razy gorsze: wrogowie nas gnębili. Przed Polakiem wszystko było zamknięte. Teraz mamy swoje państwo, mamy swój rząd, który myśli o całym kraju, o całym narodzie. Jeszczeby też w Polsce dziecku krzywda stać się miała! Wiesz co, matko, pomódl się o jego szczęście. Może i on kiedyś w kraju rządzić będzie.

— Co też ojciec mówią? Grześ?

— A i cóż? Przecież każdy, kto rządzi, kiedyś był małym chłopcem. Najwięksi ludzie byli kiedyś dziećmi, a czy komu wtedy na myśl przyszło, dokąd ich praca, zdolności i zasługi wyniosą?

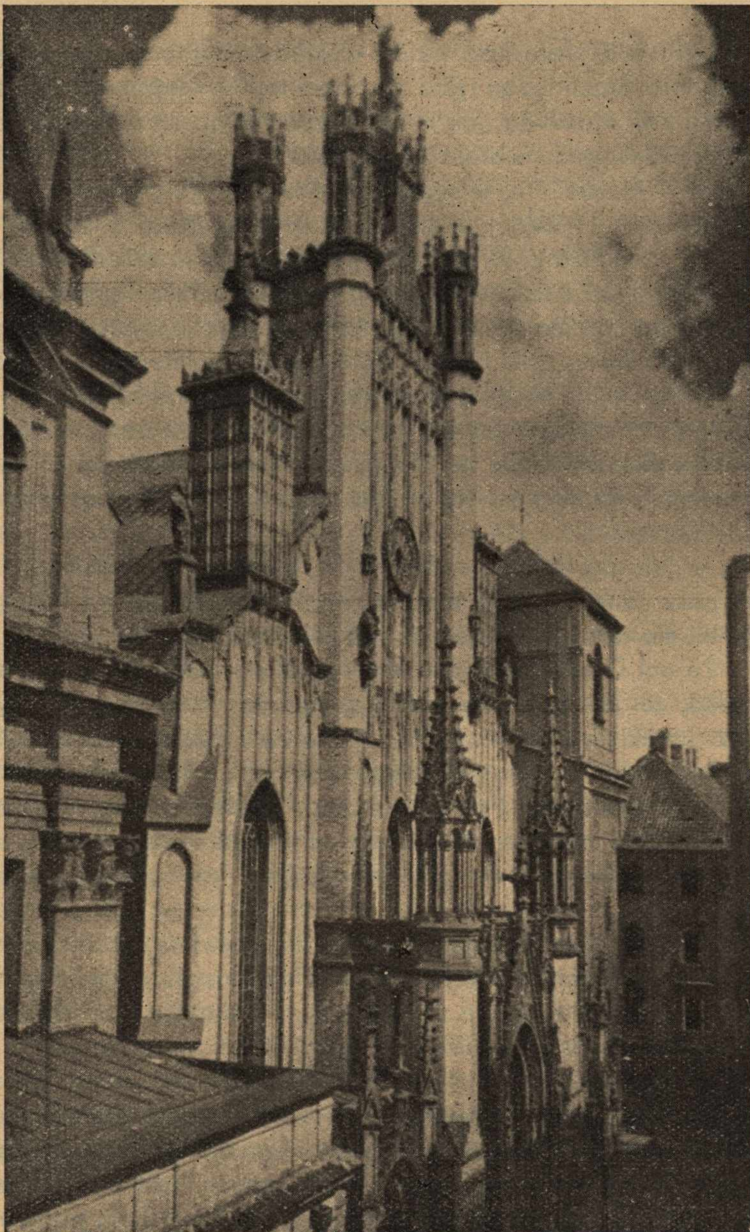


Photo-Plat Katedra św. Jana w Warszawie

Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu. Chłopcy znaleźli się w wagonie. Stach jeden tylko zdradzał trochę niepokoju. Franek, dumny z roli opiekuna, jak mógł, zajmował i pouczał chłopców. Na ścianie wagonu wisiała mapa Polski.

— Widzicie? Tu, w samym środku jest Warszawa. A to są linje kolejowe, wiozące ludzi do stolicy. Ta tutaj z Wilna, ta z Gdyni, ta z Poznania, ta znów ze Śląska, a ta z Krakowa. Ta idzie ze Lwowa, a ta z Wołynia, ta wreszcie z Polesia. Wszystkie one, jak rzeki do morza, dążą do Warszawy, a wszystkie pociągi pełne ludzi, bo to setki tysięcy obywateli mają interesy w stolicy.

Ruch i gwar na dworcu w Warszawie oszołomił chłopców. Grześ ze zdumieniem patrzył na kolorowe światła reklam na ulicy Marszałkowskiej, ale na Złotej, gdzie ciotka Walentowa była dozorczynią domu, nie było już tak wspaniale. Grześ posmutniał. Taka Warszawa...

— Nic się, chłopcze, nie martw, — mówił wuj Walenty, — jutro nasz Janek pójdzie z wami, bo Frankowi czas na komisję, a Janek ma teraz wakacje i do uniwersytetu jutro nie idzie.

Że ani Grześ, ani Stach nie wpadli na drugi dzień pod samochód, to już prawdziwy los szczęścia. Wszędzie ich było pełno. Janek pokazał im Zamek Królewski, gdzie teraz mieszka Pan Prezydent Rzeczypospolitej, pokazał pałac belwederski, w którym przebywa Pan Marszałek Piłsudski, pałac Rady ministrów, gdzie zasiada na narady cały rząd, pokazał sejm, senat, kędy posłowie i senatorowie układają nowe prawa dla całego kraju.

— Tutaj, widzicie, jest ministerstwo oświaty, które czuwa nad nauką młodzieży. W Polsce uczy się prawie cztery miljony dzieci, a w każdej szkole uczą tego, co nakazuje Pan Minister, urzędujący w tym gmachu.

— No, no...

— Takich ministerstw jest w Warszawie jedenaście. Jedno pilnuje porządku w kraju, inne spraw rolniczych, inne przemysłu i handlu, a jeszcze inne spraw zagranicznych. Jest ministerstwo kolei i ministerstwo poczty. Inne czuwają nad skarbem państwa, nad sprawiedliwością i nad sądami.

— O, O! Wojsko jedzie na koniach. Chorągiewki mają, a pośrodku samochody...

— Tak, to ambasador francuski wraca w asyście od Pana Prezydenta. Każde państwo obce ma w Warszawie swojego posła, czyli ambasadora, który porozumiewa się z Panem Ministrem spraw zagranicznych. Wszyscy królowie i prezydenci z całego świata mają w Warszawie swoich posłów.

Wracano ku domowi, aż tu za kościołem św. Aleksandra, na placu Trzech Krzyży usłyszeli chłopcy jakiś potężny głos, który mówił:

— „Każde państwo musi posiadać jakieś miejsce, w którem ześrodkowane są wszelkie władze państwa. Tam radzą przedstawiciele narodu, tam układają prawa, tam przekazują je rządowi, aby te prawa wprowadzał w życie. Całe więc życie państwa zależy od stolicy. Ona o wszystkiem decyduje, jej głosu oczekuje cały kraj. Ona daje hasło, a wszędzie, jeżeli jakaś wątpliwość, co robić, pytają: co na to Warszawa?

Cały kraj musi cenić stolicę, musi jej ufać, musi jej słuchać, gdyż ona jest mózgiem państwa i jego sercem".

Głos grzmiał i chłopcy zdziwieni oglądali się, patrząc, gdzie jest mówca. Ale mówcy nie było widać. Dopiero student Janek powiedział im, że to było przemówienie przez radjo, a ten głos, co słyszeli, rozlegał się z Warszawy po całym kraju.

Jeszcze prawie cały tydzień zostali chłopcy w Warszawie. Oglądali, zwiedzali, podziwiali: tyle ogrodów, tyle kościołów, tyle pałaców, kamienic, szkół. A jakie sklepy, jakie teatry, co samochodów! A nad miastem samoloty, a na Wiśle pięć mostów żelaznych, a po rzece setki łodzi, berlinek, parostatków, a ludzi, ludzi, ludzi...

Każdy śpieszy, każdy po coś dąży, każdy czegoś szuka, po coś idzie... po wszystkich ulicach tłumy, gromady...

Teraz rozumieli, dlaczego: bo to stolica, w której zbiegają się tysiące interesów trzydziestomiljonowego Państwa. To Warszawa.

WINCENTY RZYMOWSKI

POLSKA AKADEMJA LITERATURY

Myśl o powołaniu do życia Akademji Literatury zrodziła się w Polsce jednocześnie z odrodzeniem niepodległości. Orędownikiem tej myśli był wielki nasz powieściopisarz, natchniony piewca „Wiatru od morza", Stefan Żeromski. On to piórem i słowem, w broszurach i odczytach, pierwszy wskazał i uzasadnił potrzebę stworzenia instytucji, którąby stała się naczelną reprezentacją literatury, organem opieki nad czystością mowy rodzimej, a jednocześnie ogniskiem pracy, poświęconej rozważaniu najgłówniejszych zagadnień, związanych z życiem i rozwojem twórczości literackiej.

Projekt Żeromskiego spotkał się natychmiast z gorącem uznaniem kolegów i życzliwym oddźwiękiem w całem społeczeństwie, nie znalazł jednak ani warunków, ani sił, któreby zdolne były zapewnić mu szybkie urzeczywistnienie. Jakże tu było myśleć o losie literatury, o doli pisarza polskiego, o drogocennych i delikatnych różach, jakiemi są pieśni poetów, gdy same podstawy bytu narodowego były zagrożone, gdy ludność cierpiała głód, gdy częstokroć nie miała dachu nad głową, a obszary pól leżały odłogiem?

Państwo polskie, aby żyć, musiało rozpocząć pracę od podstaw. Zaczęło — i słusznie! — od tego, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, ład i porządek; uruchomiło przemysł i rolnictwo, zorganizowało skarb, wojsko, administrację, wymiar sprawiedliwości, rozbudowało sieć wyższej, średniej i powszech-

nej oświaty, niosącej zdobycze wiedzy wśród coraz szerszych środowisk miejskich i wiejskich. Jedne zadania pilne i naglące ustępowały pola innym jeszcze pilniejszym i bardziej naglącym. Interesy, potrzeby i zadania literatury, jakkolwiek żywo odczuwane, jakkolwiek wysoko cenione, odsuwane były na plan drugi, trzeci i dziesiąty. W powszechnym wirze dążeń i konfliktów, stanowiących treść zbiorową pierwszych, początkowych lat istnienia Polski odrodzonej, głos pisarza polskiego był czynnikiem zbyt słabym i zbyt samotnym, aby mógł zyskać lub nakazać dla siebie posłuch.

Aby ocenić wartość literatury społeczną i narodową, trzeba działalność jej ujmować w perspektywie pokoleń i dziesięcioleci, niekiedy wieków. Dziś, gdy z odległości stulecia patrzymy, naprzykład, na twórczość poetycką Adama Mickiewicza, lub Juljusza Słowackiego, rozumiemy doskonale, jak wiele siły duchowej z dzieł ich zaczerpnął naród polski w swej walce o ideały wolności, prawdy, piękna i sprawiedliwości. W najgłębszych mrokach niewoli czyż same imiona wieszczów naszych nie były symbolami niepożytej mocy narodu, mocy jego trwania i odrodzenia? Czyż natchnione ich pieśni nie były tą ognistą kolumną, która naród wiodła skroś otchłań poniewierki ku dniom wyzwolenia? Niedarmo zwłoki Mickiewicza i Słowackiego spoczęły w grobowcach królewskich na Wawelu. Naród, stawiając trumny tych synów pieśni między prochami królów, stwierdził uroczyście, że pieśń w osobie swych wybrańców bywa potęgą, równą potędze władzy suwerennej.

Pieśń, poezja, literatura zespala się z życiem narodu tak, jak słowo zespala się z czynem. I głęboką miał słuszność Janusz Jędrzejewicz, gdy, jako naczelnik rządu, witając Polską Akademję Literatury w dniu jej narodzin, wyraził się, że dwoma głównemi czynnikami, jakie kształtowały w dziejach polską duszę narodową, były szabla i słowo, wysiłek orężny i twórczość poetycka: czyny zbrojne od czasów Bolesława Chrobrego poprzez Jagiełłów, Batorych, Sobieskich, poprzez zbrojne powstanie Kościuszki, rycerski zgon księcia Józefa Poniatowskiego, wal-

ki 30-go i 63-go roku, aż do bojów wyzwoleńczych Józefa Piłsudskiego, — i w kształt najwyższego artyzmu zaklęte słowo polskie, zaczynając od hymnu Bogarodzicy, przez pieśń Kochanowskiego, prorocze widzenia wieszczów romantyzmu, potężne akordy Norwida i Wyspiańskiego, niepokoje i tęsknoty Żeromskiego aż do dzieł współczesnych pisarzy, poszukujących wyrazu dla treści przeżyć i dążeń, wzlotów i upadku swej doby.

Gdy spoglądamy w przeszłość naszą, pełną tragicznych cierpień, ale i pełną chwały, widzimy, że czyny wojowników, mężów stanu i myślicieli splatają się w jedno wspólne pasmo przeżyć z natchnieniami poetów. Z przeszłości tej, z pasma jej chwały byłoby równie trudno odrzucić miecz króla Stefana, jak harfę Jana z Czarnolasu, kazania Skargi, jak buławę Chodkiewicza. Wszelako to, co bywa jasne i oczywiste w perspektywie czasów minionych, zaciera się i gmatwa w obrazie teraźniejszości. Zaciera się i mąci ów bezpośredni związek między czynem a pieśnią, między działaniem praktycznem, a twórczością poetycką, między życiem narodu i państwa, a życiem literatury.

Ponieważ Państwo Polskie, dźwignąwszy się z pobojowisk i zgliszcz wielkiej wojny, w gorączkowym pośpiechu brało w ręce i organizowało coraz nowe działy życia praktycznego, a przedewszystkiem, pod grozą ponownego upadku, organizować musiało swą obronę, przeto wydawało się rzeczą naturalną, że organizację życia literackiego odłożyć można na dalsze, spokojniejsze lata.

Ale spokój, zwłaszcza spokój w znaczeniu tej gnuśnej stabilizacji stosunków, jaka poprzedzała wybuch wojny światowej, nie wracał. Wir przemian, coraz głębiej sięgających w życie narodów, niósł na swej burzliwej fali Europę, a wraz z nią i młode odrodzone Państwo Polskie. Coraz nowe potrzeby i zadania biły groźną lawiną w zręby świeżo odbudowanej Rzeczypospolitej. Ledwo rozwiązano zagadnienie obrony granic zewnętrznych, już wewnątrz Państwa nad całą gospodarką zaciążyło upiorne zagadnienie waluty. Gdy uporano się z walu-

tą, gdy zażegnano widmo drugiej inflacji pieniądza, wyszło na jaw, że niebezpieczne rysy i niedobory wykazuje dzieło świeżo uchwalonej konstytucji, że ustrój Rzeczypospolitej wymaga gwałtownej naprawy. Przyszedł przełom majowy (r. 1926), a wraz z nim nowe, wzmożone tętno poczynań i reform politycznych... Czy myśl Żeromskiego o potrzebie zorganizowania życia literackiego w Polsce miała znów zawisnąć w próżni? Realizacja jej czyż znów ulec miała zwłoce na czas nieograniczony?

Na państwie i na jego konkretnym przedstawicielu — rządzie zaczynają się skupiać coraz wyłączniej nadzieje ludzi, zatroskanych o byt i rozwój literatury. Dobitny wyraz troskom tym i nadziejom dały rezolucje, uchwalone na Zjeździe literatów polskich w Wilnie. Wszelako od chwili powzięcia i ogłoszenia tych uchwał do dnia ich urzeczywistnienia upłynąć miało jeszcze pięciolecie. Zjazd wileński odbył się w dniach 1, 2 i 3 listopada 1928, pierwsze zaś inauguracyjne posiedzenie Polskiej Akademji Literatury, w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej i członków rządu, odbyło się d. 8 listopada r. 1933.

Piętnaście lat od odzyskania niepodległości czekała literatura polska na powołanie do życia instytucji, stanowiącej najwyższą jej reprezentację. Motywy, które skłoniły rząd, a przedewszystkiem premjera ówczesnego, Janusza Jędrzejewicza, do urzeczywistnienia starej idei Stefana Żeromskiego, pokrywają się w zupełności zarówno z argumentami uchwał wileńskich, jak z przesłankami samego Żeromskiego.

Zadaniem Polskiej Akademji Literatury — jak opiewa jej statut — jest opieka nad piśmiennictwem narodowem oraz praca nad jego rozwojem. W szczególności Akademja: 1) reprezentuje polskie piśmiennictwo artystyczne, 2) występuje z inicjatywą poczynań, zmierzających do podniesienia literatury polskiej i opieki nad literatami, 3) współdziała z rządem we wszystkich jego pracach dla dobra kultury i sztuki polskiej, 4) wypowiada opinję na życzenie władz państwowych w sprawach, dotyczących języka, literatury i kultury polskiej, 5) przyznaje nagrody literackie oraz stypendja dla literatów, 6) podejmuje wydawnictwa, poświęcone rozwojowi polskiej sztuki literackiej, 7) wyróż-

nia utwory literackie, 8) przyznaje odznakę „złotego" lub „srebrnego wawrzynu" ludziom zasłużonym na polu literatury i kultury polskiej.

Z listy powyższej widać, jak długi jest poczet praw i powinności Polskiej Akademji Literatury, jak rozległe jest jej pole działania.

Piętnaście lat czekała na dekret, powołujący ją do życia. I może lepiej się stało, że powstała w chwili, która spiętrzyła przed nią tak wiele i tak doniosłych zadań. Moment jej uroczystej inauguracji spotkał się z podniosłym nastrojem, w jakim Polska święciła piętnastą rocznicę swego wyzwolenia. Ta zbieżność znamienna, a także fakt, że protektorat honorowy nad nową instytucją objęli Prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki ,oraz Pierwszy Marszałek Polski, Józef Piłsudski, postawiły imię Polskiej Akademji Literatury w zaszczytnym szeregu wielkich instytucyj Rzeczypospolitej, pomnażając jej siłę i współdziałających z jej rozwojem.

Siedzibą Akademji stał się stary pałac Potockich przy ulicy Krakowskie Przedmieście nr. 32 w Warszawie. Pierwszych siedmiu Akademików zamianował Prezes Rady Ministrów w porozumieniu z Ministrem Oświecenia. Do tej pierwszej siódemki „nieśmiertelnych" weszli: sędziwy nestor powieściopisarstwa, Wacław Sieroszewski, a także Wacław Berent, Zenon Przesmycki, Juljusz Kaden, Leopold Staff, Piotr Choynowski i Karol Hubert Rostworowski. To grono siedmiu zasłużonych pisarzy, w drodze kooptacji, dokonało wyboru dalszych ośmiu członków Akademji, których wybór uległ zatwierdzeniu przez premjera Jędrzejewicza. W ich liczbie znaleźli się: Tadeusz Boy-Żeleński, prof. Tadeusz Zieliński, Bolesław Leśmian, prof. Juljusz Kleiner, Karol Irzykowski, Zofja Nałkowska, Jerzy Szaniawski oraz piszący te słowa.

Załoga, złożona z piętnastu ludzi objęła przedstawicielstwo literatury polskiej w jej najważniejszych gałęziach twórczości. Wzięła na ramiona chwałę jej przeszłości i powagę zadań, sięgających w przyszłość.

STANISŁAW SKARŻYŃSKI

WRAŻENIA Z LOTU NAD AFRYKĄ

Przelatując nad terenami Afryki, w chwilach, gdy lot nie wymagał zbytniej uwagi, oddawałem się nieraz rozmyślaniom i zawsze jak żywo stawały mi w pamięci czasy, kiedy jako „sztubak" wczytywałem się w literaturę historyczną i podróżniczą.

Marzyłem o tem, żeby kiedyś zostać oficerem polskim. Czytając opisy przygód podróżniczych, przeżywałem z bohaterami tych przygód ich przeżycia, zazdroszcząc im nieraz, i uważałem, że to marzenia ściętej głowy, abym mógł kiedyś znaleźć się w krajach dalekich. Potem, gdy dało się słyszeć o lotnictwie, budowałem modele latające, błądziłem tęsknem okiem za szybującemi ptakami, a gdy z początkiem wojny światowej widziałem przelatujące samoloty — nie posiadałem się z zazdrości.

I oto jestem oficerem, byłem na wojnie, jestem pilotem i szybuję nad morzami i lądami, do których tylko myślą dawniej mogłem się przenosić.

Niema zatem rzeczy niemożliwych. Trzeba tylko chcieć, być cierpliwym i wytrwałym.

Afryka szczególnie mnie interesowała.

Wybierając drogę lotu, starałem się wyszukać tereny najdziksze, najmniej zbadane, najbardziej obce. Niezawsze to było możliwe ze względu na lotniska i zaopatrzenie. Jednakże na niektórych etapach było osiągalne. Mógłbym spotkać się z zarzutem, że przelatując tylko nad temi terenami, niewiele się widzi, nie można bliżej zetknąć się z ich dzikością i swoistością. Zgoda. Wystarczy nieraz przejść lub przejechać innym środ-

kiem lokomocji kilkadziesiąt lub kilkaset kilometrów w kraju i doznać wrażeń na całe życie, lecz podróżujący po ziemi nie dozna takich wrażeń, jakie przeżywa lotnik. Przedewszystkiem poza przyjemnością samego lotu, odczuwa się „pochłanianie przestrzeni". Być wieczorem oddalonym o 1000 — 1500 kilometrów od miejsca, gdzie się było rano, to przecież wielka przyjemność.

A przelatując nad terenami, które interesują, można przecież wszystko dokładnie, choć z pewnej wysokości, obejrzeć, trzeba tylko dobrze znać geografję i historję. To też postarałem się dokładnie przypomnieć sobie to, czego mnie nauczyli w szkołach, i uzupełnić różne braki, czytając nowe książki.

W czasie lotu odtwarzałem sobie obrazy przeróżnych przygód podróżników. Zawsze żywo w pamięci miałem opisy Sienkiewicza, Ossendowskiego i innych. Przydała mi się nawet dawna praca w harcerstwie. Gdy przed lotem zastanawiałem się, jak należy się zaopatrzyć na drogę w razie przymusowego lądowania w terenie mniej zaludnionym, bardzo pomocnemi były mi wspomnienia dawnych wypraw i obozów harcerskich. Naturalnie, wiadomości swe musiałem uzupełnić badaniem klimatu podzwrotnikowego i równikowego.

W czasie lotu można również zetknąć się bliżej z dżunglą i z dzikusami. Raz, lądując na plaży zatoki Gwinejskiej, z powodu nadciągającej silnej burzy tropikalnej zmuszeni byliśmy spędzić prawie cały dzień w towarzystwie samych murzynów, a noc pod gołem niebem na brzegu morza. Z jednej strony szumiała złowrogo puszcza, z drugiej rozlewały się szeroko fale Atlantyku. Ażeby zabezpieczyć się od dzikich zwierząt, musieliśmy przez całą noc palić światło, a rano, szukając miejsca do startu, znaleźliśmy w odległości jakichś 150 m. od naszego legowiska ślady słonia i hipopotamów.

Przelatując nad stepami, widzieliśmy uciekające stada słoni, widzieliśmy gazelę, nosorożca, a w ujściach rzek hipopotamy i krokodyle.

Lotnikowi, przelatującemu nad terenami egzotycznemi, silne wrażenia przynosi również ciągła zmiana: przed chwilą obcował z dziką przyrodą, to znów unosi się ponad krajem cywilizowanym.

Afryka z lotu ptaka wygląda bardzo barwnie. W żadnej części świata nie spotyka się tak jaskrawo występujących zmian ukształtowania terenu, oraz takiej różnorodności świata roślinnego i zwierzęcego. Ażeby jednak objąć całokształt geografji, należy przelecieć ponad ziemią samolotem, inaczej trzebaby całe lata poświęcić na jej poznawanie.



Photo-Plat

Kpt. Skarżyński z kolegami przy swoim samolocie

Zdążając z Europy do Afryki od strony półwyspu Bałkańskiego, spotykamy niezbyt gościnnie wyglądające pustynne wybrzeża. W miarę posuwania się w głąb lądu rzadko znużone oko podróżnika ujrzy jakieś wzniesienia terenu lub oazy. Pust-

ka ta ciągnie się prawie 4000 kilometrów. To też wąziutkie pasmo uprawnych wybrzeży Nilu rażąco odbija od otaczającego je morza piasków.

Wpobliżu równika teren stopniowo się podnosi, pustynia zamienia się w stepy, a następnie w sawanny i puszcze. Im więcej wilgoci, tem więcej roślinności i zwierzyny, a powietrze— przedtem pustynne i choć gorące, lecz suche i znośne — staje się coraz bardziej parne, duszne i trudniejsze do zniesienia w czasie upału. Barwa ziemi pustynnej jest żółta, a tam, gdzie występuje bujna roślinność, gleba jest czerwona. Wysokich gór naogół w Afryce jest mało.

— — — — — — — — — — — — — — —

Po trzech miesiącach lotu znaleźliśmy się znów na polskiej ziemi. Wypełniliśmy swoje zadanie. Zanieśliśmy wieść o Polsce do dalekich ziem, gdzie dotąd o niej nie słyszano, a lecąc na płatowcu, zbudowanym w kraju, pokazaliśmy światu wysoką wartość naszego materjału lotniczego.

To też polski lot nad Czarnym Lądem musiał się udać i udał się, utwierdzając w nas wiarę we własne nasze siły i zdolności.

MIECZYSŁAW BRAUN

LOTNIK

Pruje niebieską przestrzeń
Biały, błyszczący samolot,
Powietrze!
Powietrze!
Powietrze!
Po wietrze mój lot i polot!

Śmigło, — warczące wiosło,
Wkręca się w żywioł wiejący.
Sunę prosto i prosto,
Prosto
Na wiatr i na słońce!

Płaszczyzny sztywne, rozpięte,
Krają powietrze, jak masło,
Ślizgiem,
Przelotem
I pędem!
A w dole las albo miasto.

Jak drobny wężyk strumyka,
Srebrna, ogromna rzeka już blisko.
Miga pode mną i znika
Tłum, jak mrowisko.
Skrzydła mam silne — stalowe,

Błyszczę, olśniewam i świecę.
Kto patrzy na mnie — zadziera głowę,
A ja — lecę,
Lecę
I lecę.

Turkoce motor po szosie sinej
I płoszy ptaki obok obłoków.
Obłoki — góry śnieżnych potoków,
Obłoki! Obłoki!
Przestwór wysoki!
Pod którym płynę,
Płynę!

L. WERTENSTEIN

POSZUKIWACZE SKARBÓW

Życie znanej w świecie całym naszej rodaczki, Marji Curie-Skłodowskiej, nietylko błyszczy sławą i jaśnieje pożytkiem, lecz również obfituje we wzruszenia, których zwykliśmy raczej oczekiwać od innych, napozór bardziej urozmaiconych i ruchliwych zawodów.

W czasach naszej niewoli cała młodzież miała świadomość tego, że tylko najwyższy wysiłek może uratować Polskę; najważniejszą zaś rzeczą było wszelkiemi siłami bronić oświaty i kultury, o którą najeźdźcy u nas nie dbali. Jedną z takich cech kultury i postępu jest wyższe wykształcenie kobiet; dziś ono nikogo nie dziwi, ale wówczas należało do wyjątków. Niektóre z ówczesnych dziewcząt uważały, że zdobywając wyższe wykształcenie, czynią to nietylko dla siebie, lecz i dla dobra narodu. Były to kobiety-pionierki, które torowały drogę innym. Do nich należała Marja Skłodowska. Ale systematyczne studja w podległej carowi Polsce były niedostępne dla kobiet. Zachęcona przez swego światłego ojca, Marja Skłodowska wyjechała do Paryża; miała niezłomne uczucie, że wiedzie ją instynkt dobra i prawdy, ale zapewne nie przychodziło jej na myśl, że ta podróż po naukę była zarazem podróżą po wielką sławę dla niej i dla Polski.

W Paryżu istniała wtedy liczna kolonja polska, złożona z takich samych idealistów, jak M. Skłodowska. Jakkolwiek drogi ich były różne, wszystkich łączyła idea wielkości i wolności Ojczyzny. W tej atmosferze przyrodzone zdolności wzmagały

się wytężoną pracą, w ogniu zapału wykuwały się talenty. Młoda studentka zwróciła na siebie uwagę niezwykłemi zdolnościami i wytrwałością. Szczęśliwy wypadek sprawił, że te dary natury obrócone zostały na dokonanie wielkiego odkrycia, które naukę skierowało na nowe tory, a ludzkości dało skuteczny oręż do walki z chorobą. Wiemy przecież, że późniejsze prace p. Curie doprowadziły do odkrycia radu, ciała, które samo z siebie wysyła promienie o nadzwyczaj ciekawych własnościach. Między innemi wywołują one świecenie tak, iż rad świeci pociemku. Przedewszystkiem zaś leczą one skutecznie wiele chorób, a zwłaszcza przynoszą ulgę i często przywracają zdrowie w strasznem cierpieniu, zwanem rakiem.

Skąd się bierze rad? Możnaby powiedzieć, że się go wykopuje z ziemi, gdyż są minerały, zawierające rad, aczkolwiek w tak małej ilości, że nieraz trzeba wydobyć wagon minerału, aby otrzymać szczyptę radu.

Minerały te wszakże były znane oddawna, o radzie wiemy dopiero od 40 lat.

Rad odkryła Marja Skłodowska wspólnie ze swym mężem, Piotrem Curie. A stało się to tak:

Najpierw poznano ciała podobne do radu, ale dające promienie bardzo słabe, tak, iż nie mogło z nich być użytku ani dla uczonych, ani dla lekarzy. Marja Skłodowska, która już wtedy skończyła studja i chciała samodzielnie przysłużyć się nauce, domyśliła się, że muszą być inne ciała z silniejszemi promieniami i zaczęła ich poszukiwać w minerałach. To brzmi bardzo podobnie do poszukiwania złota, ale odbywa się zupełnie inaczej. Nie trzeba jeździć w dalekie kraje, ani kopać ziemi, natomiast trzeba się wystarać o próbki różnych minerałów i badać sposobami, używanemi przez fizyków i chemików, czy nie zawierają one poszukiwanego cennego składnika. W pewnym sensie była to wyprawa, gdyż na każdym kroku można było zbłądzić, albo nawet nie dojść do wytkniętego celu. Ale każdą wyprawę lepiej podjąć z kimś bardzo bliskim, kto nas doskonale pojmuje, kto nasz cel czyni swoim. Tak się złożyło, że Marja Skłodowska poznała w tym czasie Piotra Curie; nie tylko się

pokochali i pobrali, ale nawet postawili sobie wspólny cel i razem wybrali się na tę osobliwą wyprawę, w której wprawdzie się nie podróżuje, ani naraża się na niebezpieczeństwo życia, ale która, jak zobaczymy, obfituje w bardzo wielkie wzruszenia.

Między badanemi minerałami był jeden, o którym małżonkowie Curie na podstawie swoich prób i doświadczeń powiedzieli: tu musi być nowe ciało promieniujące (w nauce mówi się „promieniotwórcze"). Czyż nie jest to znowu podobne do jakiejś wyprawy po złoto, w której poszukiwacze otrzymują wiadomość prawdziwą, ale bardzo niejasną, że gdzieś za rzekami, za górami, za śniegami, jest złoto? Poszukiwacze złota wystaraliby się o sanie, psy, rydle i inne narzędzia, małżonkowie Curie potrzebowali tylko miejsca do pracy, kilkunastu kilogramów minerału i sporo statków chemicznych. Minerał trzeba było rozpuszczać w kwasach, później dolewać płynów, od których część minerału ścina się, jak jajko na wodzie, a część zostaje rozpuszczona. Z każdą częścią robi się próby, żeby się przekonać, czy to ona zawiera szukane ciało. To jest podobne do podzielenia terenu złotodajnego na rewiry, które bada się pokolei, żeby się przekonać, w którym jest złoto.

Ładne porównanie, powie czytelnik. W wyprawie po złoto grozi zamarznięcie na śmierć lub pożarcie przez wilki, a gdy po kilkudniowych trudach nic się nie znajduje, następuje rozpacz i zniechęcenie. Co do niebezpieczeństwa, zgoda, już wspominałem, że go nie było, ale trudów i niewygód, smutków i zawodów nie brakło. Miejscem do pracy była szopa, w której latem był upał, a zimą mróz; niezmordowani badacze spędzali w niej dnie i noce. I jakże często po znojnym kilkutygodniowym trudzie przekonywali się, że nie zbliżyli się do celu, że zbadana część minerału nie zawiera nic ciekawego. Nie zapominajmy również o tem, że co innego szczytne dążenie do znalezienia skarbu, który ma być udziałem całej ludzkości, a co innego pogoń za skarbem, który ma wzbogacić tylko poszukiwacza. Tylko głęboka miłość wzajemna mogła być źródłem otuchy w chwilach zwątpienia. Pani Curie miała jeszcze jeden wielki, święty bodziec do pracy: wiedziała, że jeśli cel osiągnie, uzyska

wdzięczność nietylko całej ludzkości, ale ponadto swoich rodaków, którzy będą szczęśliwi i dumni, wiedząc, iż w najcięższych latach niewoli ich Ojczyzna zajęła poczesne miejsce wśród narodów i imię Jej będzie odtąd zawsze wymawiane, gdy tylko będzie mowa o wielkiem odkryciu.

Tak się też stało. Po wielu miesiącach pracy małżonkowie Curie wydzielili wreszcie z minerału nie jedno, lecz dwa nowe ciała promieniotwórcze. Pierwsze otrzymało nazwę p o l o n u, nazwę, tak wymowną dla każdego Polaka. Drugie otrzymało nazwę „radu" (czyli z łacińskiego „promienisty"), a chociaż z czasem rad okazał się znacznie ciekawszy i pożyteczniejszy od polonu, to jednak oba adkrycia w równym stopniu przepełniają nasze serca wdzięcznością i dumą.

Wyrazem tej wdzięczności jest wybudowany w Warszawie ze składek całego społeczeństwa Instytut Radowy im. Marji Curie-Skłodowskiej, służący do leczenia radem raka i innych chorób.



Photo-Plat Instytut Radowy im. Curie-Skłodowskiej w Warszawie

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KAPELUSZ BIORĘ POD PACHĘ

Kapelusz biorę pod pachę i drogą
Śliską od deszczu, gdzie mnie nic nie czeka
I gdzie nie spotkam na szczęście nikogo,
Idę i kłaniam się lasom zdaleka.

Gwiżdżę i śpiewam i śmieję się głośno:
Jak się masz, jasny błękicie na niebie?
Płuca zapełniam ziół modlitwą rośną
I coś mądrego mówię sam do siebie.

A kolorowe wśród zboża straszaki,
W czerwonych czapkach i na jednej nodze,
Na migi dają mi tajemne znaki
I wznoszą ręce, gdy do nich podchodzę.

Hej, jak mi dobrze, jak świeżo, radośnie,
Jak lekko! Sama wdal niesie mię droga,
I w piersiach młodość mi odnowa rośnie
I jestem chyba podobny do Boga.

Jakem szczęśliwy — powiedzieć nie umiem!
O, mieć tak duszę do słońca rozśmianą!
Teraz to wiem już i dobrze rozumiem,
Czemu ujrzałem świat o piątej rano.

O, trawy mokre, żółte koleiny,
Glisty, ze szczelin wyłażące skrycie,
Plamy wsi białych, kapliczki i młyny,
O, mój bezbrzeżny, bezdenny zachwycie!

O, drogo moja, deszczami umyta
I wysuszana parującą spieką!
Nieś mię, gdzie zechcesz, jeno niech zakwita
Przede mną zawsze twe modre: daleko.

WIKTOR JUNOSZA

C. I. W. F.
KUŹNIA POLSKIEJ TĘŻYZNY FIZYCZNEJ

Mam bratanka, dosłownie „zwarjowanego" na punkcie sportu. Młodzieniec ten, kończący właśnie szkołę średnią, o niczem innem nie myśli i nie mówi, jak o footballu, boksie, skokach o tyczce i skokach do wody. Zna na pamięć tabelę rekordów światowych i polskich, wie, kto był pierwszy, drugi i trzeci w każdej konkurencji na Igrzyskach Olimpijskich. Deklinuje przy każdej sposobności nazwiska Walasiewiczówny, Kusocińskiego, Wajsówny, a jeszcze chętniej ich pieszczotliwie i z tonem gorącego uwielbienia wymawiane imiona zdrobniałe: Stasia, Jadzia, Janusz...

Przed paru laty największem było dla niego szczęściem— zbliżyć się przy wyjściu z szatni do tego lub owego znakomitego sportowego „asa". Dziś mu to już nie wystarcza. Chce sam biegać, jak Kusociński.

Niestety, na przeszkodzie stoi tato. Pan starej daty, który twierdzi, że dawniej nie było żadnych rekordów i mistrzostw, a ludzie żyli, byli szczęśliwi i zdrowi, i że to wszystko — niemądre wynalazki... On przecież nigdy żadnej gimnastyki nie uprawiał, a dożył, chwała Bogu, sędziwego wieku i dzieci na porządnych ludzi wychował! Dlatego o kupieniu dla syna pantofli z kolcami, albo też pary nart nie było mowy:

— Uczyć się powinien, a nie hasać po polu i przewracać w śniegu.

Dochodziło do coraz większych nieporozumień. Ponieważ lubiłem chłopaka i rozumiałem jego młody entuzjazm — podjąłem się roli pośrednika i postarałem się zrobić tak, aby i wilk był syty i owca cała.

Plan mój był bardzo prosty. Zaproponowałem, abyśmy, korzystając z pięknego letniego popołudnia, pojechali na Bielany zwiedzić Centralny Instytut Wychowania Fizycznego.

Chłopiec aż podskoczył z radości:

— To dobra myśl! Teraz właśnie gotują się do meczu międzypaństwowego nasi najlepsi lekkoatleci. Tatuś zobaczy, co to jest sport! Jeden rzut kulą, jeden skok dobrego zawodnika, a ojciec sam się zapali do rekordów i zrozumie, że mistrzowie stadjonu przynoszą krajowi zaszczyt!

Ojciec też przyjął propozycję przychylnie:

— Doskonale! Sądzę, że tam najłatwiej mi będzie wykazać małemu całą bezsensowność i bezmyślność tego skakania i latania...

Auto zatrzymało się przy pięknej bramie parku. Wysiedliśmy i szeroką betonową aleją, obramowaną kwietnikami, poszliśmy w kierunku obszernego prostokątnego dziedzińca. Z trzech stron otoczył nas ogromny blok budynków, utrzymany w stylu nowoczesnym, przyciągający oko elegancją formy.

Uderzył nas imponujący gmach pływalni krytej, z kominem, połączonym z wieżą ciśnień w ciekawą architektoniczną całość. Z wysokości tej wieży odkrył się nam zachwycający widok na cały teren, o powierzchni 73 hektarów.

— O, widzi tatuś: tam boisko do piłki nożnej i bieżnia 400-metrowa, tam znowu boisko do rugby i bieżnia 500-metrowa, tam boisko do koszykówki i siatkówki, tam korty tenisowe, tam pływalnia odkryta... tam wszędzie biegają, pływają i skaczą. Przecież nie wydawałby rząd na to tyle pieniędzy, gdyby to nie było bardzo ważne!

Ojciec nic nie odpowiedział. Był widocznie zaskoczony. Chłopak triumfująco dorzucił:

— A tam — słynna kryta hala ćwiczeń o długości 136 m.! O niej możemy powiedzieć lubującym się w rekordach Amery-

kanom, że ona, ta hala warszawska, jest największa w świecie... Zbudowano ją, by można było biegać, skakać i rzucać dyskiem nawet w zimie, czy podczas ulewnego deszczu...

— Centralny Instytut Wychowania Fizycznego ma na celu nie hodowanie gwiazd sportowych, mówił do nas przewodnik, — lecz kształcenie nauczycieli ćwiczeń cielesnych, którzyby młodzież uczyli racjonalnej troski o sprawność fizyczną, potrzebną pełnowartościowym obywatelom. Nie opiekujemy się pojedyń-

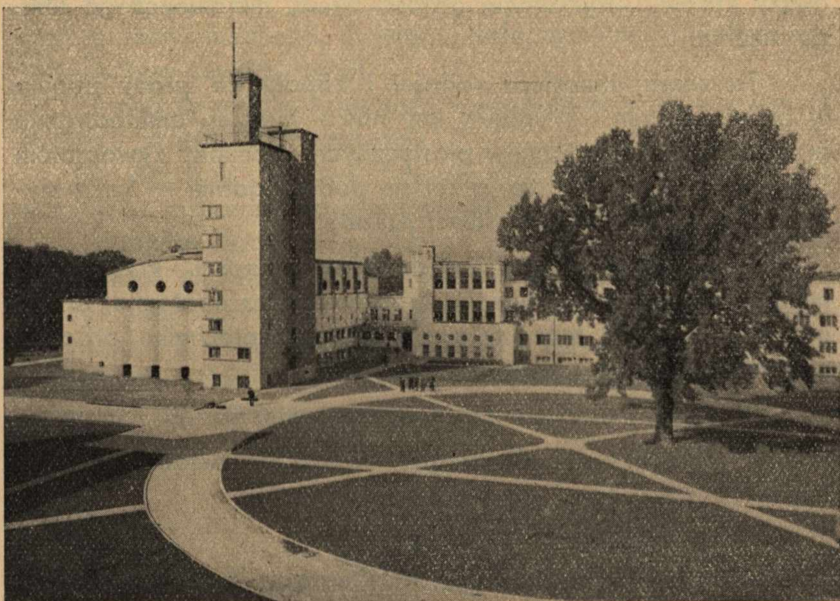


Photo-Plat C. I. W. F. na Bielanach

czemi, specjalnie utalentowanemi jednostkami, lecz chcemy, aby cała masa, aby każdy Polak był silny i zręczny, by pokochał sport nie dla wyjątkowych wyczynów, a dla tej radości, jaką daje wyładowanie energji w nieprzymuszonej zabawie ruchowej... Właśnie dlatego, aby jak najbardziej sport spopularyzować, wprowadzono Państwową Odznakę Sportową, o którą

mogą się ubiegać wszyscy lekkoatleci bez względu na wiek, a nawet ludzie, którzy dotąd niewiele ze sportem mieli wspólnego.

Zaglądamy do pokojów, gdzie mieszkają studenci. Wszędzie schludnie, ładnie, wszędzie natryski, łazienki, troska o wygląd estetyczny. Korytarze upiększone fotomontażami — obrazkami z życia sportowego. Studenci ubrani w granatowy strój ćwiczebny — sweter i szerokie, ściągane u dołu tasiemką spodnie, zwane tu żartobliwie „kaloryferami" — to bez wyjątku okazy zdrowia, tryskającej radości życia, młodzieńczego temperamentu.

Ta sama atmosfera radości i zapału do pracy panuje w bloku żeńskim. Wygląda on nieco inaczej: amfiteatralnie urządzony plac do tańców plastycznych, otoczony żywopłotem i staremi drzewami, taras, przejście pod arkadami — każą myśleć o Helladzie i o szczęśliwej Arkadji.

Wnet jednak powracamy do nowoczesności. Przechodzimy bowiem przez niezliczone laboratorja: tu anatomja, antropologja, fizjologja, tam fizyka, chemja, psychotechnika, pracownie kardjograficzne, rentgenologiczne.

Bratanek mój rzuca zdziwione pytanie:

— A to wszystko do czego? Jaki to ma związek ze sportem?

Pada odpowiedź:

— Wychowanie fizyczne — to nauka. Trzeba żmudnych badań, by się dowiedzieć, co robić, aby doprowadzić do maksimum zdrowia i maksimum wszechstronnej sprawności. Sprawności użytkowej, którаby pozwoliła nietylko zabłysnąć na sportowem boisku, jak meteor szybko gasnący, ale również przez długie lata święcić triumfy na szerokiej arenie życia. Sport, uprawiany przesadnie, tylko szkodzi. Centralny Instytut Wychowania Fizycznego to nie fabryka boiskowych primadonn, nie znających nic poza skokiem o tyczce, czy poza torem kolarskim, lecz kuźnia tężyzny, skąd ma wychodzić nowe pokolenie sil-

nych duchem i ciałem, pożytecznych ludzi. Że CIWF spełnia swe zadanie znakomicie, dowodzi fakt, iż nasza uczelnia cieszy się opinją najlepszej w całej Europie.

— Co panowie teraz powiedzą? zagadnąłem, widząc zamyślone twarze słuchających.

— Dziś dopiero zrozumiałem — odrzekł mi poważnie mój bratanek — co to właściwie jest sport i jak go należy uprawiać, aby czas, poświęcany ćwiczeniom, nie był czasem zmarnowanym. Odkryły mi się nowe, szersze horyzonty. Sport nie jest celem, lecz tylko środkiem do wychowania lepszej, zdrowszej fizycznie i moralnie ludzkości, umiejącej połączyć kulturę ciała z wysoką kulturą umysłu i woli!

Z twarzy ojca można było wyczytać, że i na nim wizyta w CIWF zrobiła duże wrażenie.

— Rekordy sportowe, rekordy pracy... — mruczał. — Kto wie, może te rzeczy stoją naprawdę w związku ze sobą.

Wyszliśmy za bramę. Długo jeszcze mieliśmy w oczach imponujące gmachy, laboratorja, sale wykładowe, sale gimnastyczne, boiska i bieżnie, a przedewszystkiem sylwetki ubranych w granatowe stroje słuchaczy, silnych i zdrowych, pracowitych i wesołych, sylwetki tak piękne, że chciałoby się tylko takie w swojem otoczeniu spotykać.

JĘDRZEJ CIERNIAK

JAK TO BYŁO NA DOŻYNKACH U GOSPODARZA RZECZYPOSPOLITEJ

Pradawny polski obrzęd dożynków uzyskał obecnie nową treść. Młodzież wiejska z całego państwa, a za nią i starsi gospodarze zjeżdżają się do Spały, letniej siedziby Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, składając wieńce i radując się wraz z Najdostojniejszym Gospodarzem plonami całej Polski. W r. 1928 przy składaniu największego wieńca ogólno-polskiego starosta dożynków przemówił w chłopskiej gwarze swojej podhalańskiej okolicy.

Najdostojniejsy nas Gazdo i Wy, nadobna i kochana Gaździno!

Hej, uwijaliśmy się tyz latoś z robotą, uwiiali, no ale zebrało sie syćko cysto pieknie het z pola, a nagodziuł nam Pon Bóg chleba setnie i niebylejakiego.

Przyślimy tu do Was, jako widzicie hurmem, odświętnie, z kmiecą godnością, a przyśliśmy razem, w zgodzie, w serdecnem zespoleniu gromadzkiem. I tak: zjechały jaz z nad morza zacięte Kasuby, a od Piastowego Gniezna gospodarne Wielgopolany, przybyły i pobozne Ślązaki i wesołe Krakowiany, hyrne z wysokich Tater Górale, są i inse Małopolany od Kielc, Rzesowa i Sąca, są i skrzętne Sandomierzany i Lublinianie, zjechały skądsiś z leśnych pusc bitne chłopy kurpiowskie, a za nimi smutne

i insi. Są i frasobliwe Polesuki z pińskich bagien, są i cujni Wilnianie, a i tamci z dalekiego Wołynia i Podola. Zjechały i współplemienne Hucuły przemyśne i śpiewające Białe Rusiny, są tu nawet rzetelne chłopy niemieckie, po nasy gazdujące stronie, a i het z dalsa z za ceskiej miedzy osierocone Slązaki i Spisaki, nawet z pod Niemca zuchowate warmińskie Mazury.



W. Pikiel Pan Prezydent odbiera wieniec ze zbóż

Zjechalimy wielgą gromadą, bo i jagze! Dyć to dozynki, nase rolne święto — jakby rzec — przyrodzone. Wiadomo przecie, ze najwazniejsą, macierzystą nasą ostoją jest ziemia, a jest tą ostoją i lotego, ze nom daje chleb, a i lotego jesce, ze praca nasa na ziemi, w zgodzie z niebem i słoneckiem, daje nom osobliwy spokój we wnątrzu, tę dziwną w pomyśleniu pogodę i wytrzymałość na syćko zło.

I w tem nasem związaniu sie z ziemią jest nasa plemienna siła. Swiat sie zmienia, ludzie i rzecy tyz sie zmieniają, a ziemia, pole i rolnik ostał i ostanie. Pole jest nieprzemijające, a my przecie od tego pola nazywamy sie Polakami.

To tyz po zniwach, skoro sie sprzątnęło z pola, była, jest i bedzie w narodzie wsiowym duza radość, a i świętalne dozynki. Staroświeckim ano zwycajem przynosimy Wam, Najdostojniejsy



W. Pikiel Starosta i przodownica

Gospodarzu całej Rzecypospolitej, ten plon, jako plon nas syćkich, byście sprawiedliwie i z gospodarską zabiegliwością dzielili go tak, coby przecie kozdemu człekowi dostała sie niezgorsa kromka na codzień, a i pytlowy kołoc na większe święto.

Są i w tym wieńcu, jako widzicie, syćkie polskie zboża po ociupince, są i jarzyny, a są i kwiotecki ku ozdobie. Moze sie gdzie zaplące i oset, albo inse kolące lub parzące ziele, bośmy

ta jesce, coprawda, w swem gromadzkiem pozyciu złego chwastu doizna nie wyplewili.

Widać tu między kłóseckami i zdobne serduska ze śpiewkami, to juz lo Was, Nadobna i Ukochana Gaździno, cobyście wiedzieli, ze Was kochają syćkie w Polsce serca, boście i straśnie dobrzy lo ludzkiego biedowania i lo niescęścia miłosierni.

Scęść Wam Boze!

Po przemówieniu złożono wieniec ogólnopolski, a za nim długą jakby procesją podchodziły grupy wieńcowe i przy obrzędowych śpiewach składały wieńce i rozmaite podarunki. Kulminacyjnym punktem obrzędu była chwila, gdy Pan Prezydent przywdział krakowską białą sukmanę, ofiarowaną Mu przez delegację z Małopolski.

Wieczorem Pan Prezydent zasiadł razem ze swoimi gośćmi i delegacjami chłopskiemi (500 osób) do wspólnego obiadu na łące przed pałacem. Podczas obiadu popisywały się różne zespoły tańcami, śpiewami i inscenizacjami. Były tańce góralskie przy oryginalnej muzyce zakopiańskiej, były i tańce ruskie, a najwięcej dokazywali Krakowiacy.

*

* *

Pod koniec obiadu starosta podszedł z muzyką ku Panu Prezydentowi, by Mu podziękować za gościnę i serdecznie pożegnać:

Kochany Gospodarzu
i Wy Najczcigodniejsa Gospodyni,
a i Wy syscy Dostojnicy
nasego Pospolitego Gospodarstwa!

I znowu jako starosta od syćkiego wsiowego ludu, co sie haw zjechał do Wasego dwora na dozynki, mam to wielgie zascycenie serdecnie Wam podziękować, zeście nas tu, tyla tysięcy luda, z taką hojnością serca radzi widzieli i ugościli.

Pomalućku a rozjedziewa sie prec do nasych osiedli po całym kraju, ale wiedzciez tyz dobrze, ze to święto i radość i ono wnętrzne podniesienie pojadą stąd w nas het dalej, do kaździutki chałupecki, zeby i ci, co tu przyjechać nie mogli, tako wiedzieli, jaki z Was serdecny i scery Gazda, jak mądrze i przezornie gazdujecie, jak nas syćkich blisko siebie zawdy mieć chcecie, jak nasą pracę na roli sobie wazycie i cenicie.

Z tą wielgą radością w sercu pojedziewa od Was, a przecie z Wami tu, choć odjedziewa, ostaniewa sercem. A i Wy o kazdej chwili mieć bedziecie i nas przy sobie bo w usach będą Wam jesce długo brzęceć nase śpiewki i grania, w ocach będą Wam sie migotać nase krase ubiory, a w sercu będą Was grzać nasa ochotność i rzetelne umiłowanie.

Panie Boze zapłać!

WŁADYSŁAW REYMONT

ANTEK NA POLU

Antek po powrocie na ojczystą ziemię wszedł na ogromny łan żyta, co niby wody, spławione we słońcu, kolebał mu się do nóg, bijąc chrzęstliwemi, ciężkiemi kłosami. Rozradował się głęboko, gdyż było pięknie wyrośnięte, słomę miało grubą i kłosy, niby baty.

— Kiej bór idzie! Ojcowego to jeszcze siania! We dworze nielepiej! — wykruszył kłos, ziarno było dorodne i pełne, ale jeszcze miętkie — za dwa tygodnie czas mu będzie pod kosę. Byle jeno grady nie zbiły.

Ale nad pszenicą najdłużej się cieszył i napasał oczy, bo, chociaż szła nierówno, kłębami a zatokami, lecz z czarniawych lśniących piór już się łuskały gęste i wielkie kłosy.

— Sypnie niezgorzej. Trzeba jeszcze miejscami przysiec, za bujna. Na górce, a nic ją nie przypaliło! Czyste złoto idzie!

Był coraz dalej, wspinając się zwolna pod łagodne wzgórze, na którem wyrasta czarna ściana boru. Wieś ostała za nim, jakby na samem dnie, pławiła się w sadach, a przez przerwy między chałupami polśniewał staw lub jakieś okno zagrało w słońcu.

Kajś pod smętarzem cięli koniczynę, i kosy migotały nad ziemią, niby te sine błyskawice, gdzie znów czerwieniały kobiece przyodziewy i stada białych gęsi pasły się na wąskich ugorach, a za wsią, w zielonych polach ziemniaków, ruchali się ludzie, kiej mrówki, zaś jeszcze wyżej, w nieprzejrzanych dale-

kościach, majaczyły jakieś wsie, domy samotne, drzewa pogarbione nad drogami, wielgachne pola, i widziały się jakoby potopione w modrawej i wrzącej wodzie.

Głęboka cichość szła górą nad ziemiami, rozpalone powietrze jaże ślepiło migotem, ziejąc takim skwarem, że skroś tych białawych, roztrzęsionych płomieni jeno niekiej przeleciał bociek, ważąc się ciężko na omdlałych skrzydłach, i zaziajane wrony przefrunęły.

Skowronki śpiewały kajś niedojrzane, niebo wisiało wysokie, rozpalone i czyste, że tylko gdzieniegdzie warowała na tych niebieskich polach jakaś biała chmurka, kieby ta owca zbłąkana.

Zaś po ziemiach baraszkował suchy i gorący wiater, przewalając się, jak pijany, czasem podrywał się z prześwistem, jaże płoszyły się ptaki, albo gdziesik przyczajony buchał znagła we zboża i skłębiał je, mącił, wzburzał do dna i przepadał znowu, niewiada kaj, a rozkolebane zagony długo jeszcze gędziły cichuśko, jakby się skarżąc na wisusa.

. . . .

Zaś potem, że siedział Antek jakby w odrętwieniu, zapatrzony we świat i całą duszą zasłuchany w jego głosy, to wszelaki stwór jął zuchwale ciągnąć na niego; mrówki łaziły mu po plecach, motyle raz po raz przysiadały we włosach, boże krówki szukały czegoś po twarzy, a zielone spasłe liszki pięły się skwapliwie na buty, to leśne ptaszki cosik mu zaświergoliły nad głową, i wiewiórka, przewijając się od boru, zadarła rudy ogon, ważąc się przez mgnienie, czyby nie hycnąć na niego, ale on ani już o czem nie wiedział, grążył się bowiem w czemściś, co buchało z tych ziem nieobjętych, sycąc mu duszę upojną i zgoła niewypowiedzianą słodkością.

Zdało mu się, jakoby polśniewał męciuśką, wilgotną runią traw; jakby toczył się strumieniem po wygrzanych piachach skroś łąk, przejętych zapachem sianokosów, to jakby z ptakami leciał kajś wysoko, górnie nad światem i krzykał z mocą niepojętą do słońca; to znowu jakby się stawał szumem pól, kolebaniem się borów, siłą i pędem wszelakiego rostu i wszystką

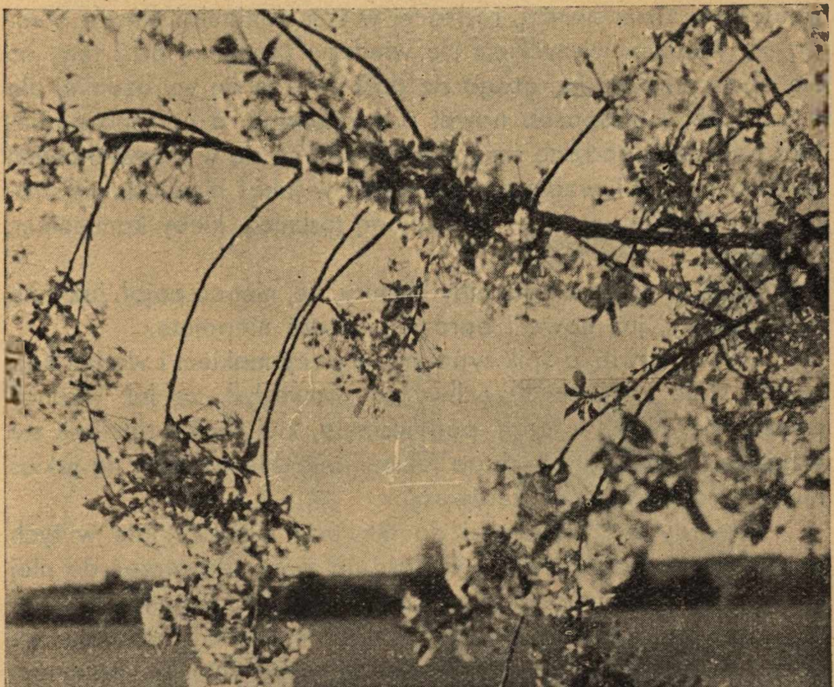


Photo-Plat Jabłonie kwitną

potęgą tej ziemi świętej, rodzącej w śpiewaniach i weselu, i sobą się wiedział, wszyćkiem się wiedząc zarazem, bo i tem, co się obaczy i poczuje, czego się dotknie i co się wyrozumie, ale i tem, czego niesposób nawet pomiarkować, a co jeno poniektóra dusza w godzinę śmierci przejrzy i co się w człowiekowem sercu tylko kłębi, wzbiera, i ponosi ją w jakąś niewiadomą stronę i łzy słodkie wyciska i nieukojoną tęsknicą, kieby kamieniem, przywala.

Szło ta przez niego, niby chmury, że, nim co pojął, już inne następowały, już nowe i bardziej jeszcze niepojęte.

Był na jawie, a śpik sypał mu w oczy makiem i wodził kajś ponad dole i stronami zachwyceń prowadził, że już wkońcu poczuł się niby w czas podniesienia, kiej dusza gdziesik się wzniesie i płynie klęczący na jakieś janielskie ogrody, na jakieś nieba i raje, pełne szczęśliwości.

Kwardy był przeciek i do tkliwości nieskory, ale w tych dziwnych minutach gotów był paść na ziem, przywrzeć do niej gorącemi ustami i obejmować cały ten świat kochany.

Nic, jeno mie tak powietrze rozbiera! — bronił się, trąc oczy kułakami i srożąc brwie, ale bo to poredził się przemóc, bo to mógł zdusić w sobie kuntentość, która go przepalała?

Na ziemi się znowu poczuł, na ojcowej i praojcowej grudzi, między swoimi, to i nie dziwota, co radowała mu się dusza, i każde bicie serca zdało się wołać na cały świat mocno i radośnie:

— Dosyć znowu jestem! Jestem i ostanę!

Prężył się w sobie, gotów dźwignąć się na to nowe życie, którem już szedł ociec, jakiem przeszły dziady i pradziady i, tak samo jak oni, pochylał bary, by wziąć ciężki trud i ponieść go nieulękle i niestrudzenie, aż póki Pietruś nie zastąpi go zkolei...

— Tak już być musi! Młody po starym, syn po ojcu, a po sobie, a cięgiem, dopóki Twoja wola, Jezu miłosierny — dumał surowo.



C. Tański mal. DZIECI ŁOWICKIE

TEOFIL LENARTOWICZ

KALINA

Rosła kalina z liściem szerokiem,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowem słońcu liście kąpała.
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła, jak dziewczę młode,
I, jak w lusterko, patrzyła w wodę.
Wiatr co dnia czesał jej długie włosy,
A oczy myła kroplami rosy.
U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie,
I śpiewał sobie: dana, oj dana —
A głos po rosie leciał co rana.
Kalina liście zielone miała
I, jak dziewczyna, w gaju czekała.
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale wrzuciła w wodę.
Z żalu straciła swoją urodę.

LUDWIK STAŃCZYKOWSKI

KONKURS

Zebranie Koła Młodzieży Wiejskiej tego wieczoru przeciągało się długo, bardzo długo...

Ożywiona dyskusja, wymowne ruchy rąk, głosy „za" i „przeciw" tak, jak to już zawsze bywa, gdy o coś ważnego chodzi.

...Konkursy...

...Władek siedzi na ostatniej ławce i wpatruje się w Bronka. Obaj nie biorą udziału w dyskusji. Obaj milczą. Już to do siebie nigdy nie mieli szczęścia: Władek — zapaleniec, żywy, energiczny, Bronek — jakoby najidealniejsze zaprzeczenie tamtego — zimny, powolny, systematyczny.

Gdy pierwszy z zapałem przemawia, żywo gestykuluje, zda się — serce całe kładzie w pracę przemówienia i przekonywania — drugi milczy, coś tam ołóweczkiem kreśli, jakoby na samych paluszkach argumenty przelicza, ino mu się uśmieszek na wargach przewija—by potem lodowatym głosem wielce zgryźliwie gruchnąć w budowę rozumowania tamtego, wyśmiać, wyszydzić, z gruntu wszystko dogóry nogami wywrócić.

Gdy Władek pracuje w drżeniu każdej kosteczki przy pługu i za broną wesoło pogwizduje, kartofle, czy buraki z rozmachem sadzi, Bronek równie dobrze to wykona w kamiennem zesztywnieniu twarzy, milczkiem i bez jednego słowa wszystko powoli wylepi, uklepie, ugładzi.

Znienawidzili się też na śmierć i życie.

Władek teraz patrzy na swego przeciwnika i czuwa, wie, na co obaj czekają.

Byleby tylko, jako pierwszy, nie zaczynać.

Tymczasem przewodniczący sekcji Przysposobienia Rolniczego referuje sprawę konkursów tegorocznych.

Zgłoszenia...

Kurczą się obaj. Nie mówią nic, ani słowa.

Pytanie:

— Nikt się więcej nie zgłasza?

Władek nie wytrzymał:

— Ja w zespole z Zagórnym, Machlaczem, Winciorkiem, Zadrożnym i Wójcikiem.

Jak cień podrywa się Bronek. Jak echo brzmi jego głos:

— I ja w zespole z Zapletnym, Wojtaszkiem, Grubym Dzwońcem, Kowalcem i Grubem.

Tego się obaj nie spodziewali. A więc tego roku będą obaj „harować w burakach".

— Dobra jest! — gwiżdże Władek.

— Tu cię nanieśli! — mamroce Bronek.

I obaj robią ruchy, jakoby rękawy do pracy zakasywali w groźbie nieladajakiej jeden drugiemu.

Wiosna tego roku wcześniej liściem okryła drzewa. Ukwieciła łąki, podniosła zapachy żywiczne lasów, pokrywając pola runią niewymownie miękkich źdźbeł. Płot chróściany ino dzieli Władkowe od Bronkowego obejścia. Płot zda się — łupinka — taki sobie kijaszkami wyczyniony wyplataniec — a przecież dwa poletka konkursowe po 200 metrów kwadratowych dzieli — gdzie buraki mają wyróść, liśćmi kiej dynie szerokiemi popod światło się wywinąć, słonku Bożemu najżywszą zielenią w oczy spojrzeć. Wielkiemi, soczystemi bulwami ziemię rozepchnąć „na schwał!".

A rywale to tylko o sobie wiedzieli, że w kwietniowe poranki za wyplatańcem kijaszkowym rozpaliła się dwustronna, zaciekła, jednej chwili wytchnienia niedająca harówka.

Więc drapaczowanie, więc bronowanie, więc zgoła przewracanie pazurami ludzkiemi każdej grudki ziemi, spulchnianie, rozbijanie brył i bryłek.

Czarne muszą być człecze palce przy takiej robocie, twardy jak skorupa dębu staje się naskórek, kołtun z włosów, potem zlepiony, na łbie przypowstaje.

Ani jeden rzut oka poprzez kijaszkowy wyplataniec, ani jedno spojrzenie na pracę przodownika zespołu — rywala.

Ten to twardy, niezłomny ambit, ona chłopska honorność na podpatrywanie nie pozwala. Ba! Jeno to im wiadomo, to jedno, jedyne, że dwanaście par rąk po tej i tamtej stronie płotu w ziemi pazuruje, nasienie w żyzną ziemię sieje, sznurem pszenicznych ziarek jeden od drugiego rządek odsadza.

I to im tylko w czerwcowe wieczory wiadomo, że u rywala od przerywania listków buraczanych w polu strzela, ino ten skrzypot motyk okopujących, ino to chlustanie kubłów wody, ino te kroki koło swego pola maluchnemi ścieżynkami, powolne, ostrożne.

Jesień wyzłociła drzewa. Wiaterek leciuchny wsiami przeciąga, szemrze w czerwonych liściach, kurzy na drogach, daleko... Ptaki siadają na kijaszkowym płocie, przesadzając główki i patrzą na puste pola buraczane — coś tu wczoraj zaszło, że tylko dołeczki po burakach zostały, tu i ówdzie liść tylko został w ziemi mokrej utytłany, napoły gruzełkami przywalony.

Tak! Tego wieczoru jesieni trzeszczało po obydwóch stronach płotu od wyrywań, ciągnięć, wydobywania ziemnego plonu. Tego dnia oczy Władkowe i Bronkowe obejmowały w trwodze ciężkie, soczyste bulwy — ile też ważą, ile też ważą — a jakie są tamte, przeciwnikowe — z zapłocia...

A tu oto prezes komisji Przysposobienia Rolniczego nad kupami buraków rywali stał.

Tak sobie, jakby nigdy nic. Z notesikiem w ręku, łytką po lśniących butach trzaskał, pogwizdując wesoło. Jak gdyby nigdy nic — a tu przecież ważono najpierw Władkowe, a potem Bronkowe buraki. Jak gdyby nigdy nic — gdy tu o pracę kilku

miesięcy i o sam honor i o sam najrzetelniejszy ambit chodziło.

Jakże mocno bije serce, gdy nakładają wielkie bulwy, jakże oczy wybiegają do wskaźnika kilogramowego...

Myśl się plącze... Drżenie obejmuje ręce i nogi...

Coś tam przewodniczący wnotowuje, coś tam między jednem a drugiem klaśnięciem w lśniącą cholewę z instruktorem pogaduje.

Śmieją się obaj, patrząc na Władka i Bronka.

Złości obydwóch ta dziwna wesołość. Władkowi już ręce chodzą jak wahadła, a Bronek milczy — tylko mu szczęki pod skórą chodzą — zły to znak.

Na szczęście, zaczynają się pytania egzaminacyjne. Władek mówi z gestem i zapałem. Opisuje pracę żywo, zamaszyście, — a Bronek znowu odpowiedzi rzetelne w treści, jakoby z zimnej gliny lepi.

Egzamin skończony.

Przewodniczący z uśmiechem do nich podchodzi. A potem poważnie odczytuje z notesika:

— Obywatele: Władek Burjan i Bronek Skowron osiągnęli najlepsze i... jednakowe wyniki... W nagrodę otrzymują każdy po 50 drzewek owocowych...

Huczne oklaski, aż w niebo od krzyku potężnego bije:

„Niech żyją!"

Radość na twarzach rywali. Uśmiech wargami się przewija. Po raz pierwszy na siebie spojrzeli... Znowu ten uśmiech... zrobili do się krok — dwa... a potem jak się nie wezmą całować. Padają obustronne szepty:

— I to przez takie, takie buraki...

— I to przez takie, takie buraki...

STEFAN ŻEROMSKI

PARK NARODOWY

W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości, — choć tyle już lat nie dano mi go słyszeć na jawie! Przebiegam w marzeniach wyniosłe góry — Łysicę, Łysiec, Strawczaną, Bukową, Klonową, Stróżnę, — góry moje domowe — Radostową i Kamień, — oraz wszystkie dalekie siostrzyce.

. . . .

Jak ja, tak samo wszyscy dawni ludzie, którzy niegdyś wdzierali się na te góry i przemierzali wielkie lasy, poili się tym samym jedlanym szumem, ten sam zapach wciągali nozdrzami i tem samem czystem powietrzem napełniali płuca. Pierwszy, co wtargnął z oszczepem-li, czy z siekierą bronzową w dłoni, z południa, od strony Wiślan, czy z północy, od strony Mazowszan, przyszedł przed czasami, które ima i swojemi sposoby utrwala dla potomnych plotka człowiecza, — drżał pewnie w sobie, patrząc struchlałemi oczyma w puszczę Łysicy. Widział bowiem wokół siebie drzewa srogie, zwartym ostępem stojące, wyniosłe, borem niedosięgłym dla szybkolotnego spojrzenia wyległe w dal milami. Lękliwa cześć napełniała jego duszę, gdy mierzył nieznane i niewidziane, grube, obłe, potężne pnie, podarte od przepęknieć i okapane żywicą, na sto łokci wybiegające pod niebo. Krzywemi pazurami korzeni wszczepione między omszałe, sterczące i nawalone skrzyżale, między rumowie, które zwie-

trzały kwarzec górski wytwarza, — spłaszczonemi koronami chwiejące się za wiatrem tam i sam, — obwieszone ciemnozielonemi wieńcami igieł ulistwienia, — pachnące balsamicznym olejem, w nasionach zawartym, — śpiewały przed nim własny poszum swój, puszczańskie wzdychanie, niemowny śpiew, który wszystko ludzkie zna i wspomina. A skoro zamierała nuta lasowa, wyrywało się z puszczy wycie wilka, albo hukanie pohutliwe puhacza i przejmowało serce człowieka straszną bojaźnią. Przychodzień ów tajnią czucia korzył się przed niememi wielkodrzewami. To też w trwodze swej wierzył, że w boru tym tai się, kryje i oddycha wiatrem śpiewnym duch wszystkomogący, Świst-Poświst, bożyszcze śmierci. Przyjacielem mi był za dni młodości tamten pierwszy przychodzień. Lubiłem marzyć, jako się skrada temi samemi, co ja, zaroślami, wądołami, w których te same biegną potoki, łaskawością pagórków i niziną mokrych smugów, ażeby polować na bobry brunatne, co na brzegach naszej czarnej rzeki kuliste swe chaty, żeromiona, budowały, — na puszyste, kasztanowate, wysmukłe i gibkie leśne kuny, których cenne skórki były rodzajem pieniądza, — dziesięć na grzywnę, środkiem wymiennym, — na niedźwiedzia i wilka, na jelenia i srogiego dzika, co dziesiątkowi kundlów dawał radę, —- na chytrego lisa, na krępego leniwca, czyściocha i ospalca borsuka i na sępa, siadującego w widłach największego drzewa w Łysicy. Lubiłem marzyć, jak z kopami skór kunich na ramieniu przemyka się leśnemi ścieżkami, które sam jeden zna, ku Tarżkowi u brzegu rzeczki Świśliny, na skraju lasów, gdzie już do puszczy docierają zdawna karczowane, jednolite pola sandomierskiej urodzajnej gliny. Tam to na targowisku starodawnem, jak pamięć ludzka zasięgnie, myśliwce i kłusowniki, ludzie leśni, ludzie dzicy, ludzie waleczni spotykali się z ludźmi z polan i równin polskich, z pól i niw, którzy siali żytnie i pszenne ziarno, mełli mąkę i umieli szczepić na dziczkach owoc smakowity. Wzamian za skóry kunie, borsucze i niedźwiedzie, za wilczury i bobrowe kołnierze dostawali kowane żelazo i rzemień wyprawny, mąkę i sól, słodki owoc i wypalone naczynie. Tam także słuchali wieści o innych światach, niż świat czarny.

[Przeszły liczne wieki nad prastarą puszczą jodłową. Grozili jej zniszczeniem ludzie, groziły zagładą wojny].

Obroniła się dzika strona swemi wyrwami, kamienistością dróg, wąwozikami górskiemi z pieca na łeb, po których nawałnica swego czasu wody puszcza. Nie dosięgły Łysicy! Przyszła znowu na swe miejsce Polska. Nie zamienili Moskale klasztoru świętej Katarzyny na koszary konnicy, jak to było w ich planie, i nie przyłożył Austrjak siekiery do korzenia lasów. Stoi oto wciąż



Photo-Plat Góry Świętokrzyskie

dom boży. Widać zewszechstron białą jego wieżę w dolinie, fiołkowej od lasów, co zdala i zbliska ciągną ku niemu wielkiemi pasmami.

Przeminęły nad tobą czasy złe. Ciągną inne. Lecz któż może wiedzieć, czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego

prawa, w interesie jakiegoś handlu, lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakie bądź byłoby prawo, czyje kolwiekby było, do tych przyszłych barbarzyńców, poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: — nie pozwalam! Puszcza jest niczyja, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno Boża, święta!".

*
* *

Głos ten Żeromskiego okazał się skuteczny: „Puszcza jodłowa" ocalała jako park narodowy, związany na zawsze z imieniem wielkiego pisarza.

Państwowa Komisja Ochrony Przyrody utworzyła na terenie Puszczy Jodłowej trzy rezerwaty ścisłe: na Świętym Krzyżu, na Łysicy i na Górze Chełmowej.

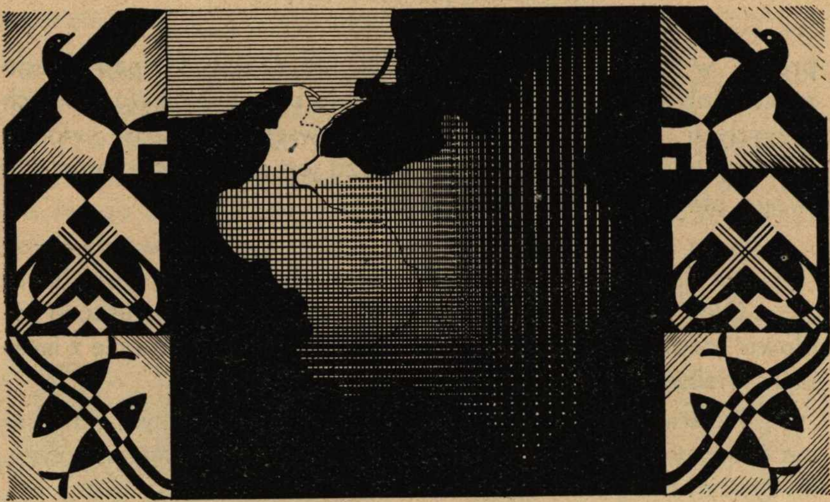
Wszystkie te rezerwaty należą do nadleśnictwa „Święta Katarzyna" z siedzibą w Bodzentynie.

Ukończone pomiary Parku dały imponującą wprost cyfrę długości granic Parku, a mianowicie 43.445 metrów.

Wzdłuż tej całej granicy wkopano kilkaset cyfrowanych kamieni, a na przygranicznych pniach drzew, słupach i t. p. wymalowano biało-amarantowe znaki. Nadto ustawiono na skraju Parku od strony szosy Kielce — Bodzentyn kamień z napisem: „Puszcza Jodłowa, Park Narodowy im. Stefana Żeromskiego".

Opodal wspomnianego kamienia stoi drugi, pokaźnych rozmiarów głaz, ufundowany kosztem Kółka Geograficznego przy gimnazjum im. bł. Kingi w Kielcach, z wyrytym wyjątkiem z „Puszczy Jodłowej" Żeromskiego:

„Puszcza jest niczyja, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno Boża — święta...".



M. J. TOPOROWSKI

EGZAMIN KAPITAŃSKI

Nie był jeszcze wtedy starym wilkiem morskim, ani wielkim pisarzem, znanym światu pod pseudonimem Josepha Conrada; był młodym marynarzem i nazywał się poprostu Józef Konrad Korzeniowski. Miał lat 27, gdy z drżeniem serca wstępował na wzgórze Tower Hill w Londynie, by w gmachu Wydziału Marynarki Brytyjskiej złożyć egzamin na kapitana marynarki handlowej. „Niejedną głowę ścięto na tem miejscu, ale to widocznie dlatego, że nie miała dość pomysłowości" — przebiegło mu przez głowę wspomnienie o Tower Hill z nauki historji. Nie odczuwał zresztą lęku, był tylko wzruszony. Myślał o swem bujnem, bogatem życiu, niby o żegludze na wzburzonem morzu. Ojciec Conrada, Apollo Korzeniowski, literat i dzia-

łacz patrjotyczny, skazany został za udział w przygotowaniach do powstania na zesłanie w głąb Rosji. W tej smutnej podróży towarzyszyła mu żona i czteroletni synek, Konradek. Podczas ciężkiej zimy przebyli wygnańcy tysiące kilometrów w kibitce, eskortowani przez żandarmów. Kiedy na jednym z postojów mały Konradek ciężko zachorował, żandarmi za nic nie chcieli pozwolić na przerwanie podróży. Dopiero, gdy rodzice oświadczyli, że chyba siłą zmuszą ich do dalszej drogi, jakiś przejeżdżający oficer, współczując ich niedoli, nakazał żandarmom uwzględnić prośbę wygnańców, a do chorego dziecka przysłał lekarza. — Po siedmiu latach pobytu na zesłaniu, w czasie których umarła matka Conrada, ojciec, uzyskawszy zwolnienie, przeniósł się do Krakowa, gdzie wkrótce życie zakończył. Od tej chwili Conrad-Korzeniowski miał wszystko sobie zawdzięczać. W 17-ym roku życia zdał egzaminy w gimnazjum krakowskiem i wstąpił jako chłopiec okrętowy na statek francuski, udający się z Marsylji w trzyletnią podróż na Wschód. Wprawdzie niezłomnem postanowieniem Conrada było zostać marynarzem angielskim, lecz właściwie dlatego ambicja kazała mu odbyć pierwszą praktykę na francuskim okręcie, aby nie czuć się później nowicjuszem wśród wytrawnych angielskich żeglarzy. Zczasem przerzucił się na okręty angielskie i zdążył odbyć szereg wędrówek po wszystkich morzach i oceanach.

Dzień, w którym stanął do walki o dyplom kapitana marynarki angielskiej, będzie uważał za jedną z najpiękniejszych chwil swego życia. Nic dziwnego. Znał już wtedy dobrze ocean, a wichry i burze wyrzeźbiły jego młodą twarz, spaloną podzwrotnikowem słońcem — jednak egzamin zapowiadał się cięższej od niejednej morskiej przeprawy.

Jeden z egzaminów, doświadczony żeglarz, ale człowiek bardzo wymagający i złośliwy, miał zwyczaj podsuwać kandydatom odpowiedzi, które w pierwszej chwili mogły wydać się trafne, lecz w istocie obliczone były na „ścięcie" zdającego, jeżeli tylko im przytaknął. Conrad dowiedział się skądś przedtem o tych podstępach i postanowił z wielką pewnością siebie zaprzeczać usłużnym podpowiedziom. Stary kapitan,

zły, że ofiara nie wpada w przygotowane sidła, zmienił taktykę i szyderczym tonem uwag starał się zbić z tropu Conrada. Opowiadał najprzód o jakiejś wyjątkowo trudnej sytuacji okrętu, podawał jego objętość, określał długość i szerokość geograficzną oraz stan pogody, w jakiej się akcja miała rozgrywać, poczem zapytywał kandydata, jaki manewr wykonałby w danych warunkach. Lecz skoro tylko kandydat wyplątał się z trudności, egzaminator stwarzał nowe powikłania w sytuacji okrętu. Właśnie Conrad dopiero co wybawił z niebezpieczeństwa statek, stworzony przez bujną wyobraźnię egzaminatora, kiedy ten dorzucił:

„... ale w pobliżu znajduje się drugi statek, grozi panu zderzenie..."

— Nie byłbym się na to naraził — rzekł Conrad-Korzeniowski. — Dostrzegłbym wcześniej ten statek.

— Nie. Nie mógłby pan. Była gęsta mgła...

Trudności piętrzyły się bez końca. Po godzinie zdawało się Conradowi, że wybrnął zwycięsko ze wszystkich opresyj, że łańcuch zmyślonych niebezpieczeństw został przerwany. Ale egzaminator, czując, że trafiła kosa na kamień, przypuścił nowy atak.

— Dowodzi pan teraz wielkim żaglowcem na morzu Północnem. Od strony podwietrznej w odległości 8 mil leży brzeg, otoczony ławicami piasku... — poczem stary wilk morski opisał sytuację okrętu, tym razem beznadziejną.

— No i co pan robi teraz? — dorzucił z ironicznym triumfem.

— Muszę się trochę zastanowić, panie kapitanie.

— Nie zdaje mi się, aby w tej sytuacji miał pan wiele czasu do namysłu — mruknął stary wilk.

Jak wspomnieliśmy, Conrad nie był nowicjuszem. Nie złamał też nigdy powziętego postanowienia, aby służyć tylko na okrętach żaglowych. Uważał, iż tylko żaglowce godne są prawdziwego marynarza, że tylko one są w stanie doświadczyć w pełni ludzkiego męstwa, wytrwałości i siły charakteru. Teraz

miał sposobność popisać się swą wiedzą, którą zdobył w najtwardszej szkole.

— Czy mam obie kotwice na dziobie? — zapytał, patrząc w oczy egzaminatora.

— Tak — brzmiała niezbyt życzliwa odpowiedź.

— Widzę tedy jedyny ratunek dla statku. Spuściłbym obie kotwice w sposób możliwie najskuteczniejszy.

— Słusznie, ale niech pan sobie wyobrazi, że jest tylko jedna lina. Drugą pan stracił...

System starego kapitana był złośliwy. Conrad ledwie opanował wzburzenie.

— Więc uwiązałbym jedną kotwicę pod drugą, gdyby się dało, i przed ich spuszczeniem dosztukowałbym do łańcucha najmocniejszą z lin na statku.

— A jeśliby ta lina pękła, coby pan wtedy zrobił?

— Nicbym już nie robił — odrzekł Conrad, zdecydowany na wszystko.

Zapanowała ciężka chwila milczenia. Przerwał ją stary kapitan i podniósłszy zmarszczone brwi, rzekł nagle z akcentem podstępnego zdumienia:

— Więc jakto? Nicby pan już nie robił? Co?

— Nie, panie kapitanie. Nic więcej nie mógłbym zrobić.

Kapitan zaśmiał się gorzko. Był pokonany.

— W każdym razie mógłby pan zmówić pacierz — powiedział grobowym głosem, cedząc powoli sylaby. Egzamin był skończony.

Dzielnego kapitana Conrada-Korzeniowskiego, dowódcę wielu okrętów, znały dobrze porty Bangkoku, Singapore, całego Archipelagu Malajskiego, Indyj, Afryki, słowem wszystkich wybrzeży świata.

W czasie jednej z podróży do Australji na statku, którym dowodził Conrad, jechał jako pasażer znany pisarz angielski, John Galsworthy. Kapitan Korzeniowski dał mu do przejrzenia rękopis swej pierwszej opowieści. Szczery zachwyt i namowy Galsworthy'ego nie pozostały bez wpływu na przyszły zawód pisarza. Na ostateczne porzucenie służby morskiej przez Con-

rada wpłynęła choroba, jakiej nabawił się w czasie ekspedycji statkiem rzecznym w głąb Kongo.

Po dwudziestu kilku latach wędrówek morskich osiadł Conrad w Anglji, pod Londynem i poświęcił się całkowicie pracy literackiej. On, który do 18 roku życia nie umiał ani słowa po angielsku, został mistrzem angielskiej mowy. On, syn narodu nawskroś rolniczego, dał Anglji i światu całemu najlepsze opowieści o walce człowieka z żywiołem morza. Jego książki, jak „Murzyn z załogi Narcyza", „Tajfun", „Zwierciadło morza" zaliczono do arcydzieł literatury morskiej.

Mimo sławy i powodzenia gnębiła Conrada tęsknota za ojczyzną. Uczuciom swoim dał wyraz w najpiękniejszych swych dziełach, w „Lordzie Jimie" i „Korsarzu". Kilkakrotnie odwiedził Polskę, po raz ostatni w roku 1914, gdzie w Krakowie zastała go wojna. Przeniósł się wtedy do Zakopanego i tu zaprzyjaźnił się z wielkim naszym pisarzem, Stefanem Żeromskim. Kiedy któregoś popołudnia gawędzili ze sobą, podziwiając piękno Tatr, Conrad, chcąc wyrazić Żeromskiemu swe serdeczne uczucia, rzekł: „Ejże, pan musiał być kiedyś marynarzem..." W ustach Conrada były te skromne słowa dowodem największego uznania i przyjaźni.

Niektórzy z rodaków mieli za złe Conradowi, że pisząc po angielsku, złożył Anglji i światu całemu zbyt wspaniałomyślny dar swego talentu. Kiedy jeden z uczonych polskich, bawiąc w Anglji, zapytał Conrada o przyczynę tego faktu, wielki pisarz odpowiedział: „Pisać po polsku to rzecz wielka. Na to trzeba być takim pisarzem, jak Mickiewicz lub Krasiński"...

Życie i twórczość Conrada-Korzeniowskiego były jakby zapowiedzią naszych dziejowych przeznaczeń w czasie, gdy nikt nie śnił jeszcze o polskim Bałtyku i o Gdyni. Jak bezpaństwowy Polak mógł zdać egzamin z wiedzy o morzu jedynie w obcym mundurze, tak może i duch polski musiał w mowie największego narodu żeglarskiego szukać wyrazu dla swej tęsknoty za żywiołem morskim.

KAZIMIERZ KONARSKI

ANTON KENDER

Antoni Kędzior oparł się o parapet statku i zapatrzył się w siną dal morską. Wielki transatlantycki parowiec, „Pułaski", minął nad ranem Szczecin i parł teraz całą siłą swych maszyn ku Gdyni. Z olbrzymich kominów waliły kłęby czarnego dymu, przesłaniającego ztyłu za statkiem horyzont smugą czarniawej mgły.

Kędzior zamyślił się. Jechał drogą, którą ostatni raz przebywał w odwrotnym kierunku przed kilkunastu laty, kiedy był dzieckiem niemal. Jechał z matką do ojca do Ameryki. Ojciec był kolejarzem, pracował w warsztatach kolejowych w Gdańsku, ale na parę lat przed wojną rzucił tę służbę i dał się namówić na tułaczkę. W Ameryce wiodło mu się niezgorzej, ale żarła go straszna tęsknota za krajem i za rodziną. Kraju ze sobą przywieźć nie mógł, matka, choć z lękiem, dała się namówić na podróż. Stanęła Kędziorowi w oczach owa daleka droga, odbyta w strasznych warunkach, na lichym emigranckim statku, z burzą na Atlantyku, z której zdawało się, że żywi nie wyjdą. Wyszli wprawdzie cało, ale w Ameryce czyhało na nich nieszczęście. W niespełna miesiąc po przyjeździe przywieziono im ojca martwego do domu. Zabiła go maszyna, do której się nieopatrznie zbliżył. W rok po ojcu zmarła matka, zaraziwszy się tyfusem w szpitalu, gdzie była pielęgniarką. Mały Antoś został w Nowym Jorku sam, bez grosza przy duszy, bez znajomej twarzy w całem tem wielkiem, tak straszliwie obcem mieście.

Próbował walczyć z nędzą, która oplątywała go coraz silniej, imał się wszelkiej pracy, jaka popadła, ale pracy tej nie było za wiele i dla dorosłych, więc jego, chudziaka, odprawiano najczęściej z kwitkiem. Bywały dnie, że nie miał co jeść, ani gdzie głowę na noc schronić. Tęsknił za krajem, za ludzką mową, za rodziną, którą miał pod Gdańskiem. Całą duszą pragnął tam wrócić, ale skądże miał wziąć pieniędzy na bilet okrętowy? Zabrała go ze sobą rodzina farmera, jadącego aż do podnóży



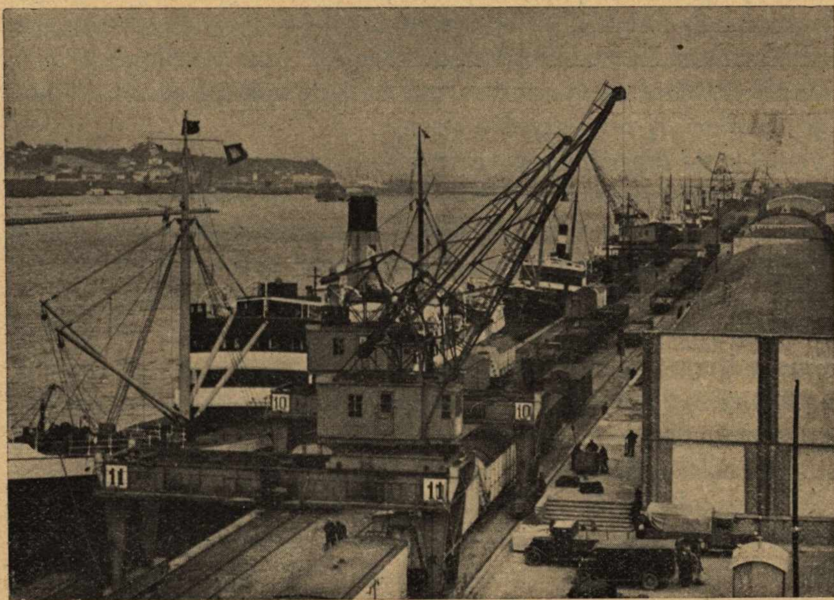
Photo-Plat Tak wyglądało wybrzeże w Gdyni w r. 1921...

Kordyljerów, na pograniczu Kanady. Ludzie byli prości, dobrzy, dziecko, spragnione serca, przylgnęło do nich całą duszą i stało się zczasem niemal członkiem rodziny.

Wybuchła wojna światowa, ale minęły całe miesiące, nim wieść o niej dotarła do źródeł rzeki Missouri, gdzie w głębokich lasach schowana leżała farma zacnego, Antkowego gospodarza.

Wreszcie, którejś zimy przywędrowała do nich wiadomość, że wojna się skończyła. Nastały znowu lata ciszy, pracy i spokoju. Z małego wątłego Antosia Kędziora zrobił się Anton Kender, chłop naschwał, rozłożysty, krzepki, jak pomorski dębczak.

Pomorski? Nie, o Polsce, o Pomorzu zapomniał już nasz Antoś zupełnie. Dawniej, czasem jeszcze stawały mu przed oczami dziecinne lata, plątały mu się po głowie słowa polskiego pacierza lub polski wyraz matczynej pieszczoty, ale stopniowo za-



a tak wygląda obecnie zbudowany na tem miejscu basen Marszałka Piłsudskiego   Photo-Plat

mierało w nim to wszystko. Polaka w okolicy na dziesiątki mil nie było na lekarstwo, ust po polsku nie było do kogo otworzyć przez tyle lat, to i nie dziwota, że zapomniał. Amerykanin — Anton Kender i kwita.

Pewnego razu gruchnęła po całej okolicy wielka nowina. Oto do ich zapadłego kąta mają kolej budować. Skądciś dowie-

dziano się, że właśnie teraz decyduje się sprawa wybrania jednego z dwóch kierunków, w jakim ma być przeprowadzona nowa droga. W jednym przypadku nasi koloniści mieliby kolej pod bokiem, w drugim przeszłaby od nich o kilkadziesiąt kilometrów. Uradzono wyprawić delegację do władz kolejowych. Do delegacji został wybrany między innymi i Anton Kender.

Do Nowego Jorku, który opuścił przed piętnastu laty, nie czuł Kędzior najmniejszego przywiązania; z pobytu w mieście tem wyniósł same tylko czarne wspomnienia katastrof, które go tu spotykały i nędzy, jakiej zaznał. Załatwiwszy więc sprawy, już miał wracać, kiedy skusiło go obejrzeć port i stojące w nim okręty. Wybrał się tam tedy i łaził od jednego kolosa do drugiego, gapiąc się na wszystkie strony.

Nagle drgnął. Za nim szło kilku ludzi, nucąc jakąś piosenkę. Skąd on ją zna, tę piosenkę? Napewno zna. Ale skąd?

Piosenka urwała się nagle i do uszu Kędziora doszedł strzęp prowadzonej po polsku rozmowy.

— Ja ci mówię, Antoś, że on go wcale nie widział...

Kędziorowi nagle fala gorącej krwi uderzyła do głowy. Potem druga i trzecia... Puls bije w skroniach jak młotem. Po raz pierwszy od lat piętnastu usłyszał mowę polską. Odczuł wewnętrzną potrzebę powiedzenia tego sobie. Uśmiechnął się i rzekł zcicha do siebie:

— Polish.

A potem jeszcze ciszej i zupełnie już nieśmiałym głosem dodał:

— Po... polsku...

Zdziwił się sam swemu głosowi, który się w tak osobliwe dźwięki ułożył. Powtórzył raz jeszcze słowa: Po polsku... i aż zadrżał, z taką siłą uderzyły go te wyrazy.

Rozmawiający minęli go. Byli to marynarze. Mimowoli przyśpieszył kroku i szedł za nimi w niewielkiej odległości, wsłuchując się chciwie w dolatujące ku niemu dźwięki ich rozmowy. Szli tak już dość długo, gdy nagle skręcili na mostek, łączący wybrzeże z jednym ze statków. Kędzior, który szedł jak automat, ocknął się teraz, zatrzymał się i jął się przyglądać statkowi. Był to duży

transatlantycki parowiec, o wysokim, kilkopiętrowym pomoście i dwóch potężnych, jak wieże, kominach. Na przodzie wielkiemi literami wypisana była nazwa okrętu „Gdynia".

Kędzior oczy przetarł, kiedy ten napis zobaczył. Gdynia? Przecież tak właśnie zwała się jego rodzinna wioska nad morzem. Pamięta ją przecież doskonale. Stacja kolejowa tam była, ojciec codzień do Gdańska jeździł, a i on sam do szkoły. Gdynia. Tak ją nazywali sami, ale na stacji był niemiecki napis — Gdingen. Dlaczegóż na tym statku nie napisano Gdingen, tylko po polsku Gdynia?

Ostatnie wyrazy: po polsku, Gdynia—powiedział półgłosem i znów poczuł w sercu jakby ukłucie igłą od dźwięku tych słów.

Przypomniał sobie, że marynarze rozmawiali po polsku i nagle ogarnęło go zdumienie. Czyżby to był okręt polski? Polski okręt? Niemożliwe. A jednak...

Na mostku ukazała się znów grupa marynarzy. Także trzej, ale nie ci sami. Naszywki złote — oficerowie. Kędzior natężył słuch.

— No więc, panowie, dokąd idziemy? rozległ się młody, dźwięczny głos. — Jabym proponował zacząć od Domu Polskiego.

Kędzior osłupiał. Więc tu na tym statku i oficerowie po polsku gadają? W głowie mu się kręciło. Nie rozumiał zgoła nic. Znów jak automat szedł za oficerami. Doprowadzili go oni do Domu Polskiego. Wejść za nimi nie chciał i znów, jak tam w przystani, zaczął oglądać ów gmach. Odrazu wpadła mu w oczy księgarnia. Polska księgarnia. Tyle książek. Wszystkie po polsku. Z trudem brnął oczyma po tytułach. Prze... Przegląd... sylabizował mozolnie. Wszedł.

. . . .

Od tego się zaczęło. Wrócił do siebie na wieś z pełnym kuferkiem polskich książek, gazet, broszur. Zaczął czytać bez ładu i składu, co mu tam w sklepie w rękę wsunęli. Już w kolei poczuł, że go coś ciągnąć zaczyna ku mglistemu wybrzeżu dzie-



Photo-Plat Defilada marynarzy podczas święta morza w Gdyni

cińSTWA, ku Polsce. Kiedy wrócił do siebie, do swej puszczy zielonej, uczucie to zrazu osłabło, ale ziarno, raz rzucone, zakiełkowało i poczęło rozrastać się coraz silniej. Wiedział już, że Polska jest niepodległem państwem i całą duszą zapragnął ją zobaczyć. Wreszcie zdecydował się jechać. Podróż nie stanowiła już teraz, gdy był człowiekiem wcale zamożnym, takich trudności, jak dawniej.

W Nowym Jorku, w Domu Polskim, skierowano go do polskiej agencji okrętowej. Pewne nieporozumienie wynikło przy kupowaniu biletu. Poprosił o bilet do Gdańska. Po angielsku. Miał ochotę odezwać się po polsku, ale nie śmiał.

— Parowiec nasz idzie do Gdyni, nie do Gdańska, — objaśnił go urzędnik, — ale to bardzo blisko, przesiądzie się pan na inny statek, albo dojedzie koleją w pół godziny.

— Jakto do Gdyni? przecież to zwykła rybacka przystań?

— Nie, tam teraz jest port, zobaczy pan.

— Port Gdynia?

Osób było przy okienku dużo i nie było czasu na dłuższe objaśnienia. Ruszył na statek.

. . . .

A w tydzień później dojeżdżał do polskiego wybrzeża. Dzień był pogodny, tak, że choć statek jechał w dużem oddaleniu od lądu, można już na nim było rozeznać niektóre szczegóły. Jechali teraz wzdłuż wąskiego półwyspu helskiego, wąskim paskiem lądu, odcinającego od morza zatokę Pucką. Z poza drzew błysnęła ku nim tafla wód zatoki. Kędzior drgnął. Poznał ten widok, przypomniał sobie, że bywał tu z rybakami. Była to więc pierwsza jaskółka ze świata wspomnień, z zaczarowanej krainy dzieciństwa. Po niej przyszły dalsze: latarnia morska, Hel. W Helu pamiętał biały dom na brzegu. Pamiętał go lepiej od innych, bo się w tem miejscu kiedyś w czasie kąpieli topił i ledwie go uratowali. Jest ten dom? Myszkował oczyma po wybrzeżu. Ten nie. Ten nie. Chyba ten... Tak, napewno ten. Ucieszył się jak dobrym znajomym.

Statek wykręcił na południe, otworzyła się przed nim szeroka przestrzeń zatoki, zalana słońcem. Jeszcze chwila i oto wod-

dali ukazują się tępo ucięte wieże kościoła Panny Marji, śmiga w niebo ostra igła gdańskiego ratusza.

Na statku zaczyna się ruch, wynoszą bagaże pasażerskie, odwijają jakieś liny.

Kędzior, zapatrzony w zbliżającą się ku niemu ziemię, w Gdańsk, nie słyszy tego, nie spostrzega, że statek wykręcił ku zachodowi, w prawo. Rozgorączkowanemi oczyma wodzi po wybrzeżu, odkrywa coraz to nowe znajome punkty.

Ta wieża, to chyba klasztor w Oliwie. A ta kępa, to Sopoty. A to co? Boże miłosierny, co to?

Wprost przed nim wyrastała z topieli wodnej w całym swym majestacie Gdynia.

Jak macki sunęły ku niemu białe smugi wrzynających się głęboko w morze łamaczy fal, dalej widniał splątany las masztów, kominów, dźwigów, jeszcze dalej śmiało się w słońcu białemi swemi murami rozległe miasto, wtulone w puszysty kołnierz lasów, pokrywających okoliczne wzgórza.

Przechodzącemu koło niego marynarzowi rzucił pytanie, wskazując ręką na port.

— Co to jest?

Powiedział to po polsku, po raz pierwszy od lat piętnastu odezwał się do kogoś po polsku.

Majtek popatrzył na niego trochę zukosa i odrzekł:

— A cóż ma być? Dyć to Gdynia.

— Gdynia. Boże miłosierny. Jego Gdynia. Ta mała cicha wioszczyna. Cud, prawdziwy cud.

A cud potężniał z każdym obrotem śruby parowca. Minęli wejście do portu. Wyciągnęły ku nim swe stalowe ramiona olbrzymie dźwigi, ogarnął ich wir portowego życia, ogłuszył łoskot maszyn, gwizd lokomotyw i syren okrętowych. Do pociągu, stojącego obok statku, podjeżdża z chrzęstem olbrzymi dźwig. Stanął, przekręcił się, i oto nad pierwszą węglarką zawisły olbrzymie kleszcze. Spuściły się, chwytają wagon. Chwila ciszy, potem gwizdek, maszyna zawarczała, targnęła łańcuchami i oto

wagon idzie dogóry, jak zabawka dziecinna. Z całym wagonem przekręcił się teraz dźwig ponad statek, wywrócił wagon, węgiel z łoskotem runął w głąb statku, podczas gdy węglarka, już wyprostowana, wracała powietrznym łukiem na swe miejsce na szynach.

Wszystko to tchnęło siłą, ale i ładem, i wszystko tchnęło Polską.

Po polsku rozmawiali robotnicy w porcie i maszyniści.

Po polsku rozmawiał tłum pasażerów, cisnący się do wyjścia.

Po polsku krzyczały wielkie reklamy, widoczne aż tutaj z miasta.

Po polsku zdawało się szumieć morze pod stopami Kędziora i wiatr nad jego głową.

Przed nim, dokoła niego, wszędzie była Polska.

I w nim samym już było trochę Polski, a teraz płynęła ona wielką falą przez oczy jasne, szeroko otwarte i przez uszy i przez serce proste, gorące, ogarniając tułaczą Kędziorową duszę miłością, zapalając w niej jakieś nowe, nieznane ognie.

ZOFJA LEPECKA

W GDAŃSKU

Twarze zmęczonych dziewczynek orzeźwił wiatr od morza.

Stojąc na długim pomoście, wystającym nad pianą morskich fal, głęboko wdychały słone powietrze. Granatowo-zielonkawe wody przelewały się, tryskając wysoką fontanną lub zapadając się w głąb. W dali migotał biały żagiel jachtu. Czarna smuga dymu przecinała błękit wody i nieba. A tuż przy brzegu setki młodzieży i dzieci chlapały się w pianie morskiej, kopały szańce z piasku, grzały się w słońcu, lub rzucały w odmęt wody z wysokiej trampoliny. Śmiechy, piski, radosne okrzyki mieszały się z poważnym szumem morza, tworząc piękną harmonję dla uszu stojących na pomoście dziewczynek.

Więc to jest Gdańsk?

Otoczyła je atmosfera uroku miasta, wypoczywającego nad morzem. Zasypały pannę Wandę, kierowniczkę wycieczki, gradem pytań.

— Powoli — uśmiechnęła się panna Wanda.

— Przyprowadziłam was przedewszystkiem nad morze, byście uprzytomniły sobie położenie Gdańska. Dopiero wtedy zrozumiecie jasno życie współczesne i historję tego miasta. Historję ciekawą. Gdańsk przechodził różne koleje. Pełnię rozkwitu, spokoju i dni krwawych walk.

— A kiedy powstał Gdańsk? — zapytała Zosia.

— Dzieje Gdańska są tak stare, jak dzieje ziem polskich Słowian — odrzekła panna Wanda. — Leżąc u ujścia Wisły, przepływającej od gór karpackich aż do Bałtyku, stał się naturalnym portem szczepów, mieszkających nad jej brzegami. Naturalnie, początkowo była to tylko wieś rybacka. Ponieważ miejsce było bardzo wygodne dla zatrzymywania się statków, w niedługim czasie pojawili się kupcy, którzy mieli interesy za morzem. Wywozili oni głównie zboże i wielkie drzewa z puszcz, pokrywających w owych czasach obficie ziemię polską. Wzamian, od obcych przywozili piękne sukna. W miarę, jak handel wzrastał, rozszerzała się osada. Do pierwotnych mieszkańców, Słowien, trudniących się rybołówstwem, coraz liczniej poczęli napływać niemieccy rzemieślnicy. Osada zamieniła się w miasteczko, a król polski, Bolesław Chrobry, który połączył luźne szczepy słowiańskie w jedno państwo polskie, i nad Gdańskiem roztoczył opiekę.

— Gdańsk musi mieć wiele ciekawych zabytków — przerwała ciszę Wacia.

Dziewczęta ożywiły się.

— Ja chciałabym obejrzeć Dwór Artusa!

— A ja weszłabym na szczyt wieży kościoła Panny Marji. Prawdopodobnie z takiej wysokości uliczki wyglądają jak wąwozy. A ludzie, konie, tramwaje, jak zabaweczki! — cieszyła się Jadzia.

— A mnie nęcą stare śpichrze nad Motławą — przerwała jej Marysia. — I pięćsetletni żóraw, którym ładowano towary.

Panna Wanda musiała interwenjować:

— Obejrzymy cały Gdańsk. Nowoczesne ruchliwe ulice, pełne bogatych wystaw, i wąskie uliczki o romantycznych, średniowiecznych nazwach. Wiekowe domy o przytulnych podsieniach i werandach, przeznaczonych na sąsiedzką pogawędkę. Zajrzymy do wnętrza reprezentacyjnych gmachów. Zwiedzimy nowy gmach Politechniki gdańskiej.

— Stare gmachy powiedzą nam wiele ciekawych rzeczy, bo każdy z nich przez kilka wieków patrzy na ludzi, na miasto i na rozgrywające się w nim wypadki.

— Podobno dwór Artusa został zbudowany w XV wieku?— przerwała pannie Wandzie Marynia, rozmiłowana w chronologji.

— Tak. Był on siedzibą stowarzyszeń mieszczańskich.

— A kościół Panny Marji? — szybko spytała Jadzia.

— Budowę kościoła ukończono w wieku XVI. Właśnie wieki XV, XVI, XVII stanowią okres rozkwitu Gdańska. Gdańsk zasłynął nietylko ze swych sławnych budowli, wysoko postawionej sztuki wojennej i szerokiego handlu, ale mógł się pochlubić wielu uczonymi i artystami. Napewno znane wam jest nazwisko Fahrenheita?

Dziewczynki wybuchnęły śmiechem.

— Naturalnie przecież znamy historję termometru!

— A Jana Dantyszka pamiętacie?

— Ależ to słynny łacinnik! Przyjaciel króla Zygmunta I — wykrzyknęły jednocześnie Zosia i Jadzia.

— I Fahrenheit i Dantyszek urodzili się w Gdańsku — objaśniła panna Wanda.—Ale prawdziwą gwiazdą kultury gdańskiej był astronom Jan Heweljusz. Po powrocie z Paryża zbudował w Gdańsku obserwatorjum, które odwiedził Jan Kazimierz. Heweljusz zajmował się badaniami nad księżycem i planetami. Swoją działalnością naukową zyskał uznanie we Francji i w Anglji. W Polsce o astronomie gdańskim pamiętano i po jego śmierci. Gdy obserwatorjum spłonęło, król Jan Sobieski zbudował drugie. Stanisław August w stuletnią rocznicę zgonu przesłał Gdańskowi bronzowy biust Heweljusza.

Okres rozkwitu Gdańska jest związany z przejściem miasta z rąk krzyżackich pod panowanie królów polskich. W r. 1466 została zakończona trzynastoletnia wojna z Krzyżakami i wówczas wraz z całem Pomorzem i Gdańsk został przez Polskę odzyskany. Król Kazimierz Jagiellończyk uroczyście witany przez Gdańszczan, wjechał w mury Gdańska i, odwdzięczając się za serdeczne przyjęcie, zgotowane mu przez mieszkańców miasta, nadał Gdańskowi obszerną autonomję wewnętrzną, rozległe przywileje handlowe, własną moc prawodawczą i sądownictwo, wła-

sne prawo mennicze, własne bezpośrednie traktowanie z obcemi państwami, koronę w herbie miasta, wolność trzymania fortecy, odmykania i zamykania portu wiślanego. Skutki tak obszernych przywilejów nie dały długo na siebie czekać. Z całej Polski przez Gdańsk wysyłano za morze zboża, bydło, drzewo budulcowe, drzewo masztowe do Holandji, do Anglji. Przez Gdańsk przywożono do Polski produkty kolonjalne i wyroby przemysłu zagranicznego. W ciągu kilku wieków pod opieką Polski miasto

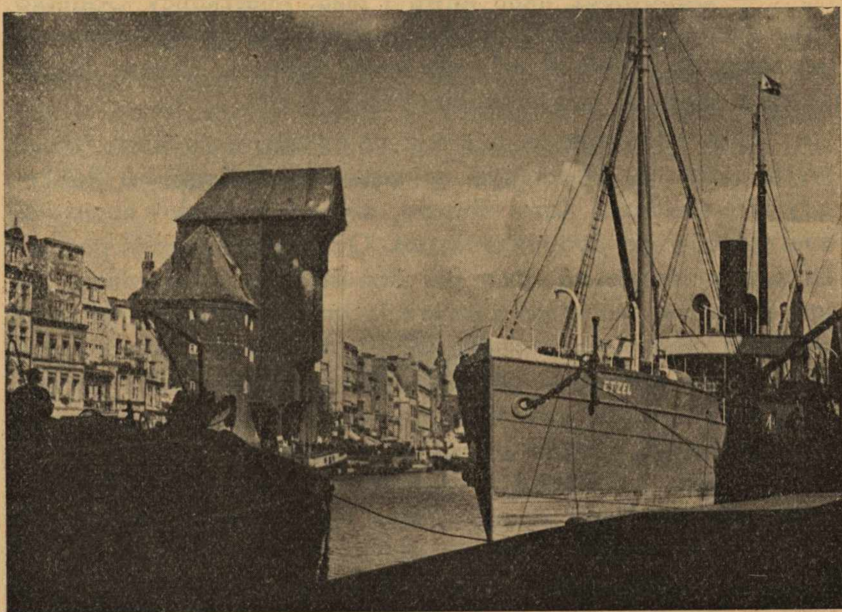


Photo-Plat Fragment portu w Gdańsku

zbogaciło się. Rozwinęło się gospodarczo, pobudowało wspaniałe gmachy. Mieszczanie gdańscy zasłynęli ze swej zamożności. Sławne śpichrze — zwróciła się z uśmiechem do Maryni — zawsze pełne były wyborowego ziarna.

— Ale widzę, żeście już zmęczone — przerwała panna Wanda. — Na dzisiaj dość morskiego powietrza. Wrócimy do

miasta, a po obiedzie rozpoczniemy systematyczną wędrówkę po Gdańsku.

Dziewczynki otoczyły kołem pannę Wandę.

— Dobrze, wrócimy, ale proszę po drodze opowiedzieć nam, jak Gdańszczanie ocenili te królewskie przywileje?

Twarz panny Wandy rozjaśniła się. Spojrzała na morze, lśniące w słońcu, na wysokie iglice wież kościoła Panny Marji, na grube, budzące zaufanie, mury miasta.

— Odpowiedź mam łatwą i miłą. Mieszkańcy Gdańska przy każdej sposobności dawali dowody wdzięczności i przywiązania do Polski. A gdy dla kraju nadeszły ciężkie chwile, potrafili wierność swą przypieczętować krwią.

Oto, jak wygląda jedna z najpiękniejszych kart dziejowych Gdańska. W okresie najazdu szwedzkiego na Polskę, gdy król szwedzki, Karol Gustaw, oblegał Gdańsk i namawiał mieszkańców do poddania miasta, Gdańszczanie sami podpalili swe przedmieścia, byle nie dopuścić do usadowienia się tam Szwedów. Na wieść o powrocie Jana Kazimierza, nie zważając na otaczających nieprzyjaciół, wiwatowali z armat, ustawionych na wałach. A gdy Karol Gustaw słał posłów do rajców, by się oddali pod jego opiekę, jako współwyznawcy — ewangelika, tak pięknie odrzekli: „Warunków Karola Gustawa nie dozwala nam przyjąć wierność Królowi swemu Najmiłościwszemu, od Boga samego przez wolną elekcję nam danemu". I dalej walczyli. Stracili wielu ludzi, padły poniszczone budowle, upadł handel, ale zdołali jeszcze zebrać cztery i pół miljona złotych polskich na zasiłek wojenny dla Rzeczypospolitej. Wytrwali i doczekali się uroczystego wjazdu króla Jana Kazimierza do oswobodzonego miasta. Król przez usta kanclerza wielkiego koronnego wyraził Gdańszczanom gorące podziękowanie i oświadczył: „że w tem jedynem mieście, wbrew przemocy, tyranji i podstępom okrutnego nieprzyjaciela, całe państwo zostało utrzymane".

Dziewczynki słuchały w skupieniu. Idąc wolnym krokiem przez pomost w stronę miasta, miały wrażenie, że wody i mu-

ry śpiewają cichą pieśń wspomnienia. Przyśpieszyły kroku. Na ulicach miasta wśród niemieckiej mowy od czasu do czasu słyszało się słowa polskie. Na murach widniały polsko-niemieckie napisy. Przyjrzały się uważniej przechodniom.

Wśród stałych mieszkańców miasta przewijały się grupy wycieczek szkolnych różnych narodowości. Tu harcerze polscy szli, przyglądając się miastu; dalej, nad rzeką, odpoczywali harcerze niemieccy. Młodzież z zainteresowaniem patrzyła na kanał, przepełniony statkami, na których powiewały flagi wielu państw.

Dziewczynki uczuły żywą sympatię do miasta i jego mieszkańców. Stojąc już na progu polskiego gimnazjum, które gościnnie podejmowało wycieczkę koleżanek, przybyłych z głębi Polski, dziewczęta jeszcze raz obrzuciły przyjaznem okiem stare mury miasta, tonące zawsze w młodej zieleni.

FELIKS BURDECKI

W POMORSKIEJ „FABRYCE ENERGJI"

Po ośmiu godzinach jazdy koleją znajdujemy się na ziemi pomorskiej, przed stacją Laskowice, a świeży poranny wiatr czerwcowy niesie nam pozdrowienia od Bałtyku.

Rozglądam się ciekawie. Przede mną wyrasta barczysta, typowo pomorska postać.

— Elektrownia Gródek — zdaje się, że to pan doktór!

Po chwili już znajdujemy się w samochodzie. Wygodny Ford mknie prędko w kierunku elektrowni, czyli do owej przedziwnej centrali sił, owej fabryki energji, w której genjusz polskich inżynierów i wysiłek polskiego robotnika zmusiły wodę rzeki do wykonywania pożytecznej pracy. Okolica nieco pagórkowata, gdzie niegdzie zalesiona. Spotykane od czasu do czasu domki, ujmują czystością zewnętrznego wyglądu. Przestrzeń kilku kilometrów, dzielącą Laskowice od Gródka, przebywa współczesny pożeracz kilometrów w ciągu niespełna dziesięciu minut. Za chwilę już widać budynki elektrowni. Na skrzyżowaniu dróg wsiada do samochodu młody inżynier, który uprzejmie zgadza się być moim cicerone na terenie połączonych elektrowni w Żurze i Gródku.

Niebawem wysiadamy z samochodu. Znajdujemy się przy dużej tamie, służącej do spiętrzenia wód rzeczki Wdy, zwanej także Czarną Wodą. Powyżej tamy utworzono jezioro o powierzchni 100 hektarów. Poziom wody w jeziorze jest o 11 metrów wyższy od poziomu wody rzeczki u stóp zapory wod-

nej. Gdy w wyjątkowych wypadkach wody rzeczki nadmiernie przybierają, można podnieść zaporę śluzy, a nadmiar mas wodnych potoczy się wtedy dawnem korytem rzeki. Spadając ku przepaści, rozpylające się masy wodne tworzą wtedy imponujący widok i ogłuszającym hukiem dają świadectwo swej mocy, okazując siłę, którą genjusz techniczny potrafił ujarzmić.

Od jeziora prowadzi prawie prostolinijny kanał, długości 1.300 metrów, do samej elektrowni, znajdującej się przy końcu kanału, w miejscu jego zetknięcia się z łukiem dawnego koryta.

Poziom wody w kanale jest mniej więcej równy poziomowi jeziora, a ponieważ na przestrzeni dużego, siedmiokilometrowego łuku dawne koryto obniża się jeszcze o siedem metrów, użyteczny spadek wód przy samej elektrowni wynosi około 18 metrów, to znaczy 11 metrów różnicy przy tamie plus siedem metrów, zyskanych wskutek skrócenia koryta i wybudowania go o dnie lekko pochylonem.

Wyobraźmy sobie więc masy wodne, spadające z wysokości 18 metrów, a będziemy mogli wytworzyć sobie pojęcie o sile i mocy elektrowni w Gródku.

Od tamy udajemy się pieszo wzdłuż kanału do samej elektrowni w Gródku. W drodze wypytuję się inżyniera o kilka bliższych wiadomości i o powstanie Gródka i Żuru. Dowiadujemy się, że starszy jest zakład w Gródku. Budowę jego projektowali już Niemcy w czasie wojny światowej. Wszelako dopiero za czasów Polski odrodzonej, w pierwszych latach jej istnienia zakład w Gródku oddany został do użytku publicznego. Było już jednak wtedy wiadome, że nie zdoła on w całości sprostać zadaniu zaopatrzenia w energję elektryczną całego Pomorza oraz północnych części województw poznańskiego i warszawskiego.

W pewnej chwili zastanawia mnie brak wszelkiej żywej istoty w promieniu widzenia, nieobecność kogokolwiek w pobliżu budynków elektrowni, zapytuję więc o ilość robotników i personelu administracyjnego i otrzymuję zdumiewającą odpowiedź.

— W Żurze i Gródku łącznie pracuje dwudziestu kilku robotników, inżynierów i urzędników biurowych. Pozatem mamy

jeszcze w Gródku fabryczkę przyrządów elektrycznych, to znaczy rozmaitych przedmiotów dla celów gospodarstwa domowego. Tego, małego zresztą, przedsiębiorstwa w tym wypadku oczywiście się nie wlicza.

— Jakto? Elektrownia, zaopatrująca w energję miasta tego rodzaju, jak Gdynia, Wejherowo, Toruń, Grudziądz nawet trzydziestu pracowników nie zatrudnia?

— Tak jest! Fakt ten jest, zresztą, charakterystyczny dla wszelkiego rodzaju zakładów wodnoelektrycznych. Wymagają one dużych sum na wybudowanie i uruchomienie, dają w stadjum powstawania pracę wielkiej rzeszy robotników, jednak same koszty ich utrzymania są bardzo małe, poprostu znikome w stosunku do ilości stale wytwarzanej energji.

— To zdumiewające! A można się dowiedzieć, z jaką mocą pracują Żur i Gródek?

— W Gródku pracują trzy turbiny o łącznej mocy około 5500 koni mechanicznych, w Żurze dwie turbiny o mocy łącznej 12.000 koni mechanicznych, czyli razem mamy około 17.500 koni mechanicznych.

— Dobrze! A ponieważ — rozumuję dalej — każdy koń mechaniczny odpowiada sile i mocy dziesięciu ludzi, zatem można powiedzieć, że połączone elektrownie zastępują siłę 175.000 robotników. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że personel robotniczy i administracyjny nie obejmuje nawet trzydziestu osób, to wypada nam, że dzięki wykorzystywaniu siły Czarnej Wody każdy pracownik zakładu wyswabadza siłę 6.000 ludzi. Przy uwzględnieniu samych tylko robotników dojdziemy do powiększenia wydajności pracy ludzkiej w stosunku jeszcze potworniejszym, 20-tysiąckrotnym, a nawet 30-tysiąckrotnym. Rzeczywiście fenomenalny przewrót!

— Tak istotnie wypada — potwierdza mój uprzejmy rozmówca.

Znajdujemy się na końcu kanału, czyli przy głównym gmachu elektrowni. Zanim woda dotrze do równi pochyłej i łopat turbinowych, przechodzi przez pewnego rodzaju siatkę, która



Elektrownia w Gródku

uniemożliwia wszelkiego rodzaju nieczystościom dostęp do wnętrza maszyn. Schodzimy po schodkach i znajdujemy się niebawem w samem sanktuarjum Gródka, w hali maszyn, tam, gdzie siła rzeki Wdy wprawia w ruch turbogeneratory i wytwarza energję, czyli dostarcza w czynnej formie — pracy.

Huk obracających się z rozmachem stalowych mas, przenikające poprzez stopy i całe ciało drżenie, przyciszony, jakby

odległy szum wody, lśniące łuki i powierzchnie potężnych niewolników-maszyn, posłusznie oddających pracę swą ludziom, ich twórcom i panom, a wreszcie — przedziwna pustka, brak ludzi, poczucie samotności wśród pracujących tytanów technicznych, gigantów, w okowach ludzkiej myśli spełniających ze złowrogim pomrukiem narzucone im zadanie — oto wrażeniowa synteza tej najgłówniejszej części największej w Polsce centrali wodno-elektrycznej.

A więc tutaj tryska bogate źródło energji! Gdy w grodzie Kopernika, w siedemsetletnim Toruniu, co wieczór rozpalają się światła lamp elektrycznych i smugą jasności zalewają ulice, gdy robotnik w Grudziądzu zajęty jest fabrykacją maszyn rolniczych lub produkuje masowo gumowe kalosze, gdy w Gdyni olbrzymie dźwigi ładują i wyładowują potężne wnętrza okrętów — rzeczka Wda bez wytchnienia rzuca swe masy wodne na stalowe łopaty turbogeneratorów w Żurze i Gródku, stokrotnie, tysiąckrotnie pomnażając siły słabych ramion robotników.

Opuszczamy halę maszyn i udajemy się do rozdzielni, czyli do hali, w której towar, to znaczy energja elektryczna, po przetransformowaniu jej na odpowiednie napięcia, rozdzielona zostaje na poszczególne przewody. Na drzwiach wejściowych, niby herb, widnieje wszędzie głowa kościotrupa, przecięta zygzakiem iskry. Tu bowiem każde nieostrożne poruszenie się może stać się przyczyną śmierci. Grube, rozmieszczone na odległości kilkudziesięciu centymetrów przewody elektryczne, wyprężone pod sufitem hali, niczem się nie różnią w zewnętrznym wyglądzie od zwykłych przewodów świetlnych, doprowadzających energję elektryczną do naszych mieszkań. A jednak! W tych przewodach czai się śmierć, dotknięcie ich grozi porażeniem, a nawet niebaczne zbliżenie się na odległość zbyt małą może stać się przyczyną zguby. Pioruny Perkuna lub ojca Jowisza uwięzione zostały w metalowych prętach i drutach.

Przy przesyłaniu energji elektrycznej na wielkie odległości zachodzi konieczność korzystania z prądu elektrycznego o bardzo wysokiem napięciu. Tylko taki bowiem prąd nie traci zbytnio na natężeniu wskutek oporu przewodów. Prąd o napięciu 60-ciu

tysięcy woltów dostaje się po przewodach na odległość 130 kilometrów do Gdyni. Zapotrzebowanie prądu z Gródka i Żuru w tem mieście stale wzrasta, bowiem cena prądu wynosi tam tylko 10 do 12 groszy za kilowatgodzinę!!! Od Gdyni prowadzi boczna linja o napięciu 15.000 woltów do Wejherowa. Toruń również zasilony jest prądem o napięciu 60-ciu tysięcy woltów. Znamienny jest fakt, że zapotrzebowanie energji Grudziądza znacznie przewyższa zużycie Torunia, mimo, że Toruń jest większy od Grudziądza. Okoliczność ta, oczywiście, jest wynikiem faktu znacznie większego uprzemysłowienia Grudziądza.

Dziwnie wyglądają przegródki, na których znajdują się napisy — nazwy poszczególnych miast. Jeszcze sto lat temu bodaj że pisanoby w bajkach o takiej niezwykłej kuźni energji, o ciekawym warsztacie, z którego praca płynie do miejsc zużycia. Wszystwo odbywa się tu całkiem automatycznie. Jeden, dwu robotników bacznie uważa na sygnały świetlne, ukazujące się na tablicach rozdzielczych i odpowiednio reguluje odpływ energji. Tysiące ognistych, rozhukanych koni mechanicznych posłusznie poddaje się woli jednego ich pana i władcy.

Gródek jest nietylko miejscem produkcji energetycznej, znajduje się tam również przy hali maszyn laboratorjum, w którem przeprowadza się badania materjałów, zarówno pod względem ich wytrzymałości elektrycznej, jak i wytrzymałości mechanicznej. A pozatem w małym warsztaciku konstruuje się różnego rodzaju przyrządy elektryczne dla celów gospodarstwa domowego.

Urządzenia w Gródku, a w większym jeszcze stopniu w Żurze, całkowicie zaprojektowane zostały przez polskich inżynierów i maszyny w przeważnej części zbudowano w Polsce. Jak informował mnie inżynier, metody pracy i naprawy uszkodzonych linij stale ulegają polepszeniu. Niedawno uzyskano w tej dziedzinie niebywały sukces. W dniu 19-ym czerwca uszkodzony został przewód do Gdyni. Jeden z izolatorów spadł z masztu i przewód o wysokiem napięciu zetknął się z ziemią, powodując ustawiczne powstawanie dużych iskier. Uszkodzenie zostało naprawione w krótkim czasie bez wyłączenia prą-

du i połączonej z tem przerwy w dostarczaniu energji. Podobne — wydawałoby się, bardzo niebezpieczne — doświadczenia zostały już przeprowadzone w Ameryce. W Europie po raz pierwszy odważono się na tak trudną naprawę właśnie u nas, w ów pamiętny dzień czerwcowy.

Prawie dziesięć kilometrów dzieli zakład w Gródku od zakładu w Żurze, czyli samochodem jedzie się zaledwie kilkanaście minut. Elektrownia w Żurze zbudowana została według wzorów, zastosowanych w Gródku. Zainstalowano tu jednak maszyny nowszej konstrukcji i dlatego bardziej jeszcze wydajne. Tama, odgradzająca w Żurze zbiornik wody, robi jeszcze bardziej imponujące wrażenie, aniżeli w Gródku. Sztuczne jezioro ma powierzchnię prawie pięć razy większą, aniżeli w Gródku. Elektrownia musiała wykupić szereg posiadłości, których grunta obecnie spoczywają na dnie sztucznego jeziora, i wybudować kilka mostów ponad rozszerzoną taflą wód Czarnej Wody.

Rozdzielnia prądu, znajdująca się w Gródku, w dużym budynku, w Żurze jest napowietrzna, to znaczy, na wolnem polu, wskutek czego zaoszczędzono koszt budowy odpowiedniego domu. Innego wreszcie rodzaju są turbiny. Naogół jednak, jak wspomnieliśmy, zakład w Żurze zbudowany został według takich samych planów zasadniczych.

Woda spada tu z wysokości 15 metrów, co sekunda 15 metrów sześciennych, wytwarzając w ciągu roku przeszło 14 miljonów kilowatgodzin energji.

Pomorze, perła Rzeczypospolitej, zyskało w zakładach w Gródku i Żurze potężne źródło energji, niesłychanie ważne dla życia gospodarczego tej dzielnicy Polski.

Kiedy żegnałem się z inżynierem, który udzielił mi wyjaśnień, odczuwałem w sercu lekki żal, że nie mogę dłużej przebywać na placówce, którą stworzył wysiłek polskiego społeczeństwa i z okna samochodu długo jeszcze spoglądałem na bastjon pracy, powstały w cieniu mocy Odrodzonej Ojczyzny.

ZOFJA LEPECKA

RYBOLESTWO

Półwysep Hel cienkim, łagodnym łukiem wciska się w Bałtyk. Wąską i szczupłą, lecz mocną stopą wsparł się o stały ląd, a szerokiemi barami rzucił się w morze. Piachy na dnie morskiem stęskniły się za światłem dziennem, a może ciągnęły je dźwięczne szmery lotnej braci, lub igraszki z ostrym wichrem morskim, dość, że garnęły się tłumnie do śmiałka, który wdarł się w słone wody. Zasypały przerwy, dzielące półwysep na wyspy, rozszerzyły mu bary, wszczęły walkę z zaborczą wodą, przelewającą się złośliwie przez półwysep i kąsającą szmat ziemi, aż wzmocniły go i upewniły, że ma prawo tu trwać i nawet ludziom dać życie.

Teraz dumne ze swego dzieła, wsiadają na grzbiety fal i objeżdżają brzegi. Jeśli się im spodobają, i potrafią uwolnić się z objęć wody, wówczas zostają, zwiększając szerokość półwyspu... Jeśli zatęsknią za głębiną wodną, zapadną się, pociągając za sobą zwały piachu, dawniej osiadłego.

Ludziom spodobało się to parcie ziemi w morze, chęć wyrwania się z bezurodzajnych, słonych przestrzeni, i przyszli z pomocną ręką. Iglaste lasy stanęły na straży półwyspu, tylko woda groźnie warczy i urwie czasem kęs ziemi, lecz na rozerwanie półwyspu już się nie wysili.

Piachy, osiadłe na środku nowej ziemi, spokojnie słuchają bezustannego szumu morza.

Pobudowały się wsie. Skulone, biedne domki, — sąsiad koło sąsiada bliziutko, byle najdalej od morza. Zatoka spokojniejsza. Piach, pamiętający głuchą martwotę, nie użyźnił się jeszcze, do wsi i miast daleko.

Przed oczyma wielkie, granatowe, przybrane srebrnemi frendzlami morze, w wiecznym tanie i wiecznym śpiewie fal. Morze wyrzuciło zwały piachu na wzmocnienie garstki ziemi, morze da wydrzeć sobie część skarbów na utrzymanie przy życiu garstki ludzi.

Wyruszyły krzepkie, opalone postacie na łowy do puszczy wodnej. Oczy przybrały turkusowe odblaski morza od ciągłego wypatrywania zdobyczy. Usta małomówne, przycięte oczekiwaniem. Włosy zbielały od słońca. Nogi lekko skrzywione i nieproporcjonalne do całości postaci, słabe od ciągłego przebywania w łódce. W sercu lęk przed nieznanem i spokojna ufność w Bogu — uzewnętrznienia swego szukają w świątyni. Niezmierzone morskie przestrzenie odbiły się w powolnych, zadumanych ruchach, bezustanny szum — w melodyjnym i przejmującym śpiewie, lecz często skłóconym dysonansem. Ciągłe niebezpieczeństwo wyrobiło szczerość i poczciwość w sąsiedzkiem spółżyciu.

Przez długi czas przebywali Kaszubi sam na sam z morzem, żywiąc się przeważnie rybami. Źródłem niewielkich zarobków również była sprzedaż ryb. Lecz od kilku lat ubogie domki kaszubskie roją się od przybyszów z głębi Polski, którzy tłumnie zjeżdżają się latem na wypoczynek. Dochody ludności miejscowej zwiększyły się.

Od błotnistego brzegu zatoki Puckiej odbiła czarna, głęboka łódź. Ostatnie przygotowania ukończone, wolno i ostrożnie wznosi się wgórę żagiel. Musiał już przeżyć wiele takich łowów, bo jego gęsto usiane łatami płótno pokryło się brudnawo-żółtym, starczym kolorem, który harmonizuje z resztą otoczenia. Na dnie łodzi leżą beczułki, długie zwoje grubej linki, udekorowanej kępkami słomy, przytwierdzonemi w jednakowych odstępach. Dwa worki z siatki, które zwykle służą do połowu węgorzy, obecnie mają być chwilowem schronieniem

dla złowionych flądrer. Z głębi łodzi wydobywa się lekki, lecz przenikliwy zapach ryb, który przypomina wiew starej, ukrytej w podziemiach piwnicy.

Trzech rybaków zajęło miejsce na krawędzi i oddało się kołysaniom pchanej wiatrem łodzi.

Błotniste brzegi zatoki znikają coraz bardziej, gubiąc swe zgniłe wyziewy w rześkim, morskim wiewie.



Photo-Plat Hel

Zaczyna wyzierać z wód jasne, piaszczyste łożysko, mrugające figlarnie do sunącej łodzi złotemi oczami igrających promieni słońca.

Sunie łódź w lekkim tańcu z falą, aż znalazła się sama między niebem i wiecznie pląsającą wodą. Tylko dalekie, sinawe mgły mówią jej, gdzie brzegi, które przed chwilą opuściła, a lśniące w słońcu plamki czerwieni dają znać o siedzibach

ludzkich. Pokłonił się żagiel na powitanie, potem objął w szerokie ramiona maszt i trwał w cichości.

Rybacy chwycili ciężkie kłody drzewa, służące za wiosła, i łódź, zostawiając seledynowe, przezroczyste wody, wpłynęła na czarną, nieprzeniknioną toń. Zapadła kotwica. Zaczyna się obrzęd łowiecki. Czynności są ściśle rozdzielone. Jeden rybak umieścił się w tyle łodzi, dwaj inni — w środku, dzierżą wiosła. Jeden z wioślarzy ma stanowisko kierownika wyprawy. Działają zresztą w milczeniu, w niemej umowie, zgodnemi ruchami. Wślad za kotwicą poszła mała beczułka. Chwycono znów za wiosła. Łódź zatacza olbrzymie koło. Z głębi łodzi wysuwa się zapadająca w głąb długa linka, ozdobiona wiechciami słomy. Dotarto zpowrotem do beczułki. Łódź zatrzymała się.

Lekko podnieceni, lecz zawsze panujący nad swemi ruchami rybacy wolno zakładali skórzane fartuchy, które miały chronić ich cienkie ubrania przed zamoczeniem. Jednocześnie rybak, będący w tyle łodzi, i jeden z wioślarzy chwycili linkę i w milczeniu poczęli wydobywać ją z wody. Linka spadała rytmicznie, tworząc na dnie łodzi stale rosnący wzwyż krąg. Równomiernie rozmieszczone patyczki oznaczały jednakową odległość końców linek od przytwierdzonej w środku sieci. Płaskie kamienie przywiązane do liny i do sieci miały ułatwić im dosięgnięcie dna. W łodzi zaległa cisza, przerywana tylko pluskiem wody i spadającego na dno łodzi sznura. Za chwilę morze miało oddać ludziom cząstkę swych skarbów. Czy odda? Od czasu do czasu na lince osiądzie mała muszelka, wyrwana z samego dna morskiego lub zielone zwoje wodorośli przyczepią się do przemokłej słomy, świadcząc o tajemnym bycie morskich głębin. Po kilku minutach ukazuje się sieć. Kształty jej świadczą, że coś trzyma w sobie. Otaczające ją lepkie wodorosty, tajemnicze drgania wewnątrz niej mówią o jej przeżyciach.

Rybacy wlepili w nią wzrok. Stojący w tyle łodzi Kaszub chwyta sieć. Ciężka. Zanurza w nią ręce. Pozostali czekają nieruchomo. W ręku rybaka błysnęło białe podbrzusze ryby,

potem drugie, trzecie. Za chwilę w przygotowanym worku rzucało się koło trzydziestu flądery. Rybacy orzekli, że mało. Strząsnęli sieć, schwycili za wiosła, zatoczyli koło z drugiej strony. I znów miarowo poczęła zapadać lina. Od czasu do czasu padło słowo, rzucone śpiewnym akcentem. Obawiano się o rezultat połowu. Słońce wzbijało się coraz wyżej, od czarnej wody ciągnął chłód. Przybito do bujającej na powierzchni beczułki. Ciągnienie liny. Oczekiwanie. Oczy błysnęły zadowoleniem. Ryb dwa razy więcej. Zataczają koło po raz trzeci.

Słońce wskazywało, że minęło już południe, zimny wiatr wzbudzał czasem dreszcz, a oni jeszcze krzyżowali zatokę kołami i półkołami, wpatrywali się w pagórkowatą wodę i szukali ryb. Żeby tylko starczyło na pożywienie dla rodzin.

Gdy zebrali wreszcie koło stu ryb, uznali, że można wrócić. Wiosłując, wydobyli się z okolicy wodorostów, która widzowi z brzegu gra błyskami ciemnego granatu, i wjechali w przezroczyste pasma wód, które lśnią wszystkiemi blaskami szmaragdów i turkusów.

Do brzegu doniósł ich żagiel. Opaleni wiatrem, jeszcze z szumem wód w uszach i wrażeniem ciągłego kołysania, z błękitnemi przestworzami przed oczyma, stanęli Kaszubi przed chatami.

Złożyli żonom swym połów. Liczna gromadka białogłowych i błękitnookich dzieci ze śmiechem wyciągała do nich ręce.

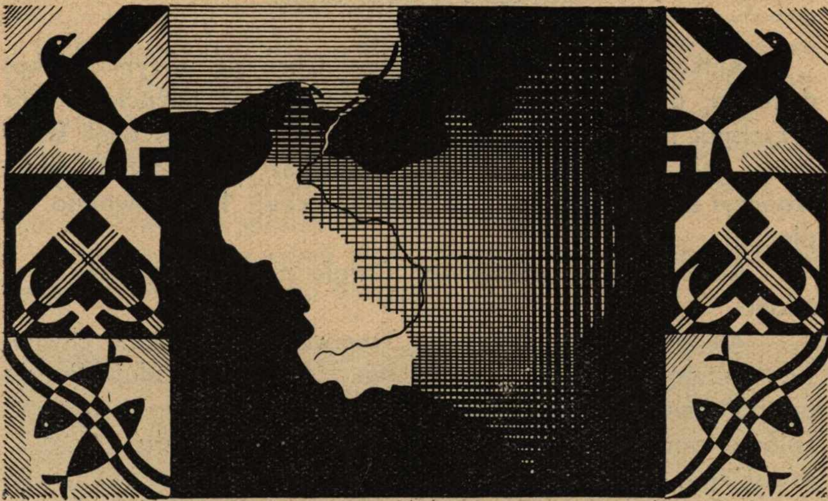
Kobiety szybko odebrały worki, by oddzielić duże ryby na sprzedaż, z reszty zaś śpiesznie przygotować posiłek.

A rybacy, patrząc na ich krzątanie, marzyli o lepszym, obfitszym połowie.

MARJA CZERKAWSKA

BĘDĘ MARYNARZEM

Muszę być mocny, mądry i duży,
Pracować muszę zawzięcie;
Chcę marynarzem zostać, chcę służyć
Na naszym polskim okręcie.
Chcę zwalczać fale, zwyciężać burze,
Przepływać mórz przestrzeń słoną
I trzymać zawsze wysoko wgórze
Banderę biało-czerwoną.
Nie będzie straszył mnie wiatr północny,
Mróz, upał ani głębina!
Muszę być dzielny, muszę być mocny
Ja, przyszły polski marynarz.



ZYGMUNT NOWAKOWSKI

ZAWODY W KRAKOWIE

Grzmot oklasków i Antek jest już w oplocie wstęgi. Rozpędem wleciał jak wicher w grupę jakichś panów, wywalił stolik i znalazł się w ramionach jakiejś sędziwej pani. Ktoś podaje mu rękę, ktoś inny wsuwa bukiet z szarfami, nieznani ludzie biorą go w ramiona. Zwoliński! Zwoliński!

Ktoś woła przez głośnik „Pierwszy przyszedł Antoni Zwoliński, numer 57, Resovia, w czasie...“ Oklaski zagłuszają ciąg dalszy. Strzelają aparaty fotograficzne. Ktoś ma mowę. Krótko gratuluje Antkowi, w którym zgodna opinja fachowców widzi rywala Kusocińskiego. Padają życzenia na temat przyszłej Olimpjady. I wreszcie błyska puhar... Wielki, srebrny puhar...

Antka coś chwyta za gardło. Chce się utrzymać jakoś dokońca, ale nie może. Poprostu ma łzy w oczach. Puhar przycisnął ruchem tak dziecinnym, że obecni wybuchnęli śmiechem. Ale śmiechem życzliwym. Przecież ten Zwoliński ledwo skończył siedmnaście lat. Dzieciak jeszcze! Nic dziwnego, że płacze!

Antek zaś jest szczęśliwy. Ciągle przybywają nowi gratulanci.

Ale gwar cichnie powoli. Tramwaje, wstrzymane chwilowo, ruszają. Tłum topnieje zwolna. Antek dowiaduje się, że po południu zawodnicy są gośćmi miasta. Więc o czwartej zbiórka pod magistratem, skąd autobusami pojadą do Lasku Wolskiego, gdzie zastawiony będzie podwieczorek. O godzinie siódmej koncert chóru kolejarzy na podwórcu arkadowym Wawelu, o ósmej przedstawienie w teatrze im. Słowackiego. Do widzenia o czwartej pod magistratem!

Po południu na placu. W. W. Świętych, pod magistratem stała już grupa uczestników dzisiejszego biegu.

Nieprzejrzane tłumy ciągnęły ku błoniom, ku boiskom sportowym Cracovii, Wisły, Jutrzenki, Juvenii, Legji Robotniczej, ku parkowi Jordana i dalej w stronę Sikornika, Skał Panieńskich i Bielan. Dzień był tak piękny, że w domu nie chciało się nikomu zostać. Autobus szedł wolno. Minąwszy czerwony gmach Sokoła, przekroczyli zbieg pięknych alej Mickiewicza i Krasińskiego i jechali teraz aleją 3-go Maja. Zaraz na prawo stał Miejski Dom Wycieczkowy.

— O, widzicie! — mówił jakiś zawodnik — tu spaliśmy. Powiadam wam, klasa! Łóżka — pycha! No, i wszystko za psie pieniądze. 80 groszy! Dziewiętnaście sal sypialnych! A jak to urządzone! A natryski! Powiadam wam, żyć i nie umierać!

— Ja mieszkałem tuż obok — mówił Stępień, ten z „Pogoni" lwowskiej. — U kolegi w Domu Akademickim w Oleandrach. Także wspaniały gmach!

— To stąd wyszedł Piłsudski z kadrówką w czternastym roku? — spytał inny.

— Stąd! Szóstego sierpnia...

Rozmawiając tak, jechali wzdłuż Błoń, zalanych ludźmi. Niczem dziwaczne grzyby, wyrastały kolorowe parasole rozmaitych kramów i kiosków. Wirowały karuzele, pod niebo śmigały huśtawki, odzywał się co chwila huk strzałów z rozmaitych strzelnic, krzyczeli przekupnie lodów, darło się wniebogłosy radjo z olbrzymich głośników.

U końca pierwszych Błoń, skręcili w lewo, zostawiając po prawej stronie drogę do Bronowic.



Photo-Plat Wawel

— Patrzcie, panowie, co ludzi na Kopcu Kościuszki! — krzyknął ktoś.

— Czerwiec to miesiąc wycieczek — odrzekł jakiś pan, towarzyszący im z ramienia miasta. — Mamy czasem i po kilka tysięcy ludzi dziennie, tak, że trudno ich pomieścić.

— Przepraszam, czy pan może oprowadza po mieście? — spytał kapral z Siedlec, Tkacz.

— Tak jest, proszę pana, jestem przewodnikiem.

— A co to za pałac w ogrodzie?

— To renesansowa willa sekretarza Zygmunta Starego, niejakiego Justusa... Stąd i nazwa wsi: Wola Justowska... Bardzo piękny zabytek z XVI wieku, dzieło włoskich architektów.

— A dlaczego te skały nazywają się „Panieńskie"?

— Legenda mówi, że w roku 1241-ym, podczas napadu Tatarów, zakonnice, inaczej „panny" z klasztoru Norbertanek na Zwierzyńcu — tego, który widzieli panowie z Błoń, schroniły się w tym lesie. Według podania, skały zamknęły się same, broniąc Tatarom dostępu, i w ten sposób „panny" ocalały...

Teraz posypały się rozmaite pytania, na które biegle i z wprawą a niezwykle uprzejmie odpowiadał przewodnik. Mówił o stylach, o dziejach każdego zabytku, wymieniał daty, cyfry, dorzucał jakieś ciekawe opowiadania, anegdoty, legendy i t. d., przywiązane do danych budynków, czy zakątków Krakowa. Gdy niektórzy z uczestników dziwili się jego wiedzy i znajomości przedmiotu, wyjaśnił im, że Kraków na wzór zagranicy już od kilku lat posiada zawodowych, wykształconych przewodników. Ze względu na wyjątkowe znaczenie Krakowa, na jego zabytki, na jego rolę nietylko historyczną, ale i dzisiejszą, było to konieczne. Poza tem Kraków żyje z turystów. Dlatego też okazało się rzeczą niezbędną znaleźć przewodników, znających dobrze również i języki obce.

— Proszę panów, przyjeżdża do nas bardzo wielu cudzoziemców. Nietylko uczestników jakichś oficjalnych wycieczek, które ograniczają się do zwiedzenia np. Wawelu, Muzeum Narodowego lub Czartoryskich i kościoła Marjackiego, potem zaś zjadają dobry obiad i na tem kończą zwiedzanie, aby jechać do Wieliczki i Zakopanego. Coraz częściej przybywają do Krakowa grupkami, lub nawet po trzech, dwóch, Anglicy, Niemcy, Amerykanie i t. d., nie mówiąc o najbliższych sąsiadach, jak Czesi i Węgrzy.

Są np. tacy, którzy jadą do Krakowa wyłącznie dla ołtarza Wita Stwosza. Są Anglicy, których interesuje tylko jedna jedyna rzecz, np. obraz Leonarda da Vinci w Muzeum Czarto-

ryskich, albo kolekcja arrasów wawelskich, będąca unikatem. Trafiali się i Japończycy, którzy chcieli obejrzeć zbiór wyjątkowo pięknych i rzadkich drzeworytów japońskich w muzeum Feliksa Jasieńskiego. Kraków posiada rzeczywiście wyjątkowe skarby. Nie mówiąc o pięćdziesięciu sześciu kościołach, czterdziestu klasztorach i siedmiu synagogach, w czem jedna jest najstarszą w Polsce — mamy w dwustotysięcznem mieście kilkanaście muzeów...



T-wo Kraj. Barbakan

— Kilkanaście? — zapytał ktoś.

— Samo Muzeum Narodowe, którego wielki gmach stanie za kilka lat przy zbiegu Wolskiej i alei 3-go Maja, posiada sześć oddziałów, a więc Sztukę Współczesną w Sukiennicach, Muzeum Czapskich, Jasieńskiego, Barącza, Dom Matejki i Wieżę Ratuszową. A są przecież inne. Oprócz wspomnianego Muzeum Czartoryskich, które, mając Leonarda da Vinci, po-

szczycić się może obrazami np. Rembrandta, Murilla, van Dycka i t. d. oraz przepiękną zbrojownią — są muzea rozmaite, jak przemysłowe, etnograficzne, uniwersyteckie, diecezjalne, fizjograficzne i inne. Niema prawie wybitniejszej kamienicy, do której nie byłaby przywiązana jakaś legenda, czy anegdota historyczna. A bibljoteki? A skarbce! Archiwa? A ileż najrozmaitszych obrzędów, jak Wianki, Lajkonik, Rękawka! Poza tem trzeba uwzględnić najbliższą, a przepiękną okolicę, pełną starych klasztorów, ruin i zabytków! O dwa kroki mamy nietylko Bielany, Tyniec lub Tęczynek, ale i puszczę Niepołomicką, równie jak kopalnie wielickie. Kraków — to jakby lekcja historji polskiej. Nietylko historji samej, bo i wykład poglądowy dziejów naszej kultury, literatury, nauki... I na samych zabytkach Krakowa nie kończy się. Przeciwnie, są w nim rzeczy nowe, stworzone w ostatnich latach, które stawiają Kraków w rzędzie najbardziej interesujących nowożytnych miast...

Wysiedli. Na rozległej, zalanej słońcem polanie, powitał uczestników biegu jeden z wiceprezydentów miasta, zwracając się przedewszystkiem do zdobywcy puharu, t. j. do Antka.

Zapadał zwolna wieczór. Na smukłych arkadach wawelskiego dziedzińca kładły się czerwone blaski zachodu. W świetle tem wydawało się Antkowi, że strzeliste kolumny już nietylko lekkie są, ale poprostu lekkomyślnie zbudowane.

— Jakże można tak stawiać?! Przecież one nie wytrzymają! Muszą kiedyś zawalić się!

— Panie, stoją tak od czterystu lat. Wytrzymały wszystko: dziesiątki pożarów, oblężeń i rabunków. Wytrzymały jeszcze więcej, bo rozbiory i ruinę Polski. Potem było tu schronisko dla biednych, następnie koszary austrjackich żołnierzy, a królewski pałac Zygmuntów przetrwał wszystko i dziś jest tak silny, jak przed wiekami. Kto wie, czy nie silniejszy...

Przewodnik mówił cicho dalej. — Przyjeżdżają tu Polacy z Ameryki. Ludzie przywykli do nowojorskich drapaczy chmur. Ludzie nowożytni, twardzi. Na widok Wawelu płaczą. Są znowuż tacy, którzy muszą być na Zamku kilka razy do roku, aby

nacieszyć się widokiem tego, co narasta, wydobywa się z pod pyłu zapomnienia, z pod wiekowych gruzów. Bo Wawel rośnie z dnia na dzień, potężnieje, rozkwita...

Skończyła się tymczasem pauza i chór kolejarzy, przybyły do Krakowa z wycieczką, rozpoczął dalszy punkt koncertu. Antek przymknął oczy. Zdawało mu się, że rozległe krużganki zaroiły się teraz tłumem dworzan i rycerzy. Zakwitnęły stroje bogate i przebarwne, błysnęły pancerze. Na środkowym krużganku stał król jegomość z królową i królewiczem, obok nich Stańczyk... Przyszli patrzeć na turniej... Huczały trąby z wież, dzwoniły kopyta końskie o bruk, trzaskały tarcze i kopje. Rozegrał się cały Wawel.

Nagle skończyła się pieśń. Antek otworzył oczy. Nie było ani obojga królestwa, ani Stańczyka, ani rycerzy. Ale sam pałac wydał mu się jeszcze wyższy, kolumny jeszcze lżejsze, jakby sięgały nieba. Wawel i bez króla był królewski!



T-wo Kraj. Sukiennice

W KOPALNI

Szli teraz wszyscy w milczeniu. Na przedzie, o kilkanaście kroków, kroczyli kamraci. Kroki dudniły w ganku zmierzwionym rytmem, drobne światełka kołysały się w dłoniach, a po ścianach skakały pokraczne cienie ich nóg. Zprzodu i ztyłu zwierała się czarna ściana ciepłego mroku.

Doszli do filara. Rozwarła się przed nimi obszerna komora, wysoka na kilka metrów, zarzucona rumowiskiem węgla. W jej głębi bieliły się smukłe pnie sosnowe, wspierające spękany strop. Stemple pachniały żywicą. Jeden z nich, złamany na wysokości człowieka, z wywalonemi słojami i skręcony pod stropem, sączył ze swych pęknięć duże krople żywicy. Podobne były do stężałych łez, któremi jakby ta sosna płakała.

— Najpierw musimy ten złamany stempel wymienić! — rzekł Cimała i uderzył go tylcem kilofa.

— Toć, boby nam co na głowy spadło! — przyświadczył Szturc.

Pod ścianą w chodniku leżały stemple. Szturc i Chromik wybrali najgrubszy, zmierzyli, czy sięgnie pod strop, wciągnęli do filara i jęli się teraz mozolić z jego ciężarem. Chromik wyszedł na rozkołysaną drabinę, a Szturc skrzyknął jeszcze dwóch kamratów i pospólnie jęli ciągnąć za linę, zadzierzgniętą na cieńszym końcu sosny. Sosna stanęła, dotknęła wierzchołkiem stropu, a Chromik jął teraz walić perlikiem. Stempel nie chciał

wejść pod strop. Musiano go nieco opuścić, w spongu, w tem miejscu, gdzie stempel stanie, wykruszyć głębszy otwór, a potem dopiero postawić. Chwycił teraz mocno. Z pod stropu zlatywał suchy łoskot uderzeń, kamraci zaś świecili.

— No, bydzie dzierżeć! — zawyrokował Chromik z ulgą i zeszedł z drabiny.

— A teraz, chłopi, chwytajmy się roboty! Wy, Chromik i Szturc... wy będziecie dziury wiertali, Handzel ze mną bydzie obrywać ściany, a wy, wozacze... wy ładować ukop do wózków. Wózki macie?... — rozkazywał Cimała.

— A jest ich tam dziesięć!...

— No to jazda!

Jęto się roboty. Zahurkotały wagoniki, podsuwane z chodnika do filara, zazgrzytały łopaty, a pod nawisłemi, czarnemi, zszarpanemi ścianami calizny węglowej rozszczekały się dwie pneumatyczne wiertarki. Cimała zaś z Handzlem obchodzili ściany, pukali w nie kilofami, a gdzie posłyszeli głuchy dźwięk, prali w nie dziobcami kilofów, zapierali się mocno i zrywali nadkruszone ławice węgla.

Filar roztętnił się pracą.

Czarne, krótkie, pękate wiertarki jazgotały przeraźliwie. Trzymane w twardych łapach, pluły tumanami zgęszczonego powietrza z pod prawej dłoni, terkotały ukrytemi sprężynami, rzucały się wściekle, a kręte świdry, wystające z ich wylotów, skakały opętane, kręciły szybko koło swej osi, uderzały rytmicznie w caliznę, wgryzały w jej słoje, kruszyły i coraz głębiej tonęły. Z chodnika wlokły się dwa syczące węże gutaperkowe, któremi sprężone powietrze pchało się w maszynki.

Wyjący wicher, buchający ścieśnioną, mglistą strugą z wiertarek, wybijał ciężkie kłęby węglowego pyłu, zasłaniał oczy, krztusił zduszone płuca, zalepiał usta i nos czarnem ciastem, a pryskające światełka pełgały w tamtych tumanach, jak rude gwiazdy wśród chmur.

Raz wraz jedna z wiertarek zacinała się, a wówczas wiertacz cofał ją zlekka i przez drobny ułamek sekundy czekał. Wte-

dy wiertarka znowu zachłystywała się skowyczącym rytmem i znowu zaczynała prać oszalałym świdrem.

Ludzie zapierali się ramieniem w owe potworki, nachylali zgięte grzbiety, napinali mięśnie do ostatka i dygotali z wysiłku. Lewą dłonią trzymali je oddołu, drugą pchali za uszak. Skupione, siwe, zimne oczy patrzyły zbójecko za skaczącym świdrem. Usta były ściśnięte, a czarne twarze przybierały drapieżny wyraz.

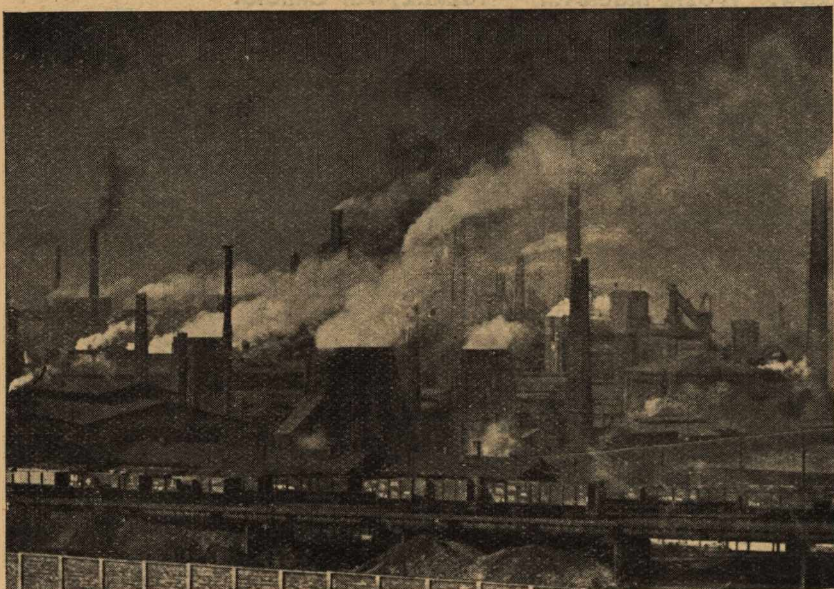


Photo-Plat Widok z Górnego Śląska

Kiedy świder utonął w caliźnie, wtedy życie w maszynce zdychało, a wiertacz wymieniał go na dłuższy i znów jął się wgryzać w ścianę.

Spiętrzony łoskot napełniał uszy bolejącym szumem, wpychał się w nie jakby rozpalonemi gwoździami, pęczniał pod czaszką i zdawał się bębenki rozdzierać na strzępy.

Odetchnęli ludzie, kiedy obie maszynki zamilkły, a ogromna, dzwoniąca cisza zatopiła filar.

— No, ile macie? — zapytał Cimała.

— Osiem u dołu, sześć w środku! — rzekł Szturc, wypluwając z charkotem kłębuszki zlepionego pyłu, co w ustach i gardle osiadł.

— Dobrze... Teraz jeszcze dwie pod stropem!.. To wystarczy!..

Przywleczono pospólnie drabinę z chodnika, oparto o ścianę. Chromik z wozaczami podtrzymali ją oddołu, a Szturc jął się powoli gramolić po szczeblach, wywlekając za sobą wiertarkę. Wyszedł pod strop.

Z dziewięciometrowej wysokości wszystko w jego oczach zmalało. Ludzie jakby się skurczyli w sobie, światła przygasły. Ujął teraz krzepko wiertarkę i przegiął się wtył. Nacisnął kciukiem wentyl, zgęszczone powietrze chlusnęło z krzykiem w jądro maszynki. Z pod stropu poleciał na ludzi jej skołtuniony jazgot. Drabina się rozhuśtała, a Szturc jeszcze mocniej się przechylił dotyłu i kołysał razem z drabiną, maszynką i światłem. Wisiał na szczeblach, podobny do ogromnego, czarnego, chudego pająka, co w drapieżne łapy ujął małego potworka, a potworek szarpie się i szczeka i wyrwać usiłuje.

Drugi otwór wywiercił Chromik.

— No, chwała Bogu!.. — rzekł z ulgą, kiedy zlazł i prasnął wiertarką pod ścianę. Napluł na opuchłą, zaczerwienioną dłoń i wycierał z niej długo kłujący ból.

— W porządku! — pochwalił Cimała. — Teraz se musimy trochę spocząć. A wy tam... Banszel i Dziadek? Są jeszcze jakie próżne wózki?

— Dwa próżne, osiem pełnych!.. — zameldował Dziadek.

— To dobrze!..

Usiedli na progu chodnika. Nastała cisza. Oddechy ją tylko tłamsiły i nieustanny szept, idący z głębi filara. Zasłuchali się wszyscy bezwiednie w tamten znajomy głos.

— Słyszycie?.. Ale filar mocno szepce... — rzekł Szturc po namyśle.

— To mi się nie podoba! Może się coś przydarzyć!... No, ale chyba będziemy uważali na siebie! No, kamraci!.. Do roboty!.. — zakończył Cimała odpoczynek i wstał.

Poszedł z Handzlem do surdutów, co w chodnikowej wnęce wisiały, wydobyli zwitki dynamitu z lontami, przeliczyli.

— Wystarczy!.. — pomyślał głośno.

I kiedy reszta kamratów uprzątała wiertarki, łopaty i kilofy, wynosząc je na chodnik, Cimała z Handzlem ładowali otwo-



Photo-Plat W kopalni

ry. Wpychali kartonowe tulejki z dynamitem, jedną za drugą, wpychali je drewnianym prętem, ubaczali zlekka, a resztę otworu utykali po brzegi zwitkami suchego mchu. Wystające lonty powiązali w dwa węzły. Następnie odstawili drabinę i wywlekli na chodnik.

— Teraz opuścić filar!.. — rzucił twardo Cimała i obejrzał się. Kamraci znikali w niskiej gardzieli ganku. Został sam.

Podpalił płomieniem lampki pierwszy i drugi węzeł. Zajęły się w okamgnieniu. Chwilkę patrzył na rdzawe płomyczki, czołgające się z sykiem po lontach.

Splunął, jeszcze raz rzucił oczyma po lontach i szybko wyszedł.

Na skręcie chodnika czekali go ludzie. Popatrzyli na niego pytająco.

— Chwyci! — rzekł i usiadł pod ścianą.

Upływały sekundy. Zdawały się być godzinami. Każdy czekał niecierpliwie.

Nareszcie!...

Szarpnęło powietrzem, kolnęło w uszy, światła się zachybotały, a równocześnie w głębi filara rozpękł się pusty huk. Jakby ktoś ciężką, płaską sztabą uderzył po darni. Teraz drugi, trzeci!.. Teraz dwa strzały naraz!..

— To jest pięć! — rzekł Cimała.

Znowu dwa... potem szybko trzy, jeden za drugim...

— To już dziesięć!.. — rzekł znowu.

Znowu!.. Huk zlał się w jeden postrzępiony grzmot. Po chwili ostatnie dwa huki...

— No, poszło wszystko!.. — szepnął ktoś z ulgą.

Z filara wywalił się teraz siny, krztuszący, słodkawy dym. Wlókł się powoli koło ludzi, jak znużony górnik, wracający ze szychty. Koło świateł wyrosły mleczne kopułki świetliste. Płuca zakrztusiły się gwałtownie.

— No, to wszystkie! — rzekł Cimała. — Wszystkie poszły...

JULJAN TUWIM

ŚLĄSK ŚPIEWA

Słyszycie, jak huczą młoty,
Turbiny turkotem trajkocą?
        Pracują dniem i nocą,
        Wre głuchy rytm roboty.
Dymią się bure kominy,
Piece hutnicze płoną,
Dudnią, dudnią maszyny,
Łuną palenisk czerwoną
Czarna zasnuwa się dal.
        Śląsk śpiewa!
        Głos ma węgiel i stal:
W trzewiach ziemi rytm twardy,
Głucho walą kilofy, oskardy,
Stuk uparty, łomot w skały
Ziemi hardej wyrywa kawały.
        Nadół, dogóry,
        Dogóry, nadół,
        W grób sztolni,
        W mroczny padół
Dźwigają czarne kamienne plony
Ludzie podziemni, śląskie pierony.
Windy, świdry jeżdżą zgrzytem,
Wiercą, rąbią w ziemi rozrytej,
Węgiel, węgiel niosą z głębiny
Na żer spragnionej ruchu maszyny.

Maszyna śpiewa:
Już, już drgnęłam, żyję,
Już, już motorem biję.
Ogniem błysnął pęd — duch,
Zawył, świsnął ruch — ruch,
Świst, świst, łoskot stalowy,
Zgrzyt, zgrzyt, równy, miarowy,
Koła, wzębione w zębate szyny,
Tłoki — pompy, tłoki — turbiny,
Drgają
raźnym
rytmem
żelaznym...
Warczy, turkoce serce maszyny.

ALEKSANDER KAMIŃSKI

SIOSTRA ZUCHA

Heniek Strokosz był zuchem. Coprawda, gdy zapisywał się do gromady, niebardzo chcieli go przyjąć, bo miał zaledwie osiem lat, a wiadomo, że z takimi „pętakami" nawet małe zuchy nie chcą się zadawać. Ale ponieważ był spryciarzem, umiał doskonale gwizdać na palcach i chodzić na rękach — więc go przyjęto.

Zosia, siostra Heńka, bardzo mu tego zazdrościła. W szkole u dziewczynek nie było zuchów, a samej jednej zapisać się do gromady chłopców było jakoś dziwnie. A takby się chciało bawić z zuchami! Tyle tam zawsze ciekawych rzeczy. Chodzą na jakieś tajemne zbiórki do piwnicy szkolnej, muszą umieć skakać przez skakanki i nawet rozmawiają ze sobą jak głuchoniemi — na palcach. Och, jakie to wszystko ciekawe! A tu nie można... Bo w szkole niema gromady dziewczynek — zuchów.

Ponieważ jednak Zosia była dzielną dziewczynką, poprosił ją raz Heniek o pomoc w poważnej sprawie.

— Wiesz, Zośka, za tydzień będzie w Katowicach wielkie święto zuchów. Mamy tam pojechać tramwajem całą gromadą. I przyjadą wtedy do Katowic wszystkie zuchy, co mieszkają blisko. A nasza gromada ma przyjechać z latawcami. Chcę, żebyś mi pomogła zrobić latawca. Gdy razem zrobimy, to będzie najładniejszy ze wszystkich.

Odrazu zaczęła się robota. Bo dobrego latawca niełatwo jest zrobić. Dzieci godzinami całemi majstrowały zawzięcie.

Czasem pracowały milcząc, czasem naradzały się tajemniczo, czasem spierały. Farby, klej, nici, cienki sznurek, kolorowe papiery, pergamin... Już prawie wszystko gotowe. Trzeba tylko na latawcu coś wymalować.

I właśnie Zosia wymyśliła rysunek, który dodał latawcowi świetności i blasku. O r z e ł! Poradziła namalować orła. Dużego, białego orła na czerwonem tle. Orzeł musi machać skrzydłami, jakby chciał wzbić się pod niebo.

Na dwa dni przed świętem zuchów latawiec był skończony. Dzieci nie mogły nadziwić się swojej robocie. Latawiec był ogromny, prawie taki, jak Heniek. Długi kolorowy ogon ciągnął się za nim na trzy metry. Namalowany orzeł wyglądał zupełnie jak prawdziwy. Pękaty sznurek, nawinięty na patyk, tylko czeka na rozwinięcie. Drugiego takiego latawca napewno nikt z całej gromady nie zrobi!

Wczesnym rankiem spróbowały dzieci jego lotu. Poszedł wgórę, jak prawdziwy, wielki ptak. Najpierw wolno i spokojnie, potem gwałtownemi rzutami na wietrze wbok, wdół i wgórę. Szarpał się i wyrywał, a po chwili nagle uspokoił się i płynął wolniusieńko, spokojnie na wietrze. Prawdziwy orzeł.

— — — — — — — — — — — — —

Niedziela. Katowice.

Na ulicach — pełno ludzi. Wszyscy jacyś uśmiechnięci, uradowani. Jest ciepło i przyjemnie. Prawdziwe święto. Ludzie spacerują wolno szerokiemi ulicami. Czekają. Czekają na defiladę dzieciaków — zuchów, którą zapowiedziały wielkie, kolorowe afisze.

Na ogromnym placu przed województwem — straszny tłok. Bo tu będzie najważniejsza część pochodu. Pośrodku — pełno ważnych panów i oficerów i policjantów. Stoi tu bowiem pan wojewoda, przed którym będą zuchy defilowały. Pan wojewoda jest mały, niski i szczupły — ale wszyscy wiedzą, że to najważniejszy pan. Wie o tem nawet Zosia, która przecisnęła się przez tłum na brzeg jezdni, żeby lepiej zobaczyć de-

filadę i Heńka i latawca-orła. Jednem okiem patrzy Zosia na ważnych panów, a drugiem — zerka wdal ulicy. Czy nie idą, czy nie widać?

Już! Idą!

Na przedzie jakaś dziwna orkiestra. Same organki i bęben. Ale grają dobrze. „Wesół i śmiały, dzielny choć mały — oto jest chłopak zuch". Za orkiestrą musi być coś wesołego, bo wszyscy się śmieją. Aha, to gromady z Szopienic idą na szczudłach trójkami i czasami do taktu przytupują mocno. Tam, za niemi — zuchy bielszowickie na hulajnogach pędzą, szkoda tylko, że za mało mają miejsca na rozpęd.

Z mieczami, tarczami i w hełmach idą zuchy — rycerze z Rudy Śląskiej. Idą poważnie, po rycersku. Jedna z gromad mikołowskich wygląda jakby wprost z Ameryki przyjechała. Prawdziwi Indjanie — wymalowani na czerwono, z pióropuszami na głowie, z kołczanami pełnemi strzał, z tomahawkami za pasem i z łukami, napiętemi do strzału.

Zośka stoi, jak oczarowana. A chłopcy wciąż idą. Idą zuchy — strażacy w kaskach i z toporkami w ręku, górnicy z lampkami i kilofami. Marynarze w białych czapkach niosą duże modele łodzi i śpiewają: „Kto majtkiem na okręcie służy". Potem jakaś gromada pędzi przed sobą duże i małe koła, przystrojone kolorowemi wstążkami. Za nimi skaczą co pięć kroków przez skakanki jakieś inne zgrabne zuchy.

A wdali już widać pstrą linję latawców. Narazie nisko, tuż nad głowami trzymają je zuchy, bo dopiero przed panem wojewodą rozpuszczą sznurki i biegiem popędzą naprzód, aby umożliwić latawcom wzlot. Ulica w tem miejscu dotyka placu, mają więc latawce dość przestrzeni dla wzbicia się w powietrze.

Zosia aż pobladła ze wzruszenia. Wie, że Heniek ze swoim ptakiem ma iść pierwszy, bo jego latawiec najpiękniejszy i najlepiej lata. O, tam, już go widać! Już zaczynają biec! Puszczają! Już, już!...

Co to? Latawiec Heńka opadł na jezdnię! Heniek go podnosi, leci naprzód i puszcza po raz drugi. O Jezusku — latawiec znów opadł! Znów go podrywa Heniek i znów — bęc o ziemię. Boże, co to będzie! Serce Zosi zamarło. Widzi, jak inne zuchy przelatują obok brata, wyprzedzają go, biegną naprzód. Prawie każdy latawiec jest wgórze, bo wiatr dmie dobry. A ptak Heńka? Znów wlecze się po ziemi. O mały włos nie rozdarł go nogą jeden z wyprzedzających Heńka chłopców. Teraz ktoś drugi nadepnął na ogon.

Heniek czerwony, z zaciśniętemi ustami jeszcze próbuje poderwać latawca. Łzy ma w oczach. „Aniele Boży, Stróżu mój, dopomóż puścić latawca!" Pan wojewoda zwrócił głowę w stronę Heńka, który został zupełnie wtyle za gromadą, i patrzy na niego uważnie. „Za chwilę pewnie zacznie się śmiać z Heńka" — myśli Zośka.

Znów podskoczył latawiec wgórę. — I znów opadł na jezdnię. Opadł tak silnie, że zdawało się, iż listewki popękają. Już chyba nic nie będzie z latania. Boże, jaki wstyd! Tuż przed tymi ważnymi panami! A był najładniejszy ze wszystkich i tak dobrze zawsze latał. I miał być pierwszy... A teraz? Nie można już wstrzymać łez.

Zośka nie wytrzymała. Wyskoczyła na środek jezdni, jakby ją ktoś szarpnął do brata. Poderwała z ziemi latawca i wysoko podniosła go wgórę, nadstawiając pod wiatr.

— Rozkręcaj, Heniek, sznur! Więcej, więcej! Pomogę ci puścić. Jeszcze dodaj sznura. Biegnij prędzej, biegnij!!!

Heniek popędził jak szalony naprzód, rozkręcając motek. Po chwili machnął ręką do Zośki. Zośka w biegu puściła latawca, a Heniek rwał dalej.

— Ha — hooo — krzyknęło kilka osób, zadzierając wysoko głowy, żeby zobaczyć gwałtownie wzbijającego się wgórę wspaniałego latawca.

Heniek zwolnił biegu i obejrzał się. O, Boże! Jak cudnie teraz leci! Teraz — to prawdziwy orzeł. Leci tak wysoko, że prawie równa się z dachem województwa. A to ci dopiero wiatr, jak pomaga! Orzeł się szarpie na wszystkie strony, zupełnie jak dzi-

ki ptak. Ludzie oczy podnoszą dogóry i dziwują się głośno. A najgłośniej dziwuje się pan wojewoda. Nawet ręką pokazuje wgórę.

— Dziewczynko!

Zośka ogląda się. Czy to na nią?

— Chodź tu, dziewczynko — mówi niski, szczupły pan.

Zosia czuje, że nogi jej drętwieją. Ojej! Zna tego pana z portretu w szkole. To pan wojewoda. Ojej, teraz pewnie będzie jej wymyślał, że wyskoczyła na ulicę i źle się zachowywała. Co to będzie, co to będzie...

Jakiś pan bierze Zosię za rękę i podprowadza do pana wojewody. Już Zosia nic nie widzi — ani innych panów, ani zuchów, którzy dalej defilują, — tylko widzi oczy pana wojewody.

— Ja, ja bardzo przepraszam... — jąka się dziewczynka. — Ale Heniek to mój brat. I razem robiliśmy latawca. I nie chciał teraz lecieć. I nie chciałam, żeby z Heńka się ludzie śmieli...

— Jesteś dzielną dziewczynką — powiedział pan wojewoda, — jesteś prawdziwym zuchem.

FELIKS BURDECKI

MOŚCICE PRACUJĄ

Kiedy pociąg ruszył z Tarnowa, zniecierpliwiony, płaszczyłem nos na szybie okna wagonu, chcąc ujrzeć czem prędzej rozległe budowle potężnego dzieła, powstałego w niepodległej Polsce, gmachy i zabudowania Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Mościcach.

Nie spotkał mnie zawód. Wprawdzie, powietrze nie odznaczało się wyjątkową przezroczystością, chmury nisko zwisały z nieboskłonu, a z doliny Białej i Dunajca sunęły zwały mgieł i białawym welonem zasłaniały widnokrąg. Wszelako poprzez kropelki pary wodnej, nasycającej atmosferę, wyłoniły się niebawem kontury olbrzymiego warsztatu. Białe ściany gmachów łączyły się w dziwnie harmonijny obraz, całkiem niepodobny do widoku szarych murów fabryk, budowanych na schyłku zeszłego stulecia. Niektóre budowle wyglądały tak pięknie i pogodnie, że początkowo zastanawiałem się, czy rzeczywiście należą do zabudowań fabrycznych, gdyż robią wrażenie raczej pałaców wystawowych, aniżeli ognisk pracy i produkcji.

Nie mam jednak czasu zastanowić się. Pociąg zwalnia biegu, trzeba się przygotować do wysiadania. Po kilku minutach znajduję się w gmachu administracyjnym fabryki i zostaję wprowadzony w tajniki fabrykacji sztucznych nawozów.

Na wstępie dowiaduję się ciekawych szczegółów, dotyczących historji budowy fabryki. Obecnie upływa właśnie około dziesięciu lat od chwili, kiedy zamiar budowy wielkiej nowej fa-

bryki związków azotowych zastał po raz pierwszy wysunięty przez prof. Ignacego Mościckiego, ówczesnego dyrektora fabryk chorzowskich na Śląsku.

W roku 1923 idea budowy Mościc przedstawiała się jako utopja. Było to bowiem krótko po przejęciu przez rząd polski zakładów chorzowskich. Zapotrzebowanie nawozów sztucznych w Polsce było znikome, istniało wówczas prawie wyłącznie na ziemiach zachodnich Rzeczypospolitej.

W takim momencie projekt stworzenia jeszcze jednej, a w dodatku większej, fabryki nawozów sztucznych musiał się spotkać z brakiem wiary w jego gospodarczą i społeczną potrzebę. Wszelako myśl prezydenta Mościckiego sięgała w przyszłość, przewidywała, że Polska, jako kraj wybitnie rolniczy, będzie musiała posiadać swe własne wielkie warsztaty, wytwarzające nawozy sztuczne. W ciągu następnych lat okazało się, że rzeczywiście Chorzów nie może sprostać zapotrzebowaniom nawet wewnętrznego polskiego rynku.

Trudno w kilku słowach dać obraz imponującego wysiłku polskich inżynierów i robotników, którzy w krótkim czasie zbudowali olbrzymi kompleks gmachów fabrycznych, założyli zawiły układ rur i przewodów nad i podziemnych, we wnętrzu których przelewają się płynne surowce nawozów sztucznych. W ciągu zaledwie dwóch lat wybudowano i zmontowano maszyny, generatory i motory, począwszy od najmniejszych, a skończywszy na olbrzymich wieżach absorbcyjnych kwasu azotowego, systemu prezydenta Mościckiego.

Zkolei udajemy się do warsztatu sił, do elektrowni, dostarczającej energji olbrzymiemu zakładowi. Znajdujemy się na dużej, szerokiej ulicy, ciągnącej się wzdłuż wszystkich gmachów. Na prawo znajdują się właściwe warsztaty produkcji, na lewo zaś umieszczono wielkie magazyny, uzyskując w ten sposób niezwykle racjonalne oddzielenie produkcji od magazynowania.

W gmachu elektrowni opiekuje się mną inżynier, kierownik wydziału, który uprzejmie wyjaśnia mi gospodarkę energetyczną w Mościcach. To, czego się tu dowiaduję, bodajże potęguje jeszcze mój dotychczasowy szacunek dla ogromu zbudo-

wanego dzieła. Trzeba tu zaznaczyć, że najlepszym miernikiem wielkości dzieła technicznego jest ilość energji, przez daną fabrykę codziennie konsumowanej. Jest to rzecz całkiem zrozumiała, nie wymagająca bliższych wyjaśnień. Otóż elektrownia w Mościcach wytwarza energję o mocy blisko 25.000 kilowatów.

— To bardzo dużo — wykrzykuję ze zdziwieniem — przecież połączone elektrownie w Żurze i w Gródku na Pomorzu, zasilające w prąd elektryczny takie miasta, jak Gdynia, Grudziądz

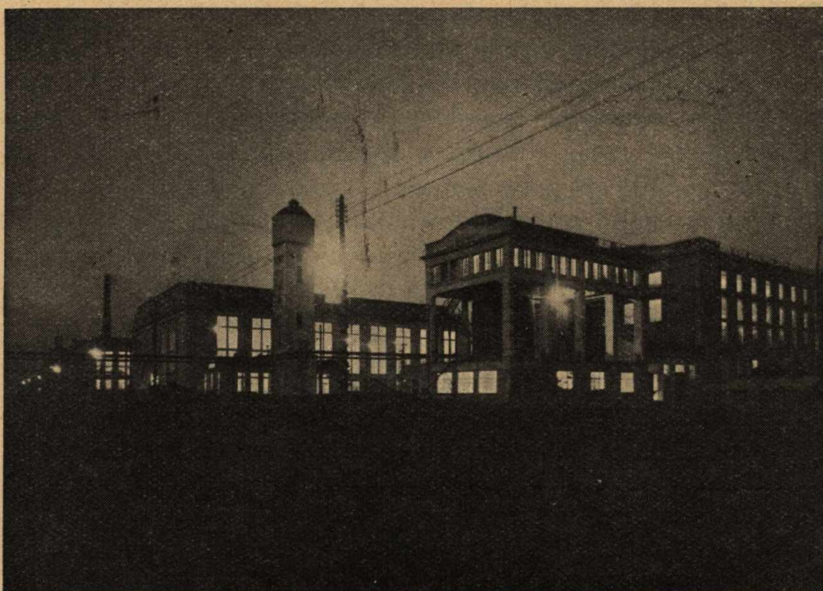


Photo-Plat Mościce w nocy

i Toruń, posiadają moc zaledwie 13.000 kilowatów, a zatem nieco więcej tylko od połowy mocy elektrowni w Mościcach! —

— Nie wątpię wcale, że tak jest — odpowiada spokojnie inżynier — należy jednak uwzględnić, że nasze zapotrzebowanie energji jest rzeczywiście bardzo duże. W ciągu dziewięciu dni fabryka w Mościcach pochłania tyle mniej więcej energji, co całe miasto Tarnów w ciągu jednego roku! Jedna tylko hala ob-

ciąża elektrownię sumą 3800 kilowatów, jest to dwa razy tyle, ile daje elektrownia bydgoska przy maksymalnem zapotrzebowaniu!! Najwyższe obciążenia elektrowni lwowskiej, krakowskiej i warszawskiej razem nie dorównywają zapotrzebowaniu Mościc.

— To nadzwyczajne! — wyrywa mi się z ust. — Sądzić należy, że wobec tak wielkiej własnej konsumpcji energji elektrownia może z łatwością dostarczać ponadto prądu elektrycznego dla okolicy.

— Oczywiście! Projektowana jest elektryfikacja całej okolicy, dużego obszaru, sięgającego na południu do granicy państwa, na zachodzie do Bochni, na wschodzie do powiatu rzeszowskiego, a na północy do brzegów Wisły, nawet łącznie z częścią powiatów pińczowskiego i stopnickiego, położonych na lewym brzegu rzeki. Fabryka w Mościcach kosztowała łącznie z robocizną 101 miljonów złotych. Z punktu widzenia gospodarstwa społecznego sama budowa fabryki dawała wyniki wybitnie dodatnie, dostarczyła bowiem pracy tysięcznym rzeszom robotników w najróżnorodniejszych działach przemysłu, i to więcej niż w 95-ciu procentach robotnikom polskim. Wprawdzie, w obecnych kryzysowych czasach włożony kapitał się nie amortyzuje, jednak, mimo trudnego położenia gospodarczego, fabryka nie daje deficytów, jest już całkowicie samowystarczalna i przy niedużym wzroście zapotrzebowania da niewątpliwie skarbowi państwa poważne zyski, nie mówiąc już o niesłychanie doniosłej roli, jaką spełnia istnieniem swem i wytwórczością na niwie podniesienia kultury rolniczej w naszej ojczyźnie.

Kiedy w jakiś czas potem kierujemy się do kotłowni, inżynier dorzuca:

— A czy pan wie, ile kosztował słynny amerykański olbrzym powietrzny, „Akron"? Około 80 miljonów złotych, czyli prawie tyle, ile fabryka w Mościcach. Kapitał, włożony w budowę Akronu zgóry był przeznaczony na nierentowność, w dodatku amerykański potwór powietrzny pewnego pięknego dnia zanurzył się w falach Pacyfiku i znikł nazawsze — zaś nasze Mościce pracują i stały się nadzwyczaj ważnym czynnikiem w twórczości i gospodarstwie Polski.

Znajdujemy się w kotłowni. Sześć dużych kotłów, opalanych miałem węglowym, wytwarza parę, która zkolei wprowadza w ruch potężne turbiny — generatory elektryczne. Ciekawe jest urządzenie, automatycznie doprowadzające miał węglowy do ognisk. Przed kotłownią znajdują się podziemne bunkry, do których wprost z wagonów zsypuje się miał. Stąd węgiel dostaje się do kubełków elewatora, które unoszą miał aż pod sufit i zsypują go do zbiorników nad kotłami. Z owych zbiorników węgiel dostaje się poprzez szerokie rury bepośrednio na ruszty poszczególnych kotłów. Warto jeszcze wspomnieć, że owe ruszty są ruchome i tworzą rozpiętą między dwoma walcami taśmę bez końca. Miał węglowy po oddaniu swej energji cieplnej pod kotłami zostaje więc całkiem automatycznie usunięty z pieca.

Przechodzimy do hali turbin. Olbrzymie turbo-generatory, pracując i wytwarzając prąd elektryczny, nucą swój niski, basowy akord.

Każda elektrownia jest z natury rzeczy hurtownią, bowiem wytwarza prąd o wielkiej mocy. Tę wielką ilość energji trzeba podzielić i przekazać poszczególnym podstacjom i oddziałom fabrycznym. W hali nastawczej, do której zkolei przechodzimy, odbywa się ten podział sił. W Mościcach aparatura, zapomocą której kieruje się podziałem i natężeniem prądu, umieszczona jest w obszernej hali, o wyjątkowo estetycznym wyglądzie. Jeden pracownik może być sternikiem ogromnego potoku energji. Ponad tablicami rozdzielczemi znajduje się szczegółowy i bardzo ułatwiający orjentację schemat połączeń, zaopatrzony w sygnalizację świetlną. W wypadku nadmiernego dopływu prądu do jakiegoś działu fabryki granie syreny i sygnał optyczny odrazu zwracają uwagę najbardziej nawet opieszałego dyżurnego.

Z elektrowni przechodzę do następnego oddziału, do wytwórni gazu wodnego.

Byłoby rzeczą bezcelową opisywać dokładnie wszystkie procesy produkcji i przedziwne aparaty chemiczno-fizyczne, wzbudzające podziw i utajoną bojaźń niezrozumienia w sercach laików, niewtajemniczonych w tajniki przyrody. Ograniczymy

się więc do bardzo pobieżnego naszkicowania zasadniczego, głównego procesu produkcji w fabryce w Mościcach.

Głównym składnikiem wszelkich nawozów sztucznych jest amonjak. Produkcja amonjaku musi więc z natury rzeczy być zasadniczym procesem fabrykacji w Mościcach. Amonjak powstaje przez chemiczne połączenie się dwóch gazów, mianowicie wodoru i azotu. Wodór — to główny składnik wody, tej zwykłej wody, w dowolnych ilościach płynącej w naszych rzekach, azot

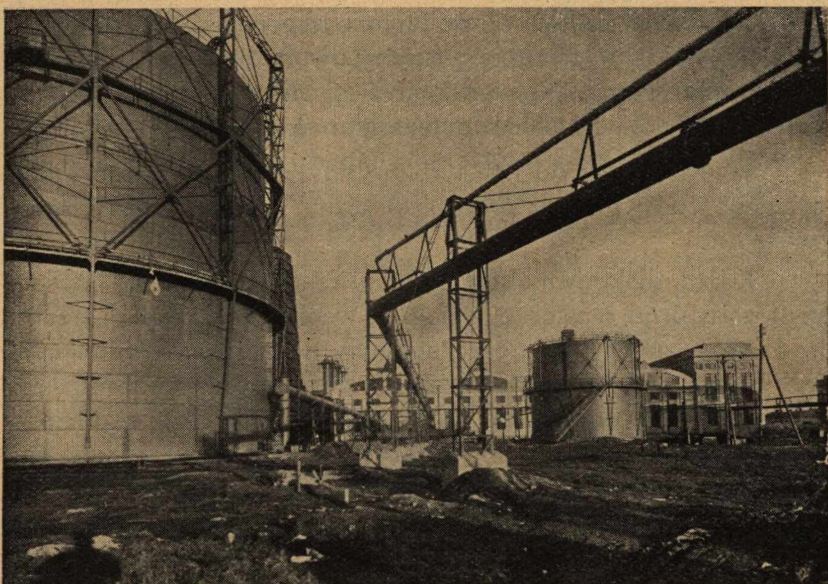


Photo-Plat Mościce — zbiorniki

zaś zawarty jest w powietrzu, w ilościach praktycznie nieograniczonych. Stąd widzimy już, że cała fabrykacja amonjaku będzie polegała na oddzielaniu wodoru i azotu z wody, względnie z powietrza, a następnie na połączeniu tych gazów, czyli, jak mówią chemicy, na ich syntezie.

Oddział generatorów gazu wodnego i tak zwanej konwersji przedstawia pierwszy etap otrzymywania wodoru. W wytwórni tej, jak we wszystkich zresztą oddziałach fabryki, narzuca

się uwadze tendencja ograniczenia do minimum wysiłku fizycznego człowieka. Praca człowieka ogranicza się tu tylko do obserwacji światła aparatu sygnalizacyjnego i przestawiania na dany sygnał odpowiedniej dźwigni. Wszystkie inne funkcje, nawet skomplikowaną analizę składu chemicznego produktu wykonywają samoczynnie automaty.

Przechodzę kolejno przez szereg olbrzymich hal fabrycznych, w których produkuje się amonjak oraz inne potrzebne w rolnictwie związki azotowe. W niektórych oddziałach odczuwam żar, wyzwalających się przy procesach chemicznych znacznych ilości ciepła, to znów staję w zdumieniu na widok białolśniących, grubych obręczy szronu i lodu, opasujących rury przewodów w tych miejscach, gdzie następuje proces ochładzania się chemicznych związków.

Inżynierowie starają się szczegółowo i dokładnie wyjaśnić mi znaczenie i działanie każdej maszyny. Od czasu do czasu rozmowa schodzi na temat powstania fabryki. Dowiaduję się wielu ciekawych szczegółów. Przeważnie wrogie stanowisko wobec budującego się wielkiego warsztatu pracy zajmowały zagraniczne sfery gospodarczo-techniczne. Stanowiskiem swojem sprawiły, że w wielu wypadkach opracowane zostały własne polskie metody produkcji, niegorsze od zagranicznych.

Bardzo interesujący epizod zdarzył się przy uruchamianiu jednego z nowych oddziałów fabryki. Specjalnie z zagranicy sprowadzeni fachowcy mieli być instruktorami i zapoczątkować produkcję w nowym warsztacie. Okazało się, że używane w Mościcach polskie surowce wykazują pewne odrębne, niespotykane zagranicą własności fizykalne i wobec tego ustawicznie następowały przerwy w produkcji. Przez szereg tygodni zagraniczni specjaliści nie potrafili opanować sytuacji, i wreszcie skapitulowali i opuścili fabrykę w przekonaniu, że nowy oddział nie będzie mógł pracować.

W trzy dni po ich odjeździe polscy inżynierowie uruchomili oddział.

WŁADYSŁAW ORKAN

TATRY

Weszli na drogę, wiodącą stromo, jak po ścianie, na wierch Obidowca. Gorączka owładnęła naraz wszystkie serca.

— Kto pierwej dojdzie?

— Kto naprzód ujrzy Tatry?

Słońce już czerwonem kołem sparło się na ramieniu Babiej Góry.

— Wartko! — przyśpieszał Franek. — Bo wnet może zajść, i nie ujrzymy.

Sam lekko przeskakiwał powalone głasy, podając rękę Hance, gdzie większe zwaliska. Nikt już nie mówił nic. Niewiastom pot zalewał oczy, dyszały głośno, lecz nie ustawały.

— Nareszcie! — krzyknął Franek, stając na polanie. — Ale jeszcze do wierchu spory kęs... Przynajmniej głazów niema i nie tak skalisto...

Oddychali na jeden moment i szli dalej wartko, bo już daleko lekcej było iść po trawie miękkiej. A dochodząc do wierchu, poczęli prawie biec — serca niewiast biły mocno. Franek promieniał. Pierwszy też dobiegł szczytu i z triumfem szczerym olśnionych dusz zawołał:

— Tatry!..

Stały przed nim w ogniu zachodzącego słońca — olbrzymie, krwawe... Podnóża ich zastępowała góra przeciwległa, i nie widać było, skąd wyrastają. Zdawało się, że za tą górą

morze się rozlewa — i one wyskakują z niego prosto w niebo ogromem rdzawych ścian porysowanych, przebijając błękit wgórze ostremi szczytami.

Stały wysoko w ogniu, oblane skrzepłą krwią świecącą; była w nich skamieniała hardość i potęga i martwa duma konających przed światem olbrzymów.

— Tatry... — powtórzył Franek uroczyście, gdy niewiasty stanęły przy nim.



Photo-Plat Tatry

— Tatry... — szepnęły wszystkie trzy i nie rzekły więcej ani słowa.

Szła bowiem od nich moc potężna, która nakazywała milczenie.

Wszyscy poczuli w sercach swoich, że ich owiało dziwne tchnienie. Coś, co zapiera oddech w piersi, tamuje wyrazy, budzi nieznane jakieś dreszcze, rozkoszne i święte.

Bo tak owiewa serca ludzkie dziwne tchnienie Tatr.

Patrzyli długo.

Niewiasty pierwsze ocknęły się i poczęły szeptać między sobą.

— Tak bliziutko się zdaje, choć to przecie mile...

— Kto hań zdole wyjść na takie ściany?

— Na takie turnie ociesane...

— A przecie ludzie idą.

— Chyba po swoją śmierć! Bo trudno, żeby ich Bóg uchronił i strzymał w powietrzu...

— Ale to góry, góry!

— Na całym świecie może takich nima...

— Skąd one się tu wzięły? Powiadają, że skały rosną. Odkąd one muszą róść!

— To nie wiecie o tem — szepnęła Zośka — jak święta Kunegunda... Ale to wam po drodze, idęcy, opowiem, żeby i Franek słyszał.

Spojrzały na niego.

Stał obok, zadumany, z zaplecionemi rękami na piersiach i patrzał ku Tatrom... Oczy, jak lunatykowi, błyszczały szeroko, i źrenice świeciły iskrami. Po twarzy jego bronzowej migały często płomienie łyskliwe i, krwawiąc ją na jedno okamgnienie, gasły. Z odkrytego czoła jego widniała duma i jakby wyzywanie śmiałe nieznanych sił...

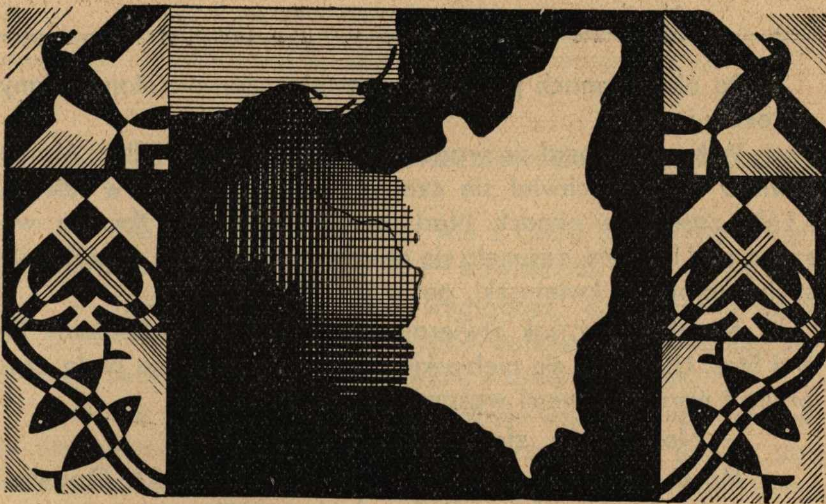


Photo-Plat Góral grający na kobzie

WŁ. TETMAJER

KU MEJ KOŁYSCE LECIAŁ

Ku mej kołysce leciał od Tatr
O skrzydła orle otarty wiatr,
O limby, co się patrzą w urwisko —
Leciał i szumiał nad mą kołyską.
I w serce moje na zawsze wlał
Tęsknotę do orlej swobody, skał
I tę zadumę limb, co się, ciszą
Wielką objęte, w pustce kołyszą.



ANNA i JERZY KOWALSCY

NIEŚMIERTELNY ZAUŁEK

I.

Marek budzi się. Widzi odbity w lustrze sąsiedni salon. Przymyka oczy. Łóżko ugina się, wyciąga i rusza z miejsca. Koła uderzają rytmicznie.

Za otwartem oknem wagonu przesuwają się bory sosnowe, poszyte brzeziną. Długo płynie jakby taśma filmowa, natkana szpilkami, poprzedzielana pręgami pni rdzawych. Znowu brzozy: wysoko wystrzelają fontanny wiotkich gałęzi i opadają szmerem seledynowych listków — serc.

Szeroko rozlewają się rzeki. Woda stoi nieruchomo. Lecą nad nią czarnemi znakami gęsi i cyranki. Wolno przesuwają się białe kępki obłoków, odbitych w wodzie. Przy nasypie kolei rosną trzciny. Sucho trzeszczą badyle. Chyba pociąg się zabłąkał, bo tu już musi się świat kończyć.

Po obu stronach pociągu wyrastają czarno-zielone ściany smreków i sosen.

Wilno. Szarpnął się wagon i serce śpiącego. Wilno. Marek otwiera oczy. Zachwiał się czerwony salon, odbity w lustrze, i żółte zasłony w oknach. Nad szaro-żółtą niciana tkaniną, wiszącą nad łóżkiem, zesunęła się palma wielkanocna i zaszeleściły sucho kolorowe kwiatuszki, gęsto ją oplatające.

Marek słyszy, jak otwierają się cichutko drzwi salonu. To wuj Staś. Uśmiecha się niebieskiemi oczyma, potrząsa białą czupryną i porusza siwemi wąsami, jak królik.

— No, i jakże, złociusieńki, spałeś?

Marek ściska wuja. Śmieje się, bo mu jakoś lekko. Opowiada, jak drugi raz we śnie odbył podróż do Wilna, i już nie chce wyjść, bo przecież przyjechał po raz pierwszy w życiu do miasta rodzinnego swoich rodziców. Znał je z wielu opowiadań, mieszkał w niem wszystkiemi myślami, zanim tu przyjechał. Siada na łóżku i resztki snu ogania z czoła.

— Nigdy nie zapomnę tych lasów, wód i tej... pustki... Wiesz, wuju, od Grodna oblewa was ocean sosen. Przeląkłem się, czy dojedziemy jeszcze do jakich ludzi. Chyba tak samo wyglądało tam po stworzeniu świata!

— Eeee, przyjeżdżasz z Paryża, gdzie więcej cementu, niż drzew! — rzekł wuj trochę obrażonym głosem. — No, pośpiesz się, złociusieńki. Zobaczysz, że i tu budowali. Długie stulecia majstrowały koło naszego miasta. Może ci się ta nasza Polska nie spodoba, bo nie taka zabudowana, jak Paryż. A ja się zabieram, bo dziś otwieramy wystawę rolniczą. Oleś już czeka na ciebie. — Wycałował go z dubeltówki, jakby Marek wyjeżdżał w daleką podróż. — A na obiad się nie spóźnijcie!

Marek rozsunął zasłony u okien. Rozbłysło niebo, tak soczyście niebieskie, że wpatrzył się w nie, jak w przypomnienie. Tyle z tego nieba spłynęło żalów i tęsknot rodzicielskich, właśnie za niebieskością zawieszoną nad Wilnem, że odrazu już tam wgórze odnalazł ojczyznę. Była to pierwsza rzecz, jaką zauważył owego ranka w Wilnie.

II.

Oleś czekał już na niego. Wieczorem po przyjeździe chwilę tylko z sobą rozmawiali.

— No, i co tam w Paryżu? Ale z ciebie szczęśliwy chłop, żeś się w takiem mieście urodził! — powiedział.

— Całkiem na Francuza wyglądasz, chociażeś z ojca i z matki Polak! — rzekła krytycznie wujenka, przypatrując się smagłej twarzy Marka i bronzowym, wesołym oczom.

Marek czuł, że każda chwila pobytu wśród swoich odrabia w nim siedemnaście lat cudzoziemszczyzny. Może już za godzinę, za jeden dzień najwyżej będzie śmiał się tym swoim śmiechem, który był na wargach rodaków wileńskich, i będzie mówił gromkim głosem ich gardeł.

Chwycił wujenkę za ręce. — Ale tylko wyglądam! A wujenka jakby wolała? — zapytał figlarnie.

Wujenka zaperzyła się: — Co ty myślisz, że cię tu kto nawraca? Nie bój się, możesz być, czem zechcesz! — dorzuciła z przekorą. Jej siostra naparła się jechać do Paryża i tam wyszła zamąż za Polaka z emigracji. Malwina tak się bała o ich dziecko, żeby nie sfrancuziało, aż wreszcie doprosiła się ciągłem wysyłaniem zaproszeń, że Marek przyjechał w odwiedziny do nich. Wpatrzyła się w niego badawczo. Przynajmniej mowy polskiej go nauczyli, a o resztę ona sama się postara.

— Mówże, Marku, co tam słychać! — Olek czekał z otwartemi szeroko oczyma i nawpół uchylonemi ustami, jakby miał usłyszeć dalszy ciąg jakiejś najmilszej melodji.

— Co słychać? Tej wiosny był wielki urodzaj konwalji — żartował Marek.

Siedli do stołu. Malwina podała im talerz wędzonej szynki.

— Jedzcie, bo się zgonicie. A może ty nie jadasz surowej szynki?

Ale on już jadł. Zachwyt Olka trochę go zbił z tropu. Mury wileńskie pewnie zostały takie same, jakie wspominali rodzice. Ale jacy będą ludzie?

— Czy tu jeszcze zawsze tak mocno przejmują się zagranicą, jak w czasach, o których pisze Mickiewicz w „Panu Tadeuszu?".

Wujenka promienieje. Ot, i „Pana Tadeusza" znał, złociusieńki. Więc już bez urazy odpowiedziała:

— E, nie! Bardzo kraj wytrzeźwiał i dla siebie ma wszystkie zachwyty. Oleś i w Warszawie jeszcze nie był. Tylko proszę cię, bardzo mu naszego Wilna nie obrzydź, bo on tu rodzony. Znowu stłumiła w sobie podejrzenia i postanowiła czekać.

Ulica Mickiewicza była czysta i chłodna. Po okrągłych kamieniach jezdni stukały kopyta koni dorożkarskich. Dzieci wiejskie podeszły do Marka z bukiecikami przylaszczek na talerzykach. Oleś pokazywał mu z dumą nowoczesne gmachy.

— A tam, za zakrętem wgórze jest Pohulanka, gdzie się odbywały majówki filareckie?

— Toś ty chyba w Paryżu uczył się mapy Wilna napamięć! — zdziwił się Oleś.

Marek zarumienił się.

— Nie mapy. Najpierw rodzice opowiadali, a potem czytałem naszych poetów. Weźmy dorożkę!

Już chodzili wśród ogromnych sosen.

— Dziwne — rzekł Marek. — Byłem w lasku pod Paryżem, w Fontainebleau. Tam Mickiewicz chodził z dziećmi szukać w lesie grzybów litewskich i pewnie wspominał ten las. Pokazał na drogę — tędy Słowacki jeździł konno z Ludwiką Śniadecką. Oleś, wróciłem do cudownej młodości tych, których kocham.

Wsiedli zpowrotem do dorożki, i zajechali na przeciwną stronę ulicy Mickiewicza, pod górę Zamkową.

— Rosjanie zburzyli zamek. Została tylko wieża, — objaśniał Oleś. — Z cegły to. Musiałeś widzieć ładniejsze zamki!

— Zapewne, — rzekł Marek. Ale gdybyś ty się uczył polskiego języka na „Grażynie" Mickiewicza i „Mindowem" Słowackiego, jak ja śród obcego narodu, toby dla ciebie ta wieża była wielką częścią odnalezionej ojczyzny.

— Zamki Mendoga i Gedymina są w Lidzie i Nowogródku. Chcesz, to wybierzemy się tam! Ruin jest dosyć! — mówił Oleś. Może zato kiedyś oprowadzisz mnie po Wersalu?

Stali pod wieżą. Poprzez gałęzie, ledwo dopiero pączkujące, patrzyli na Wilno, wsparte na kolumnach. W mrowiu budowli kościoły wyrastały, jak domy wielkoludów.

— Moja Wilja! — powiedział Marek.

— To ja się urodziłem nad Wilją, a ty nad Sekwaną! — Oleś trochę już był dumny, że Marek tak sobie przywłaszczył jego dziedzictwo.

— Tak, widzisz — mówił Marek — tyś tędy chodził codziennie, a ja codziennie rozmyślałem o tem wszystkiem. Ja tylko sobie wyobrażałem.

— A jak ci się teraz wydaje? — zapytał Oleś. Żądał słów, a Marek ciągle jeszcze rozmyślał i okiem przebiegał wszystkie budowle, jak ten, co przebiegając palcami ziarna różańca, odmawia modlitwę.

Zeszli z góry, przecięli skwer i znaleźli się na ulicy Zamkowej. Marek przypatrywał się twarzom studentów i studentek i doszukiwał się w nich jakiegoś podobieństwa do wyśnionych postaci z dzieciństwa.

Weszli w dziedziniec uniwersytetu. Wokół podsienia, ztyłu wieże Św. Jana, bukszpanowe krzaki pośrodku, wszystko okolone ciszą doskonale jasnych murów. Wypielęgnowana czystość wyglądała z wszystkich zakamarków. Dziedziniec był pusty, bo młodzież rozjechała się na ferje wielkanocne. Rozpościerała się tu dostojność zaklętej w tem miejscu przeszłości. Uniwersytet Stefana Batorego, wskrzeszony do nowego życia przez Wodza!

Marek chodził po Wilnie, myśląc ciągle o przeszłości, ale przecież zaczynał już widzieć nietylko męczeńskie Wilno „Dziadów“ i wspomnień ojcowskich, ale Wilno zwycięskie, ocalone przez Marszałka Piłsudskiego dla Polski.

Wstawał nowy urok. Bo i to Wilno, jak owo zaklęte na dnie jeziora miasto, całe spoczywa w uroku ziszczonych nadziei. To

miasto, gdzie zwyciężyła poezja, przekonywało Marka, że warto walczyć z silniejszym, że miłość może ocalić. Dobre dla duszy było to miasto.

Wchodzili z jednej kamienicy do drugiej przez dziedzińce, ogródki, sienie, jakby budowane dla zabawy w chowanego. Łuki przechodziły nad uliczkami. Wysoko nad domami wznosiła się niebieska synagoga na dwu rzędach kolumn drewnianych.

Brzegi chodnika i ścieki, bielone wapnem, biegły przed



Photo-Plat Wilno. Katedra

Markiem, jak szyny okrężnej kolejki. Stanęli na wielkim placu przed ratuszem. Pod kolumnami ciągnął się rząd dorożek.

— Siadajmy! — radził Oleś. Marek wstrząsnął się. — Eh, siadajmy, przecież to nie kibitki, — podjechali pod Bazyljanów. Dorożkarz ruszył, aby czekać na nich za Ostrą Bramą. Oleś porównywał więzienie do Bastylji, ale Marek nie słuchał. Pamiętał swoje osłupienie, kiedy po klasycystycznych utworach poetów

francuskich przeczytał Improwizację. W murach Bazyljanów poczęła się ta wolność, którą nosili Polacy przez sto lat w sercach, aż teraz nią oddychają. Wychowani do wolności, są wolni.

Oleś spostrzegł się, że przechadzka po Wilnie zamienia się dla Marka w pielgrzymkę, więc umilkł. Stromy chodnik zawiódł ich na ulicę Ostrej Bramy, owego kościoła bez dachu. Ludzie klęczeli na bruku i modlili się. Tu się działo na oczach to, co Marek starał się dotychczas ukryć w sobie: cała jego droga po Wilnie była przecież jedną modlitwą.

Wracali pieszo. Weszli zpowrotem w ulicę Zamkową, aby odpocząć w dziedzińcu domu, gdzie mieszkał Słowacki. Stara wiśnia pod oknami mieszkania wyginała ramiona nad ogródkiem poety.

Za dziedzińcem strażowały wieże Św. Jana. Ten odpoczynek rodził radosne myśli w Marku. Wilno dnia dzisiejszego stawało się promienniejsze od Wilna wieszczów, bo wszak było napowrót polskie.

— Mama kazała zrobić obiad z samych potraw wileńskich. Jeżeli się spóźnimy, sprawimy jej wielką przykrość! — przypomniał Oleś, srodze już głodny.

— Wracajmy więc! — rzekł Marek. Zresztą, żaden jego krok po Wilnie nie był stracony. Śpiesząc ku domowi, znaleźli się w Zaułku Bernardyńskim. Jasno tu było, głucho i pusto. W wąskiej uliczce, jak w tunelu, słychać było zbliżające się kroki.

Z piętrowego domku o niebiesko-zielonych okiennicach wyszła gromadka chłopców szkoły powszechnej. Z ściągłych twarzyczek patrzyły niebieskie, uważne oczy.

Przeczytali tablicę pamiątkową na ścianie i weszli. — Na chwilę! — usprawiedliwiał się Marek.

Pod gankiem, ciemny mały pokój. Oczy Marka uważnie przesuwają się po zielonych liściach spełzłego malowidła.

— W tym pokoju skrzypiało pióro młodziutkiego Mickiewicza, gdy przepisywał „Grażynę" — rzekł do Olesia. Dziwne to uczucie, być w pokoju, gdzie powstawały pierwsze utwory poetów. Nigdy potem tu już nie wrócił, a my, którzy tu jesteśmy, to jakbyśmy przyłapywali poetę u jego źródeł, my więcej już

o nim wiedzący, niźli on wówczas o sobie wiedział. Nie umiem ci wytłumaczyć mojego wzruszenia. To było pierwsze dzieło Mickiewicza, które ojciec dał mi do czytania. Musiałem nieraz pytać rodziców o znaczenie wyrazów, bo nie rozumiałem jeszcze dobrze języka naszych pisarzy.

— Ach, ty pierwej czytałeś po francusku, niż po polsku! — rzekł Oleś w zamyśleniu. — Ja najpierw czytałem Vernego, ale naturalnie po polsku!

— Proszę cię, Olesiu, nie mów tak, przynajmniej tutaj. Zrozum, że nie szło mi o przygody Grażyny. Mnie w szkole męczyli historią Joanny Orleańskiej, a w domu czytywałem Grażynę. Nie czujesz, że znalazłem w niej coś, co mi ogromnie ułatwiło być w Paryżu, no, choćby twoim, Olesiu, bratem?

Marek spojrzał nabożnie na skromną tablicę nad drzwiami pokoju z napisem „Grażyna" i pociągnął Olesia ku wyjściu.

Wracali nieśmiertelnym Zaułkiem. Pola Elizejskie Paryża są najpiękniejszą ulicą świata. Ale zaułek Bernardyński oświeca wielka poezja.

MOWA POETÓW

Opatrzność, tworząc narody, hojnie obsypała naszych praojców rozlicznemi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie; dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów.

Ale nie był to jeszcze kres darów. Możnaby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: — Oto nadomiar wszystkiego daję wam śpiż dźwięczny a niepożyty, taki, z jakiego ludy, żyjące przed wami, stawiały posągi swym bohaterom: daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczyńcie mowę waszą. —

I została ta mowa, niepożyta jak śpiż, świetna i droga, jak złoto, jedna z najważniejszych na świecie, tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze śpiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas poczęła śpiewać ta polska harfa i wyśpiewywać dawne życie. Czasem huczała, jak grzmot w górach; czasem unosiła się ponad równinami; czasem w skowronkowych tonach dźwięczała nad polami — błogosławiąca i błogosławiona, czysta, jak łza, — Boża, jak modlitwa, — słodka, jak miłość.

Aż przyszedł wreszcie do tej harfy największy z mistrzów, Mickiewicz, i, położywszy na niej natchnione dłonie, wydostał z jej strun takie dźwięki, jakich nie domyślano się przed nim. Pieśń ta kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemska, że wówczas nawet, gdy przestawał grać...

...wszystkim się zdawało,
że wielki mistrz gra jeszcze, a to echo grało...

Echo serc polskich... I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — wszystko, co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosłe i najpiękniejsze w świecie.

Więc zdawać się mogło, że po nim i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu i że ozdoby a doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

A jednak znalazł się poeta, który to uczynił.

. . . .

Lećcie u zorzy prosić purpury,
Pereł u rosy, szafiru u chmury,
A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić —
To tęczę wziąć na wrzeciona
I wić, i wić, i wić.

Tak jest! On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających djamentów i osypał niemi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w niebywałym blasku, przepychu i majestacie, niby Harfa-Królowa, przed którą gną się kolana ludu i schylają się czoła ludu, jak ongi przed harfę Dawida. I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość.

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić? A jednak uczynił. Zdołał — bo poezja w jego duszy była, jak nieprzebrane wody mórz, a mógł, bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królewną zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył, była i będzie nietylko żywa, ale i nieśmiertelna.

— — — — — — — — — — — — —

Mowę tę wygłosił Sienkiewicz w roku 1899 przy odsłonięciu pomnika Juljusza Słowackiego w Miłosławiu, w Poznańskiem.

JAN WIT BANACHOWICZ

STRZELECKA DRUŻYNA

Dużo miała ciekawych rzeczy dla Pietrka Niczypora rodzinna wieś Krupowo. Była to bowiem wieś duża, zawsze pełna ludzi i gwaru, z gminą, kościołem, szkołą, którą właśnie Pietrek ukończył, i innemi urządzeniami publicznemi. Jednak najciekawszem miejscem w całej wsi była stanowczo dla Pietrka świetlica strzelecka.

Gdy tylko powstał oddział Związku Strzeleckiego i założono świetlicę, a było to coś ze dwa lata temu, Pietrek często wieczorami podkradał się pod jasno oświetlone okna i patrzał, jak znajome chłopaki, łobuzy jak się patrzy, siedzą poważnie i czytają gazety, albo też grają w warcaby, czy słuchają uważnie wykładu. Było lato i okna świetlicy stały otworem, skulony więc pod któremś z nich Pietrek mógł z łatwością przysłuchiwać się wykładom. Do nauki to on się tam nigdy zbytnio nie rwał, a gdy pan nauczyciel dłużej jakąś rzecz objaśniał, to sobie Pietrek zwykle ucinał rzetelną drzemkę. Tu jednak było co innego. Zaraz na drugi dzień podsłuchów Pietrka, przyjechał z pobliskiej Lidy pan kapitan i mówił o powstaniu Strzelca jeszcze przed wojną. Opowiadał, jak to młode chłopaki ze szkoły ćwiczyły ukradkiem o świcie, jak później ci sami 16—17-letni chłopcy wyruszyli na bój z Komendantem. Mówił, jak żyli i jak umierali, opowiadał o bohaterskiej śmierci szefa oddziału krupowskiego Strzelca, kapitana Herwina-Piątka, który, mając bok tak rozwalony szrapnelem moskiewskim, że mu płuca przez gołe żebra

widać było, nie pozwolił się opatrzyć pierwej, aż wszyscy jego ranni żołnierze zostali opatrzeni. A mówił to tak pięknie, że zasłuchany Pietrek ani spostrzegł, iż to już późna godzina i nie poczuł łez, płynących mu po twarzy.

Innym razem pan sierżant pokazywał granaty ręczne i objaśniał ich działanie, a Pietrek tak się zaciekawił, że aż wlaził na parapet okna, żeby lepiej widzieć.

To znów komendant oddziału opowiadał, co to jest państwo polskie, jakie ma względem niego obowiązki obywatel, i tłumaczył, dlaczego te obowiązki wypełniać trzeba. Pietrek może nie wszystko z tego zrozumiał, ale słuchał z uwagą, boć przecież mówił to sam komendant w mundurze, a Pietrka dziwnie ciągnęły mundury i karabiny.

Nieraz wyłaził o szarym świcie ze stodoły — swej sypialni, aby patrzeć, jak strzelcy maszerują raźno na ćwiczenia, które musiały się skończyć przed rannym udojem. Pod jesień, kiedy wieczorne chłody kazały zamykać okna i Pietrek nic już usłyszeć nie mógł, zebrał kiedyś odwagę i wślizgnął się do świetlicy. Właśnie pani nauczycielka ze szkoły Pietrka mówiła o tem, jak to dawniej, przed wiekami w Polsce bywało. Pietrek chwilę słuchał, ale że znał już to wszystko ze szkoły, wprędce znudziło mu się i zaczął przeszkadzać słuchającym, ciągnąc ich za rękawy i zagadując, aż, zniecierpliwieni, wyrzucili go za drzwi, przyłożywszy parę szturchańców na pożegnanie.

Od tego czasu ambitny Pietrek zawziął się na Strzelca. Minęły dwa lata, a on pod świetlicę nie zachodził i o Strzelcu starał się zapomnieć. Ot i teraz widział, jak jedna ich drużyna całemi rankami maszerowała po szosie i polnych bezdrożach. Słyszał, że są to przygotowania do trzydniowego marszu „Szlakiem Kadrówki". Wiedział nawet, co to za marsz, boć uczył się w szkole o Strzelcach Piłsudskiego i marszu ich kadrowej kompanji, ale nie chciał się nawet Strzelcom przyglądać.

— Co mi tam — myślał głośno — niech sobie robią, co chcą. Te „strelcy" — dodawał pogardliwie z białoruska, jak to czynił jego starszy brat, największy pijak wśród miejscowej młodzieży.

A Strzelcy biegali po szosie i biegali, aż wreszcie pojechali do Krakowa na marsz.

— Szmat ziemi przejadą — myślał o nich z zazdrością Pietrek. — Noc i dzień w kolei im zejdzie. Warszawę i Kraków zobaczą. A człek co? Lidę widział, a do Wilna i to ojcowie puścić nie chcą. Tfu! — splunął wściekły, ale już nie dodał jak zwykle — takie „strelcy". — Zaczynał mu bowiem wracać szacunek dla Strzelców.

Niby to cała wieś odnosiła się do tego wyjazdu na marsz z pobłażliwem niedowierzaniem, a byli i tacy, co wprost prześmiechy sobie ze Strzelców robili i kpinkowali z nich na potęgę. Bo i gdzież to im, trzynastu Krupowiakom pchać się tam, gdzie cała Polska będzie? Wiadomo jednak było, że to głównie zazdrość przez ludzi przemawia. Bo i jakże, nietylko, że pojechali w tyli świat, nie dość, że im dali pieniędzy na drogę, ale jeszcze okazywali im tyle honoru, że aż sam pan kapitan półciężarowem autem z Krupowa na kolej ich odwoził. I to nie w cichości jechali, ale z pompą. Strażacka orkiestra im grała, a cała wieś gapiła się na nich! Im bardziej jednak zbliżali się marszowcy do kieleckiej mety, tem więcej prześmiechy ustawały i ludzie zaczynali kalkulować, a może... może jednak...

Wreszcie w dniu zakończenia marszu o niczem innem już we wsi nie mówiono. Pietrek zapomniał o obrazie i cały rozgorączkowany snuł się pod świetlicą, gdzie zastępca komendanta oddziału siedział przy aparacie radjowym. Usłuszał z głośnika wiadomość, że Krupowiacy zajęli drugie miejsce. Popędził też, jak strzała na plac przed kościołem, gdzie z wrzaskiem oznajmił radosną nowinę.

— Nie może być?! — powiało powątpiewaniem wśród zgromadzonych gospodarzy i parobków, ale w tej chwili wyszedł na plac pocztmistrz i potwierdził.

— Dzicie ich, jak się postarały chłopaki — padało raz po raz z tłumu.

— Maładcy strelcy — dopowiadali białorusini.

A w dniu powrotu drużyny do Krupowa niemal cała wieś

brała udział przy budowie wielkiej bramy triumfalnej z napisem ugóry: „Witajcie strzelcy".

Pietrek jednak nie czekał przy bramie, a zabrał się na jakąś furę i pojechał do Lidy witać zwycięzców na stacji. On pierwszy z całej wsi widział ich pomęczone postacie z żetonami na piersiach, wysiadające z pociągu, on jeden, jedyny patrzał, jak podawał im rękę i dziękował sam pan pułkownik — dowódca miejscowego pułku. I z każdą chwilą więcej ich Pietrek podziwiał. Przestali być dla niego nieco tylko starszymi chłopakami, których znał niemal od urodzenia, a przedzierzgnęli się w jakichś legendarnych bohaterów, zwłaszcza, kiedy usłyszał, jak na słowa jednego z oficerów, że zaraz przyjedzie auto i odwiezie ich do Krupowa, marszowcy odpowiedzieli:

— A naco nam auto? maszerowaliśmy trzy dni, to jakoś i te siedem kilometrów dojdziemy, a pokażemy chociaż swoim, jak to było na „Szlaku Kadrówki".

I poszli. Z miejsca wzięli takie tempo, że Pietrek, idący zboku, ledwie mógł nadążyć i, choć był bez karabina, to mu aż ślepia z natężenia na wierzch wyłaziły. A oni szli tak i szli. Słonko grzało z całej siły, więc też po kilku już minutach ich wychudłe, poczerniałe twarze pokryły się warstwą kurzu i jasnemi smugami spływającego potu. Paru z nich utykało, a jeden miał tak popuchnięte nogi, że aż mu porozcinali cholewki i przyszwy u butów, ale on szedł w trzymających się na sznurkach podeszwach i nie zostawał wtyle. Któryś grał na organkach krakowiaka, inny przeraźliwie pogwizdywał na palcach. Szli zwartą gromadą, podtrzymując się wzajemnie, a zboku jechał na rowerze komendant, wioząc zdobyty puhar. W tem samem tempie, z czarnemi plamami potu na bluzach wpadli pod bramę triumfalną. Krótko trwały mowy i powitania. Poszli do siebie, do świetlicy.

Pietrek poszedł z nimi. Stanął pod drzwiami i teraz dopiero, kiedy widział, jak padali wyczerpani na ławy, a koledzy podawali im wodę, rozpinali pasy, zabierali karabiny, zrozumiał całą potęgę ich wysiłku. Zdał sobie sprawę z tego, ile

energji, ile niezłomnej chęci zwycięstwa musieli posiadać, aby zdobyć ten puhar, który stał teraz na stole. I jednocześnie Pietrek zrozumiał, jak upojne było to zwycięstwo, i że ta chwila warta była trzydniowych, nadludzkich wysiłków. Zrozumiał i zapragnął sam tak zwyciężać. Zdobył się więc na odwagę i pociągnął za rękaw komendanta oddziału.

— Panie! weźcie mnie do Strzelca!

— A ile masz lat? — padło pytanie.

— Czternaście.

— Eee! to jeszcze, bracie, musisz choć ze trzy lata poczekać, a tymczasem przygotowuj się do służby dla państwa w harcerstwie, tam cię chętnie wezmą.

— Dobrze, panie — odpowiedział Pietrek, ale narazie nie odchodził, tylko stał ze spuszczoną głową i spozierał z zawodem przez łzy.

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

I MÓJ! I TWÓJ!

Dzień stawał się coraz piękniejszy, chmury były przelotne. Coraz rzadziej zrywał się wiatr i nacichał na długo. Słońce świeciło coraz śmielej, coraz wspanialej.

Aż wreszcie wypogodziło się zupełnie i wszystko stanęło w pełnym blasku odświętnego przedpołudnia: stalą szyn lśniący nowy tor kolejowy, szeroko rozlana, rwąca rzeka, miasteczko i wieś, leżące naprzeciw siebie po obu brzegach, nowozbudowany most, te brzegi łączący, a teraz zamknięty biało-czerwoną wstążką, i — ołtarz polowy cały w świerkowej zieleni, wzniesiony tuż przed tym mostem.

A wszędzie — ludzie: po obu stronach nasypu kolejowego, po obu brzegach rzeki, przed mostem, dokoła polowego ołtarza, wszędzie ludzie, całe tłumy ludzi.

Ma się rozumieć, jest tutaj Adam. Nawet stoi w pierwszym rzędzie. Oto prawie dotyka ramieniem jedwabnej, cienkiej wstążki, symbolicznie zamykającej nowozbudowany most.

Nie potrzebował się przepychać; ktoś zaraz na początku powiedział:

— To syn inżyniera Moczydłowskiego — i zrobiono mu miejsce.

Adama mocno pali twarz, kiedy tak stoi wciśnięty w uroczysty tłum i czeka, czeka razem ze wszystkimi. Adamowi mocno bije serce: teraz... niedługo już... zaraz...

Właśnie skończyło się nabożeństwo. Są przemowy. Na trybunę, przybraną zielenią, wszedł wojewoda, potem burmistrz z miasteczka po tej stronie rzeki, potem wójt ze wsi po tamtej stronie... potem jeszcze ktoś, podobno dyrektor kolei.

Poważne, uroczyste słowa: „Zasługa społeczna", „rozwój komunikacji", „wzrost dobrobytu", „krzewienie kultury", wykrzykiwane przez mówców, chwytał wiatr i niósł ponad tłumem na świeży nasyp kolejowy, na rzekę, na most, aż echo huczało w stalowych przęsłach, w kamiennych filarach.

Adam słuchał pilnie słów uroczystych, wołanych wielkim głosem z trybuny, którą miał tuż przed sobą, ale wyraźniej i dokładniej słyszał słowa ciche i zwyczajne, szeptane w tłumie za jego plecami. Były o tem samem:

że — ...za starej, najstarszej pamięci żadnego mostu tu nie było i kolei żadnej.

— Ze wsi, nie mówiąc już o świecie, do miasteczka na drugim brzegu dostać się było wielce trudno.

— A już o wiośnie, gdy lody ruszyły, albo w jesieni, nim woda na dobre stanęła — poprostu niesposób.

— A tak, w zwyczajny czas, tylko promem.

— Co za mitręga!

— I jaka niedogoda!

— Naprzykład do chorego na pilną poradę... — mamrotał doktór grubym szeptem.

— Albo do konającego z Panem Bogiem — sapliwie wtórował doktorowi ksiądz proboszcz.

— A bywało, woda cały prom z ludźmi zabrała, że mało kto duszę zratował — wzdychając, dowspominała jakaś babina.

— A co to były za targi, kiedy ani jarzyn, ani owocu, ani drobiu, ani inszych rzeczy często gęsto na porę dowieść nie było można! A teraz w cały świat bez przeszkody chcesz — jedź, chcesz — wieź! — dorzekiwali swoje mieszczanie i chłopy.

Adam słyszał. Rozumiał. Serce w nim rosło. Bo to ojca Adamowego projekt, inżyniera Moczydłowskiego praca.

Teraz właśnie, już teraz, zaraz, za chwilę przez nowy most przejdzie pierwszy pociąg i — gotowy już most zostanie oddany do publicznego użytku.

— Jedzie?

— Jedzie!...

Daleko, na skręcie, nad zagajnikiem wypatrzono smużkę dymu. Wszystkie głowy odrazu zwróciły się w tę stronę, wszystkie oczy!

— Jedzie!!

Adam aż się cały podał naprzód i nie spuszcza wzroku z parowozu, który ukazał się z za zakrętu. Wtem ktoś trącił nagle Adama, ktoś go mocno, z całych sił wbok odsunął z zajętego miejsca.

Obruszył się Adam:

— To moje miej... — i urwał.

Potrąciła go i odsunęła tak bezceremonjalnie dziewczyna. Bosa, ale w odświętnym czerwonym berecie na jasnych włosach, odgarniętych energicznie z czoła. Wcisnęła się siłą między Adama a kamienną ścianę mostu i, jak Adam przed chwilą, tak ona teraz, cała wprzód podana, nie spuszcza błyszczącego wzroku ze zbliżającego się parowozu.

Adam próbuje usunąć intruzkę. Mówi:

— Nie można się pchać. Ja tu stałem pierwszy.

Ale dziewczyna, wpatrzona w parowóz, nie zwraca na niego uwagi. Więc Adam już całkiem zły:

— Odsuń się! — i wziął ją za rękę, żeby odsunąć samemu. Wtedy ona, nawet nie poruszywszy ręką:

— Mój ojciec! — i z dumą radosną wskazała drugą wolną, nagą i opaloną ręką na zbliżający się z hukiem parowóz.

— Nie! — krzyknął Adam, cisnąc palce dziewczyny aż do bólu — nie! to mój ojciec!

Spojrzeli na siebie twarzą w twarz oboje zdumieni, zaskoczeni.

A tłumy dokoła nich wołały:

— Vivat! Niech żyje!

Pękła czerwono-biała wstążka — parowóz wjechał na most. Inżynier, mostu tego budowniczy, stoi na parowozie ramię w ramię z maszynistą, który parowóz ten prowadzi.

W łoskocie, w huku mijających kół, Adam i dziewczyna w czerwonym berecie wytchnęli jednocześnie wargami spieczonemi od wzruszenia:

— Tatusiu!

I znowu spojrzeli na siebie. Teraz stało się jasne: on jest synem tego inżyniera, ona — córką tego maszynisty.

Adam lekko, przyjaźnie uścisnął drobną rękę towarzyszki. Oddała mu uścisk serdecznie.

Śledzili już wspólnie posuwający się środkiem mostu parowóz nad ziejącą pod spodem głębią.

Nagle Adam uczuł, że rękę dziewczyny przebiegło drżenie. Zrozumiał. Szepnął jej do ucha:

— Nie bój się, to mój ojciec budował ten most. Mocno stoi.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Patrzyli dalej. I... teraz raptem obudził się lęk w Adamie: — A jeśli...

Ale nie zdążył swej strasznej myśli domyśleć do końca, gdy dziewczyna spojrzała mu w struchlałe oczy jasnym wzrokiem:

— Nic się nie bój, to mój ojciec prowadzi ten parowóz. Potrafi.

Parowóz szczęśliwie minął most. Wtedy wszyscy zebrani na uroczystości otwarcia mostu zaczęli rozchodzić się z tem poczuciem, że asystowali ważnemu i radosnemu czynowi.

Przy moście został Adam i dziewczyna w czerwonym berecie. Wciąż jeszcze trzymali się za ręce.

Raptem dziewczyna, nie mogąc już strzymać swej radości, wybuchnęła wesołym śmiechem, pociągnęła ku sobie Adama i zaczęli oboje kręcić się wkółko, jak to robią rozradowane małe dzieci, kiedy się bawią w drobną kaszkę.

— Do nas tu! Do nas! — wołała dziewczyna, której spadł beret z głowy w tym szalonym wirze.

I oto na moście urosło wielkie tańczące koło — to tańczą wszystkie dzieci, których ojcowie pracowali wspólnie przy budowie kolei i mostu.

KOP I LOPP.

Włodek podsłuchiwał pod drzwiami, zaciskając zęby. Mała Nastka pochlipywała głośno, a czasem nawet jęczała z bólu. Starsza siostra, Zofja, nosiła do izby wrzącą wodę, którą Włodek zagotował po przybyciu doktora.

Niewiadomo było właściwie, co się za drzwiami dzieje i co ten doktór robi, że Nastka płacze. Włodek wiedział, że rankę po ukąszeniu żmii wypalają gorącem żelazem i bał się, że doktór tak męczy małą, choć Zośka mówiła tylko o opatrunku.

— A jak ona umrze od tego? — przeszło mu przez głowę.

Myśl tę podsunęła mu stara Prakseda — żebraczka, która umiała zamawiać choroby i odczyniać uroki.

— Nic one doktory nie wiedzą — zrzędziła. — Pieniądze biorą tylko. A jaki on doktór! Wiadomo — oficer z Ochronnego Korpusu. Prawdziwy doktór w Głucharowie mieszka i nie wojskowy.

— A w Kopie też doktorzy są — powiedział Włodek.

— Tego ja znam. I on od nas pieniędzy nie weźmie.

— Może i znasz. Ale przez żmiję pokąsanego nie jemu leczyć. Mówiłam: głowę Nastce owinąć mocno lnianym ręcznikiem i pierzyną nakryć. Nogi świeżym mchem obłożyć trzeba i dymem z rozchodnika kadzić. A potem jeszcze zamówić trzeba krew i siemienia lnianego za siebie w ogień rzucić. Inaczej nie wyżyje ona, biedaczka. Doktór tylko prędzej śmierć jej zrobi; nie poradzi. Nikt na ukąszenie takie nie poradzi, kiedy Praksedy nie posłucha...

Włodek nie wierzył w gusła i sposoby znachorów i wiedział z całą pewnością, że porucznik Wolski jest prawdziwym doktorem. To też, spotkawszy go niespodzianie na drodze w chwili, gdy sam co tchu pędził do Busławki, aby prosić o konia z wozem dla przewiezienia siostry do Głucharowa, ucieszył się tak, jakby Nastka już była zdrowa.

Porucznik szedł do nich i, jak się okazało, zamierzał zostać kilka dni na polowaniu.

Kiedy Włodek opowiedział doktorowi o tem, że Nastka nadepnęła na śpiące w trawie żmije i jak ją pokąsały, porucznik zaniepokoił się bardzo. Szli prędko, naprzełaj przez bagno i chłopiec ledwie mógł za nim nadążyć. Starego Klimaszewicza nie było w domu: wyszedł na obchód lasu i miał powrócić dopiero nazajutrz. Włodek i Nastka zostali tylko pod opieką Zośki i akurat zdarzyło się nieszczęście.

Chłopak siedział teraz skulony pod drzwiami i czekał. Strasznie długo trwało, zanim doktór z Zośką wyszli do kuchennej izby. Nastka tymczasem przycichła i uspokoiła się po założeniu opatrunku.

— Śpi — szepnęła Zośka.

Porucznik spoglądał to na nią, to na Włodka, zatroskany. Zapalił papierosa.

— Muszę pani powiedzieć, że jest źle, — wyrzekł wreszcie.

— Sam nie wiem, co mam zrobić. Tu trzeba koniecznie zastrzyknąć surowicę przeciwjadową. Inaczej, hm... dziecko może bardzo niebezpiecznie chorować. To bywa śmiertelne.

Zośka otarła oczy dłonią.

— Ja wiem, panie doktorze — westchnęła, powstrzymując płacz. — Ja wiem. Możebym ja... może Włodek pojechałby do Głucharowa do apteki. Krawczuk pożyczy nam konia.

Porucznik Wolski popatrzył na chłopca.

— Pojedziesz? — zapytał z wahaniem.

— A cóż? pojadę.

— Da ci Krawczuk konia?

— Mnie da. Komu innemu nie dałby, a mnie da.

— To kawał drogi: Dwadzieścia kilometrów od Busławki. I wieczór już, a trzeba się śpieszyć.

— Ja drogę znam, panie poruczniku. Pojadę wierzchem: będzie prędzej.

Wolski nerwowo bębnił palcami po stole.

— Niema innej rady — jedź. Pojechałbym sam, ale tu jestem potrzebniejszy. Byleby w Głucharowie mieli surowicę...

Napisał receptę i wraz z pieniędzmi wręczył ją chłopcu.

— Masz tu jeszcze moją legitymację i list do wszystkich patroli Kopu. Może będziesz potrzebował ich pomocy. No, zmykaj i spraw się dobrze! — poklepał go po ramieniu. — A wracaj najprędzej.

. . . .

Zaczynało się już ściemniać, kiedy Włodek dotarł do zagrody Stiepana Krawczuka. Stary dał mu konia nie wcześniej, aż chłopiec opowiedział wszystko dokładnie.

Wówczas, podzieliwszy się jeszcze nowinami z żoną oraz odbywszy z nią naradę, jaką drogą ma pojechać mały Klimaszewicz, aby najpewniej przybyć do Głucharowa, Stiepan wyprawił go w dalszą podróż.

Mimo pośpiechu, z jakim chłopak starał się odzyskać czas stracony, miasteczko ukazało się jego oczom dopiero koło dziesiątej. Z trudem dobudził się aptekarza, poto tylko, aby usłyszeć, że surowicy niema.

— Jedź do Brzeźniszek — poradził mu zaspany pan ze współczuciem. Tam jest szpital, może tam dostaniesz.

Do Brzeźniszek było dziesięć kilometrów bocznemi drogami wzdłuż granicy. Włodek niezbyt dobrze się w nich orjentował. Pojechał przecież mimo to, wypytawszy się o kierunek.

Był już bardzo zmęczony i głodny. Nadomiar złego ochłodziło się i zaczął padać deszcz, a przejmujący wiatr hulał w gałęziach przydrożnych wierzb. Pociemku zaledwie można było rozróżnić kręte i wyboiste koleiny wśród ubogich pól i młodych brzeźniaków. Tam, gdzie do drogi podchodził las, nie widać było w czarnym mroku nic zgoła.

Cisza leżała ciężka, jakby napięta oczekiwaniem na coś niewiadomego, co miało przyjść, zjawić się nagle, powstać i przerazić małego jeźdźca. Tylko na popsutych mostkach, byle jak rzuconych przez strugi i rowy, głucho dudniły końskie kopyta.

Włodek czuł się osamotniony i bezradny. Zawróciłby dawno, gdyby nie myśl o Nastce, która przecież mogła umrzeć...

On miał ją uratować. Jemu zaufał porucznik Wolski. W nim była cała nadzieja.

— Dojadę — powiedział sobie.

W tej chwili spotrzegł, że droga rozchodzi się w dwie strony. Nie pamiętał, którą powinien był wybrać.

Stanął. Koń strzygł uszami. Gdzieś daleko, na prawo zaczął jęczeć puszczyk. Zrobiło się czegoś straszno i groźnie. Niewiadomo, skąd przypłynęły myśli o wilkołakach i strachach, o upiorach i duchach z opowiadań starej Praksedy.

Wstrząsnął się.

— Pojadę na lewo — pomyślał, aby tylko nie poddać się lękowi.

Koń ruszył posłusznie.

Droga zwężała się i opadała wdół ciasnym parowem. Dalej był bród na jakiejś większej rzeczce. Woda lśniła szkliście, czarna i tajemnicza.

Nie, nie miał przejeżdżać przez żaden taki bród. Widocznie zabłądził.

Wtem tuż nad wodą zaszeleściły krzaki.

— Stój! Kto idzie?

Włodek drgnął przestraszony. Nie mógł wykrztusić ani słowa, tak mu zaschło w gardle.

— Kto idzie? — powtórzył głos.

— To ja — bąknął chłopak — Klimaszewicz.

Trzy cienie żołnierzy z karabinami w rękach otoczyły go, wyłaniając się z mroku.

— A ty poco na tamtą stronę? — zapytał jeden z nich.

— Do Brzeźniszek, do szpitala.

— Toć Brzeźniszki w Polsce, nie u bolszewików. Źle jedziesz, chłopcze. Skąd się tu wziąłeś?

— Teraz z Głucharowa.

— No, to od krzyża trzeba było na prawo. Widziałeś krzyż?

— Nie widziałem.

— Przy rozwidleniu drogi, niedaleko. Pocóż ty do Brzeźniszek tak po nocy wędrujesz, bąku?

Włodek opowiedział raz jeszcze od początku całą historję. Tymczasem kapral, dowódca patrolu, zapalił stajenną latarnię, którą mieli z sobą, aby oświetlić drogę.

— Powściekały się dziś żmije, czy co? — powiedział, gdy chłopiec skończył. — W Horyńcu, po tamtej stronie granicy, też żmija ukąsiła sowiecką nauczycielkę i niema czem jej ratować. Nawet nasz felczer ze strażnicy tam chodził, bo nie mają blisko lekarza. Ale do Brzeźniszek nie masz poco jechać: już myśmy o surowicę prosili; niema. Tylko w Wilnie można dostać.

— Tylko w Wilnie — powtórzył Włodek zaskoczony.

Nagle uprzytomnił sobie, jak to daleko. I zrozumiał, że już nie uratuje Nastki. Że wróci bez cudownego leku.

Pomyślał, co będzie, jeśli Nastka umrze.

Maleńką, bezradną i bezbronną pochowają w sosnowej trumience na piaszczystym cmentarzu nad brzegiem Busławskiego jeziora. Nigdy już nie zobaczą jej więcej...

— Ja muszę pojechać do Wilna, panie kapralu — powiedział przez duszące go łzy. — Niech mi pan pomoże. Niech pan coś zrobi. Ja muszę, bo ona... bo Nastka... Przecież ona jest jeszcze taka malutka...

Kapral coś mruknął pod nosem i namyślał się chwilę, patrząc w wilgotne od łez oczy chłopca.

— Do Wilna, bąku, jest pięć godzin jazdy koleją, a do kolei trzy godziny drogi końmi — rzekł poważnie. — Ale może u nas się coś wymyśli. Zabiorę cię do strażnicy. Zobaczymy.

Ruszyli naprzód w ciemność. Światło latarni, którą niósł jeden z żołnierzy, tańczyło w kałużach wody i, przesadzając rów, zwolna odwracało po ziemi cienie drzew, kryjące się bojaźliwie w młodziutkiej zieloności pierwszych wiosennych traw.

Włodek szedł obok kaprala, trzymając konia za uzdę. Nie

śmiał, a może raczej nie chciał pytać, jaką radę znajdzie dlań komendant strażnicy. Przecież, gdyby ci ludzie nie mogli znaleźć ratunku dla Nastki, nic jej już nie uratuje.

— Oni — myślał, — którzy potrafili zrobić porządek z hordami dywersantów; oni, którzy ukrócili przemytnictwo; oni, którzy pobudowali na bezdrożach pogranicza mocny łańcuch strażnic i otoczyli opieką znękaną napadami i rozbojami ludność, wzbudzając szacunek dla polskiej władzy państwowej u niesfornych sąsiadów; oni jedni potrafią wszystko.

— W takiem wojsku służyć! — powiedział w duchu z podziwem.

— Strażnicę widać — powiedział żołnierz, za nim idący.

Na prawo błysnęło żółte światełko. Skręcili między zarośla i szli naprzełaj, przedzierając się wąską ścieżką.

Nagle z pośród gałęzi wyłoniła się szeroka wolna przestrzeń i na tle nieba wyrosła przed nimi drewniana wieża z grubych sosnowych kloców. Tam płonęło światło, ześlizgując się po stromym dachu masywnej, szeroko rozsiadłej budowli.

— Stój! Kto idzie? — padło z mroku ostre pytanie.

— Patro-ol — śpiewnie odpowiedział kapral.

Wymiana hasła, i chrzęst branej do nogi broni. Patrol przekroczył bramę i — — —

I od tej chwili zaczęła się bajka. Nie było w niej, coprawda, ani dobrej wróżki, ani latającego dywanu, ani śpiewającego źródła. Zato były rzeczy bardziej cudowne: z anteny, rozpiętej na wysokim stalowym maszcie, popłynęły w przestrzeń słowa radjowej depeszy z wołaniem o pomoc do Ligi Obrony Powietrznej Państwa w dalekiem Wilnie. W jednem okamgnieniu przebiegły drogę, którą Włodek mógłby przebyć w ciągu co najmniej ośmiu godzin. I zrobiły swoje: Komitet Wojewódzki Ligi wysłał o świcie do strażnicy Kopu sanitarny samolot z surowicą przeciwjadową.

Biała maszyna ze znakiem Czerwonego Krzyża wylądowała na polu ćwiczeń i podtoczyła się ku grupce wojskowych w okrągłych czapkach z granatowemi otokami, wśród której czekał z bijącem sercem Włodek Klimaszewicz. Silnik brzęczał

i prychał przyjaźnie. Coraz wolniej mełło czarne, srebrzystą blachą na kancie okute, śmigło, aż nagle zawahało się i z lekkiem westchnieniem stanęło.

Z gondoli wysiadł pilot, zsunął się po zachlapanej smarem burcie i podszedł do komendanta strażnicy. W ręku niósł małą paczkę.

— LOPP przysyła panu kapitanowi surowicę — powiedział z uśmiechem. — To pierwsza usługa, jaką ta nowozakupiona maszyna oddaje ludziom, którzy złożyli się, aby ją wybudować.

Kapitan rozwinął paczkę i rozdzielił jej zawartość.

— To dla apteki wojskowej — powiedział do jednego z podoficerów. — To dla twojej siostry, chłopcze — zwrócił się do Włodka. — A to weźmie nasz felczer dla tej sowieckiej nauczycielki w Horyńcu.



Photo-Plat Strażnica K. O. P.

HANNA MORTKOWICZÓWNA

PETRO, WODA i WIELKI ŚWIAT

Stara Marfa chodziła co rano po wodę do Horynia i dostawała za to od sąsiadów po 5 groszy za dwa wiadra. Niebrukowana, błotnista ulica spadała koło mostu stromo ku rzece i łatwo było się na niej poślizgnąć w wysokich, podartych butach z cholewami. To też Marfa trzęsła się ze strachu i razem z nią trzęsły się na jej zgarbionych plecach koromysła, a nad jej głową węzły dwóch związanych chust. Jedna z nich — czarna, zwinięta była jak wałek wkoło czoła, a druga — biała, podwiązywała brodę. Tak wiązały chusty wszystkie stare kobiety w Dawidgródku, na Polesiu. Wyglądało to tak, jakby stara Marfa chorowała na zęby, a przecież nie mogła chorować, bo nie miała ani jednego zęba w ustach.

Stara Marfa była już bardzo słaba. Petro często zastępował starą Marfę. Jak tylko ją zobaczył idącą, z okna ich małego drewnianego domku koło cerkiewki, biegł co tchu, by zdjąć z jej zgiętych pleców koromysła. Potem, gwiżdżąc wesoło, niósł wiadra ku rzece.

— Aj, kołyb tebe Boh sczastje dał! — błogosławiła go Marfa, a Petro korzystał na tem podwójnie. Bo nietylko pomagał staruszce i spełniał dobry uczynek, ale mógł być jeszcze rankiem, przed szkołą, nad Horyniem.

Puszysta różana mgła ranna zwijała się nad wodą i rybacy w wąskich czółenkach ściągali z nocnego połowu, z błot, rzek i zarośli trzcin. Wsparci o wiosła, podpływali do brzegu

w swych wysokich czarnych butach i skórzanych fartuchach, a łodzie ich były pełne sieci i pluszczących się, żywych ryb.

Zaś koło szóstej daleki gwizd oznajmiał przybycie parostatku z Pińska. Petro musiał zawsze doczekać chwili, gdy ten statek, rycząc i buchając kłębami pary, przybijał do brzegu. Zdawało mu się, że to jest najpiękniejszy widok na świecie. Wprawdzie Kolja, brat Petra, który wiosną jeździł na jarmark do samego Pińska, widział tam piękniejsze statki, wojenne statki, całe obite szarą blachą, a wuj Dmytro pojechał do Ameryki na prawdziwym, olbrzymim okręcie, ale Petrowi wystarczał narazie zakopcony „Jagiełło“, albo „Warszawa“, które przypływały co rano do Dawidgródka.

By wyruszyć gdziekolwiek z pośród bagien i wód, otaczających wkrąg małe miasto, w którem mieszkał, trzeba było użyć pośrednictwa tego stateczku, który co dnia wiózł tu po Prypeci i Horyniu, przez błotniste Polesie, gazety i pocztę, mąkę, cukier i sól, ciężkie skrzynie, naładowane rozmaitym towarem.

Kiedy towar zładowano na brzeg i statek uwiązano u pala, czerwony gruby kapitan szedł spać do domu, a Petro pędził do szkoły, żeby się nie spóźnić na pierwszą lekcję. Wieczorem, kiedy parowiec odjeżdżał zpowrotem do Pińska, stał znowu nad brzegiem Horynia.

W lecie było to jeszcze za dnia i słońce jaśniało wysoko nad lśniącą wodą i szaremi, drewnianemi domami Dawidgródka. Ale jesienią i wiosną rzeka bywała o tej porze krwawa od zachodu i zaraz potem zapadała czarna gęsta ciemność nocy. Zaś w zimie bywało najgorzej. Horyń, Prypeć stały pod grubą skorupą lodu, parowce nie kursowały i żeby się wydostać z Dawidgródka, trzeba było jechać saniami albo wozem do stacji w Łachwie. O szóstej rano była noc i o szóstej popołudniu była noc, a Petro siedział w domu, przy piecu i martwił się, że Dawidgródek odcięty jest zupełnie od całego wielkiego świata, z którym go łączy woda.

O, bo woda była dla Petra o wiele ważniejsza od ziemi. Ziemi Petro nie lubił. W tych stronach, gdzie mieszkał, ziemia nie była taka twarda i pewna, jak gdzieindziej na świecie. Błotnista i grząska, uginała się pod nogami nawet wtedy, gdy stąpało się po niej w lekkich łapciach z lipowego łyka. Zapadała się w trzęsawiska porosłe trzciną, rozlewała się w czarne bagna i śmierdziała brzydko błotem. Trudno było po niej wędrować, po mokrych i niebezpiecznych drogach, po mostkach i groblach z chróstu i pniaków.

A woda była żywa i błyszcząca. Do wody przyzwyczaił się, zresztą, Petro od samego dzieciństwa.

Jak tylko zaczął chodzić, całe dnie spędzał na łodzi i tak prędko nauczył się popychać tę łódź patykiem albo i wiosłem po fali. Do domu wracał tylko na noc, żeby wyspać się na ogromnym ciepłym piecu. A potem już i na noc wracał niezawsze, bo tata wyplótł na brzegu pękaty „kureń" z chróstu i z gałęzi i tam nocował często z synami, pilnując zaciągniętych sieci. Tam to Petro zaczął od najmłodszych lat wyciągać z zimnej wody niewód, ciężki od ryb i ziela, wypłaszać rybę długim „bełtem" z pośród szuwarów i jeździć czółnem po szerokich rzekach i po wąskich, zarośniętych strugach. I tam to polubił tak bardzo tę wodę. A teraz, kiedy jest dużym, trzynastoletnim chłopakiem, mieszka w mieście i chodzi do szkoły, nauczył się o tej wodzie wiele nowych rzeczy.

Jedna rzeka łączy się z drugą rzeką, potem jeszcze obie wpadają do trzeciej, największej i wszystkie razem płyną do dalekiego morza. Morzem można przepłynąć do oceanu, a oceany otaczają przecież wszystkie ziemie na świecie.

Więc, czy nie jest tak, że woda jest najważniejsza, ważniejsza od ziemi? Na Polesie przyjeżdżają często uczeni inżynierowie i radzą nad tem, jak osuszyć błotnistą ziemię i jak pogłębić rzeki, żeby nie rozlewały się tak na wszystkie strony, i co zrobić z taką masą niepotrzebnych wód. Petro jeździ z nimi łódką na Prypeć, albo wozem w stronę Berezowskiej gminy, nosi za nimi po grzęzawiskach ciężkie i niezrozumiałe narzę-

dzia. Ale w duchu śmieje się z takiej roboty. Ktoby tam potrafił osuszyć takie ogromne błota?

Podczas postoju łodzi, leżąc na jej dnie, pokrytem sianem, słucha nieraz Petro tego, co mówią o Polesiu. Obcy inżynierowie i geometrzy mówią, że Polesie jest dzikie i odludne, oddalone od cywilizowanego świata o setki, setki kilometrów, że poto, by je odmienić i wzbogacić, trzeba wiele miljonów pieniędzy...

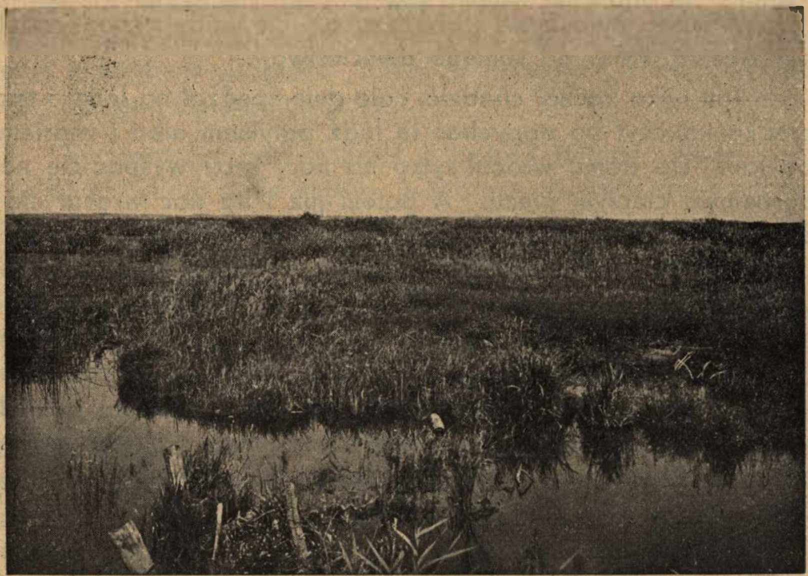


Photo-Plat Polesie. Dolina Prypeci

Coto za szczęście, że Petro chodzi do szkoły w Dawidgródku! Z początku szło mu bardzo trudno i długo nie mógł się nauczyć polskiej wymowy i polskich liter, zupełnie innych, niż ruskie. Ale zato teraz, na lekcjach, dowiaduje się tylu ciekawych rzeczy o tym świecie, który jest daleko.

Na pauzie wsuwa się Petro cichutko do pustej klasy i patrzy na mapę.

Hm, to prawda, że to Polesie jest małe przy innych zielonych, niebieskich i bronzowych plamach, któremi wymalowano morza i góry. Ale czarne kreski rozbiegają się z niego, jak promienie gwiazdy. I jeżeli zacznie się prowadzić palcem po tych linjach, to znaczy tak, jakby się jechało łódką po wodzie: zawsze się dokądś trafi. I Petro stoi długo przed namalowanym światem, wodzi ciemnym, chudym palcem po jego linjach i czyta: B-ałt-yk, albo Stambu-u-uł, albo Gib-gibr-a-l-t-arrr!

A potem bierze sobie do domu z bibljoteki szkolnej książki o podróżach...

Niełatwo mu idzie czytanie polskich książek. Zresztą, wolałby sam podróżować, niż czytać o podróżach.

Podróżować, ale nie tak, jak Michajło, który jest lodziarzem i przez całe lato wędruje ze swym białym wózkiem lodziarskim od miasta do miasta. Podróżować tak, jak wuj Dmytro, który był w Kanadzie, albo jak Kolumb, który odkrył Amerykę, albo jak Guliwer, który trafił do liliputów.

Właśnie teraz parowiec oznajmia głośnym gwizdem, że za chwilę wyruszy przez Horyń i Prypeć w swą długą, czternastogodzinną drogę do Pińska. Petro rzuca w kąt książkę o podróży i pędzi na łeb na szyję do brzegu, żeby jeszcze zdążyć przed odjazdem.

Parowiec jest już prawie gotowy do drogi. Na przodzie leży wielki stos drzewa do palenia pod kotłem podczas drogi, z komina walą kłęby pary, a pasażerowie wchodzą właśnie po wąskiej kładce na pokład. Ojciec małej Awdotji musi być także wśród nich, bo Awdotja przysiadła na brzegu i, rozmazując brudnemi rękami łzy na twarzy, beczy jak baran.

Okazuje się, że Awdotja miała także jechać z ojcem aż na Prypeć, więc nic dziwnego, że teraz płacze. Obiecywali, obiecywali, a wkońcu figa z makiem. Petrowi wprawdzie nikt niczego nie obiecywał, ale sprzymierza się z nią natychmiast we wspólnej tęsknocie za podróżą... Niechno się Awdotja nie martwi, pojedzie z nim napewno i to dalej, niż na Prypeć i to niedługo, jak tylko Petro dorośnie.

Usiedli teraz we dwoje na brzegu rzeki nad ciemniejącą pod zachód wodą i Petro opowiada, dokąd to tak razem pojadą. Łodzią, łodzią, po szerokiej wodzie, po lśniących rozlewiskach, wśród wysokich szuwarów, za szumiącym prądem...

Miną Horyń i wyjadą na Prypeć i droga im się rozwidli w dwie strony...

— A teper hdie dalsze? — pyta się go mała Awdotja, której już obeschły wszystkie łzy.

— Tak my wljewo wazmjomsia, na Pinu, a z Piny na Jasiołdu, a patom na kanał Oginskoho.

Petro wyczytał to wszystko na mapie w szkole, ale Awdotję śmieszą obce nazwy i jest już zupełnie rozweselona.

— A patom budiet Szczara, a patom budiet Niemen i Awgustowskij kanał...

— A patom?

— A patom Biebrza i Narew i Wisła budiet. — Petro objeżdża w myśli rzekami całą Polskę. Aby tylko trafić do morza, razem z Wisłą, potem będzie jedno morze i drugie morze i trzecie morze i Ameryka i Afryka i za morzami...

— A w Azju my nie pojediem? — pyta ciekawa Awdotja.

O, z Azją to inna sprawa, do Azji trzeba płynąć w drugą stronę Prypeci. I Petro zaczyna opowiadać takie piękne historje o Azji, o Turcji i Indjach i Chinach, że Awdotja aż klaszcze rękami z zachwytu — Aj, padiwisia, czeławieczje, interiesujsia, czeławieczje! — woła, jak stara.

A Petro splótł ręce na kolanach, na zgrzebnem płótnie spodni i wsunął brodę w kołnierz burej świtki. Patrzy na wodę. Świat z mapy, świat z książek, świat z opowiadań jest bardzo daleko, za tysiącami kilometrów wód i błot.

A Petrowi wydaje się, że ma go tuż o krok. Tylko wyciągnąć rękę, tylko powierzyć się tej pozornie nieruchomej fali i oto będzie je miał, jak swoje: Amerykę i Afrykę, Azję i Australję. Woda jest wszechmocna i opływa cały glob.

Na niebie świecą gwiazdy i w wodzie świecą gwiazdy, a czajki krzyczą przeciągle nad błotami. Księżyc swem odbiciem znaczy na czarnej wodzie srebrną drogę w daleki świat.

Awdotja przypomniała sobie nagle nieudaną podróż nad Prypeć i znowu zaczęła szlochać pocichutku.

I Petrowi robi się nagle bardzo smutno i bezradnie. Bo ileż to trzeba mieć sił, żeby zajechać łodzią do Azji i do Ameryki! I ile jeszcze książek trzeba do tej pory przeczytać w szkole. Ilu języków trzeba się nauczyć, żeby się rozmówić z Chińczykami po chińsku i z Murzynami po murzyńsku.

A jak już pojedzie... No, dobrze! Awdotję weźmie z sobą, bo jej przecież obiecał. I matuszkę weźmie z sobą, i bat'kę weźmie z sobą...

Ale stara Marfa? Kto będzie pomagał co rano starej Marfie nosić wodę z Horynia?



Marfa

MARJA PISKORSKA

OJCIEC IGNACY

W jesienny wieczór 1852 r., we lwowskiej aptece toczy się żywa rozmowa. Przy blasku świecy, jakiej używano w tym czasie na całym świecie, blady, trzydziestoletni mężczyzna uważnie patrzy w twarz szynkarza, który cicho szepcząc, namawia go „do takiego dobrego interesu, na którym pan Ignacy Łukasiewicz zrobi grube pieniądze".

— Niech pan spojrzy, panie aptekarzu, jeszcze raz na naftę. Płynu tego używają chłopi z Borysławia na smar, ale ja myślę, że z niego można zrobić wódkę.

— Panie Schreiner, powiedziałem już, że wódki robić nie będę. Ale proszę to zostawić, pomyślę... może na co innego da się zużytkować.

— To ja się dowiem za tydzień. Dobrej nocy.

Cicho zawarły się drzwi za szynkarzem. Młody człowiek oparł głowę na ręku, wodząc zamyślonem spojrzeniem po próbówkach i kolbach swej pracowni. Nagle zerwał się, zapalił pod dystylarką ogień i przystąpił do badania tego dziwnego płynu, wciąż do siebie mrucząc:

— Zawsze myślałem, że jeśli nafta przy zbliżeniu płomienia zapala się wybuchowo, to muszą w jej skład wchodzić jakieś lekkie bardzo ciała łatwopalne. Trzeba więc związki te usunąć i może otrzymam ciecz podobną do oliwy i zdatną do oświetlenia. Tak, należy przedystylować — zakończył prawie głośno.

Rozgorączkowany, zmieniał kolby pod zgiętą rurką, z której spływały oleiste krople żółtawej cieczy. Myślał o tej nafcie już tak dawno, jeszcze w więzieniu, w którem się znalazł za udział w powstaniu 1846 r.

— Nareszcie — szepnął i wnet pierzchnęły odległe wspomnienia na widok szklanego naczynia, w którem pięknie mienił się przezroczysty, żółty płyn.

— Jeśli będę mógł go użyć zamiast oliwy, będzie to ogromna ulga dla biednej ludności, gdyż mamy tutaj poddostatkiem tej cieczy.

Kręcił się po izbie, szukając lampki, a gdy wreszcie zapłonęła jasno, Łukasiewicz zapatrzył się w nią jak w obraz, nie słysząc, że drzwi cicho się otworzyły, a w progu stanęła gruba gospodyni.

— O, Jezu! a cóż to pan robi? Już niedługo będzie widno. Całą nockę pan zbałamucił. Codzień tak pan ślęczy nad temi książkami. Czas już spać, paniczu.

Zakręciła się, trzasnęła drzwiami, aż wiatr powiał, zakołysał, zachybotał płomieniem lampki i świecy i obie zgasił. Przez małe okienko nieśmiało wsączał się świt. Łukasiewicz rzucił się na twarde łóżko, lecz senne widziadła nie dawały mu spokoju. To mu się zwiduje Wojciechowa niby w blaszanej spódnicy, jak bania, szyję ma cienką, głowę dziwnie spłaszczoną w wieńcu płomieni. To znów na maleńkich nóżkach komin, cały przezroczysty, jak szklany, wewnątrz ogień szumi, coś dudni, coś dźwięczy i cisza... Sen...

Od owego wieczora narzeka gospodyni, „że jej coś pana Ignasia odmieniło". Nic, tylko u blacharza Bratkowskiego przesiaduje dniami całemi. Przynosi jakieś okrągłe naczynia z knotami i cudacznie umieszczonem szkiełkiem z miki. I mówi, że zrobi lampę, jakiej świat jeszcze nie widział. I naco to? Jakby świecy nie było, czy oliwnego kaganka...

Ale, gdy zaświecił swą pierwszą lampę, Wojciechowa przestała narzekać. Zato pan Ignacy codzień teraz wywodził swe żale, że nikt nie chce przekonać się do jego wynalazku.

— Mówią, że wybuchnie, że może być pożar i Bóg wie jeszcze co — skarżył się przyjacielowi, Trzecieskiemu — a zaręczam ci, lampa ta jest zupełnie bezpieczna. Proszę ich: — Weźcie na próbę, nic nie kosztuje — wszystko napróżno.

— No, coś na to trzeba poradzić — zafrasował się Trzecieski. — Już wiem. Chodźmy do szpitala, mam tam znajomego zarządzającego... Wezmą napewno.

I w parę tygodni potem znikły marne łojowe świeczki, swądem napełniające białe sale; zastąpiły je nowe lampy naftowe. Jasno się zrobiło w szpitalu i tak jakoś wesoło, może od tej publiczności, co się cisnęła tłumnie oglądać dziwny wynalazek Łukasiewicza, a może od dumy, że to nasz, Polak „taki ci mądry, brachu".

Przeszło kilkadziesiąt lat. Po szosie borysławskiej mknie auto, wioząc dwóch ludzi. Mijają wieże wiertnicze, rozrzucone na falistym gruncie, wrzynające się świdrami w głąb ziemi, nowe i stare szyby, poczerniałe od nafty, siedzące na linji roponośnej, niby baby na miedzy.

— I mówisz, że to dopiero w zeszłem stuleciu tak rozwinął się u was ten przemysł naftowy? — padło pytanie w cudzoziemskim języku.

— Tak, od czasu ojca Łukasiewicza.

— Na świdry pracujecie?

— Z początku kopano zwykle studnie, ale od czasu, gdy Łukasiewicz wprowadził świdry swego pomysłu, przeszliśmy na wiercenie.

Na prawo od szosy minęli wielką rafinerję. Przed budynkiem fabrycznym leżały cysterny z ropą, a na bocznicy stały wagony z naftą, gotowe do drogi.

— Widzę, że macie tu nowoczesne urządzenia — zauważył cudzoziemiec.

— O, to też zasługa Łukasiewicza i jego niezmordowanej pracy nad rozwojem i obroną przemysłu naftowego. Po urządzeniu wystawy we Lwowie w 1873 r. i otrzymaniu przez niego złotego medalu na wszechświatowej wystawie w Paryżu — nafta stała się poszukiwana jak złoto. Rzucono się na te tereny, a chcąc

uzyskać jak największe korzyści, starano się o jak najlepsze i nowoczesne urządzenia.. Łukasiewicz zaś świecił przykładem.

Skręcono w bok; po gładkiej drodze auto pędziło jak strzała.

— Dobra droga — mruknął Anglik.

— Za pieniądze „ojca" Łukasiewicza.

— Człowieku, zmiłuj się! Kpisz, czy co? O cokolwiek zapytam, wiecznie słyszę: Łukasiewicz.

Towarzysz jego uśmiechnął się.

— Cóż robić, jesteś na największym w Europie, 780 km. długim, a 40 km. szerokim terenie roponośnym. Zajmujemy przecież trzecie miejsce w wytwórczości europejskiej. Tu ludzie żyją z nafty, którą oddał nam do użytku Łukasiewicz.

— To brzmi jak bajka — wyszeptał Anglik, w milczeniu wpatrując się w łunę wieczorną nad Borysławiem, otoczonym wieńcem wież i szybów.



Photo-Plat Borysław

MARJA KONOPNICKA

OJCZYZNA

Ojczyzna moja — to ta ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce i gdziem poznał Boga,
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.

Ojczyzna moja — to wioski i miasta,
Wśród pól lechickich sadzone od Piasta,
To rzeki, lasy i niwy i łąki,
Gdzie pieśń nadziei śpiewają skowronki.

Ojczyzna moja — to praojców sława,
Szczerbiec Chrobrego, cecorska buława,
To duch rycerski, szlachetny a męski,
To nasze wielkie zwycięstwa i klęski.



T. Ziomek mal. ZIMOWY ZACHÓD

JADWIGA ZAKRZEWSKA

WSCHODNIE WROTA POLSKI

Niemałe podniecenie ogarnęło chłopców jednej z niższych klas gimnazjum. Ledwie założyli gminę klasową, a już pan dyrektor ich zawiadomił, że mają do spełnienia nielada obowiązek. Wezmą udział w przyjmowaniu wycieczki, złożonej z dzieci polskich, uczących się w Niemczech. Są zaproszeni do komitetu. Będą oprowadzali jedną z grup gości po Lwowie i urządzą na ich cześć przedstawienie.

Na zebraniu huczało jak w ulu. Dobrze, że chluba klasy, Staś Jaworski, przygotował na dzisiaj referat o przeszłości Lwowa. Może właśnie coś z tego referatu nada się jako pomysł do przedstawienia.

A zebranie nie odbywało się pod dachem szkoły, tylko za miastem, w morzu zieleni, na zboczu leśnego wzgórza. Wdali otwierał się widok na leżącą u stóp wysokiego zamku głęboką dolinę, z której wyłaniały się stare wieżyce lwowskie. Każdy z chłopców umiałby je wyliczyć: Ratuszowa, Katedralna, wieża cerkwi wołoskiej i inne. — Patrzcie, jak pięknem jestem miastem— szeptał umajony Lwów wesołej gromadce. — Dajcie mi jeszcze jakąś porządną rzekę, albo jezioro, a wytrzymam porównanie z miastami, słynącemi z malowniczego położenia.

W ten szept miasta i krajobrazu wmieszał się dziecinny jeszcze, ale poważny głos Stasia. Mówił o godle Lwowa: śmiałych lwach, dźwigających tarcze z napisem „Senat i Lud Lwow-

ski". Opowiadał o założycielu miasta, ruskim kniaziu Lwie, o królu Kazimierzu Wielkim i Królowej Jadwidze, o zasługach potężnych władców Polski, którzy całą Ziemię Czerwieńską wydarli opresji tatarskiej i zrobili z niej krainę „mlekiem i miodem płynącą". Mówił tak ładnie, że żywi, niespokojni chłopcy zamilkli, słuchając w skupieniu.

Przed oczyma ich przesuwały się barwne obrazy przeszłości: hordy tatarskie, siejące po swej drodze pożogę i rozpacz, tłumy jeńców, pędzonych w jasyr, rycerstwo polskie na rozpędzonych koniach, gromiące bisurmanów, obronne zamki, tulące do siebie okoliczną ludność.

Dzięki opiece królów, odpierających najazdy tatarskie, Lwów, jakby wrota Polski otwarte na Wschód, stał się gwarnem, ruchliwem miastem handlowem. Tutaj był skład towarów, które sprowadzano z różnych krain Wschodu. Korzenie, wspaniałe tkaniny, dywany, broń i klejnoty przywożono z Azji do portów czarnomorskich, a stamtąd karawany kupieckie ciągnęły dalej do Lwowa. Z handlu ze Wschodem słynął Lwów w całej Europie. Przybywali więc do niego po towary Niemcy, Włosi, a nawet kupcy jeszcze dalszych narodów zachodnich, a z drugiej strony zbierali się we Lwowie Ormianie, Grecy, nawet Turcy i Persowie. Na ulicach miasta rozbrzmiewały przeróżne języki. Bogaciło się na handlu miasto, a światli mieszczanie godnie używali napływających bogactw: budowali wspaniałe świątynie, zakładali bibljoteki, nie zapominali jednak i o fortyfikacjach i zbrojowni. Lwów stał się wielkiem ogniskiem kultury zachodniej, promieniującem na Wschód. Podobnie jak przez Gdańsk zaczerpywała Polska oddechu od morza, tak i przez Lwów, aczkolwiek w głębi lądu położony, znalazła łączność z dalekiemi krajami i ludami.

— Proszę o głos — zawołał nagle Józek i nie czekając pozwolenia, mówił szybko dalej: — Czy nie sądzicie, koledzy, że właśnie dobrzeby było wziąć za temat przedstawienia przybycie takiej karawany kupieckiej z Turcji? Szczególnie, że mamy im pokazać Targi Wschodnie, a przecież urządza się je po-



Photo-Plat Lwów. Kościół św. Jura

to, żeby przywrócić miastu dawną świetność, udowodnić, że nadal zdolne jest ono do takiej samej służby dla Polski...

— Jest to myśl godna omówienia — rzekł przewodniczący Felek. — Ale pozwól naprzód skończyć Stasiowi.

Staś ciągnął dalej, lecz chłopcy, myśląc o wniosku Józia, nie uważali już tak, jak poprzednio. Skupili jednak znowu uwagę, gdy referent zaczął mówić o wojnach i o oblężeniach Lwowa przez najeźdźców.

Bronił się Lwów bohatersko przed Kozakami i Tatarami, sprowadzonymi przez Bohdana Chmielnickiego w r. 1648. — I obronił się!

Bronił się w czasie potopu szwedzkiego przed sprzymierzyńcami Szwedów: Kozakami i Moskalami i wytrwał w swej wierności dla króla Jana Kazimierza. Wytrzymał także dwukrotne oblężenie przez Turków.

Za te czyny zyskał Lwów piękny przydomek „semper fidelis", t. zn. „zawsze wierny". Jedyny też wśród grodów Rzeczypospolitej uzyskał na sejmie zaszczyt nobilitacji, czyli uszlachcenia. A wiemy, że tę sławę umiał Lwów utrzymać po dzień dzisiejszy. Odrodzona Rzeczpospolita odznaczyła go znowu w XX wieku, przydając do herbu miasta order Virtuti Militari.

To też wszyscy królowie szanowali i kochali Lwów i chętnie to miasto odwiedzali, wspaniale tam przyjmowani. Najwięcej jednak ukochał miasto bohaterski nasz wódz, król Jan Sobieski. Był to we Lwowie „swój człowiek", swój król. Nietylko dlatego, że z tych stron pochodził i miał na rynku swą kamienicę, dzisiaj na muzeum przemienioną. Ale i dlatego, że gdy jako hetman nie mógł dać mieszczanom obrony przed najazdem tatarskim, lecz tylko im samym bronić się nakazał, nie zawiódł się na ich rycerskich sercach. Lwów wytrzymał.

Pomógł też Lwów Sobieskiemu i po raz drugi, gdy w kilka lat później, już jako król, rozgromił pod Lwowem hordy tatarskie i tureckie.

Od tego czasu zacieśniły się więzy przyjaźni między królem a miastem. Król często doń przyjeżdżał, dbał o jego potrzeby i można powiedzieć, że przez znaczną część panowania

Sobieskiego Lwów był niejako stolicą Polski. Z chwilą śmierci wielkiego człowieka i dobrego króla, jakim był Jan III, i dla Lwowa skończył się okres wspaniałości i dobrobytu. Dla Lwowa i dla Polski nastały smutne czasy.

Mówił Staś o tem, jak Austrjacy zajęli Lwów w r. 1772 i jak za Napoleona pojawili się w rozradowanem mieście ułani księcia Józefa. Mówił o latach ucisku i o rozkwicie Lwowa, kiedy Polacy uzyskali w Austrji swobodę.

Wybiła wreszcie po wojnie światowej godzina Polski. Gdy Kraków, Warszawa i Poznań witały wolność, na Lwów spadła nieszczęsna inwazja ukraińska. Wtedy garść orląt lwowskich porwała się do boju. Poszli w bój prawie bez broni i samą siłą swego zapału i ukochania zwyciężyli. Lwów pozostał, jak był, ostoją polskości, honoru i męstwa.

Zmęczony mówca zamilkł.

Przez chwilę trwało ogólne milczenie. Chłopcy rozmyślali o niedawnych czasach pięknej obrony Lwowa, o czem każdy z nich dużo słyszał od rodziców, lub od starszego rodzeństwa. Nawet opiekun klasy, pan profesor Czerwiński, który towarzyszył gromadce, był wyraźnie wzruszony. Nic dziwnego! Sam wszak należał do grona obrońców Lwowa i z karabinem w ręku osłaniał ojczyste miasto, jako młodziutki uczeń, mało co wtedy starszy od swoich dzisiejszych wychowanków.

Wreszcie zabrał głos Felek:

— Myślę, że właśnie tę chlubną kartę obrony Lwowa trzeba pokazać naszym gościom. Możnaby zrobić obrazek sceniczny, przedstawiający walkę orląt...

— Nie! — przerwał mu cicho poważny, mądry Staś. — Ja głosuję za projektem Józka. O naszych wojnach, o obronie Lwowa, oni już napewno wiele słyszeli. Ale może nie wiedzą, jak cała ludność Polski zgodnie pracuje w dobie pokoju, nie znają też naszej starej kultury. Pokażemy im więc nasze muzea, bibljoteki i piękne kościoły. Zaprowadzimy ich na Targi Wschodnie. A na przedstawieniu naszem niechaj ujrzą dawną karawanę nieustraszonych kupców, którzy mimo grozy tatar-



Photo-Plat Lwów. Kaplica Boimów

skiej idą na Wschód jako pionierzy gospodarczej potęgi Polski. Albo jak wracają z towarami. To będzie nawet bardzo ciekawe, a nietrudne do zrobienia.

— A ja będę Persem — zowołał śniady brunecik, Jędrek.

— A ja Turkiem — dodał złotowłosy Bolek — włożę czarną perukę i turban.

— A ja szlachcicem polskim!

— A ja mieszczaninem! — posypały się głosy.

— A czem ja mam być? — zapytał powolny, zawsze ze wszystkiem spóźniający się Julek.

— Ty będziesz wielbłądem — odparł Józek — i będziesz dźwigał nasze towary.

Julek oburzył się i niewiadomo, do czegoby doszło, gdyby nie szybka interwencja profesora. Obrady potoczyły się dalej w porządku.

W kilka tygodni później wszystko odbyło się według planu. Wprawdzie Julek spóźnił się raz ze spuszczeniem kurtyny, a groźnemu Turkowi w najważniejszej chwili spadła peruka, niemniej jednak tak goście, jak i gospodarze w równej mierze byli zachwyceni.

ROBERT PERUTZ

WRAŻENIA Z KONCERTU PADEREWSKIEGO W AMERYCE

Małe, 60-tysięczne miasto w Stanie West Virginia. Sala koncertowa, nie stojąca w żadnym stosunku do ilości mieszkańców (mieści 4 tysiące słuchaczy), oraz estrada, którą też trzeba było wykorzystać — przepełnione! Wzdłuż estrady olbrzymia niebiesko-aksamitna zasłona. Przed fortepianem mały, czerwonym pluszem obity fotel, od lat wierny towarzysz mistrza. Cztery lampy łukowe rzucają na salę olbrzymie snopy jaskrawego światła, wentylator, umieszczony u stropu, hałasuje zapamiętale. Z trudem przeciskam się przez rzędy krzeseł, by nareszcie odnaleźć swe miejsce. Sąsiad mój z prawej strony, typowy amerykański farmer, żując zawzięcie gumę, odrazu zwierza mi się ze swych kłopotów: jechał swoim Fordem 80 mil na godzinę, miał po drodze awantury z motorem, ledwo zdążył na czas, gotów mieć nieprzyjemności w drodze powrotnej, a musi zdążyć na rano do domu... Sąsiadka moja z lewej strony, jakaś starsza jejmość w okularach, nabożnie wpatrzona w estradę, informuje mnie, że jest nauczycielką fortepianu.

W pewnej chwili pęd wentylatora zaczyna słabnąć, by w końcu umilknąć na dobre. Równocześnie lampy gasną, na sali i na estradzie panuje tajemniczy półmrok. Robi się cisza nagle, — owa cisza, poprzedzająca doniosłe zdarzenia.

Niebieska zasłona rozsuwa się. Cztery tysiące ludzi, kierowanych jakąś niewidzialną siłą, zrywa się ze swoich miejsc. Stojąc nieruchomo, wpatrują się oni w mistrza, pełni dziwnego skupienia, jakby zaczarowani. Cisza — wtem nieśmiałe, jakby wstydliwe oklaski, które rosną i potężnieją, nabierając coraz większego rozmachu, by wkońcu rozpętać się w ogłuszający huragan. Paderewski stoi chwilę wyprostowany, potem schyla się głęboko. Wolnym krokiem z podniesioną głową zbliża się do fortepianu. Publiczność szaleje. Tupanie tysięcy nóg, ogłuszające oklaski łączą się w iście piekielny hałas. Paderewski staje wreszcie przed fortepianem. Jeszcze jeden, ostatni ukłon. Publiczność siada równocześnie z mistrzem. Znów chwila skupionej ciszy...

Paderewski podnosi wysoko ręce, trzymając je chwilę w powietrzu — rzekłbyś, błogosławi klawiaturę...

— — — — — — — — — — — — — — —

Pamiętam... ileż to lat temu? Boże! czyż naprawdę aż tyle? Lwów, rok 1901-y. Dworzec kolejowy. Paderewski wysiada ze swej „salonki". Chór akademicki. Przeciskając się przez zwartą masę publiczności, pełzam prawie na czworakach i, stając wreszcie obok Paderewskiego, wpatruję się weń z zadartą głową. Dyrygent podnosi rękę. Mistrz słucha z rozjaśnioną twarzą. Krótka mowa: — Dziękuję wam, żeście mnie, który z pieśnią po świecie jedzie, pieśnią przywitali... —

— — — — — — — — — — — — — — —

Mój Boże! tyle, tyle lat... Wszyscyśmy się postarzeli, tylko ta najromantyczniejsza postać naszych czasów, ten dziwny człowiek, którego Bóg obdarzył wieczną młodością, został tym samym Tytanem, który dotąd, po latach, nie znalazł współzawodnika, ba, następcy. Któż z młodych pianistów odważyłby się na pokonanie tego, iście nadludzkich sił wymagającego programu? Ten sam bajeczny mechanizm, ten sam rozmach i temperament, chwilami zda się nieokiełznany, a jednak nigdy nie przekraczający granic najszlachetniejszego smaku. Godzina jedenasta. Półtrzeciogodzinny program skończony. Nikt z miejsca się nie ru-

sza. Ludzie siedzą, jakby przykuci. — Czy to naprawdę już koniec? — pyta mnie farmer, klaszcząc zawzięcie w swe potężne dłonie. Gdzie tam! Paderewski wraca parokrotnie i wreszcie zbliża się do fortepianu. Znów szał oklasków, tupania nogami. Zaczyna się serja naddatków. Nic to! Publiczność tkwi, niewzruszenie przygwożdżona do swych miejsc. Wtem błysnęły łukowe lampy, wentylator zaczyna harcować — nieodwołalny znak ukończenia koncertu.

Dostęp do Paderewskiego, tak trudny jeszcze przed paru laty, jest obecnie prawie nieograniczony. Mistrz stoi spokojny, poważny, bez śladu zmęczenia, witając się uprzejmie z tymi, którzy zdążyli przed pchającym się tłumem stanąć w jego pobliżu. Jakiś olbrzymi Yankee wyciąga swą dłoń: „Brawo, Paderewski! doskonale! — Całe morze... pobłażania maluje się w oczach Paderewskiego: wiadomo, że Amerykanin—to wielkie dziecko. Mała dziewczynka z kwiatkiem w rączce podchodzi:—Proszę Pana, czy ci panowie, którzy te kawałki dla Pana napisali, grają tak ładnie, jak Pan? — Paderewski schyla się, bierze dziecko w ramiona, całując je serdecznie. Jakiś polski ksiądz, zapewne z dalekiej parafji przybyły, usiłuje wygłosić mowę: — Panie Prezydencie! Uroczysta to chwila dla nas, rodaków, którzy zdala od Ojczyzny... — nagle znika, odepchnięty przez tłum, który nie przestaje napływać, otaczając mistrza zwartem kołem.

Zbliżam się do wyjścia. Wpada mi w oko moja sąsiadka, owa jejmość w okularach. Stoi skromnie w kąciku, chciwie wpatrując się w Paderewskiego.—Od 30 lat go słucham... nic się niezmienił. Dopiero teraz zauważyłem, że posiwiał. —

Czas dopiął wreszcie swego. Hej! Srebro otacza dziś głowę władyki! Ale złote zostało serce, to serce, które jasnemi promieniami nie zachodzącego, ale gorącego, południowego słońca, pada nietylko na jego najbliższe otoczenie, ale i na tysiączne rzesze jego słuchaczy.

Wędrujemy tysiącami po obliczu ziemi, sławni lub nieznani, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo lub tylko na suchy chleb; ale zdaje mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku. Wracamy, aby stanąć wobec naszych zwierzchników, krewnych, przyjaciół — tych, którym jesteśmy posłuszni i tych, których kochamy, lecz nawet ludzie nie mający ani jednych ani drugich, zupełnie swobodni, samotni, pozbawieni wszelkich więzów i obowiązków — nawet ci, których nie oczekują kochane twarze i dobrze znane głosy — muszą się spotkać z duchem, przenikającym kraj, duchem, którego pełno pod niebem, w powietrzu, w dolinach i na pagórkach, na polach, w wodzie, w drzewach — z niemym przyjacielem, sędzią i natchnionym doradcą...

Każde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi, skąd czerpie życie i siły; i tak samo człowiek jest wrośnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wespół z życiem.

Josef Conrad (Korzeniowski)

KRÓTKA STATYSTYKA POLSKI

BRONISŁAW KŁACZYŃSKI

A. O GŁÓWNYM URZĘDZIE STATYSTYCZNYM

Główny Urząd Statystyczny powstał w zaraniu naszej odzyskanej państwowości. Jego organizacja w ogólnych zarysach przedstawia się następująco: na czele stoi dyrektor, dalej kierownicy wydziałów, personel naukowy i wykonawczy oraz Rada Główna przy Głównym Urzędzie Statystycznym. W skład Rady Głównej wchodzi dyrektor Urzędu, przedstawiciele ministerstw, przedstawiciele biur miejskich i wojewódzkich, delegaci stowarzyszeń naukowych i gospodarczych. Rada Główna jest organem opinjodawczym i doradczym, jednocześnie łącznikiem między państwem a społeczeństwem. Dla wykonywania swej pracy Główny Urząd Statystyczny jest podzielony na kilka sekcyj i wydziałów, te zaś na szereg referatów. Już nazwy wydziałów mówią o rodzaju prowadzonej przez nich pracy, są to: Wydział Ogólny, Wydział Statystyki Ludności, Statystyki Rolniczej, Statystyki Przemysłowej, Wydział Statystyki Handlu, Kredytu i Komunikacyjnej, Wydział Statystyki Społecznej, Wydział Statystyki Administracji Publicznej i Finansów Publicznych oraz Biuro Powszechnych Spisów.

Tak zorganizowany Główny Urząd statystyczny, upoważniony przez odpowiednie ustawy i korzystając z pomocy wszystkich ministerstw, przystępuje do swej najistotniejszej pracy — zbierania materjałów statystycznych.

Niema prawie dziedziny realnego życia, która nie mogłaby być ujęta w ramy liczb statystycznych.

O ilości włożonej pracy w zebrane liczby może nam dać pojęcie wzięte dla przykładu z załączonej Krótkiej Statystyki Polski zestawienie 9, które przedstawia użytkowanie gruntów. Zestawienie to składa się zaledwie z kilku pozycyj, dla których ustalenia należało jednak zużyć cztery lata pracy, prowadzonej przez zarządy gmin wiejskich i miejskich pod kontrolą powiatowej władzy administracji ogólnej. Zarządy gmin dane o powierzchni gruntów zbierały z poszczególnych gospodarstw swego terenu, opierając się przeważnie na informacjach właścicieli lub osób trzecich. Otrzymany tą drogą materjał był wysłany do Głównego Urzędu Statystycznego, który dopiero po dwukrotnych żmudnych badaniach materjały te zestawił i opublikował.

Niemniej dokładnej pracy wymagały i inne liczby, które służą do wyciągania wniosków o potrzebach społeczeństwa.

Sądy te można wyciągnąć z każdego zestawienia. Jeżeli znów dla przykładu weźmiemy z naszej Krótkiej Statystyki zestawienie 20.— porty Gdynia i Gdańsk, to z szybkiego przyrostu pasażerów i tonażu statków, wyłania się potrzeba rozszerzenia w niedalekiej przyszłości urządzeń portowych w Gdyni: powiększenie ilości dźwigów, torów kolejowych i zwiększenie metrażu składów portowych. Z zestawienia 5. wynika, że o ile

w podobnem tempie wzrastać będzie zaludnienie Polski, to za lat dwadzieściapięć pod względem ludności przejdziemy z szóstego na piąte miejsce w Europie i jednocześnie wysunie się konieczność dalszego pomnażania liczby szkół w Polsce, tworzenia i rozszerzania warsztatów pracy. Gdy zaś zwrócimy uwagę w zestawieniu 13. na ocenę zapasów węgla kamiennego i w zestawieniu 14. na produkcję węgla kamiennego, to porównywując te dwie liczby, dojdziemy do wniosku, że węgla kamiennego przy obecnej produkcji wystarczy Polsce dla kilku pokoleń.

Podobne wnioski możemy snuć z każdego zestawienia statystycznego. Wówczas przekonamy się, że liczby statystyczne, mimo pozorów suchości, po przejściu przez warsztat Głównego Urzędu Statystycznego pulsują żywem tętnem życia i otwierają nam oczy na wiele zjawisk.

Należy tylko umieć czytać.

RZECZPOSPOLITA POLSKA



50km 0 50 100 150 200 250km

SKALA 1:6 000.000

WOJEWÓDZTWA ZACHODNIE:
poznańskie, pomorskie, śląskie

WOJEWÓDZTWA CENTRALNE:
m. st. Warszawa, warszawskie, łódzkie, kieleckie, lubelskie, białostockie.

WOJEWÓDZTWA WSCHODNIE:
wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie

WOJEWÓDZTWA POŁUDNIOWE:
krakowskie, lwowskie, stanisławowskie, tarnopolskie.

B. STATYSTYKA.

I. POWIERZCHNIA, PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY, LUDNOŚĆ.

1. Granice Polski.

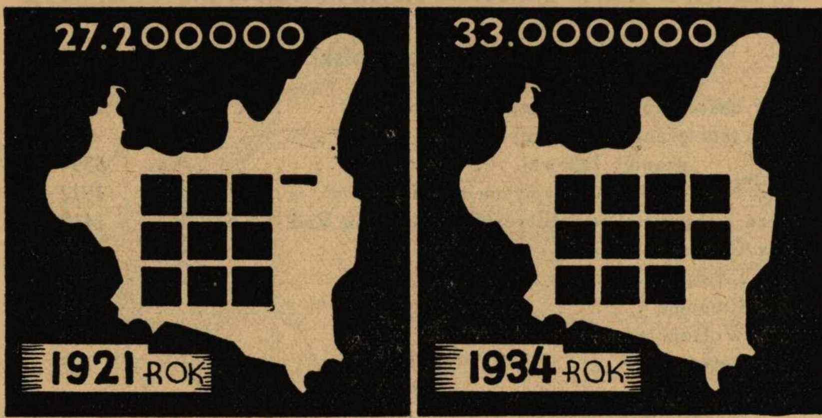
Długość naszej linji granicznej wynosi ogółem	5534 km.
w tem granicy morskiej	140 „
granicy lądowej.	5394 „
Z Niemcami graniczymy na przestrzeni	1912 „
ze Związkiem Socjalistycznych Republik Rad (Z. S. R. R.)	1412 „
z Czechosłowacją	984 „
z Litwą.	507 „
z Rumunją	349 „
z Wolnem miastem Gdańskiem	121 „
z Łotwą.	109 „

2. Powierzchnia i podział administracyjny.

Powierzchnia Polski wynosi ogółem 388,6 tys. km² i pod względem administracyjnym jest podzielona na: 16 wojew., 264 powiatów, 637 miast, 14609 gmin wiejsk. obsz.dworsk.

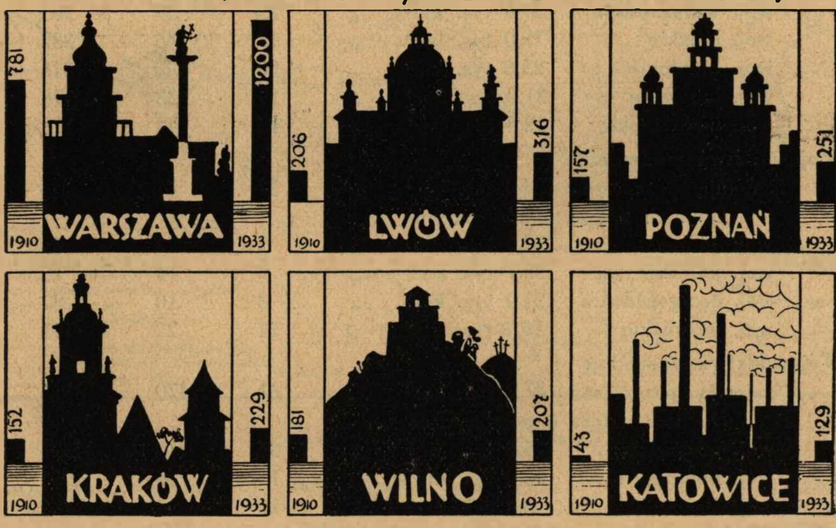
			16	264	637	14609
Województwa centralne:			wojew.	powiatów	miast	gmin wiejsk. obsz.dworsk.
zajmują przestrzeń	137,8 tys. km²	i posiad.	92	228	1302
Do nich należą o powierzchni					
m. st. Warszawa .	0,1 tys. km²	„	4	1	—
woj. warszawskie .	29,5 tys. km²	„	23	59	303
woj. łódzkie . . .	19,0 tys. km²	„	13	46	232
woj. kieleckie . .	25,6 tys. km²	„	20	40	313
woj. lubelskie . .	31,2 tys. km²	„	19	33	276
woj. białostockie .	32,4 tys. km²	„	13	49	178
Województwa wschodnie:					
zajmują przestrzeń	124,4 tys. km²	„	37	61	365
Do nich należą o powierzchni					
woj. wileńskie . .	29,0 tys. km²	„	9	15	96
woj. poleskie . . .	36,7 tys. km²	„	9	14	79
woj. nowgoródzkie .	23,0 tys. km²	„	8	10	87
woj. wołyńskie . .	35,7 tys. km²	„	11	22	103
Województwa zachodnie:					
zajmują przestrzeń	47,2 tys. km²	„	61	170	6926
Do nich należą o powierzchni					
woj. poznańskie . .	26,6 tys. km²	„	31	118	4556
woj. pomorskie . .	16,4 tys. km²	„	19	34	1981
woj. śląskie . . .	4,2 tys. km²	„	11	18	389

LUDNOŚĆ POLSKI



KAŻDY CZARNY KWADRACIK OZNACZA 3.000.000 MIESZKAŃCÓW

LICZBA MIESZKAŃCÓW NIEKTÓRYCH MIAST PRZED WOJNĄ I OBECNIE (W TYSIACACH)



Województwa południowe:			powiatów	miast	gmin wiejsk. obsz.dworsk.
zajmują przestrzeń	79,2 tys. km^2	i posiad.	74	178	6016
Do nich należą o powierzchni					
woj. krakowskie. .	17,4 tys. km^2	„	18	54	1860
woj. lwowskie . .	28,4 tys. km^2	„	27	61	2246
woj. stanisławowskie	16,9 tys. km^2	„	12	28	825
woj. tarnopolskie .	16,5 tys. km^2	„	17	35	1085

Pod względem obszaru Polska zajmuje *szóste* miejsce wśród państw europejskich.

3. Ludność.

Polska ma według stanu na 1 stycznia 1934 roku — 33,024 miljona mieszkańców i pod względem posiadanej ludności zajmuje również *szóste* miejsce w Europie.

Przeciętnie na 1 km^2 znajduje się 84 mieszkańców. Największą gęstość zaludnienia posiadają województwa południowe: 110 mieszkańców na 1 km^2, a najmniejszą — wschodnie 46 mieszkańców na 1 km^2.

4. Rozmieszczenie ludności.

Z ogólnej ludności Polski 25 miljonów zamieszkuje wieś, a 8 miljonów miasta, które w wolnej Polsce zaczęły się szybko rozrastać.

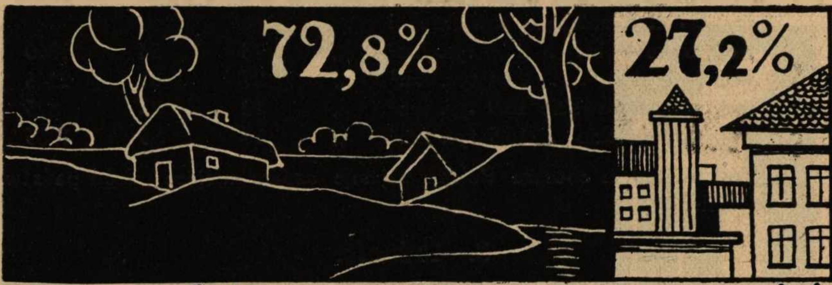
Przed wojną w r. 1910 —

Warszawa	miała	781	tys. mieszkańców	— obecnie	ma	1200	tys.
Łódź	„	408	„ „	„	„	591	„
Lwów	miał	206	„ „	„	„	316	„
Poznań	„	157	„ „	„	„	251	„
Kraków	„	152	„ „	„	„	229	„
Wilno	miało	181	„ „	„	„	207	„
Katowice	miały	43	„ „	„	„	129	„
Częstochowa	miała	73	„ „	„	„	125	„
Bydgoszcz	miała	58	„ „	„	„	122	„
Lublin	miał	66	„ „	„	„	115	„
Sosnowiec	„	99	„ „	„	„	114	„

Polska jest krajem rolniczym. Znaczna większość jej mieszkańców pracuje na roli. Według obliczeń dokonanych na podstawie spisu z roku 1921

w rolnictwie, leśnictwie i rybactwie pracuje	72,3%	ogółu	ludności
zaś w górnictwie i przemyśle	10,3%	„	„
w handlu i ubezpieczeniach	3,7%	„	„
w komunikacji i transportach	1,8%	„	„
w innych zawodach.	11,9%	„	„

LUDNOŚĆ POLSKI



LUDNOŚĆ WSI

LUDNOŚĆ MIAST

ZATRUDNIENIE MIESZKAŃCÓW



GÓRNICTWO i PRZEMYSŁ | HANDEL i UBEZPIECZENIA | KOMUNIKACJA i TRANSPORT | INNE ZAWODY

5. Ruch ludności.

Polska jest jednem z najżywotniejszych państw świata cywilizowanego. W okresie ostatnich czterech lat, przybywało jej przeciętnie rocznie około 450 tysięcy nowych obywateli.

Na każdy tysiąc mieszkańców wg. danych z r. 1933 przypada rocznie 12,6 osób przyrostu naturalnego. Pod tym względem Polska wysuwa się na czoło innych państw, których przyrost naturalny w r. 1933 wynosił:

w Holandji	12,4	osób na 1000 mieszkańców
we Włoszech	11,1	" " " "
na Węgrzech	6,8	" " " "
w Czechosłowacji	6,3	" " " "
w Anglji z Walją	4,6	" " " "
w Niemczech	4,2	" " " "
we Francji	2,3	" " " "

Ogólny przyrost ludności kształtował się następująco:

Polska miała:

w roku 1921	27200 tys. mieszk.	w roku 1930	31258 tys. mieszk.
" 1926	29740 " "	" 1931	31685 " "
" 1927	30104 " "	" 1932	32176 " "
" 1928	30485 " "	" 1933	32638 " "
" 1929	30909 " "	na 1.I. 1934	33024 " "

6. Polacy na obczyźnie.

Ruchliwi i przedsiębiorczy, rozsypani po całym świecie, Polacy w swych skupieniach emigracyjnych są wszędzie przykładem rycerskości i pracowitości. Lojalni wobec państwa z którego gościny korzystają, przyczyniając się do jego rozwoju, nie zapominają jednak o swej Ojczyźnie — Polsce, nie szczędząc dla Niej ofiary mienia i krwi.

Najważniejsze skupienia Polacy tworzą:

w Stanach Zjedn. A.P.	4000000	na Łotwie	70000
" Niemczech	1500000	" Węgrzech	30000
" Rosji Sowieckiej	800000	w Belgji	30000
we Francji	800000	" Austrji	20000
w Czechosłowacji	238000	" Jugosławji	16000
" Brazylji	200000	" Danji	13000
na Litwie	200000	" Chinach	6000
w Kanadzie	100000	" Holandji	6000
" Rumunji	100000	" Anglji	3000
" Argentynie	80000	" Szwajcarji	3000

na Kubie . . .	2000	w Turcji . . .	800
w Afryce Poł. . .	2000	„ Finlandji . . .	500
„ Estonji . . .	2000	„ Szwecji . . .	350
„ Australji . . .	1000	„ Japonji . . .	100
we Włoszech . . .	1000	„ Hiszpanji . . .	100

Ogólną ilość Polaków poza granicami kraju możemy obliczyć co najmniej na 8 miljonów. Jeżeli od ilości mieszkańców Polski odejmiemy przeszło 10 miljonów mniejszości narodowych, to otrzymamy liczbę około 23 miljonów Polaków, mieszkajacych w kraju. Na pytanie: ilu nas jest? Odpowiemy, że jest nas na świecie 31 miljonów.

7. Wychodztwo i powrót wychodzców.

Ruch emigracyjny i reemigracyjny obrazuje poniższe zestawienie:

ogółem od r. 1919 do 1933 wyemigrowało około 1675 tys. osób
„ „ „ 1919 „ 1933 powróciło „ 1949 „ „

W r. 1933 wyemigrowało z Polski ogółem: 35325 osób, z tego:

do Francji	11427	osób	do Brazylji	1627	osób
„ Niemiec	701	„	„ Urugwaju	301	„
„ innych krajów europ.	6226	„	„ innych krajów amer.	249	„
„ Stanów Zjedn. A. P.	1273	„	„ Palestyny	10344	„
„ Kanady	1065	„	„ innych krajów	284	„
„ Argentyny	1724	„	w kierunku niewiadomym	4	„

W r. 1933 powróciło do Polski ogółem 18834 osób, w tem:

z Francji	10172	osób	z Brazylji	46	osób
z Niemiec	704	„	z Urugwaju	71	„
z innych krajów europ.	1087	„	z innych krajów amer.	8	„
ze Stanów Zjedn. A. P.	227	„	z Palestyny	66	„
z Kanady	933	„	z innych krajów	—	
z Argentyny	2105	„	z kierunków niewiadom.	3415	„

II. ROLNICTWO.

8. Gospodarstwa wiejskie.

Polska jest krajem średniej i małej własności rolnej.

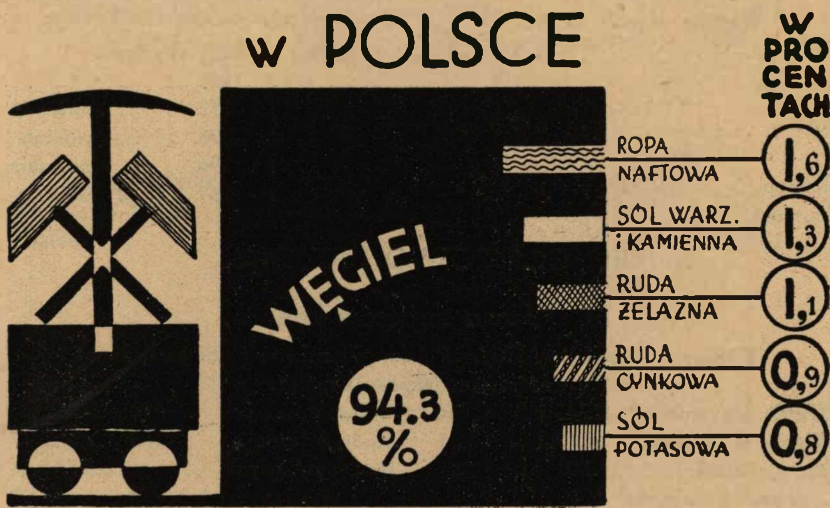
Na ogólną ilość 3262 tys. gosp. wiejsk., według spisu z r. 1921 przypada:

gospodarstw o powierzchni	do 2 ha . .	1109	tys.
	od 2 — 5 „ . .	1102	„
	„ 5 — 20 „ . .	1045	„
	„ 20 — 50 „ . .	76	„
	„ 50—100 „ . .	11	„
	powyżej 100 „ . .	19	„

UŻYTKOWANIE GRUNTÓW w POLSCE



PRODUKCJA GÓRNICZA w POLSCE



9. Użytkowanie gruntów.

dane z r. 1931.

Ogólna powierzchnia gruntów w Polsce wynosi 37897 tys. ha.

Ziemi użytk. rolniczo jest ogół.	25589 tys. ha	czyli 67,5%	ogóln. pow. gruntów
w tem gruntów ornych jest	18557 „ „	„ 49,0%	„ „ „
„ „ sadów i ogrodów .	552 „ „	„ 1,5%	„ „ „
„ „ łąk	3804 „ „	„ 10,0%	„ „ „
„ „ pastwisk . . .	2676 „ „	„ 7,0%	„ „ „
Lasów	8322 „ „	„ 22,0%	„ „ „
Innych gruntów i nieużytków	3986 „ „	„ 10,5%	„ „ „

10. Zasiewy ważniejszych ziemiopłodów.

Według danych za lata 1929—1933 przeciętnie rocznie obsiewamy:

Pszenicą	1662 tys. ha	Owsem	2195 tys. ha
Żytem	5777 „ „	Burakami cukr. . .	158 „ „
Jęczmieniem . . .	1228 „ „	Ziemniaki sadzimy na	2696 „ „

11. Zbiory ważniejszych ziemiopłodów.

Według danych za lata 1929—1933, przeciętnie rocznie zbieramy:

Pszenicy . . .	19,6 miljon. kw.	Owsa	25,4 miljon. kw
Żyta	65,7 „ „	Buraków cukr. .	33,4 „ „
Jęczmienia . . .	14,9 „ „	Ziemniaków . .	303,9 „ „

12. Zasiewy i zbiory niektórych innych ziemiopłodów.

Według danych za lata 1929—1933, przeciętnie rocznie obsiewamy:

Gryki	na 320 tys. ha	zbieramy .	2121 tys. kw.
Grochu	„ 191 „ „	„ .	1851 „ „
Lnu	„ 106 „ „	„	552 „ „ nasienia 396 „ „ włókna
Konopi	„ 32 „ „	„	196 „ „ nasienia 157 „ „ włókna

III. GÓRNICTWO I PRZEMYSŁ.

13. Ocena zapasów kopalin.

Według obliczeń z r. 1932, Polska posiada w głębi swej ziemi następujące zapasy kopalin:

Węgla kamiennego	61781 miljon. ton	Soli potasowych	450 miljon. ton
Węgla brunatnego	5000 „ „	Rudy żelaznej	165 „ „
Ropy naftowej	160 „ „	Rud cynkowych i ołowianych	33 „ „
Soli kam. i warzonej	5900 „ „		

14. Produkcja górnicza i hutnicza.

Z powyższych zapasów kopalin, według danych za lata 1929—1933, Polska wydobywa przeciętnie rocznie:

Węgla kamiennego	35636 tys. ton	Soli potasowych	305 tys. ton
Ropy naftowej	615 „ „	Rudy żelaznej	332 „ „
Soli kam. i warzon.	521 „ „	Rud cynk. i ołow.	274 „ „

oraz produkuje:

Surowego żelaza	407 tys. ton	Cynku metalow.	128 tys. ton
Stali	1010 „ „	Ołowiu „	27 „ „

15. Produkcja przetworów naftowych.

Rafinerje w Polsce, według danych za lata 1929—1933, wytwarzają przeciętnie rocznie:

Ropy przerobionej	602 tys. ton	Smarów i wazeliny	88 tys. ton
Benzyny	104 „ „	Parafiny i świec	32 „ „
Nafty	174 „ „	Asfaltu i koksu	29 „ „
Oleju gazowego	110 „ „	Półproduktów	17 „ „

16. Przemysł włókienniczy.

dane za rok 1933.

W przemyśle włókienniczym Polska produkuje rocznie:

Przędzy bawełnianej .	48957 ton	Tkanin i worków jutowych	9598 ton
„ wełnianej . .	9414 „	Nici	461 „
„ jutowej . .	12309 „	Stożków wełnianych .	2489 tys. szt.

17. Przemysł papierniczy.

dane za rok 1933.

W przemyśle papierniczym Polska produkuje rocznie:

Papieru (r. 1932) . .	109000 ton	Celulozy	57964 ton
Tektury	30466 „	Masy drzewnej . . .	41287 „

18. Przemysł drzewny.

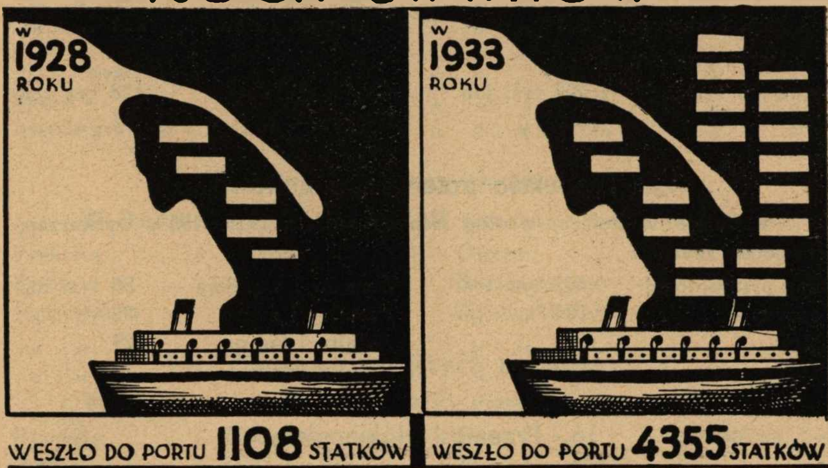
dane za rok 1932.

W przemyśle drzewnym Polska produkuje rocznie:

Bale	713 tys. m^3	Fryzy	33 tys. m^3
Deski	1650 „ „	Dykty	74 „ „
Kantówka . . .	240 „ „	Forniry	2902 „ m^2
Wełna drzewna (r. 1931)	7432 „ kg	Meble gięte . . .	875 „ szt.

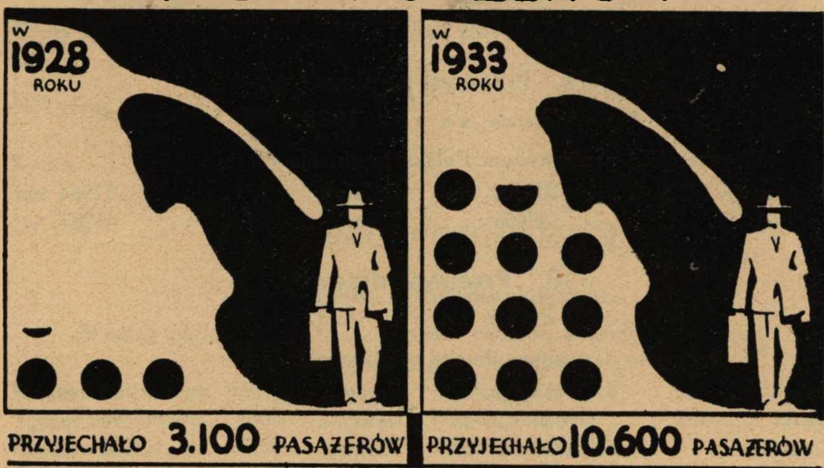
ROZWÓJ GDYNI

RUCH STATKÓW



JEDEN BIAŁY PROSTOKĄT NA CZARNEM TLE OZNACZA 250 STATKÓW

RUCH PASAŻERÓW



JEDEN CZARNY KRĄŻEK NA BIAŁEM TLE OZNACZA 1000 PASAŻERÓW

IV. KOMUNIKACJA.

19. Polskie Koleje Państwowe.

Znane ze swej precyzyjnej punktualności, według danych za rok 1933 posiadają

eksploat. linji normalno-torowych (1. I. 1934) . .	17880 km.
parowozów „ „	5500
wagonów osobowych normalno-torowych . . .	12200
„ towarowych „ „	154500
eksploat. linji wąskotor.	2380 km.
parowozów „ „ (r. 1932)	350
wagonów osobowych wąskotorowych	360
„ towarowych „	8240

Oprócz Kolei Państwowych istnieją w Polsce prywatne koleje dojazdowe i komunalne, posiadające:

linij eksploatowanych	1460 km.	wagonów osobowych .	590
parowozów . . .	100	„ towarowych	3100

20. Porty Gdynia i Gdańsk.

Duma Polski, młody port Gdynia, w swym wspaniałym rozwoju prześciga stary port Gdańsk. Urządzenia tych portów według danych z roku 1933 są następujące:

Powierzchnia wodna			
portu morskiego	Gdańska wynosi 211 ha	Gdyni	320 ha
Portu rzecznego	„ „ 685 „	„	—
Głębokość portu	„ „ 4,5 — 9,5 m.	„	3 — 12 m.
Nadbrzeża portu	„ w ekspl. 30,8 km.	„	8,5 km.
w tem głęb. 8 m. i więcej	. 2,0 „	„	7,8 „
Tory kolejowe w porcie	. . . 331 „	„	138 „
Składy portowe	. . . . . . 398 tys. m².	„	122 tys. m².
Dźwigi	 88	„	50

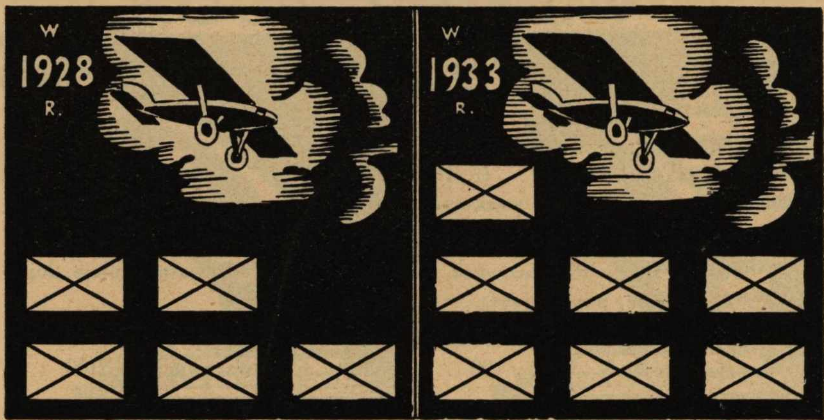
Szybkie tempo rozwoju młodego portu obrazuje poniższe zestawienie ruchu statków i pasażerów Gdyni w porównaniu z ruchem statków i pasażerów Gdańska:

weszło do portu statków:

w r. 1928	w Gdyni . .	1108	w Gdańsku . .	6198
w r. 1929	„ . .	1541	„ . .	5396
w r. 1930	„ . .	2238	„ . .	6078
w r. 1931	„ . .	3144	„ . .	5960
w r. 1932	„ . .	3610	„ . .	4637
w r. 1933	„ . .	4355	„ . .	4278

POLSKIE LINJE LOTNICZE
„LOT"

PRZEWÓZ POCZTY i BAGAŻU



PRZEWIEZIONO **239** TON PRZEWIEZIONO **355** TON

KAŻDA KOPERTA OZNACZA PRZEWÓZ 50 TON POCZTY I BAGAŻU.

PRZEWÓZ PASAŻERÓW



PRZEWIEZIONO **6876** PASAŻERÓW | PRZEWIEZIONO **15912** PASAŻERÓW

KAŻDY SAMOLOCIK OZNACZA PRZELOT 1000 PASAŻERÓW

przyjechało pasażerów:

w r. 1928	przez port w Gdyni	3100 osób	przez port w Gdańsku	7100 osób
w r. 1929	„ „ „	5700 „	„ „ „	5400 „
w r. 1930	„ „ „	6800 „	„ „ „	3900 „
w r. 1931	„ „ „	7800 „	„ „ „	2300 „
w r. 1932	„ „ „	10400 „	„ „ „	1800 „
w r. 1933	„ „ „	10600 „	„ „ „	1300 „

Gdynia w krótkim czasie swego istnienia wysunęła się na czoło portów morza Bałtyckiego co uwidacznia poniższe zestawienie tonażu statków wchodzących do tych portów w r. 1933:

do Gdyni .	3246	reg. ton. netto	do Rygi .	915	reg. ton netto
„ Gdańska .	2763	„ „ „	„ Tallina .	904	„ „ „
„ Stockholmu	2527	„ „ „	„ Królewca	922	„ „ „
„ Szczecina	2189	„ „ „	„ Lubeki	588	„ „ „
„ Rostoku	1434	„ „ „	„ Kłajpedy	601	„ „ „
„ Helsinek	1700	„ „ „	„ Libawy	254	„ „ „

21. Polskie Linje Lotnicze „Lot".

Samoloty pasażerskie polskich linij lotniczych kursują ze 100 % bezpieczeństwem. Warszawski port lotniczy na Okęciu jest jednym z najlepiej urządzonych i największych w Europie.

Liczba linij w r. 1933	19	
„ lotów wykonanych przec. rocznie (w l. 1929—1933)	6003	
Przebyta droga przec. rocznie (w l. 1923—1933) . . .	1444	tys. km.
Liczba przew. pasażerów przec. rocznie (w l. 1929—1933)	14379	
Przewiez. towarów i bagaży przec. roczn. (w l. 1929—1933)	361	ton
„ poczty przeciętnie rocznie (w l. 1929—1933) .	32	„

V. HANDEL ZAGRANICZNY.

Mimo głębokiego kryzysu ogólnoświatowego — Polska od roku 1930 posiada dodatnie saldo bilansu handlowego, czyli więcej wywozi (sprzedaje), jak przywozi (kupuje).

22. Przywóz i wywóz Polski.

Przeciętnie rocznie w latach 1930—1933.

Przywóz Polski wyniósł ogółem 1350,7 miljonów złotych, wywóz ogółem 1589 miljonów złotych.

w tem przywóz:			w tem wywóz:		
a) Zwierzęta żywe	1,5	miljon. zł.	a) Zwierzęta żywe	85,0	miljon. zł.
b) Art. spoż. i napoje	177,5	„ „	b) Art. spoż. i napoje	448,5	„ „
c) Surowce i półfabr.	574,7	„ „	c) Surowce i półfabr.	697,0	„ „
d) Wyroby gotowe	597,0	„ „	d) Wyroby gumowe	358,5	„ „

Z ważniejszych towarów Polska w powyższym okresie przeciętnie rocznie przywoziła:

Bawełny	57	tys. ton	za 126	miljon.	złotych
Wełny	20	„ „	„ 91	„	„
Maszyn i aparatów . .	16	„ „	„ 88	„	„
Przędzy	4	„ „	„ 64	„	„
Tkanin	3	„ „	„ 64	„	,
Tytoniu	11	„ „	„ 37	„	„
Tłuszczów technicznych .	38	„ „	„ 38	„	„
Przyrządów i materjałów elektrotechnicznych .	4	„ „	„ 42	„	„
Śledzi	57	„ „	„ 29	„	„
Owoców i jagód . . .	40	„ „	„ 27	„	„
Futer surowych . . .	3	„ „	„ 23	„	„
Skór surowych . . .	18	„ „	„ 30	„	„
Kawy	8	„ „	„ 20	„	„
Skór wyprawionych . .	1,5	„ „	„ 30	„	„
Nasion oleistych . .	42	„ „	„ 13	„	„
Ryżu	61	„ „	„ 19	„	„
Rudy	449	„ „	„ 35	„	„
Garbników	19	„ „	„ 12	„	„
Farb, barwnik. i lakierów	5	„ „	„ 14	„	„
Futer wyprawionych . .	0,1	„ „	„ 15	„	„
Papieru i wyrobów . .	56	„ „	„ 35	„	„
Żelastwa (szmelc) . .	284	„ „	„ 27	„	„

wywoziła:

Węgla	11410	tys. ton	za 263	miljon.	złotych
Drewna napółobrobion.	996	„ „	„ 137	„	„
Bekonów	43	„ „	„ 78	„	„
Jaj	41	„ „	„ 81	„	„
Cynku	100	„ „	„ 58	„	„
Przędzy	6	„ „	„ 51	„	„
Żyta	275	„ „	„ 43	„	„
Cukru	260	„ „	„ 68	„	„
Szyn, żelaza i stali .	203	„ „	„ 56	„	„
Jęczmienia . . .	161	„ „	„ 30	„	„

Tkanin	5	tys. ton	za	46	miljon.	złotych
Trzody chlewnej . .	349	„ sztuk	„	56	„	„
Wyrobów z drzewa .	55	„ ton	„	31	„	„
Odzieży i konfekcyj .	2	„ „	„	18	„	„
Drewna surowego .	791	„ „	„	42	„	„
Nasion, roślin past. i traw	38	„ „	„	22	„	„
Nawozów sztucznych	136	„ „	„	21	„	„
Pszenicy	53	„ „	„	13	„	„
Paszy dla zwierząt .	160	„ „	„	21	„	„
Rur	37	„ „	„	25	„	„
Skór surowych . .	10	„ „	„	18	„	„
Parafiny i waseliny .	22	„ „	„	15	„	„

23. Rozgałęzienie stosunków handlowych Polski

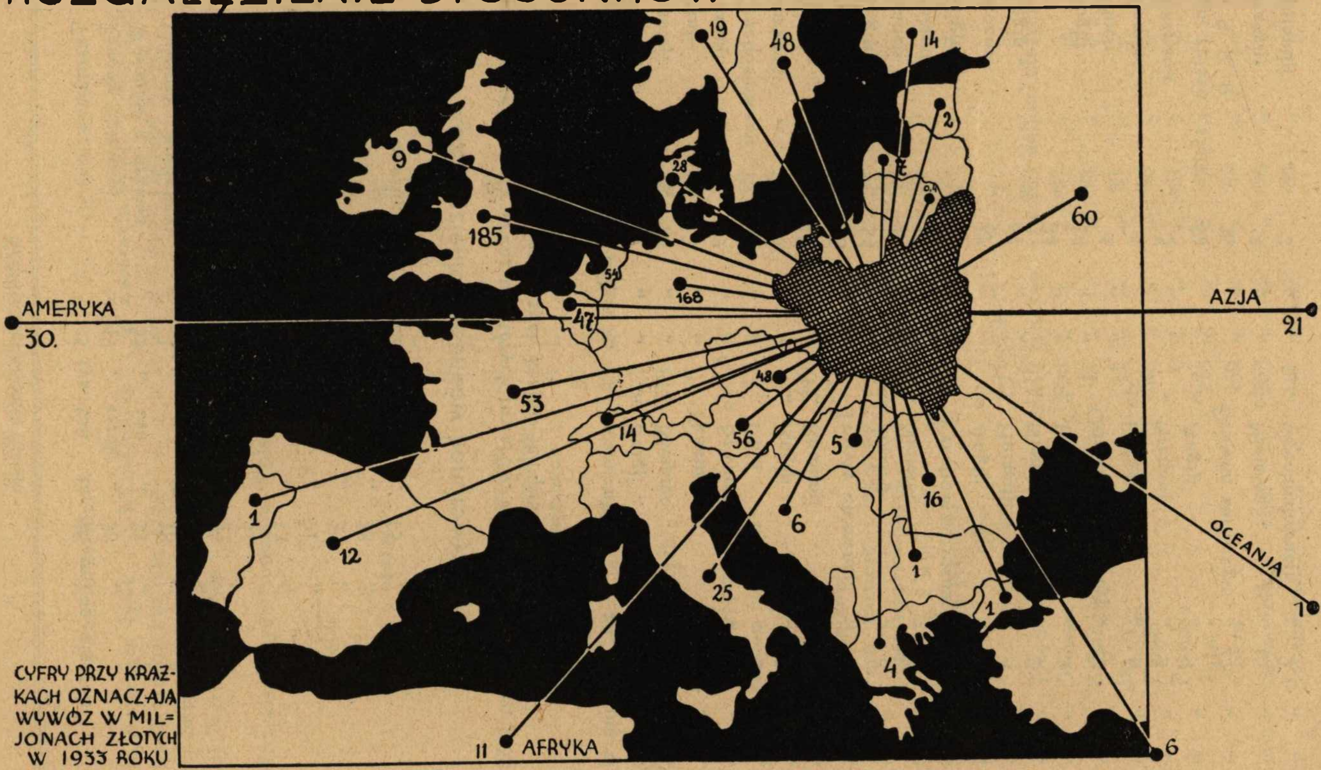
charakteryzuje poniższy wykaz niektórych towarów, wywiezionych w roku 1933, według najważniejszych krajów ich przeznaczenia:

Polska wywiozła:

Węgla:	za	167	miljon.	zł.
do Szwecji . . .	„	37	„	„
„ Austrji . . .	„	28	„	„
„ Danji	„	12	„	„
„ Francji . . .	„	19	„	„
„ Czechosłowacji	„	10	„	„
„ Norwegji . .	„	13	„	„
„ Włoch. . . .	„	15	„	„
Drzewa napółobrobion.		103	„	„
do Anglji	„	54	„	„
„ Francji . . .	„	11	„	„
„ Holandji . . .	„	15	„	„
„ Belgji	„	11	„	„
Bekonów:	„	67	„	„
do Anglji	„	67	„	„
Jaj:	„	34	„	„
do Anglji	„	14	„	„
„ Włoch	„	4	„	„
„ Niemiec . . .	„	6	„	„
„ Hiszpanji . .	„	5	„	„
Szyn, żelaza i stali:		43	„	„
do Z. S. R. R. . . .		36	„	„
„ Brazylji		4	„	„
„ Holandji		2	„	„

Jęczmienia:	za	18	miljon.	zł.
do Belgji	„	11	„	„
„ Niemiec . . .	„	3	„	„
Tkanin:	„	15	„	„
do Szwajcarji . .	„	3	„	„
„ Chin	„	2	„	„
„ Anglji	„	1	„	„
„ Rumunji . . .	„	1	„	„
Trzody chlewnej:	„	12	„	„
do Austrji . . .	„	8	„	„
„ Niemiec . . .	„	3	„	„
Wyrobów z drewna:	„	24	„	„
do Anglji	„	4	„	„
„ Holandji . . .	„	4	„	„
„ Niemiec . . .	„	2	„	„
„ Belgji	„	3	„	„
Odzieży i konfekcyj:	„	20	„	„
do Holandji . . .	„	6	„	„
„ Niemiec . . .	„	3	„	„
„ Anglji . . .	„	9	„	„
Drewna surowego:	„	25	„	„
do Niemiec . . .	„	16	„	„
„ Czechosłowacji	„	2	„	„

ROZGAŁĘZIENIE STOSUNKÓW HANDLOWYCH POLSKI



Cynku:	za 32	miljon.	zł.
do Niemiec . . .	„ 20	„	„
„ Z. S. R. R. . .	„ 3	„	„
„ Czechosłowacji .	„ 3	„	„
Przędzy:	„ 22	„	„
do Rumunji . . .	„ 8	„	„
„ Austrji	„ 2	„	„
„ Chin	„ 2	„	„
Żyta:	„ 39	„	„
do Niemiec . . .	„ 17	„	„
„ Danji	„ 5	„	„
„ Belgji	„ 5	„	„
„ St. Zjedn. Amer.	„ 4	„	„
„ Holandji . . .	„ 4	„	„
Cukru:	„ 19	„	„
do Anglji	„ 5	„	„
„ Szwecji . . .	„ 1	„	„
„ Francji	„ 2	„	„
„ Niemiec . . .	„ 2	„	„
„ Holandji . . .	„ 4	„	„
„ Finlandji . . .	„ 3	„	„
Nasion, roślin pastewnych i traw:	„ 17	„	„
do Niemiec . . .	„ 4	„	„
do Danji	za 3	miljon.	zł.
„ Francji . . .	„ 2	„	„
Nawozów sztucz.:	„ 16	„	„
do Hiszpanji . . .	„ 5	„	„
„ Szwecji . . .	„ 2	„	„
„ Czechosłowacji	„ 3	„	„
„ Niemiec . . .	„ 3	„	„
Pszenicy:	„ 8	„	„
do Niemiec . . .	„ 6	„	„
„ Holandji . . .	„ 2	„	„
Paszy dla zwierz.	„ 9	„	„
do Niemiec . . .	„ 3	„	„
„ Czechosłowacji	„ 1	„	„
Rur:	„ 16	„	„
do Argentyny . .	„ 5	„	„
„ Indji Bryt. . .	„ 3	„	„
Skór surowych:	„ 11	„	„
do Czechosłowacji	„ 3	„	„
„ Niemiec . . .	„ 2	„	„
„ Holandji . . .	„ 2	„	„
Parafiny i wazeliny:	„ 12	„	„
do Anglji	„ 7	„	„
„ Francji . . .	„ 1	„	„

VI. PRACA.

Praca, jako główna podstawa bogactwa Państwa, ma zagwarantowaną przez konstytucję szczególną ochronę. W myśl tego każdy obywatel ma prawo do opieki Państwa Polskiego nad jego pracą.

24. Robotnicy zatrudnieni w przemyśle, górnictwie i hutnictwie.

Stan na 1.I. 1934 r.

Ogółem robotników .	517,7 tys.
w tem w górnictwie .	98,4 „
„ w hutnictwie .	33,5 „
w tem w przemyśle. .	324,9 tys.
„ w innych. . .	60,9 „
Na robotach publicznych.	34,6 tys.

25. Pracownicy umysłowi.

Ogólna ilość pracowników umysłowych, zatrudnionych w Polsce, według danych z r. 1931 wynosi 460 tysięcy — w tem:

w rolnictwie	18 tys.
w górnictwie i przemyśle .	94 „
w handlu i w ubezpiecz. .	76 „
w komunikacji i transporcie	97 tys.
w służbie publicznej . .	160 „
w innych gałęziach pracy .	15 „

26. Ubezpieczenia społeczne.

Przeciętna roczna liczba ubezpieczonych w roku 1932 wyniosła:

na wypadek choroby	2169	tys.
„ „ nieszczęśliwych wypadków	3206	„
„ „ inwalidztwa, starości, śmierci	850	„
„ „ bezrobocia	952	„

VII. OPIEKA SPOŁECZNA.

Państwo Polskie otacza opieką tych, którzy zostali jej pozbawieni. W tym celu buduje:

27. Zakłady opiekuńcze dla dzieci i młodzieży.

ogółem w/g stanu na 1.III. 1932 r.	887	z ilością pensjonarjuszy	44177
w tem: żłobków	47	„ „ „	3033
„ „ schronisk i burs	784	„ „ „	37503
„ „ zakładów spec.	56	„ „ „	3641

28. Zakłady opiekuńcze dla dorosłych.

ogółem w/g stanu na 1.III. 1932 r.	616	z ilością pensjonarjuszy	22119
w tem: schronisk	572	„ „ „	18023
„ „ zakładów specjalnych	44	„ „ „	4096

29. Kolonje i półkolonje dziecięce,

których ilość stale wzrasta:

ilość kolonij	w r. 1926 —	378,	z których korzystało	37 tys.	dzieci
„ „	„ 1932 —	1013	„ „	80 „	„
ilość półkolonij	„ 1926 —	51	„ „	9 „	„
„ „	„ 1932 —	234	„ „	58 „	„

VIII. SZKOLNICTWO.

Polska w całej pełni uznając znaczenie oświaty jako najważniejszej rękojmi potęgi Państwa, wprowadziła przymus nauczania początkowego i zwraca specjalną uwagę na rozwój szkolnictwa, którego podstawą organizacyjną i programową jest ustawa szkolna z marca 1932 roku. Polska jest pokryta szeroką siecią szkół różnych stopni, co nam obrazuje poniższe zestawienie:

30. Rodzaj, ilość szkół i uczniów.

w roku szkolnym 1932/33.

Przedszkola	1726	z ilością uczniów	87,3 tys.
Szkoły powszechne (r. szk. 1933/34)	27277	„ „	4623,0 „
„ ćwiczeń	130	„ „	20,3 „
„ specjalne (dla upośledzonych fizycznie lub umysłowo) .	87	„ „	7,1 „
„ średnie ogólno-kształcące .	765	„ „	186,8 „
Seminarja nauczycielskie . . .	179	„ „	22,7 „
Pedagogja	3	„ „	0,3 „
Seminarja ochroniarskie . . .	16	„ „	1,1 „
„ nauczycieli rzemiosł .	7	„ „	0,5 „
Szkoły i kursy zawodowe . . .	747	„ „	68,8 „
„ zawodowe dokształcające .	670	„ „	86,1 „
Ludowe szkoły rolnicze . . .	138	„ „	4,6 „
Szkoły wyższe	24	„ „	54,8 „

31. Szkoły wyższe.

a) akademickie państwowe.

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie
Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie
Uniwersytet Warszawski w Warszawie
Uniwersytet Poznański w Poznaniu
Politechnika Lwowska we Lwowie
Politechnika Warszawska w Warszawie
Akademja Górnicza w Krakowie
Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejsk. w Warszawie
Akademja Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie
Akademja Stomatologiczna w Warszawie
Akademja Sztuk Pięknych w Krakowie
Akademja Sztuk Pięknych w Warszawie

b) akademickie niepaństwowe.

Wolna Wszechnica Polska w Warszawie
Szkoła Główna Handlowa w Warszawie
Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie

c) prywatne nieakademickie.

Szkoła Nauk Politycznych w Warszawie
Szkoła Nauk Politycznych w Krakowie
Wyższa Szkoła Dziennikarska w Warszawie
Wyższa Szkoła Handlowa w Poznaniu
Wyższa Szkoła Handlu Zagranicznego we Lwowie
Wyższe Studjum Handlowe w Warszawie

d) szkoły wojskowe.

Wyższa Szkoła Wojenna w Warszawie
Centrum Wyszkolenia Sanitarnego w Warszawie

IX. ŻYCIE UMYSŁOWE I KULTURALNE,

współczesnej Polski, bije żywem tętnem, godnem swych wielkich tradycyj.

32. Bibljoteki.

Polska posiada liczne bibljoteki, dostępne dla wszystkich, a mianowicie:

	Ilość	tom. w tys.
bibljotek publicznych (r. 1929)	8526	6164
„ szkół powszechn. publicznych (r. 1931)	23604	3883
„ „ średnich (r. 1930)	1357	2603
„ „ nauczycielskich (r. 1930) . .	346	632
„ „ zawodowych (r. 1931) . . .	625	490
„ „ wyższych (r. 1931)	21	2842
„ wojskowych naukowych (r. 1931) . .	14	268

33. Czasopisma.

Według danych na 1.I. 1934 r. w Polsce wychodzi ogółem 1831 czasopism, w tem:

naukowych	254
publicystycznych; literackich i artystycznych .	745
religijnych	195
gospodarczych, technicznych	252
sportowych, harcerskich	50
zawodowych (zrzeszeń zawodowych) . . .	114
państwowych (urzędowych) i samorządowych .	128
rozrywkowych	41
innych	52

34. Muzea i archiwa.

Muzea ogółem (1932 r.)	146
w tem: ogólne	43
„ historyczne i społeczne	45
„ przyrodnicze	17
„ techniczne	5
„ sztuk pięknych	36
Archiwa państwowe ogółem (1931 r.)	17

35. Teatry stałe i objazdowe.

dane z roku 1933

W Polsce jest teatrów stałych	57
„ objazdowych	31
w tem:	
oper i operetek	3
teatrów dramatycznych i komedyj	31
„ mieszanych i rewji	54

36. Kinematografy.

W Polsce było w r. 1923	—	428 kinematografów
„ 1928	—	631 „
w roku 1932	—	752 „

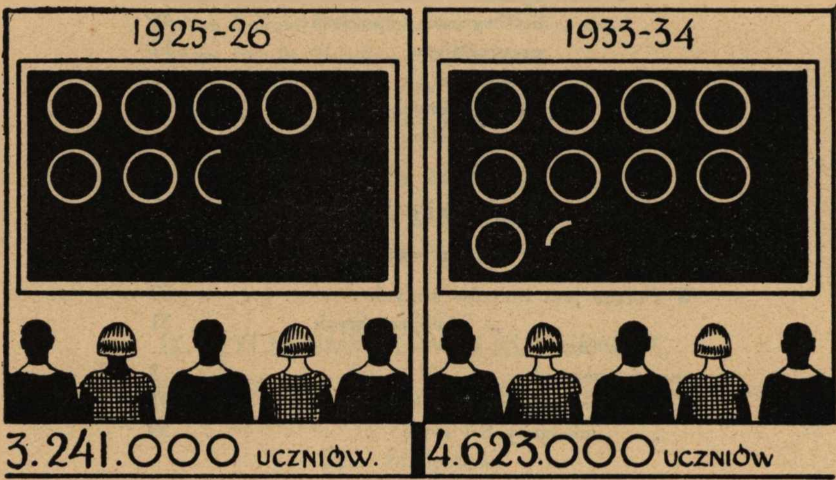
37. Radjo.

Ilość radjostacyj	w 1926 roku	1
„ „	„ 1932 „	7
Ilość radjoabonentów	„ 1926 „	5157
„ „	„ 1934 „	311287

X. WYCHOWANIE FIZYCZNE.

Wychowanie fizyczne w Polsce rozwija się pod kierunkiem Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Dzięki zwycięstwom naszego sportu niejednokrotnie sztandar polski powiewał na maszcie olimpijskim. Polska może się poszczycić szeregiem rekordów krajowych i światowych.

UCZNIOWIE SZKÓŁ POWSZECHNYCH



KAZDE KÓŁECZKO NA TABLICY OZNACZA 500.000 UCZNIÓW

SPORTOWCY ZRZESZENI



KAŻDA TARCZKA OZNACZA 50.000. SPORTOWCÓW ZRZESZONYCH

38. Ważniejsze rekordy sportowe.

W pływaniu dla panów:

na	100 metrów styl dowolny	czas	1:00,4	rekord krajowy
„	200 „ „ „	„	2:20,6	rekord krajowy
„	400 „ „ „	„	5:17,4	rekord krajowy
„	1500 „ „ „	„	21:52,8	rekord krajowy
„	100 „ „ na wznak	„	1:14,2	rekord krajowy

W łyżwiarstwie dla panów:

na	10.000 metrów	czas	19:04,2	rekord krajowy

W łyżwiarstwie dla pań:

na	5.000 metrów	czas	10:59,8	rekord światowy

W lekkiej atletyce dla panów:

biegi	1.500 metrów	„	3:54	rekord krajowy
„	3.000 „	„	8:18,8	rekord światowy
„	5.000 „	„	14:41,8	rekord krajowy
„	10.000 „	„	30:11,4	rekord olimpijski
	2 mile angielskie	„	9:00,4	rekord krajowy
	4 „ „	„	19:02,6	rekord krajowy
„	400 metrów przez płotki	„	54,2	rekord krajowy

skok wwyż z rozbiegu . . .	1,96 m.	rekord krajowy
skok wdal „ „ . . .	7,38 m.	rekord krajowy
trójskok	14,96 m.	rekord krajowy
rzut kulą	16,05 m.	rekord światowy
rzut dyskiem	46,05 m.	rekord krajowy
rzut kulą oburącz	28,86 m.	rekord krajowy
rzut oszczepem	63,20 m.	rekord krajowy

W lekkiej atletyce pań:

biegi	60 „	„	7,3	rekord światowy
„	80 „	„	9,8	rekord światowy
„	100 „	„	11,8	rekord światowy
„	200 „	„	24,1	rekord światowy
„	800 „	„	2:18,2	rekord krajowy
„	1.000 „	„	3:02,5	rekord światowy

skok wdal z rozbiegu	5,84 m.	rekord krajowy
rzut dyskiem	43,08 m.	rekord światowy
rzut dyskiem oburącz	67,82 m.	rekord światowy
rzut oszczepem.	39,61 m.	rekord krajowy

39. Sportowcy.

dane za rok 1933

Sportowcy zrzeszeni	550.000
Kursy męskie wychowania fizycznego	470.000
Ilość uczestników na kursach	15.000
Obozy letnie męskie	87.000
Uczestnicy obozów	15.600

40. Lotnictwo sportowe.

Ma za sobą szereg zwycięstw krajowych i międzynarodowych, z których najwspanialszemi są: zdobycie puharu przechodniego Challenge'u w r. 1932, przelot nad Atlantykiem południowym na małym samolocie sportowym oraz w areonautyce zdobycie puharu Gordon Bennetta na zawodach balonowych w Stanach Zjednoczonych A. P.

Lotnictwo sportowe liczy: ponad 2.000 członków
w tem: 200 pilotów motorowych 90 samolotów sportowych
300 pilotów szybowcowych 90 samolotów szybowcowych

41. Związek Harcerstwa Polskiego.

Stan na 1.I. 1934 roku.

Odnoszący piękne sukcesy na zlotach międzynarodowych Jamboree, posiada: organizacje harcerzy w 956 miejscowościach i organizacje harcerek w 691 miejscowościach. Harcerzy 85 tysięcy i harcerek 50 tysięcy. Zorganizował w r. 1933 obozów i kursów: dla harcerzy 904, dla harcerek 333, na których uczestniczyło harcerzy 26 tysięcy i harcerek 7,6 tysiąca.

XI. ZDROWOTNOŚĆ PUBLICZNA.

Dbając o zdrowie publiczne, Polska zakłada szpitale i ośrodki zdrowia:

42. Szpitale i ośrodki zdrowia.

Polska posiadała: w r. 1926 — 635 szpitali i 54.235 łóżek
„ 1928 — 672 „ 58.836 „
„ 1933 — 710 „ 70.763 „
„ 1929 — 140 ośrodków zdrowia
„ 1931 — 180 „ „
na 1. I. 1934 r. 231 „ „

o

ŹRODŁA

MATERJAŁY GŁÓWNEGO URZĘDU STATYSTYCZNEGO:

Mały Rocznik Statystyczny — rok 1933 i 1934,
Wiadomości Statystyczne z roku 1934,
Statystyka Polski, Serja c, Zeszyt 3, z r. 1934,
Rzeczypospolita Polska, Atlas Statystyczny z r. 1930.

INNE:

Polonia zagranicą. Wydanie na Powsz. Wyst. Kraj. w Poznaniu.
Skład narodowościowy państw europejskich. Leon Wasilewski. Nakład Instytutu Spraw Narodow. Warszawa 1933.
Rocznik gospodarczy i polityczny z r. 1934. Wydanie P. A. T.
Materjały biura Związku Polskich Związków Sportowych. Polski Komitet Olimpijski.

SPIS RZECZY

IV. KOMUNIKACJA.

V. HANDEL ZAGRANICZNY.

VI. PRACA.

VII. OPIEKA SPOŁECZNA.

VIII. SZKOLNICTWO I WYCHOWANIE.

IX. ŻYCIE UMYSŁOWE I KULTURALNE.

X. WYCHOWANIE FIZYCZNE.

XI. ZDROWOTNOŚĆ PUBLICZNA.

SPIS RZECZY

I. Z DAWNYCH CZASÓW.

II. W WALCE.

III. ŚWIT.

IV. W SŁOŃCU WOLNOŚCI.

KRÓTKA STATYSTYKA POLSKI

SPIS ILUSTRACYJ

I. Z DAWNYCH CZASÓW.

II. W WALCE.

III. ŚWIT.

IV. W SŁOŃCU WOLNOŚCI.

Spis ilustracyj

OBJAŚNIENIA TRUDNIEJSZYCH SŁÓW, ZWROTÓW ORAZ TERMINÓW HISTORYCZNYCH, GEOGRAFICZNYCH ETC.

I. Z DAWNYCH CZASÓW

Polski hymn narodowy.

Bonaparte — Napoleon Bonaparte, cesarz Francuzów

Jak Czarniecki do Poznania po szwedzkim zaborze — tu mowa o Stefanie Czarnieckim, który za panowania króla Jana Kazimierza (wiek XVII) przepędził z Polski najezdników szwedzkich

Wybicki Józef — współpracownik gen. Dąbrowskiego w tworzeniu legjonów; wsławił się jako twórca Pieśni legjonów (r. 1797), która od r. 1831 stała się hymnem narodowym

J. Kaden-Bandrowski, Polska.

Dynaburg — handlowe miasto nad rzeką Dźwiną na Łotwie

helski — na półwyspie Helu, należącym do Polski, oddzielającym część zatoki Puckiej od morza Bałtyckiego

Kujawy — kraina urodzajna, nisko położona w dorzeczu Wisły, obejmująca miasto handlowe Włocławek, miejscowości lecznicze, o słonych źródłach, jak: Ciechocinek i Inowrocław, wspaniałe jezioro Gopło i Kruszwicę z Mysią Wieżą, z któremi się wiąże podanie o Królu Popielu i założycielu pierwszej dynastji panującej w Polsce, Piaście kołodzieju

limba — drzewo iglaste, jodła karpacka

opończa — płaszcz obszerny bez rękawów i bez peleryny

ościenny — graniczny, sąsiedzki, przyległy

Peowiacy — członkowie P. O. W. t. j. Polskiej Organizacji Wojskowej, która powstała jako związek tajny w 1915 r., w czasie okupacji ziem polskich przez armję niemiecką i austrjacką i miała na celu współdziałanie z Legjonami oraz przygotowanie przyszłej armji polskiej; brała czynny udział w rozbrajaniu okupantów po powrocie Józefa Piłsudskiego z więzienia w Magdeburgu

Polesie — kraina płaska, pokryta lasami i bagnami, obejmująca dorzecze rzeki Prypeci, granicząca na wschodzie z Rosją

ruda — minerał, w którym znajduje się jakiś metal, np. żelazo, cynk, miedź i t. d., zmieszany z innemi ciałami

skraj — brzeg, kraj, krawędź

Turmont — pograniczna stacja kolejowa między Łotwą i Polską

Wołyń — kraina, obejmująca dopływy rzeki Prypeci: Turję, Styr, Horyń i Słucz, w północnej swej części podobna do Polesia, w południowej — żyzna i malownicza, dająca pszenicę i buraki cukrowe

F. Bielski, Bolesław Chrobry.

Bałta — Bałtyckie morze (bałtos po łotewsku znaczy biały, a część wybrzeży tego morza jest pokryta białym kamieniem; baltha — to także nazwa jednego z plemion, które we wczesnem średniowieczu tu żyły)

Dniepr — rzeka, wpadająca do morza Czarnego

dzierżawa — stary wyraz polski, oznaczający majątek, ziemię zdobytą, państwo

Łaba — inaczej Elba — wielka rzeka we wschodniej części Niemiec, do której ongiś docierały podboje Chrobrego

łopotać — stukać, uderzając czemś płaskiem, np. skrzydłami, chorągwią

Szczerbiec — miecz, którym, według podania, uderzył Bolesław Chrobry w bramę zdobytego przez siebie Kijowa; miecz ten przypasywano następcom Chrobrego podczas koronacji

J. Smoleński, Nad Wartą, Gopłem i Notecią.

dynastja — ród panujących w pewnym kraju

Piast — założyciel pierwszego rodu panujących w Polsce, Piastów, według podania kołodziej, mieszkający w Kruszwicy nad Gopłem; Piasta i Rzepichę odwiedzili aniołowie podczas postrzyżyn ich syna, Ziemowita

plenny — wydający obfity plon, urodzajny, płodny

Polanie — szczep słowiański, który wraz z innemi szczepami: Sieradzan, Łęczan, Kujawian, Mazurów, Chrobatów Białych i Czerwonych wszedł w skład państwa polskiego za czasów Mieszka I

Popiel — według podania król Polan, mieszkający w warownem grodzisku w Kruszwicy, na jeziorze Gople

przeddziejowa pomroka—okres poprzedzający czasy historyczne, t. j. takie, które pozostawiły po sobie zabytki pisane, jak kroniki, napisy, dokumenty państwowe, kościelne i t. d.

rdzenny — mający w sobie rdzeń, właściwą istotę; gdy mowa o ludności — oznacza to ludność tubylczą, rodzimą

romantyczny — pełen poezji, malowniczy, fantastyczny, nacechowany rysami epoki romantyzmu w sztuce, odwracającej się od życia codziennego w krainę wyobraźni, w świat nadprzyrodzony

romański kościół — kościół, zbudowany w stylu romańskim, tj. odznaczającym się półkolistemi łukami, kopułą ośmioboczną, ozdobami prostolinijnemi, przeplatanemi niejednokrotnie wyobrażeniami bajecznych zwierząt, potwornych twarzy ludzkich i t. d.

Stara Baśń — tytuł sławnej powieści polskiej I. J. Kraszewskiego, osnutej na tle dziejów bajecznych Polski za Piasta

„szlak bursztynowy" — droga, którą wędrowali i jeździli kupcy po bursztyn z Bałtyckiego morza, przywożąc jednocześnie ze sobą towary, których tu jeszcze ludność nie wytwarzała, jak sukno, klejnoty i t. p.

torf — szczątki roślin, zgniłych pod wodą, nawpół zwęglonych razem z piaskiem i mułem, używanych jako materjał opałowy

tradycja — podanie, sposób, droga, którą wiadomości i przekonania przechowują się, przechodząc ustnie z pokolenia na pokolenie

M. Konopnicka, Kujawiak.

hreczka — gryka, roślina, z której ziarn wyrabia się kaszę

kram — sklep z drobnemi towarami do codziennego użytku, stragan

proso — roślina jadalna z rodziny traw

wstęgów — w tej formie używany wyraz w gwarze ludowej, poprawnie brzmi: wstąg

M. Konopnicka, Brzegiem Wisły

bohaterska Wola — przedmieście Warszawy, przez które szła linja obronna podczas szturmu rosyjskiego w 1831 r. pod koniec powstania Listopadowego; w szańcach na Woli walczyli obrońcy, ginąc, a nie poddając się, do ostatniego żołnierza

Beskid — albo Beskidy — łańcuchy północnych Karpat

czarnoleska lipa — lipa w Czarnolesiu, majątku wielkiego poety polskiego XVI wieku, Jana Kochanowskiego ulubiona i uwieczniona przez niego w poezji

Czerwienne Grody — miasta na tak zwanej dawniej Rusi Czerwonej: Czerwień, Przemyśl, Halicz, Lwów

domowina kmieca — to, co włościanin posiada w domu, cząstka jego majątku

dufny w sobie—ufający sobie, pewny siebie, mający poczucie własnej godności

dzierżawa — patrz: Bielski, Bolesław Chrobry, I

flisak — majtek rzeczny, trudniący się spławianiem drzewa i zboża

gontyna — dawna świątynia pogańska u Słowian

Gopło — patrz: Smoleński, Nad Wartą, Gopłem i Notecią, I

groble, tamy—nasypy z ziemi, drzewa, kamienia, chróstu dla zatrzymania wód przy młynach, lub zbudowane na błotach, trzęsawiskach dla udogodnienia jazdy

Ił — muł gliniasty i wapienny, naniesiony przez wodę

jar — wąwóz, dół zarosły krzewami ze źródłem albo strumieniem

krasny — czerwony, rumiany, piękny, urodziwy

ławica—mielizna piaszczysta wzdłuż rzeki albo brzegu morskiego.

łęgi — zarośla na łąkach błotnistych.

miano — nazwa

morszczyna — roślina morska, wodorost

niecić się — rozpalać się, palić się

oczyniać — urzekać, czarować.

odpłóczysko — ziemia stale spłókiwana wodą

okraj — skraj, brzeg

ostrów — wyspa, ziemia otoczona ze wszystkich stron wodami

Płocko — dziś mówi się Płock—stare miasto, pięknie położone nad środkową Wisłą

płótnianka — ubranie z płótna, noszone przez wieśniaków

płużyca — narzędzie rolnicze, podobne do pługa, ale bez prożka i kółek

podrywka — mała sieć do łowienia ryb, złożona z dwóch pałąków, nakrzyż przymocowanych do długiego kija

Połąga — uzdrowisko nad Bałtykiem, dziś na obszarze państwa litewskiego

Praga z przebitą piersią — przedmieście Warszawy, bohatersko broniące się podczas szturmu dowódcy wojsk rosyjskich, Suworowa, po klęsce Maciejowickiej Kościuszki; zdobywszy je, Suworow urządził rzeź tysięcy mieszkańców, nie oszczędzając kobiet i dzieci

prerja — bezdrzewna równina w Ameryce Północnej, stepy

przemyślny — tu: uprawiający przemysł jak np. tkactwo, gorzelnictwo, hutnictwo i t. d.

psałterz — księga psalmów t. j. pieśni nabożnych (szczególniej pieśń króla Dawida ze Starego Testamentu)

Puck — stary, mały port nad zatoką Pucką

Raszyn, Grochów, Wawer — miejscowości wpobliżu Warszawy, w których toczyły się liczne bitwy, zwłaszcza w czasie powstania Listopadowego 1830 — 1831 r.

rozhowor — rozmowa.

samorodny — ten, który się sam rodzi, niezasiewany, niewzorowany na niczem

szczudłować — chodzić na szczudłach, to jest drążkach z podpórkami na nogi

śpiż — stop metali, z przewagą miedzi, bronzu

tuman — mgła

Tylża i Ragusta — rzeki w dorzeczu Niemna; w Tylży nad Tylżą zawarto pokój w 1807 r. między Francją, Rosją i Prusami, na mocy którego powstało Księstwo Warszawskie

ugór — odłóg, t. j. jedna z trzech części gruntu w gospodarstwie trzypolowem, na której przez cały rok nic się nie sieje

Warta — rzeka na zachodzie Polski, nad którą leży Poznań

wertep — droga trudna do przebycia, manowiec

Windawa — rzeka, wpadająca do morza Bałtyckiego i osada łotewska, w której ongi mistrz rycerzy mieczowych zbudował zamek

wygon — miejsce, gdzie pasie się bydło, pastwisko

wyraj — ciepłe kraje, do których odlatuje na zimę ptactwo przelotne

zasobny — zamożny, niebiedny

zawodzenie — płacz żałosny, śpiew płaczliwy, pełen bólu

Zygmuntowy dzwon koronny — dzwon na Wawelu w Krakowie, nazwany Zygmuntem od imienia króla, który go kazał ulać z armat, zdobytych na wrogu; dzwon ten dzwoni tylko w uroczystych chwilach

żóraw studzienny — drąg dwuramienny na wysokiej podstawie, służący do wyciągania wody ze studni

Żuławy Malborskie — niski teren między Wisłą a jej odnogą przy

ujściu do morza, Nogatem, w okolicy dawnego krzyżackiego zamku w Malborgu

Z. Kossak - Szczucka, Legenda opactwa sandomierskiego.

azali — czy (po staropolsku)

bazylika — kościół wspaniały z trzema lub pięcioma nawami, oddzielonemi kolumnami

credo in unum Deum—wierzę w Boga jedynego (po łacinie)

drzewiej — dawniej (po staropolsku)

filar — słup podpierający z muru, kamienia lub marmuru

Hospodyn — gospodarz, pan, tu: Pan Bóg (po staropolsku)

jutrznia — nabożeństwo kościelne, odprawiane wczesnym rankiem.

karczować — wydobywać pnie i korzenie po wyciętym lesie w celu otrzymania pola pod zasiewy

krużganek — kryty korytarz z kolumnami (słupami) naokoło dziedzińca wewnętrznego, galerja

legenda — opis zdarzenia z życia, lub całego życia jakiegoś świętego, pełny cudowności

lekcja — wyjątki z Pisma św., czytane podczas Mszy świętej

mieszek — worek, woreczek

miserere mei — zlituj się nade mną (po łacinie)

możny — tu: bogaty

mszał — księga, zawierająca Msze i modlitwy, odmawiane przez kapłana podczas nabożeństwa

niemoc — choroba

opactwo — klasztor i dobra, t. j. majątek klasztorny pod zarządem przełożonego zakonu, t. j. opata

pergamin — wyprawiona i wygładzona skóra barania, służąca dawniej za materjał do pisania, dziś — do oprawiania książek i spisywania uroczystych aktów

pierzchnąć — uciec

relikwje — szczątki ciał świętych oraz rzeczy przez nich używane

rubinowy — czerwony, jak drogocenny kamień rubin

Sarmacja — starożytna Polska; słowo pochodzi od nazwy plemienia, Sarmaci, które w starożytności zajmowało tę część Europy, w której później osiedlili się Słowianie

szarańcza — owad skrzydlaty, tłumnie nalatujący na jakąś okolicę i niszczący doszczętnie całą jej roślinność

Tartari — mieszkańcy piekła (po łacinie)

tynk — zaprawa wapienna, którą się narzuca na ściany i zaciera

warowny — obronny, uzbrojony

wnęk — tu: wgłębienie w ścianie w otworze okiennym

wrzeciądze — łańcuchy, albo sztaby żelazne do zamykania drzwi

zboże na pniu — zboże, rosnące na polu, jeszcze niezżęte

zbożny — pobożny, żyjący według przykazań Bożych

zmora — zgodnie z dawniej istniejącemi przesądami: duch, duszący ludzi w nocy, ciężki sen z przywidzeniami

T. Sinko, Przesławna perła wiedzy.

astronomja — nauka o ciałach niebieskich (planetach, gwiazdach i t. d.)

bakałarz — ten, kto otrzymał pierwszy stopień akademicki; nauczyciel

ceremonjał — zbiór przepisów postępowania przy uroczystościach, obrzędach

Cypr — wyspa na północno-wschodnim krańcu morza Śródziemnego

dyplom erekcyjny — dokument, pismo o wzniesieniu jakiejś budowli, o założeniu instytucji

dysputować — rozprawiać, spierać się o coś

geometrja — nauka o mierzeniu linij, powierzchni i brył

kanclerz — dawniej wysoki urzędnik, strzegący pieczęci państwa, stróż praw narodowych, dziś — prezes ministrów (w Niemczech), lub minister skarbu (w Anglji)

kanonista — znawca prawa kanonicznego, t. j. kościelnego

(po) **kądzieli** — krewny po matce

koronat — monarcha koronowany

magister — stopień naukowy uniwersytecki, niższy od doktora

osobliwy — tu: dziwny, niezwykły

paź — młody chłopiec szlacheckiego rodu, będący na usługach książąt, królów

Pecs — Peszt, który wraz z Budą stanowi stolicę Węgier — Budapeszt

rektor—zwierzchnik, stojący na czele wyższego zakładu naukowego, np. uniwersytetu, politechniki

sobór — zgromadzenie członków Kościoła w celu narad nad sprawami Kościoła i wyznania

Statut Wiślicki — zbiór praw polskich, uznany za obowiązujący przez króla Kazimierza Wielkiego na zjeździe dostojników państwa w Wiślicy

teolog — uczony w sprawach wiary

tolerancja — pobłażliwość pod względem różnicy zapatrywań, zwłaszcza przekonań religijnych, cierpliwe znoszenie, poszanowanie innych przekonań

uroszczenia — niesłuszne pretensje, żądania

zagaić — tu: rozpoczynać przemową posiedzenie

żaczek — uczeń, student, uczący się w dawnych szkołach

H. Sienkiewicz, Za króla Jagiełły.

barć — ul wydrążony w drzewie, lub dziupla, w której się gnieżdżą pszczoły

dychać — oddychać, to znaczy żyć

grot — żeleźce strzały, albo włóczni

kniaź Witold — książę Witold, stryjeczny brat króla Jagiełły, wielki książę litewski

(z) **kuszy dziać** — strzelać z kuszy, t. j. rodzaju łuku, naciąganego korbą

lubo — chociaż, jakkolwiek, ale **na księżej** grudzi być — umrzeć

odkazywać — odpowiadać (po staropolsku)

Olkusz — miasto w województwie Kieleckiem, będące ongi siedzibą kopalni rud ołowiu i srebra

opat — patrz: Z. Kossak-Szczucka, Legenda opactwa sandomierskiego, I

pachołek — chłopiec, dorastający wieku młodzieńczego, będący w służbie u pana

podjezdek — mały, młody konik

prawować się — tu: kłócić się, spierać się

raić — radzić, stręczyć

tur — wielkie zwierzę, dziś już nieistniejące, zapewne przodek bydła rogatego

wartko — prędko

wrony — czarny

żubr — wielkie zwierzę, dziś istniejące już tylko w Polsce w Puszczy Białowieskiej i w Ameryce Północnej — pod nazwą bizona

M. Gerson-Dąbrowska, Wielki artysta.

baldachim — rodzaj daszka na słupkach, stałego albo przenośnego, służącego do uroczystości, np. używanego podczas procesji

bramować — obszywać brzegi taśmią, futrem, czy inną ozdobą

gotyckie łuki — ostre łuki w budowlach stylu gotyckiego, odznaczającego się ponadto strzelistemi wieżyczkami

kołpak — wysoka czapka, ugóry zwężona

Ogrójec — ogród, w którym pojmano modlącego się Chrystusa

rajca miejski — członek rady miejskiej

snycerski — rzeźbiarski

M. Smolarski, Mikołaj Kopernik.

astronom — badacz ciał niebieskich

krużganek — patrz: Kossak-Szczucka, Legenda... I

luneta astronomiczna — przyrząd, służący do obserwacji nieba

taras — tu: płaski dach, otoczony szeroką poręczą na słupkach, t. j. balustradą

żachnąć się — zrobić gwałtowny ruch niezadowolenia

J. Lechicka, Wielki król.

bakałarz — patrz: Sinko, Przesławna perła wiedzy, I.

baszta — wieża obronna forteczna, lub zamkowa

buta — pycha, hardość, wynoszenie się nad innych

cerkiew — świątynia obrządku wschodniego, zwanego prawosławnym

Chodkiewicz Karol — jeden z najznakomitszych wodzów polskich, zwycięzca Szwedów pod Kircholmem

dyplom — tu: świadectwo, dające prawa, przywileje

Elbląg — miasto powiatowe w dzisiejszych Prusach Wschodnich, którego mieszkańcy trudnili się głównie budową okrętów

elekt — wybraniec, tu: nowoobrany król przed koronacją

hakownica — rodzaj dawnej strzelby bez bagnetu, o zapale lontowym

hetman — w dawnej Polsce najwyższy dowódca wojska, wódz

kanclerz — patrz: Sinko, Przesławna perła wiedzy, I.

kołpak — patrz: Gerson-Dąbrowska, Wielki artysta, I.

kopuła — sklepione półkoliste przykrycie budynku, dach baniasty

litaury — dawne narzędzia muzyczne, metalowe, w rodzaju bębna, w które uderzano pałeczką

lustracja — przegląd, obejrzenie, rewizja

łoś — zwierzę o dużych, pełnych rogach

łowczy—zarządzający łowami, godność wysokiego urzędnika w dawnej Polsce

monaster — klasztor wyznania wschodniego, prawosławnego

Niderlandy — dziś królestwo to nazywa się Holandją, leży przy ujściu Renu do morza Północnego

ojcowie miasta — rajcowie miejscy, magistrat

oracja — mowa, przemowa

ostęp — część kniei, lasu, w której przebywają zwierzęta leśne

pachołek — patrz: Sienkiewicz, Za króla Jagiełły, I.

pergamin — patrz: Kossak-Szczucka, Legenda opactwa sandomierskiego, I.

Psków — jedno z najstarszych handlowych miast rosyjskich, leżące niedaleko zatoki Ryskiej morza Bałtyckiego

Siedmiogród — dawniej kraina należąca do Węgier, obecnie po wielkiej wojnie weszła w skład Rumunji

torfowisko — miejsce z pokładami torfu, patrz: Smoleński, Nad Wartą, Gopłem i Notecią, I.

tuszyć — mieć nadzieję (po staropolsku)

wieszcz z Czarnolasu — Jan Kochanowski, ówczesny wielki poeta polski

żubr — patrz: Sienkiewicz, Za króla Jagiełły, I.

J. Kochanowski, Tren VIII.

frasować się — martwić się, boleć

obłapiać — obejmować, ściskać

pobiegać kąciki—obiec kąciki, wejść w każdy kącik

psować — psuć

szczyry — szczery, prawdziwy

tren — pieśń żałobna po śmierci istot ukochanych

wszytki — wszystek, cały

H. Sienkiewicz, W obronie Częstochowy.

celebrować — odprawiać uroczyście nabożeństwo

chorał — pieśń religijna, śpiewana chórem

konwent — zgromadzenie, stowarzyszenie, klasztor

kram — patrz: M. Konopnicka, Kujawiak, I.

miecznik — tytuł urzędnika w dawnej Polsce, noszącego miecz monarchy

mirra — rodzaj żywicy, używanej jako kadzidło

nowicjat — czas próby w zakonie przed złożeniem ostatecznego ślubowania

profos — w dawnej kawalerji polskiej podoficer, czuwający nad aresztantami

przeor — przełożony klasztoru

solennie — uroczyście

tarcica — deska zrobiona przez rozerżnięcie piłą pnia drzewnego

trybularz — kadzielnica kościelna

załoga — tu: oddział wojska, broniący twierdzy

G. Morcinek, Ziemia śląska.

Beskidy — patrz: Konopnicka, Brzegiem Wisły, I

gronia — **raczej granie** — wydatne krawędzi górskie

Katowice — miasto, siedziba województwa i sejmu śląskiego

Klimczok — szczyt górski w Beskidach Śląskich

koleina — rowek, brózda, ślad

pątnik — pielgrzym, tu: wycieczkowicz niedzielny

płacheć — płat, kawał

roztomiły — miły

szron—ścięta w lód rosa albo mgła, osadzająca się na drzewach, trawie i t. d.

urzeczony — zaczarowany

Ustroń — miejscowość lecznicza na Śląsku, położona blisko Wisły nad Wisłą

zwiewny — lekki, dający się unieść powiewem, podmuchem

Z. Kossak-Szczucka, W drodze pod Wiedeń.

audjencja — posłuchanie, przyjęcie interesanta przez osobę wysoko postawioną

bierwiono — kawał drzewa nieociosanego, belka

Bizancjum — Konstantynopol

błysk szabel przy ewangelji — rycerze polscy w dawnych czasach obnażali i podnosili wgórę szable podczas czytania ewangelji w kościele, na znak gotowości stanięcia w obronie wiary

boś i tu w Polsce — Śląsk nie należał wtedy do państwa polskiego, więc słowa te wskazują, że Ślązacy mimo obcą władzę czuli zawsze swoją polskość

bractwo — związek o charakterze religijnym lub dobroczynnym

buńczucznie — czupurnie, junacko

celebrować — patrz: H. Sienkiewicz, W obronie Częstochowy, I

dziedzina — obszar, kraina, miejsce rodzinne, wieś dziedziczna

gonty — cienkie deseczki do krycia dachów

gromko — głośno.

lice — tu: strona przednia, frontowa budynku

modrzew — drzewo iglaste, dawniej częste w Polsce

obożny — kwatermistrz

pergamin — patrz: Kossak-Szczucka, Legenda... I

proporzec — chorągiew wojenna, sztandar

przystrzeszek — przydaszek

rysie—tu: belki, na których się dach wspiera

sojusz — przymierze, związek

śniady — ciemny, ciemnolicy

strop — powała, sklepienie, sufit

towarzysz — żołnierz szlachcic w chorągwi husarskiej dawnego wojska polskiego

usarska, albo husarska chorągiew — oddział jeźdźców pancernych w dawnem wojsku polskiem, w przyłbicy, ze skrzydłami u zbroi i z kopją

zali — czy

żywica — gęsty płyn szklisty, wydzielany przez pnie i gałęzie niektórych drzew, np. sosnę, wiśnię i t. p.

T. Sinko, Światło w ciemności.

edukacja — wychowanie i wykształcenie.

kolegjum — tu: średni zakład naukowy

Konstytucja 3-go Maja — ustawa rządowa, uchwalona za czasów ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta, w roku 1791, przez sejm t. zwany Czteroletni; wzmacniała ona silnie władzę króla, porządkowała sposób uchwalania praw, brała pod opiekę mieszczan i chłopów, wzmacniała państwo

konwikt — szkoła ze wspólnem mieszkaniem uczniów

mleczny brat — wykarmiony przez tę samą kobietę, która jest matką jednego dziecka, a karmicielką drugiego.

pacholik — patrz: Sienkiewicz, Za króla Jagiełły, I

prefekt — ksiądz, uczący religii w szkołach

Pułtusk — miasto na Mazowszu, niedaleko Warszawy

senator — w dawnej Polsce członek senatu, składającego się z dostojników duchownych (arcybiskupów) i świeckich (wojewodów, kasztelanów i ministrów)

Towarzystwo do układania Ksiąg Elementarnych — towarzystwo powstałe dzięki Komisji Edukacyjnej, mające stworzyć nowe, postępowe podręczniki dla nowych szkół, zgodne z duchem odradzającego się pod wpływem oświaty narodu

uniwersał — w dawnej Polsce list królewski, wydawany do narodu przed sejmem, t. j. zebraniem parlamentu; uniwersał wydał także Kościuszko podczas powstania

St. Konarski, Sprawiedliwości nie chcę.

dzięk się dopominać — upominać się o podziękowanie, o okazanie wdzięczności

fortun naszych zażyć — zabrać nasze majątki (zużyć je na cele Ojczyzny)

wszystko z życiem ważyć — oddać w ofierze wszystko, wraz z życiem naszem

II. W WALCE

A. Mickiewicz, Oda do młodości.

centaur — postać z mitów, t. j. bajecznych opowiadań greckich, mająca głowę i przednią część ciała ludzką, a tylną końską; z centaurem walczył zwycięsko bohater grecki, Herakles

gnuśność — lenistwo, ospałość, ociężałość

hydra — potwór z greckich podań, wąż o dziesięciu głowach, z których jedna była nieśmiertelna; walczył z nim Herakles, który, będąc jeszcze niemowlęciem w kołysce, udusił dwa węże, które z rozkazu nienawidzącej go bogini Hery, oplotły mu szyję i rączki

laur — roślina, wawrzyn; z jej liści pletli Grecy wieńce dla bohaterów

nektar żywota — nektarem nazywali Grecy pokarm bogów; Mickiewicz myśli tu o pokarmie duchowym, o istocie życia

oda — utwór, uroczyście opiewający przedmiot uczuć wzniosłych

odmęt — woda wzburzona, głębia; zamieszanie, chaos, nieporządek

płaz — zwierzę ziemnowodne, zimnokrwiste, tu: człowiek nędzny, nikczemny, pozbawiony wyższych dążeń

przesąd — wiara zabobonna w rzeczy niegodne wierzenia, zabobony

żywioły — zasadnicze pierwiastki natury: ziemia, woda, powietrze

i ogień, wogóle siły przyrody i ich potężne przejawy

E. Jezierski, O wolność...

Charleston — miasto w Stanie Massachussets, tuż pod Bostonem, w pobliżu jest ogromny pomnik oswobodzenia Ameryki

dywersja—działanie wojenne w celu odwrócenia uwagi i popsucia planów wojennych nieprzyjaciela

Franklin Benjamin — wielki mąż stanu, pisarz i uczony (wynalazca piorunochronu), twórca wielu instytucyj Stanów Zjednoczonych

furaż — pasza dla koni wojskowych

Georgja—stan południowo-wschodni, nad półwyspem Florydą w Ameryce Północnej, w którym leży Savannah

konfederacja Barska — związek zbrojny szlachty za króla Stanisława Poniatowskiego (r. 1768), który walczył w obronie wolności polskiej; przywódcy — A. Krasiński i Pułascy

Kongres — zgromadzenie prawodawcze, t. j. parlament w Ameryce

Lafayette — wielki polityk francuski, generał w Ameryce walczącej o swą wolność, czynny członek rewolucji francuskiej, przyjaciel Polski

ładownica — pudełko blaszane albo skórzane do ładunków broni palnej

metropolja—kraj macierzysty względem swoich kolonij

milicja — wojsko złożone z ludu, nie należące do armji stałej

obces — z natarczywością, impetem

opończa — patrz: Kaden-Bandrowski, Polska, I

partyzancka walka — patrz: Prus, Z pamiętnika subjekta, II

Pensylwanja — jeden z sześciu środkowych stanów Ameryki Północnej

Pułaski Kazimierz — bohater konfederacji Barskiej, potem dowódca całej jazdy Stanów Zjednoczonych Am. Północnej

Stan — tu znaczy kraj, wchodzący wraz z innemi w skład państwa: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Unja — tu: Stany Zjednoczone

Washington — pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a przedtem naczelny wódz i oswobodziciel swej ojczyzny, jeden z twórców konstytucji amerykańskiej

Wł. Reymont, Na krakowskim rynku.

amarantowy — czerwony z odcieniem fioletowym

apel — zwołanie, wezwanie do stawienia się

asysta — orszak towarzyszący komuś

attyka — ozdoba architektoniczna, umieszczona nad frontem budynku i zasłaniająca dach

blanki — zębate wycięcia wierzchołków murów i wież, rodzaj gzymsu

cech — stowarzyszenie osób jednego rzemiosła ku wzajemnej pomocy i obronie

cembrowina — obłożenie studni drzewem, zrąb studni, tu: kamienice wokół placu, zalanego tłumami ludzkiemi

chałat — długa kapota męska, sięgająca aż do stóp, noszona przez żydów

ciżba — tłum, stłoczona gromada ludzi

fanfara — uroczysty sygnał na trąbkach w wojsku przy oddawaniu honorów przełożonym

fosa — rów, dół wydłużony, przekop

glorja majestatu — blask, chwała dostojeństwa

hołd pruski — uroczysta przysięga na wierność i posłuszeństwo, złożona na rynku krakowskim królowi Zygmuntowi Staremu przez księcia pruskiego Albrechta w 1525 r.

kolebać się — chwiać się, kołysać się

kordon — tu: szereg żołnierzy, ustawionych w jedną linję i tworzących przejście, chronione przed naciskiem tłumów

kuni kołpak — szpiczasta czapka z futra, lub obszyta futrem kuny t. j. małego, drapieżnego zwierzęcia

Łokietków, Kazimierzów, Jagiellonów, Batorych i Sobieskich — ściśle biorąc był król Władysław Łokietek, syn jego, Kazimierz Wielki — ostatni Piast, rodzina Jagiellonów (7 królów) Stefan Batory i Jan Sobieski

Marjacka wieża — wieża na kościele N. Marji Panny w Krakowie, z której grają o wschodzie, w południe, o zachodzie i w uroczystych chwilach pieśń nabożną na dętych instrumentach, t. zw. hejnał

mewa — ptak pletwonogi, żyjący najczęściej nad morzami i brzegami wód

misterne zręby — tu: delikatne, z wielką sztuką zrobione wiązania dachu

ordynek — porządek, szyk (zwłaszcza w wojsku)

rabaty — wyłogi i kołnierz na mundurze wojskowym, odmiennego koloru niż mundur

sfornie — zgodnie, harmonijnie

Sukiennice — gmach pośrodku rynku w Krakowie, przeznaczony dawniej na kramy z suknem, potem na kramy i sklepy wszelkiego rodzaju

surma — instrument muzyczny, rodzaj piszczałki, używany dawniej w wojsku

Wawelskie wzgórze — na którem znajduje się królewski zamek Wawel, a u stóp rozłożone jest miasto Kraków

województwo — okrąg, pozostający pod zwierzchnictwem wojewody w dawnej Polsce; dziś—jeden z 16 obszarów administracji politycznej państwa

wiwat — niech żyje (po łacinie)

Zygmuntowski dzwon — patrz: Konopnicka, Brzegiem Wisły, I

żywioły — patrz: Mickiewicz, Oda do młodości, II

A. Mickiewicz, Koncert Jankiela

akord—jednoczesne zgodne brzmienie kilku tonów w muzyce

basy — najniższe tony muzyczne; narzędzie muzyczne smyczkowe

fetować — raczyć, częstować, hojnie ugaszczać

janczarska kapela — orkiestra wojskowa złożona z instrumentów dętych i takich, jak bęben, cymbały

klucznik — ten, który ma powierzone sobie klucze (był taki urząd w dawnej Polsce), tu: jedna z postaci w „Panu Tadeuszu" Mic-

kiewicza, z którego wyjęto koncert Jankiela

legjony—tu: oddziały wojska, utworzone przez Napoleona z ochotników Polaków

„Marsz Dąbrowski" — patrz: Polski hymn narodowy

polonez — polski taniec narodowy, w którym postępuje szereg par, wykonywających różne zwroty, a tancerze odbijają sobie tancerki

prymy — główne głosy w chórze, najwyższe głosy w utworze muzycznym

Rzeź Pragi — patrz: Konopnicka, Brzegiem Wisły, I

senat—patrz: Sinko, Światło w ciemności, I

skonfederowany — złączony przez konfederację t. j. związek obywateli, utworzony w celach politycznych; tu mowa o konfederacji, zawiązanej przez stronnictwo postępowe, pragnące reform, które doprowadziło do uchwalenia Konstytucji 3-go Maja

stany — tu: klasy narodu, a więc wtedy: magnaci, szlachta i mieszczaństwo

wiara — tu: bracia-żołnierze

zele — instrument muzyczny, składający się z dwóch okrągłych blach, uderzanych o siebie podczas gry

zgodzonego z narodem — tu mowa o Stanisławie Auguście Poniatowskim, który z początku nie popierał stronnictwa postępowego, potem dał się jednak nakłonić do współdziałania z niem i wtedy uchwalono Konstytucję 3-go Maja.

A. Śliwiński, 29.IX.1830.

Adam Czartoryski — magnat polski, wybitny patrjota i mąż stanu

arsenał — zbrojownia, budowla do przechowania rozmaitej broni

Belweder — ozdobny budynek, wystawiony w miejscu, z którego roztacza się piękny widok, tu: pałacyk w Warszawie, przy pięknym parku, wówczas siedziba namiestnika Królestwa, dziś—Marszałka Józefa Piłsudskiego

dymisja — uwolnienie ze służby państwowej

era — pewien okres czasu, epoka

grenadjer gwardji — żołnierz wyborowego oddziału piechoty, stanowiącego straż przyboczną monarchy (tu namiestnika)

instruktor — tu: nauczyciel, uczący żołnierzy mustry, regulaminów i t. d.

kamerdyner — pokojowiec, służący, pełniący obowiązki bezpośrednio około pana

knować intrygi — zamierzać, układać chytre podstępy, podejścia

konspiracja — sprzysiężenie, spisek

konsystować — być na postoju (mowa o wojsku)

konstytucja — tu: konstytucja Królestwa Polskiego, podpisana na kongresie Wiedeńskim w 1815 r. przez cesarza Aleksandra króla polskiego, zapewniająca Królestwu autonomię, własny sejm, własną armję, urzędy i t. d.

Łazienkowski pałac — pałacyk, do dziś istniejący, wystawiony przez króla Stanisława Poniatowskiego w ogrodzie, zwanym Łazienkami, gdyż miejscowość ta

była letnią rezydencją króla i tu się odbywały kąpiele króla i dworu w pięknym stawie tego ogrodu

Oda do młodości — patrz: Mickiewicz, Oda do młodości, II

oficyna — osobny budynek mieszkalny, przybudowany do większego od strony dziedzińca wewnętrznego lub ogrodu, skrzydło

ordynek — patrz: Reymont, Na krakowskim rynku, II

ryglować — zamykać na rygiel, t. j. zasuwę, zaworę

skoncentrować — zebrać w jedno miejsce, zgrupować

Solec, Nowolipie — ulice w Warszawie, na których łuny wznieconych pożarów miały wezwać spiskowców do zajęcia stanowisk umówionych

Stare Miasto, Aleje — pierwsze: najstarsza dzielnica Warszawy, w której obrębie mieścił się arsenał, drugie: długa ulica, wiodąca od Belwederu do środka miasta, na której zebrał swe wojska namiestnik po napadzie na Belweder

tropy — ślady, znaki

ujarzmić wyobraźnię — opanować, zawładnąć myślami

Wolnomularstwo — masonerja, t. j. stowarzyszenie tajne o charakterze społeczno-politycznym i przeciwreligijnym, rozpowszechnione w całej Europie, dzielące się na oddziały, zwane lożami

zbrodnie stanu — przestępstwo polityczne

St. Wyspiański, Łukasiński.

bądź — niech będzie

glorja — chwała, świetność, aureola

gody — wesele, radość, święto

kaźń — ciężka kara, męka

niech sępy żreją me ciało — tu Łukasiński o swojej męce mówi tak, jakby był Prometeuszem, tj. legendarnym greckim bohaterem, który wykradł bogom ogień i ofiarował go ludziom, za co został ukarany przykuciem do skały, a sęp wygryzał mu serce i wątrobę, ciągle odrastające

J. Czarkowski, Pierwszy wykład.

anatomja — nauka o rozczłonkowaniu ciała

amfiteatralnie — z siedzeniami stopniowo coraz wyżej umieszczonemi

atmosfera — tu: otoczenie, towarzystwo, wśród którego żyje jednostka

ballada — utwór poetycki liryczno-epicki, t. j. uczuciowo-opowiadający, osnuty na tle podań rycerskich, albo ludowych, często związanych z jakimś nadprzyrodzonym wypadkiem

balustrada — szeroka poręcz oparta na słupkach

Collège de France — stara szkoła paryska o poziomie uniwersyteckim

„Dziady" drezdeńskie — utwór dramatyczny, napisany przez Mickiewicza w czasie jego pobytu, w Dreźnie, przedstawiający mękę Polaków, prześladowanych przez Rosję w okresie procesu Filaretów i bunt poety przeciwko Bogu, który na to pozwolił

Filareci, Filomaci — stowarzyszenie tajne młodzieży na uniwersytecie wileńskim, założone przez Tomasza Zana, którego jednym

z pierwszych członków był A. Mickiewicz; miało jawnie cele naukowe i etyczne, tajnie — cele polityczno-patrjotyczne; przypadkowo odkryte, zostało wydane w ręce komisarza Nowosilcowa, który aresztował członków stowarzyszenia, wytoczył proces i skazał kilkunastu na wygnanie do Rosji (między nimi Mickiewicza) — w r. 1824.

filologja — nauki, obejmujące językoznawstwo, literaturę i historję kultury danego narodu

fizyk — tu: uczony, zajmujący się nauką o prawach przyrody

husarze — patrz: Kossak-Szczucka, W drodze pod Wiedeń, I

karmazyn — szlachcic polski starożytnego rodu — pan z panów

komornik — urzędnik sądu ziemskiego w dawnej Polsce

Linneusz — uczony szwedzki botanik, twórca sposobu oznaczania roślin

lozańskie — w Lozannie, malowniczo położonem mieście szwajcarskiem wpobliżu jeziora Genewskiego

Montalambert — polityk i historyk francuski, kilkakrotnie zasiadający w parlamencie, obrońca ludów uciśnionych i mówca o charakterze płomienno - katolickim

Niemcewicz Juljan Ursyn — mąż stanu, poeta historyk i publicysta z końca XVIII i połowy XIX wieku

Niemen — rzeka na Litwie, nad którą leży Grodno, obecna stolica państwa litewskiego

niewierni — tu: Turcy

piewca — śpiewak, poeta

szaniec — okop ziemny, usypany w celu obrony

szaraczek — szlachcic zaściankowy, ubogi

Śniadeccy — dwaj bracia profesorowie, sławni uczeni polscy: jeden, Jan — matematyk i astronom, drugi, Jędrzej — wielki przyrodnik i lekarz

Wilja — rzeka na Litwie, dopływ Niemna

Zaosie—wioska w okolicy miasteczka Nowogródka na Litwie, miejsce urodzenia Mickiewicza

A. Słonimski, Mickiewicz.

cholera rzuciła na barłóg — Mickiewicz umarł na cholerę w Konstantynopolu

Filomaci—patrz: Czarkowski, Pierwszy wykład, II

obłąkana żona — żona Mickiewicza, Celina z Szymanowskich, parokrotnie zapadała na przejściowy rozstrój nerwowy

Tuhanowicze — majątek Wereszczaków na Litwie, w którym poeta poznał swą ukochaną

Wereszczaków córka—Maryla, ukochana poety, wsławiona w wielu jego utworach

zaścianek—wieś, zamieszkana przez drobną, ubogą szlachtę.

A. Mickiewicz, Z ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego.

Apokalipsa — Objawienie św. Jana, księga, stanowiąca końcową część Nowego Testamentu

Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego — utwór Mickiewicza, napisany na wzór Biblji

skarbona — puszka do składania oszczędności

znak — tu: odznaczenie, ranga

A. Zahorska, Apostoł nauki w Chile.

barokowe — w stylu barokowym, który odznacza się dziwacznością i nieregularnością linij oraz przeładowaniem ozdobami

Beecher Stowe — sławna autorka „Chaty wuja Toma", w której przedstawia okrutny los murzynów niewolników

Chile — kraj na południowo-zachodniem wybrzeżu Ameryki Południowej

fazendeiro — właściciel gospodarstwa wiejskiego w Brazylji i wogóle w kolonjach hiszpańskich

Filareci, Filomaci — patrz: Czarkowski, Pierwszy wykład, II

humanitarnie — mając na względzie dobro ludzi, z miłością do ludzi

Inkasowie—władcy Peru przed zdobyciem tego kraju przez Hiszpanów

Kordyljery — łańcuch górski, ciągnący się wzdłuż zachodniego brzegu Ameryki

kotara — zasłona

małż — mięczak, t. j. zwierzę o ciele miękkiem, kurczliwem, bez podziału na pierścienie i bez nóg stawowych, z jedną mięsistą nogą na brzusznej stronie ciała, np. ślimak

renesansowe — patrz: Flukowski, Dwie wędrówki Cyprjana Norwida, II

skamielina — szczątek roślinny, lub zwierzęcy, obrócony w kamień wskutek tego, że został przeniknięty cząstkami mineralnemi, ale zachował pierwotną postać

sambrero—kapelusz z wielkiem rondem, zrobiony z liści palmowych

szalupa — wielka łódź do obsługi okrętu

B. Prus, Z pamiętnika subjekta.

apoteoza — ubóstwienie, oddawanie komuś czci nadzwyczajnej, tu: artystyczne wyobrażenie bohatera wśród chwały

bobkowe liście — liście wawrzynu, używane do potraw

brygada — oddział wojska jednej broni, składający się z dwóch pułków

dobosz — żołnierz, bijący w bęben

Galicja — nazwa południowej części Polski, po rozbiorach (1772 r.) stanowiącej prowincję państwa austrjackiego, obecne województwa krakowskie, lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie

gorczyca — roślina, której nasiona służą do przyrządzania musztardy i do okładów leczniczych

huzar — żołnierz z lekkiej jazdy węgierskiej, albo tylko ubrany i uzbrojony z węgierska

jaszczyk — skrzynia do przewożenia amunicji

kaganek — naczynie gliniane z knotem i olejem do palenia, mała, prosta lampka

komora — urząd celny do pobierania cła, t. j. opłaty od przewożonych przez granicę towarów

kozak — tu: obrazek, przedstawiający żołnierza wojska rosyjskiego, konnicy nieregularnej

Ludwik Napoleon — synowiec cesarza Napoleona I, który po rewolucji Lutowej 1848 r. został prezydentem, potem w 1852 r. cesarzem pod imieniem Napoleona III

łokieć — tu: miara długości, dawniej używana w Polsce, równa 57,6 centymetra

manierka — blaszanka podróżna do napojów

melancholja — smutek, przygnębienie; choroba umysłowa, cechująca się posępnem usposobieniem

partyzancka strzelanina — strzelanina małych oddziałów, na własną rękę prowadzących walkę

Podwale — ulica w najstarszej części Warszawy, t. j. na Starem Mieście

pryncypał — zwierzchnik

Sedan — miasto i twierdza we Francji, pamiętna klęską Francuzów i oddaniem się Napoleona III do niewoli niemieckiej (1870 r.)

subjekt—sprzedawca sklepowy, ekspedjent

szwadron — oddział konnicy

testament — akt, zawierający ostatnią wolę i rozporządzenie własnością na wypadek śmierci

tuj! — baczność! przygotuj broń! (komenda wojskowa)

wiorsta — rosyjska miara długości, równa 1064,5 metra

J. Słowacki, Kraj młodości.

Chrystusa oliwy — drzewa oliwne w Ziemi Św., t. j. Palestynie, którą poeta zwiedzał

góry z płomienia — wulkany

jodła — drzewo iglaste, szyszkowe

kalina — krzew, wydający piękne, czerwone nasiona, jak korale

konwalja — roślina o drobnych białych kwiatkach, upajająco pachnących

ruczaj — potok, strumień, rzeczka

szczudła — patrz: Konopnicka, Brzegiem Wisły, I.

St. Flukowski, Dwie wędrówki Cyprjana Norwida.

architektura — sztuka budownicza; budownictwo

gotyk — patrz: Gerson-Dąbrowska, Wielki artysta, I

gumno — podwórze gospodarskie między stodołami, tu: stodoła

Krasiński Zygmunt — wielki poeta polski, piszący także prozą, współczesny Mickiewiczowi i Słowackiemu i wraz z nimi zaliczany do trójcy wieszczów narodowych

legenda — patrz: Kossak-Szczucka, Legenda Opactwa Sandomierskiego, I

madonna — obraz N. Marji Panny

oblubienica — narzeczona, panna młoda

renesans — odrodzenie, t. j. wielki zwrot w dziejach sztuki i piśmiennictwa w XV i XVII wieku, cechujący się upodobaniem dla starożytności greckiej i rzymskiej; styl renesansowy w architekturze wzorował się także na starożytnych budynkach, odznacza się beczkowatemi sklepieniami i kopułami oraz ozdobami w kształcie masek, kwiatów, owoców i t. p.

romańskie — patrz: Smoleński, Nad Wartą, Gopłem i Notecią, I

strop — patrz: Kossak-Szczucka, W drodze pod Wiedeń, I

wczasy — spoczynek, wytchnienie, spokój

M. J. Toporowski, Serce Chopina.

ambasador — pierwszego rzędu poseł dyplomatyczny, przedstawiciel państwa przy obcym rządzie

car Północy — cesarz rosyjski
honorarjum — wynagrodzenie pieniężne, zapłata
impreza — przedsięwzięcie, zamysł, przedsiębiorstwo
kompozytor — autor utworu muzycznego
konserwatorjum — wyższa szkoła muzyczna
urna — naczynie w kształcie wazonu, służące w starożytności do przechowywania popiołów zmarłych
wirtuoz — artysta, wykonywający po mistrzowsku utwory muzyczne
zrewanżować się — odpłacić się, wywzajemnić się

J. Piłsudski, Wielkości, gdzie twoje imię?

Czerwoni i Biali — dwa stronnictwa w powstaniu Styczniowem (1863 r.): pierwsze radykalne, zamierzające uwłaszczenie włościan i inne reformy społeczne z jednoczesnem zdobyciem niepodległości, drugie konserwatywne, szlacheckie, zmierzające tylko do zwalczenia ucisku Rosji
Herkulanum i Pompei — rzymskie miasta, zasypane i zalane lawą wulkanu
konspiracyjnie — patrz: Śliwiński, 29.IX.1830, II
lada — kontuar, stół sklepowy
Miłkowski — znany powieściopisarz pod pseudonimem T. T. Jeża, znawca południowej słowiańszczyzny i Węgier, gdzie walczył w wojnie 1848 r.
reagować — oddziaływać
treuga Dei — pokój Boży (po łacinie), ustanowiony w średnich wiekach; były to dni od środy wieczorem do poniedziałku rano, kiedy obowiązywało wstrzymywanie się od użycia oręża i gwałtów
szuja — nikczemnik, szubrawiec

J. Sawa, Rok 1863.

kibitka — rodzaj szerokiego, lekkiego wozu na kołach lub saniach, używany w Rosji
Tobolsk — miasto gubernjalne na Syberji środkowej, nad rzeką Irtyszem

Conrad (Korzeniowski), O roku 1863.

hołd — tu: cześć
kopja — tu: odpis z oryginału, przepisany wiernie dokument
poduszczenie — podbudzenie, podżeganie
rokosz — bunt
Szekspir, W. Hugo, Alfred de Vigny — pierwszy — wielki poeta angielski; drugi i trzeci — poeci francuscy
szarytka — siostra miłosierdzia

H. Sienkiewicz, Wspomnienia z Maripozy.

antylopa — kozica skalna
aza — czy (po staropolsku)
brekfest — śniadanie (po angielsku)
dyliżans — karetka pocztowa, używana dawniej, dziś zastąpiona przez omnibus samochodowy
dining room — stołowy pokój, jadalnia
dżin, whisky, brandy — czytaj: łysky, brendy — wódka jałowcowa, żytniówka, przepalanka

farmer — właściciel albo dzierżawca gospodarstwa wiejskiego w Ameryce, w Anglji

Górnicki (Łukasz) — pisarz polski z XVI wieku

kanjon — głęboki wąwóz, wyżłobiony przez rzekę (w Ameryce Północnej)

lepak, przecz, wżdy — wyrazy staropolskie, oznaczające to, co dzisiaj słowo: jednak

lubo — jakkolwiek, chociaż

„Pan Tadeusz" — tytuł dzieła Mickiewicza

pleonazmat — sposób wyrażania się, polegający na nagromadzenie jednoznacznych wyrazów, na używaniu większej ilości wyrazów lub zdań, aniżeli potrzeba do określenia rzeczy

Skarga (Piotr) — sławny kaznodzieja polski z XVI wieku

skwater — czytaj: skouter (po angielsku) — osadnik na nieuprawnych gruntach w Ameryce Północnej

swat — kojarzący małżeństwa, drużba, tu: znajomy wogóle

szop — zwierzę drapieżne z rodziny niedźwiedzi

Wernyhora—kozak, który zyskał sobie rozgłos świątobliwością życia i darem przepowiadania, żyjący w 18 stuleciu na terenie Polski; przepowiednie jego polityczne zostały spisane i w znacznej części się sprawdziły

Wujek — sławny kaznodzieja polski XVI wieku, autor wzorowego tłumaczenia Biblji na język polski, odtąd powszechnie w Polsce używanego

St. Żeromski, Lekcja języka polskiego.

cezura—średniówka, przecięcie, rodzaj przerwy w wierszu miarowym

deportacja — wywiezienie z kraju na miejsce wygnania, zesłanie

Improwizacja — patrz: Czarkowski, Pierwszy wykład, II

„miejscowy" język — tak nazywały władze rosyjskie język polski, pragnąc zrobić z niego coś w rodzaju narzecza wielkiego państwa rosyjskiego

napad podchorążych na Belweder— patrz: Śliwiński, 29.IX.1830, II

niebłagonadiożnost' — niewzbudzanie zaufania, posiadanie podejrzanych cech (pod względem politycznym)

polonizmy — tu: błędy, popełnione przez Polaków, polegające na wtrącaniu w mowę rosyjską słów, form i akcentów polskich

Promieniści — kandydaci na Filaretów i Filomatów, patrz: Czarkowski, Pierwszy wykład, II

romantycy — tu: polscy poeci romantycznego okresu t. j. pierwszej połowy 19-tego stulecia, a więc: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Malczewski, Zaleski i inni

Trzecia część Dziadów — patrz: Czarkowski, Pierwszy wykład, II

wiek złoty — w literaturze polskiej druga połowa 16-tego i pierwsze lata 17-go stulecia, t. j. czas, w którym tworzyli: Rej, Kochanowski, Skarga i inni

A. Pohoska, Syn Kujaw.

astma — duszność, trudność w oddychaniu

Inowrocław — patrz: Kaden-Bandrowski, Polska, I

Kasper — skrót nazwiska Jana Kasprowicza, wielkiego poety polskiego, niedawno zmarłego

kontury — zarysy

terminator — uczeń rzemieślniczy, sposobiący się na czeladnika

III. ŚWIT

Rozkaz Komendanta z dn. 3 sierpnia 1914 r.

kadry — żełnierze i oficerowie mający obowiązek kształcić nowozaciężnych, potrzebni do organizowania rozbudowującej się armji

Oleandry — pola podmiejskie Krakowa w kierunku Bielan, na których zebrali się wszyscy Strzelcy w dn. 4 sierpnia 1914 r., poczem jako kadrówka wyruszyli ku granicy rosyjskiej

M. B. Lepecki, Józef Piłsudski na Sybirze.

administracyjny zesłaniec — ukarany przez policję, a nie przez sąd

apatja — zobojętnienie, odrętwienie

depresja — przygnębienie, upadek na duchu

katorżnik — zesłaniec, wykonujący ciężkie roboty w kopalniach

lamaizm — sekta buddyjska w Tybecie

miatieżnik — buntownik (po rosyjsku)

pasielenje — zesłanie (po rosyjsku)

wyeliminować — usunąć, wyłączyć, wyrugować

A. Kamiński, Strzelec.

alfabet semaforyczny — zbiór znaków przyrządu sygnałowego na kolejach, także przy komunikacji z okrętami na pełnem morzu

encyklopedja — zbiór wiadomości, umiejętności, sztuk i nauk, ułożony alfabetycznie

ewidencyjna księga — księga ze spisem, z wykazem

ideologja — całokształt myśli, poglądów w jakiejś sprawie

Jasło — miasto w środkowej Małopolsce

konspiracyjny — patrz: Śliwiński, 29.IX.1830, II

manewry — ćwiczenia wojskowe, wojna udawana

postęp geometryczny—szereg liczb, z których każda następna jest od poprzedniej tyle samo razy większa, lub mniejsza

pseudonim—imię lub nazwisko zmyślone, przybrane

regulamin — zbiór obowiązujących przepisów

rezerwa — zapasowe oddziały wojska, pozostające w odwodzie

Rzeszów — miasto w środkowej Małopolsce

sonet — utwór poetycki, złożony z czternastu wierszy w czterech strofach, z których dwie pierwsze są czterowierszowe, a 2 ostatnie trzywierszowe

sygnalizacja — urządzenie sygnałów, t. j. znaków, zawiadamiających i ostrzegawczych

trusia — tchórz, udający niewinnego, bojaźliwe niewiniątko; osoba

udająca, że nic nie wie, nie chce powiedzieć

tyraljera — prowadzenie bitwy szeregami rozproszonemi, szykiem rozrzuconym

J. Kaden-Bandrowski, Sztandar z za morza.

defilada — ceremonjalne, uroczyste przechodzenie przed kimś albo przed czemś dla oddania honorów

dziarski — żwawy, ochoczy, dzielny

poczet — orszak, oddział wojska

E. Małaczewski, Na ziemi murmańskiej.

bania — łaźnia (po rosyjsku)

biełyje orły — białe orły (po rosyjsku), t. j. Polacy

bierwiono — kawał drzewa nieociosanego

brawada albo brawura — zuchowata odwaga, junactwo

Dźwina — rzeka na północy Rosji Europejskiej, wpadająca do morza Białego

fortalicja — mała warownia drewniana, strażnica kresowa

galety — suche biszkopty, rodzaj sucharów

improwizowany — zrobiony bez przygotowania, zastępczo

Koalicja — tu: przymierze państw, walczących w ostatniej wojnie 1914 r. przeciwko Niemcom i Austrji

Kongresówka — ta część Polski, która na mocy kongresu Wiedeńskiego w 1815 r. została przydzielona Rosji jako Królestwo Polskie

krążownik pancerny — mniejszy statek wojenny, uzbrojony w działa

kurhan — mogiła na stepach

Murman — kraina rosyjska, leżąca na półwyspie Kolskim nad Białem morzem

objuczyć — obciążyć

ofensywa — postępowanie zaczepne, atak na nieprzyjaciela

rutyna—biegłość, wprawa w czemś, zdobyta przez przyzwyczajenie

Samojedzi — szczep na północnych krańcach wschodniej Europy i północno-zachodnich Azji, żyjący z rybołóstwa i chowu reniferów

sztuciec — nóż, widelec i łyżka

tubylec — krajowiec, tuziemiec

tundra — trzęsawisko rzadko porosłe drzewami i liściastym mchem, przez większą część roku zamarznięte

utoczony okres — starannie ułożony szereg zdań

wycinanki — ludowa ozdoba: z papieru wycięte wzory, złożone z kół, gwiazd, linij, kwiatków i t.d.

sumpt — koszt

zmobilizować — uruchomić

J. Piłsudski, Miłe miasto.

Belweder — patrz: Śliwiński, 29.IX. 1830, II

izolowany — odłączony, oddzielony tak, by się nie stykał z innymi

Magdeburg — miasto w Prusach, nad Elbą, w którego twierdzy był więziony Józef Piłsudski wraz ze swoim szefem sztabu, Kazimierzem Sosnkowskim w wyniku przesilenia w Legjonach

Rossa — jedno z przedmieść Wilna

symbol — znak, godło, zmysłowe wyobrażenie pojęcia, np. krzyż jest symbolem wiary chrześcijańskiej

wieszcz — prorok, tu: genjalny pisarz, poeta

Br. Kłaczyński, Ochotnicy.

Berezyna — rzeka w Rosji, dopływ Dniepru, pamiętna w historji przeprawą Napoleona w 1812 r.

Biały Krzyż — stowarzyszenie, niosące pomoc materjalną i oświatową żołnierzom poza frontem

bolszewizm — partja polityczna, która wprowadziła w Rosji komunizm, tu: wogóle Rosja sowiecka

Dniepr — patrz: Bielski, Bolesław Chrobry, I

dziarski — patrz: Kaden-Bandrowski, Sztandar z za morza, III

Dźwina — rzeka wpadająca do zatoki Ryskiej

Haller Józef — obecnie generał wojsk polskich, dowódca II Brygady w Legjonach, z którą po pokoju Brzeskim przekroczył granicę wschodnią, by się połączyć z tworzącemi się tam oddziałami wojska polskiego, poczem, wyjechawszy do Francji, powołany tam został na dowódcę tworzących się oddziałów polskich (t. zw. później Hallerczyków)

plakat — ogłoszenie, umieszczone w miejscach widocznych, na murach ulicznych, w kioskach i t. p.

Równe — miasto na Wołyniu.

rynsztunek — pełne uzbrojenie żołnierza

stratować — zgnieść nogami, kopytami, zdeptać, rozjechać

Szampanja — kraina francuska, słynna z win szampańskich

A. Kawałkowski, Bitwa nad Wisłą.

Belweder — patrz: Śliwiński, 29.IX. 1830, II

Berezyna—patrz: Kłaczyński, Ochotnicy, III

Bug — największy prawy dopływ Wisły

Cieszyn — główne miasto na Śląsku Cieszyńskim, przez które przechodzi obecnie granica między Polską i Czechosłowacją

Dniepr — patrz: Bielski, Bolesław Chrobry, I

Dyneburg — patrz: Kaden-Bandrowski, Polska, I

Dźwina — patrz: Kłaczyński, Ochotnicy, III

Katarzyna II — carowa rosyjska w okresie rozbiorów Polski (wiek XVIII)

Kijów — patrz: Bielski, Bolesław Chrobry, I (Dniepr)

manewr — zręczny zwrot wojska, obmyślany zgóry, najczęściej mający zaskoczyć nieprzyjaciela

Modlin — twierdza nad Wisłą przy ujściu Bugu z Narwią

Prusy Wschodnie — prowincja niemiecka nad Bałtykiem, granicząca z Wolnem Miastem Gdańskiem, Polską i Litwą

Radzymin — miasteczko w odległości 18 km. od Warszawy

San — prawy dopływ Wisły

walna rozprawa — tu: rozstrzygające bitwy

weteran — wysłużony, stary, doświadczony żołnierz, albo wogóle człowiek w jakimś zawodzie

Wieprz — prawy dopływ Wisły — między Sanem i Bugiem

Wołyń — patrz: Kaden-Bandrowski, Polska, I.

IV. W SŁOŃCU WOLNOŚCI

M. Kuncewiczowa, W sercu Polski.

ambasador — patrz: Toporowski, Serce Chopina, II

audjencja — patrz: Kossak-Szczucka W drodze pod Wiedeń, I

bakę świecić — pochlebiać, podlizywać się

błotnik — osłona u samochodu, ochraniająca przed zabłoceniem

challenge — międzynarodowy lot konkursowy

delfin — zwierzę morskie z rzędu wielorybowatych, tu: ozdoba fontanny, mająca taką postać

Grójec — małe miasteczko w pobliżu Warszawy

klakson — elektryczny sygnał samochodu

klarować — czynić przezroczystym, tu: wyjaśniać, tłumaczyć

kordon — patrz: Reymont, Na krakowskim rynku, II

limuzyna — samochód zamknięty, z szybami

łasy — chciwy

Mysikiszki — miasteczko na Litwie

proporzec — patrz: Kossak-Szczucka, W drodze pod Wiedeń, I

szmaragd — drogocenny kamień zielonego koloru

śpiż — stop metalów, z przewagą miedzi, bronz

taras — tu: szerokie podmurowanie zamku, położonego nad rzeką, stromą ścianą schodzące ku zboczu

Włocławek — miasto i port rzeczny nad Wisłą na Kujawach

żyrandol — ozdobny świecznik wiszący

Żwirko i Wigura — sławni lotnicy polscy: pierwszy—pilot, drugi—konstruktor, zwycięzcy międzynarodowego challenge'u w 1932 r., wkrótce potem zginęli tragiczną śmiercią w Czechosłowacji

Al. Janowski, Stolica.

apelacja — odwołanie się do władzy wyższej od wyroku władzy niższej, zwłaszcza w sądownictwie

berlinka — duża łódź żaglowa z dachem, przykrywającym przewożone towary, jak np. zboże, owoce i t. p.

Biłgoraj — miasteczko w ziemi Lubelskiej

instruktorka — nauczycielka, specjalistka w danej dziedzinie

Królewska Huta — miasto fabryczne na Górnym Śląsku

Lublin — główne miasto na wyżynie Lubelskiej, kiedyś siedziba sądu najwyższego, wsławione Unią Lubelską Polski z Litwą

Pińsk — główne miasto Polesia, nad rzeką Piną, węzeł dróg wodnych

Tarnopol — główne miasto województwa tarnopolskiego, leżącego na południo-wschodzie Polski

Zakopane — miasto i znana miejscowość lecznicza i turystyczna w Tatrach

W. Rzymowski, Polska Akademja Literatury.

inauguracja — otwarcie, rozpoczęcie

inflacja — nadmiernie obfity obieg pieniądza przy jednoczesnem

obniżeniu, lub ciągłem obniżaniu jego wartości

konflikt — starcie, walka

kooptacja — obiór nowych członków dokonany przez dotychczasowych, tu: przez mianowanych przez rząd

nestor — uznana powaga na podstawie położonych długoletnich zasług

przesłanki — twierdzenia uznane, z których wyprowadza się wniosek

rezolucja — wniosek uchwalony zbiorowo

stabilizacja — tu: ustalenie kursu pieniądza w stosunku do przepisowej jednostki (np. dolara)

stypendjum — stała roczna, lub jednorazowa zapomoga pieniężna, udzielana kształcącej się młodzieży, artystom, uczonym i t. d.

suwerenna władza — władza zwierzchnia najwyższa

waluta — wartość pieniądza, stosunek pieniędzy papierowych do złota i srebra

St. Skarżyński, Wrażenia z lotu nad Afryką.

dżungla — bagnista przestrzeń przy ujściu rzek podzwrotnikowych, porosła nieprzebytym lasem

lokomocja — wszystko, co służy do przenoszenia się z miejsca na miejsce, a więc: koleje, statki, samochody i t. d.

pilot — lotnik - kierowca samolotu

plaża — płaskie i otwarte wybrzeże morza lub rzeki

prowizoryczny—zastępczy, tymczasowy

sawanna — step w Ameryce Północnej

start — tu: chwila i miejsce odlotu

L. Wertenstein, Poszukiwacze skarbów.

poczesny — godny czci, szacunku, honorowy

systematyczny — ułożony wedle powziętego planu, ze ścisłością zachowujący pewien porządek

W. Junosza, C. I. W. F.

Arkadja — kraj w połudn. Grecji na półwyspie Peloponezie

anatomja — patrz: Czarkowski, Pierwszy wykład, I

antropologja — nauka o człowieku, jego fizycznej i duchowej naturze

fizjologja — nauka o ustrojach zwierzęcych i roślinnych; mówi o takich zjawiskach, jak wzrost, trawienie, rozmnażanie się etc.

fotomontaż — artystyczne połączenie lub układ kilku fotografij

Hellada — Grecja

kardjograf — przyrząd do zapisywania ruchów serca

psychotechnika — psychologja (nauka o zjawiskach duchowych) w zastosowaniu do życia praktycznego

J. Cierniak, Jak to było na dożynkach u Gospodarza Rzeczypospolitej.

Białe Rusiny — Białorusini

doizna — dobitnie; doszczętnie

dożynki — uroczystość obrzędowa na zakończenie żniw z zabawą, śpiewem i tańcami

gazda — kmieć, gospodarz

gazdować — gospodarzyć

Hucuły — górale na północnych zboczach Beskidów wschodnich

hurmem — gromadą

hyrny — tu: zamożny, bogaty; honorowy (gwarowe)

inscenizacja — przedstawienie na scenie
Kasuby — Kaszuby, plemię polskie, zamieszkujące nadmorskie powiaty Pomorza polskiego
kołoc — kołacz, pieczywo obrzędowe, wypiekane z pszennej mąki
lotego — dlatego
nagodziuł — nadarzył, dał
ociupinka — odrobinka
Podlasiany — mieszkańcy Podlasia, krainy, położonej nad rzeką Bugiem na Wschód od Mazowsza
pytlowy — dobrze zmielony, wolny od otrąb; o chlebie: biały
Rzeszów — patrz: Kamiński, Strzelec, III
Sącz (Nowy) — miasto powiatowe w województwie krakowskiem nad rzeką Dunajcem
setnie — tu: obficie
Spisak — Spiszak, mieszkanie Spisza
syćko — wszystko
syscy — wszyscy
tyz — też
warmiński — od Warmji, obszaru w Prusach Wschodnich
zdobny — ozdobny
Całe niemal opowiadanie pisane jest gwarą ludową, w której występuje t. zw. „mazurzenie", to znaczy, że ogólnopolskie sz jest wymawiane jako s, ż — jako z i cz jako c, np.: kwiotecki, jesce i t. d.

Wł. Reymont, Antek na polu.

ciągiem — ciągle
jaże — aż
kajś — gdzieś
kieby — jak, jakby
kiej — jak, niby
kwardy — twardy
niekiej — niekiedy, czasem
przeciek — przecież
ruchali się — ruszali się
smętarz — cmentarz
śpik — senność, sen
(Cały ten ustęp wyjęty z powieści „Chłopi", za którą Reymont otrzymał nagrodę Nobla, pisany jest językiem, pełnym wyrazów z gwary mazurskiej).

St. Żeromski, Park Narodowy.

kwarzec — minerał, b. pospolity w naturze, wchodzący m. in. w skład piasku i granitu
kłusownik — złodziej, polujący bezprawnie na zwierzynę
ostęp — zapadły kąt lasu, zwykle obfitujący w zwierzynę
pochutliwy — pożądliwy, namiętny
rezerwat — obszar ochronny ze względu na wymierające plemię ludzkie (np. Indjan) lub przyrodę (parki natury); parki narodowe
skrzyżale — piaskowce, dające się łatwo łupać
wądół — dół wąski, parów, jar, wąwóz
Wiślanie — jedno z pierwszych plemion polskich, o których mowa w źródłach historycznych
żeremiona — osady bobrów

M. J. Toporowski, Egzamin kapitański.

Archipelag Malajski — szereg wysp, leżących obok siebie na oceanie Indyjskim aż po najdalsze krańce Australji
Bangkok — stolica królestwa Sjamskiego w Indjach, graniczącego z Chinami
eskortować — odprowadzać pod strażą, zasłaniać, chronić
kibitka — patrz: Sawa, Rok 1863, II

Kongo — kraj nad oceanem Atlantyckim w południowej Afryce, obecnie pod protektoratem Belgji

manewr — tu: zręczne pokierowanie statkiem

Marsylja — wielki port francuski na morzu Śródziemnem

opresja — ucisk, przygnębienie, trudne położenie

podwietrzna strona—ta strona okrętu, która w danej chwili jest przeciwna stronie lądu

pseudonim — patrz: Kamiński, Strzelec, III

Singapore — wyspa i miasto tej samej nazwy na południowo-wschodnim krańcu półwyspu Malakka

„ścięcie" — niezdanie egzaminu

Tower Hill — (czytaj Tauer Hill) cytadela nad brzegiem Tamizy w Londynie, pierwotnie mieszkanie królów, potem więzienie dla osób dostojnych

zbić z tropu — onieśmielić kogoś, zmieszać

K. Konarski, Anton Kender.

agencja okrętowa — biuro pośredniczące między podróżnymi a towarzystwem, kierującem żeglugą okrętów

dźwig — przyrząd do podnoszenia ciężarów, winda

Kordyljery — patrz: Zahorska, Apostoł nauki w Chile, II

łamacze fal, albo falochrony — mury idące z dna morza ponad jego powierzchnię i chroniące port i przebywające w nim statki od fali

myszkować — szukać, przeglądać, szperać

odprawić z kwitkiem — odprawić z niczem

Oliwa — miejscowość o kilka kilometrów od Gdańska, posiadająca stary klasztor i opactwo cystersów, pamiętna traktatem polsko-szwedzkim z r. 1660

polish — (czytaj: polisz) — po polsku

Pomorze — kraina w dorzeczu dolnej Wisły i jej ujścia do Bałtyku, obejmująca rzeki Brdę i Czarną Wodę, miasta: Toruń, Grudziądz i Kartuzy, port Gdynię

Sopoty — miejscowość kąpielowa nad Bałtykiem pod Gdańskiem

Szczecin — port niemiecki nad ujściem Odry do Bałtyku

Z. Lepecka, W Gdańsku.

autonomja — samorząd, zarządzanie sprawami wewnętrznemi bez odwoływania się do władzy najwyższej

biust — tu: popiersie

chronologja — nauka, wskazująca daty, w których odbywały się wypadki dziejowe

elekcja — obiór panującego

Fahrenheit — fizyk, ur. w Gdańsku w 1686 r., wsławił się udoskonaleniem termometru przez wprowadzenie doń rtęci

flaga — chorągiew okrętowa o barwach narodowych

interwenjować — wdawać się, pośredniczyć

jacht — lekki statek spacerowy żaglowy, lub motorowy

kanclerz — patrz: Sinko, Przesławna perła wiedzy, I
(wielki koronny, to znaczy: główny, a nie podkanclerzy i polski (korona), a nie litewski (księstwo)

Krzyżacy — zakon rycerzy krzyżowych, zwany teutońskim, sprowadzony na Mazowsze przez księcia Konrada dla zwalczenia pogańskich Prusów w 1229 r.

masztowe drzewo — wysokie pnie drzewne, umocowywane pionowo na statku i służące do rozpinania na nich żagli

mennicze prawo — prawo bicia własnej monety

Motława — mała, spławna rzeka, płynąca przez środek Gdańska i wpadająca do Bałtyku

politechnika — wyższa szkoła techniczna, kształcąca inżynierów, architektów i t. d.

Pomorze — patrz: Konarski, Anton Kender, IV

romantyczna nazwa — nazwa niecodzienna, przywodząca na myśl niezwykłe wydarzenia i postaci

szczep — plemię, pochodzące od jednego przodka

trampolina — deska, pochyło leżąca i elastyczna, od której skaczący odbija się nogą, inaczej: odskocznia

żóraw, albo dźwig — patrz: Konarski, Anton Kender, IV

F. Burdecki, W pomorskiej fabryce energji.

cicerone — przewodnik (po włosku)

gigant — olbrzym; giganci według wierzeń greckich zbuntowali się przeciwko bogom

Jowisz — bóg nieba u Rzymian, zwany u Greków Zeusem

Perkun — bóg gromów i burzy według wierzeń litewskich; u Słowian zwany Perunem

posesja — posiadłość

sanktuarjum — miejsce w ołtarzu katol., gdzie przechowywany jest Najśw. Sakrament

śluza — przegroda ruchoma u grobli, pozwalająca przepuszczać dozwoloną ilość wody

turbina — maszyna, przekształcająca ruch strumienia wody lub pary na ruch obrotowy

turbogenerator — dynamomaszyna, napędzana turbiną

Grudziądz, Toruń, Wejherowo — miasta na Pomorzu

Z. Lepecka, Rybolestwo.

dysonans — rozdźwięk, niezgodny ton, coś rażąco niezgodnego z ogólnym nastrojem

rybolestwo—rybołóstwo (wyraz podany w gwarze kaszubskie)

seledynowy — jasnozielony

szmaragd—kamień drogocenny zielonej barwy

turkusowy — niebieski jak turkus, kamień drogocenny

udekorować — ozdobić

Z. Nowakowski, Zawody w Krakowie.

architekt — budowniczy

archiwum — miejsce, albo oddzielny budynek, w którym są zebrane stare akty, dokumenty

arkadowy podwórzec Wawelu — podwórzec wawelski, otoczony arkadami, t. j. łukowemi sklepieniami galeryj na filarach

arrasy — dywany wzorzyste ręcznej roboty, pochodzące z miejscowości francuskiej, Arras, dziś b. już rzadkie na świecie

drzeworyt — rysunek wyryty na drzewie, albo odbity z drzeworytu

gratulant — winszujący

kadrówka — patrz: Rozkaz Komendanta..., III

Kopiec Kościuszki — usypany pod Krakowem dla uczczenia bohatera w r. 1818, gdy przywieziono ze Szwajcarji zwłoki Kościuszki i pochowano je na Wawelu

kopja — lanca, spisa

kram — patrz: Konopnicka, Kujawiak, I

krużganek — patrz: Kossak-Szczucka, Legenda opactwa Sandomierskiego, I

Kusociński — polski mistrz świata w biegach długodystansowych

Lajkonik — tradycyjna zabawa ludowa w Krakowie, podobno związana z napadem Tatarów na Kraków w XIII wieku; główną osobą jest człowiek przebrany za Tatara, hulający na drewnianym koniku wśród tłumów

legenda — patrz: Kossak-Szczucka, Legenda opactwa Sandomierskiego, I

Leonardo da Vinci — jeden z największych malarzy świata, Włoch, żyjący w XV i XVI stuleciu

Oleandry — patrz: Rozkaz Komendanta..., III

pancerz — zbroja z blachy żelaznej, okrywająca rycerza

renesansowa — patrz: Flukowski, Dwie wędrówki Cyprjana Norwida, II

Resovia — Rzeszów (po łacinie)

Rękawka — obchód ludowy, odprawiany na Wielkanoc na mogile Krakusa pod Krakowem, polegający na rzucaniu z niej jajek, bułek, orzechów i t. d. żakom u dołu stojącym; prawdopodobnie, jest to pamiątka pogańskiej uczty pogrzebowej

Sukiennice — patrz: Reymont, Na krakowskim rynku, II

synagoga — bóżnica, żydowski dom modlitwy

turniej — średniowieczne igrzyska rycerskie

unikat — jedyny w swoim rodzaju, nadzwyczajna rzadkość

Wianki — ludowy zwyczaj, pochodzący jeszcze z czasów pogańskich, puszczania wianków na wodę w wigilję św. Jana, t. j. 23 czerwca

Wieliczka — miasteczko na Podkarpaciu, blisko Krakowa, znane z wielkiej kopalni soli

Wit Stwosz — patrz: Gerson-Dąbrowska, Wielki artysta, I

Zakopane — patrz: Janowski, Stolica, IV

G. Morcinek, W kopalni.

bydzie dzierżeć — będzie trzymać

calizna — tu: nienaruszona jeszcze ściana węgla, pokład

darń — murawa, ziemia okryta zielenią

filar — jakby mała izba, wykuta w węglu, w której górnicy rozsadzają i wydobywają węgiel

ganek — przejście podziemne w kopalni, chodnik

gutaperka — wyschły sok mleczny z nacięć w drzewie gutaperkowem, służący do wyrobu rur, zabawek i t. p.

hurkotać, hurgotać — stukać, łoskotać

kamrat — towarzysz

kilof — rodzaj młota ze śpiczastym

końcem do rozbijania murów, ziemi, węgla

perlik — młot (w gwarze śląskiej)

pneumatyczna wiertarka — wiertarka, której świder działa dzięki ściśnionemu powietrzu

prasnąć — rzucić

stempel — podpora drewniana do podtrzymania stropu, sufitu

stężały — zgęszczony, skupiony

(w) spongu — w połączeniu, w spojeniu

toć — tak

tulejka — tu: rurka z lontem

J. Tuwim, Śląsk śpiewa.

kilof — patrz: Morcinek, W kopalni, IV

oskard — drąg żelazny o jednym końcu płaskim, a drugim stożkowatym, służący do rozbijania skał, murów i t. d.

pierony śląskie — tak tu nazwani Górnoślązacy, bo w mowie swej często używają słowa „pieron" — piorun

sztolnia — lekko pochyły chodnik w kopalni

trzewia — wnętrzności, tu: wnętrze, głąb

turbina — patrz: Burdecki, W Pomorskiej fabryce energji, IV

F. Burdecki, Mościce.

absorbcyjna wieża — wieża, w której są przyrządy do wchłaniania gazów

akord — patrz: Mickiewicz, Koncert Jankiela, II

amortyzować się — pokrywać własne koszty, poniesione na wybudowanie, założenie czegoś

analiza — rozbiór, rozkład na części składowe

Biała — rzeka, dopływ Dunajca, który jest prawym górnym dopływem Wisły

Bochnia — kopalnia soli pod Krakowem

elewator — dźwig, winda

funkcja — czynność

generator — przyrząd, w którym wytwarza się prąd elektryczny

Grudziądz — miasto nad Wisłą na Pomorzu

kapitulować — poddać się, dać za wygraną

kompleks — całość, ogół, całokształt

konsumować — zużywać, pochłaniać

kontur — zarys

konwersja — zamiana, przemiana

laik — człowiek świecki, tu: niewtajemniczony, nie znający się na czemś

nawozy sztuczne — preparaty chemiczne w postaci sproszkowanej, służące do użyźniania gleby

nierentowność—niezyskowność, niedochodowość, nie opłacanie się

Pacyfik — Ocean Wielki, między Ameryką i Azją

ruszt — palenisko, krata żelazna pod ogniskiem

sygnał optyczny — znak widzialny (najczęściej w postaci światełka)

syrena — przyrząd sygnałowy na okrętach i w fabrykach, wydający ostry, donośny głos

Tarnów — miasto nad rzeką Białą w Małopolsce środkowej

utopja — urojenie, niepodobne do urzeczywistnienia, mrzonka

Żur i Gródek — patrz: Burdecki, W pomorskiej fabryce energji, IV

Wł. Orkan, Tatry.

Babia Góra — najwyższy szczyt Beskidów Zachodnich (1725 m.) przy samej granicy z Czechosłowacją

hań — tam

św. Kunegunda, albo Kinga — legenda o tej księżnie krakowskiej głosi, że, kiedy uciekała z Krakowa na Węgry przed Tatarami, dokonała dziwnego cudu: oto nagle między nią a poganami wystrzeliły z równiny nieprzebyte Tatry i pościg zatrzymały

lunatyk—człowiek podlegający chorobie nerwowej, objawiającej się snem, podczas którego jego władze ruchu i działania są czynne

turnia — skała naga i stroma, szczyt skalny w Tatrach

wartko — prędko

wierch — wierzch, wierzchołek

Wł. Tetmajer, Ku mej kołysce leciał.

limba — jodła karpacka

A. i J. Kowalscy, Nieśmiertelny zaułek.

Bastylja — słynna twierdza i więzienie w Paryżu, zburzone przez lud podczas Wielkiej Rewolucji

Bazyljanów klasztor — klasztor w Wilnie, zamieniony na więzienie, w którem rząd rosyjski trzymał uwięzionych Filomatów, a wśród nich i Mickiewicza

bukszpan — krzew o drobnych listkach, zawsze zielony

całować z dubeltówki — całować w oba policzki

„Grażyna" — poemat historyczny Mickiewicza, osnuty na tle stosunków Litwy pogańskiej z Krzyżakami

Improwizacja—tworzenie bez przygotowania, z natchnienia; tu mowa o sławnym ustępie utworu Mickiewicza p. t. Dziady (III część), w którym poeta w podniosły sposób, pełen ognia, mówi o swojej miłości do ludzi i bólu patrjotycznym

Joanna Orleańska — bohaterka narodowa Francji, prosta natchniona pasterka, która w epoce niedoli kraju pod okupacją Anglików umiała w wojsku i narodzie wzbudzić zapał do walki zwycięskiej z wrogiem

klasycystyczny — tu: utwór literacki naśladujący poetów starożytnych (greckich i rzymskich)

kibitka — patrz: Sawa, Rok 1863, II

Lida — miasteczko na Litwie, kiedyś zamek księcia Litawora, jednego z bohaterów „Grażyny"

majówka filarecka — wycieczka filaretów poza miasto, połączona zwykle ze śpiewami, poważnemi rozmowami, a nawet odczytywaniem prac naukowych i patrjotycznych uczestników

„Mindowe" — dramat wierszem Juljusza Słowackiego osnuty na tle tragicznych dziejów księcia litewskiego Mendoga (imię litewskie)

męczeńskie Wilno „Dziadów" — mowa tu o tych czasach (1824 r.), kiedy w Wilnie odbywał się proces Filomatów

Nowogródek — miasto na Litwie, w którem Mickiewicz spędził dzieciństwo

Ostra Brama — brama w Wilnie, dziś w obrębie miasta, nad którą w krytej galerji znajduje się cudami słynący obraz Matki Boskiej

Pola Elizejskie — długa, wspaniała ulica w Paryżu

podsienia — dach na słupkach u wejścia domu

seledynowy — patrz: Lepecka, Rybolestwo, IV

Sekwana — rzeka przepływająca przez Paryż

smrek — świerk

Śniadecka Ludwika — ukochana Juljusza Słowackiego, córka sławnego uczonego, profesora wileńskiego uniwersytetu

spełzły — wyblakły, taki, który stracił kolor

synagoga — patrz: Nowakowski, Zawody w Krakowie, IV

Verne Juljusz — słynny francuski autor powieści dla młodzieży, osnutych na tle przygód w egzotycznych krajach i fantastycznych pomysłów naukowych i technicznych

Wersal — pałac królewski pod Paryżem

wieszczowie — tu: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński

Wilja — rzeka pod Wilnem

zakamarek — zakątek, skrytka

zaułek Bernardyński — wąska uliczka, przy której stoi dom, w którym mieszkał Mickiewicz

zgonić się — zmęczyć się

H. Sienkiewicz, Mowa poetów.

Dawid — król żydowski, który pięknie grał na harfie i układał pieśni (słynne psalmy)

dżdże — deszcze

Hellenowie — starożytni Grecy, którzy stworzyli piękną literaturę dramatyczną, liryczną i epicką (słynna Iljada, Odysseja Homera)

niepożyty — niezniszczalny, wieczysty

śpiż — patrz: Kuncewiczowa, W sercu Polski

wrzeciono — narzędzie do przędzenia włókien i nawijania nici

I. W. Banachowicz, Strzelecka drużyna.

kalkulować — obliczać, rozważać, obmyślać

Lida — patrz: Kowalscy, Nieśmiertelny zaułek, IV

maładcy strelcy — dzielni strzelcy (po białorusku)

meta — cel, kres

puhar — duży, ozdobny kielich, czara

warcaby — gra uprawiana krążkami na warcabnicy, t. j. polu pokrytem białemi i czarnemi kwadracikami

żeton — znaczek metalowy z napisem, dawany jako nagroda

E. Szelburg-Zarembina, I mój! i Twój!

filar — tu: podpora budowli

intruz(ka) — natręt

mitręga — marudzenie, powolność, zwłoka

prom — szeroki i płaski statek do przewożenia przez rzekę

przęsło — część mostu między dwiema podporami

J. Meissner, Kop i Lopp.

bród — miejsce płytkie w rzece, którędy można przejść

brzeźniak — lasek brzozowy, zarośla

burta gondoli — tu: brzeg łódki samolotu

Czerwony Krzyż — stowarzyszenie międzynarodowe opiekujące się rannymi na polu bitwy

dywersanci — złoczyńcy, przekraczający potajemnie granicę sąsiedniego państwa w celu kradzieży, rabunku i t. d.

gusła — zabobony, przesądy, wiara w czarodziejskie siły i zaklęcia

horda — zgraja, dziki tłum

karczmarz — gospodarz karczmy, oberżysta, szynkarz

koleina — patrz: Morcinek, Ziemia Śląska, I

Kop — Korpus Ochrony Pogranicza, t.j. oddział wojska, rozmieszczony w strażnicach wzdłuż granic państwa w celu strzeżenia ich przed dywersantami, przemytnikami, szpiegami i t. d.

lelek — nocny ptak owadożerny

leśniczówka — domek w lesie, w którym mieszka leśniczy, tj. dozorca lasu

Lopp — Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej

otok — tu: obłożenie czapki kolorowym paskiem sukna

parów — dół wyrwany przez wodę, jar, wąwóz

przemytnictwo — kontrabanda, tj. przenoszenie, przewożenie towarów bez opłacenia cła

puszczyk — ptak z rodziny sów, wydający b. niemiły głos

surowica przeciwjadowa — serum przeciw truciźnie, zawartej w jadzie żmii

śmigło — rodzaj dużej drewnianej śruby przy samolocie.

upiór — duch z tamtego świata, pojawiający się według przesądów ludowych jako widmo; potępieniec

wilkołak — w wierzeniach przesądnych ludu człowiek, przemieniony w wilka, lub konia

wyboisty — pełen wybojów, tj. dziur, dołów

zamawiać choroby — zaczarować chorobę tak, żeby zniknęła

znachor — człowiek, zajmujący się leczeniem, a nie posiadający do tego fachowego wykształcenia

H. Mortkowiczówna, Petro, woda i wielki świat.

aj, padiwisia, czeławieczje, interesujsia, czeławieczje — aj, popatrz, człowieku, zainteresuj się, człowieku

a patom budiet Szczara, a patom budiet Niemen i Awgustowskij kanał — a potem będzie Szczara (dopływ Prypeci), a potem będzie Niemen i Kanał Augustowski

a teper gdie dalsze — a teraz gdzie dalej

a w Azju my nie pojediem — a do Azji czy nie pojedziemy

aj, kołyb tebe Boh szczastje dał — oby ci Bóg dał szczęście

bat'ka — ojciec

bełt — tu: żerdź, rodzaj wiosła

Biebrza — dopływ Narwi; między Biebrzą i Czarną Hańczą (dopływem Niemna) znajduje się kanał Augustowski

cerkiewka — patrz. Lechicka, Wielki król, I

Gibraltar — cieśnina łącząca morze Śródziemne z oceanem Atlantyckim

Guliwera podróże — tytuł sławnej angielskiej powieści J. Swifta, przedstawiającej przygody w kraju olbrzymów, liliputów i t. d.

Horyń — dopływ Prypeci, głównej rzeki na Polesiu

Kolja — Mikołajek

koromysła — drążek na ramiona, na którym wiszą wiadra z wodą

kureń — chata drewniana bez komina, lepianka

łapcie z łyka — proste pantofle, zrobione z kory

matuszka — mama (po rusku i białorusku)

Narew — dopływ Bugu

Pińsk — główne miasto na Polesiu, nad rzeką Piną, węzeł dróg wodnych

Stambuł — Konstantynopol

świtka — kurtka, sukmana

tak my wljewo wazmjomsia, na Pinu, a z Piny na Jasiołdu, a patom na kanał Oginskoho—weźmiemy się więc na lewo, na Pinę, a z Piny na Jasiołdę, a potem na kanał Ogińskiego

zgrzebne płótno — płótno utkane z gorszych włókien, t. zw. zgrzebi

M. Piskorska, Ojciec Ignacy.

bocznica — linja poboczna drogi żelaznej, z główną połączona

Borysław — miasto, ośrodek przemysłu naftowego, leżący w dorzeczu rzeki Dniestru

cysterna — tu: wóz kolejowy w kształcie kotła do przewożenia nafty

dystylarka — przyrząd do dystylowania cieczy, t. j. oczyszczania jej od domieszek przez zamianę w parę i skroplenie

kolba — naczynie szklane w kształcie kuli z długą szyjką, używane przy doświadczeniach chemicznych

mika — minerał, dający się łupać na cienkie przezroczyste blaszki, używany zamiast szkła

probówka — rurka szklana, z jednego końca zamknięta, używana do robót chemicznych, epruwetka

rafinerja — fabryka, w której odczyszczają produkty naturalne, tu: ropę, t. j. naftę surową

szyb — głęboki otwór w ziemi, wywiercony przez świder, którym ropa naftowa dostaje się na powierzchnię; otwór ten obudowany jest przez rodzaj wieży

J. Zakrzewska, Wschodnie wrota Polski.

cerkiew — patrz: J. Lechicka, Wielki król, I

Chmielnicki Bohdan — hetman kozacki, który wywołał bunt przeciwko Polsce (wiek XVII)

hetman — patrz: J. Lechicka, Wielki król, I

horda — oddział dzikiego ludu (zwykle o Tatarach)

inwazja — najazd, napaść

Jan Kazimierz — król polski z wieku XVII

jasyr — niewola muzułmańska

książe Józef — mowa o ks. Józefie Poniatowskim, słynnym wodzu polskim, mianowanym przez cesarza Napoleona marszałkiem

nobilitacja — uszlachcenie; w dawnej Polsce nadawano szlachectwo za wybitne zasługi

pionier — człowiek torujący nowe drogi

turban — zawój, służący za nakrycie głowy u ludów muzułmańskich

Virtuti Militari — za męstwo wojenne (po łacinie); nazwa odznaczenia, nadawanego za waleczność

wołoski — inaczej mołdawski; Mołdawja — kraj, należący dziś do Rumunji

ziemia czerwieńska — inaczej Ruś Czerwona, patrz: M. Konopnicka, Brzegiem Wisły, I

R. Perutz, Wrażenia z koncertu Paderewskiego w Ameryce.

ekstaza — najwyższy zachwyt, uniesienie

estrada — podwyższenie z desek, miejsce dla koncertantów

farmer — patrz: Sienkiewicz, Wspomnienia z Maripozy, II

Yankee — Amerykanin (ale tylko anglosaskiego pochodzenia)

niesamowity — nienaturalny, jakby spowodowany tajemniczą siłą

Paderewski Ignacy — światowej sławy wirtuoz i kompozytor, powołany przez Naczelnika Państwa na premjera drugiego zkolei rządu polskiego, na którem to stanowisku podpisał w imieniu Polski Traktat Wersalski

salonka — wagon kolejowy, urządzony jak pokój

spiżowy — tu: dźwięczący, brzmiący jak metal

Tytan — bóg słońca u starożytnych Greków (inaczej Heljos), olbrzym, siłacz

wentylator—przyrząd do wpuszczania świeżego powietrza

władyka — władca, pan, mistrz.

WYKAZ WAŻNIEJSZYCH BŁĘDÓW.

Na	str.	wiersz	zamiast:	powinno być:
„	9	1 od góry	zabaczysz	zobaczysz
„	13	6 „ „	I bezsenne noce	I w bezsenne noce
„	13	7 „ „	wzrasta	urasta
„	17	4 od dołu	zczerniała	sczerniała
„	19	7 od góry	rozciekawiają się	rozciekają się
„	23	16 od dołu	zachuczy	zahuczy
„	23	6 „ „	wody. Szerokie	wody: szerokie
„	36	12 „ „	wietne	świetne
„	36	2 „ „	(artystów)	artystów
„	40	2 od góry	wciąz	wciąż
„	45	7 od dołu	Jegienka	Jagienka
„	52	2 „ „	Norymbergji	Norymbergi
„	56	14 „ „	rozstrząsajmy	roztrząsajmy
„	58	6 od góry	gdyż zmowy ich	gdyż z mowy ich
„	60	7 „ „	sprawowania	sprawozdania
„	66	2 od dołu	gniazdowstwa	gniazdostwa
„	67	7 od góry	międzywzgórzami	między wzgórzami
„	69	16 „ „	śnieżyny	ścieżyny
„	78	12 od dołu	w świetle zobaczy	w świetle wiedzy zobaczy
„	79	17 „ „	dzidzica	dziedzica
„	80	2 od góry	stwiehrdziła	stwierdziła
„	80	3 „ „	istotnie	istotne
„	87	5 „ „	Lafayete'a	Lafayette'a
„	92	6 „ „	szczerniałych	sczerniałych
„	93	15 „ „	słyszały się	słyszało się
„	102	7 od dołu	płomiena	płomienna
„	104	1 „ „	wypadł	wypadli
„	115	żywa pagina	znakokomitymi	znakomitymi
„	117	7 od góry	Tuchanowicze	Tuhanowicze
„	117	8 od dołu	nad ziemię	nad ziemią
„	126	4 od góry	wiedzano	wiedziano
„	127	3 „ „	durgim	drugim
„	127	16 od dołu	obudziała	obudziła

Na	str.	wiersz	zamiast:	powinno być:
„	127	5 „ „	z radością	z radosną
„	143	10 „ „	fijołków	fiołków
„	144	11 od góry	odmieny	odmienny
„	163	11 „ „	swrócony	zwrócony
„	177	1 od dołu	zwykle	zwykłe
„	192	14 od góry	wycinkami	wycinankami
„	215	11 od dołu	pędzie	pędzi
„	233	16 od góry	jeżeli jakaś	jeżeli jest jakaś
„	238	16 „ „	pomnażając	pomnażających
„	256	1 od dołu	smutne	smutne Podlasiaki
„	271	17 od góry	żeromiona	żeremiona
„	275	7 od dołu	egzaminów	egzaminatorów
„	331	9 od góry	beposrednio	bezpośrednio
„	334	9 „ „	głasy	głazy
„	344	żywa pagina	Stare kamienice Klasztorów Bazyljanów	Stare kamienice i klasztor Bazyljanów
„	348	11 od dołu	przed harfę	przed harfą
„	351	11 „ „	Usłuszał	Usłyszał
„	386	7 „ „	nie-zmienił	nie zmienił
„	386	6 „ „	zauważyłem	zauważyłam
„	387	1 „ „	Josef	Joseph